

ANNA SAKOWICZ

To się da!



| ANNA SAKOWICZ |

To się da!

SZARA GŁOZINA

Mojej córce Emilii, bez której wiele rzeczy nie miałyby sensu

Rozdział 1

Moje buty nasiąkały wodą z brei, która jeszcze wczoraj była pięknym białym puchem. Na usta cisnęły mi się najbardziej siarczyste przekleństwa, jakie kiedykolwiek udało mi się usłyszeć. Jak to się dzieje, że kiedy człowiek wychodzi z domu, na dworze jest trzaskający mróz absolutnie niezapowiadający roztopów, a kiedy tylko wsiada do autobusu, okazuje się, że z każdym przejechanym kilometrem temperatura złośliwie rośnie, a piękny biały pejzaż za oknem przybiera coraz rozpaczliwszy wygląd?

Przed wyjściem przez kilka minut się zastanawiałam, jakie włożyć buty. Jest już marzec, więc powinna przyjść wiosna. Ale nie! Zima sobie o nas przypomniła i próbuje nadrobić śnieżne zaległości. Na spotkanie w sprawie pracy jednak nie wypadało pójść w walonkach, więc stanęło na pięknych à la zamszowych kozaczkach za kostkę. I że mnie od razu coś nie palnęło w tę głupią rozczochraną łepetynę! Teraz brodziłam w roztopionej brei właśnie po kostki. Czułam, że woda nie tylko wsiąka w ekologiczną skórę impregnowaną jak należy, lecz także co nieco wlewa się górą. Pięknie! Nie dość, że ostatnio los ciągle wyprawiał mi jakieś świństwa, to jeszcze to.

Na spotkanie umówiona byłam na jedenastą. Spojrzałam na zegarek. Było za piętnaście. Dokładnie nie wiedziałam, gdzie znajduje się szkoła, której dyrektorka zaprosiła mnie na rozmowę kwalifikacyjną. Szłam według wskazówek udzielonych mi przez Artura. Według rozpiski, którą wcisnął mi w dłoń wczoraj wieczorem, należało jeszcze skrócić w prawo, potem w lewo, kilka metrów iść prosto i już. Powinnam więc zdążyć.

Sprawdziłam, czy wzięłam teczkę z dokumentami, bo w natłoku ostatnich zdarzeń wszystko mogło się zdarzyć. Moje myśli ciągle krążyły wokół tematu pogrzebu. To już pojutrze. Nie wiem, jak to udźwignę. Naprawdę nie wiem. Do tego ta nieszczęsna rozmowa. Kiedy dyrektorka spojrzy w moje podkrążone oczy i na bladą gębę, ucieknie z krzykiem i jeszcze krucyfiksem mnie przeżegna. Nie mogłam jednak odmówić. Blubluś załatwił mi tę rozmowę kilka tygodni wcześniej. Przecież nie mógł przewidzieć, że sprawy się tak potoczą, a niestety żyć trzeba. Jakoś trzeba.

Łzy ponownie napłynęły mi do oczu na myśl o pogrzebie. Zrobiłam kilka głębokich wdechów i wydechów. Zawsze wiedziałam, że z powietrzem żyje się łatwiej i teraz też się to sprawdzało. Skręciłam w prawo, za chwilę w lewo i faktycznie przede mną w oddali pojawił się okazały budynek z czerwonej cegły. To mogła być szkoła. A moje stopy już tak przemokły, że za chwilę z pewnością zacznę szczękać zębami. Stanę się ciekawym obiektem obserwacji dla dyrektorki.

Akurat trwała lekcja, więc spokojnie mogłam przejść korytarzem. Ściany pomalowane na pistacjowo dawały poczucie spokoju, gdzieniegdzie tylko dumnie prezentowały się gabloty z pucharami. Podłoga dawno temu została wyłożona gumoleum nieudolnie udającym parkiet. Obejrzałam się tylko za siebie, by zobaczyć, jakie pozostawiam na niej ślady. Na ich widok uśmiechnęłam się lekko, bo wyglądało, jakbym właśnie wyszła w butach spod prysznica. Woźna mnie za chwilę przegoni szmatą.

Gabinet dyrektorki odnalazłam bez trudu. Po prostu odkąd przekroczyłam próg szkoły, szłam korytarzem przed siebie. Toż wiadoma sprawa, że jeżeli wszystkie drogi prowadzą do Rzymu, to w szkole wszystkie korytarze wiodą do dyrekcji.

– Dzień dobry – powiedziałam od razu po wejściu do sekretariatu. Przedstawiłam się i automatycznie zostałam poproszona do gabinetu. Zawahałam się przed zrobieniem kroku na piękną czerwoną wykładzinę, bo że ślady zrobię, to pewne. Ale może to czerwone cudo wchłonie trochę wody z moich stóp? Coś zachichotało w mojej rozczochranej łepetynie, a na twarzy

pojawił się lekki uśmiech.

Dyrektorka przywitała się oficjalnie, zgodnie z piastowanym stanowiskiem. Wskazała mi miejsce po drugiej stronie biurka i – już zupełnie nieurzędowo – zaczęła wygłaszać peany na cześć Piotra. Jakby chóry anielskie zawyły nad jego głową.

– Pani dyrektor – przerwałam jej, bo tak to można by w nieskończoność, a mnie się spieszyło na powrotny pociąg. – Mam tutaj CV i podanie. – Wyjęłam odpowiednie dokumenty.

– No, no. – Cmoknęła. – Piękne CV, naprawdę piękne. – I wtedy zauważyłam, jak coś drgnęło w jej policzku. Jakiś niezidentyfikowany mięsień, który na sekundę zmienił wyraz jej twarzy. – I co? – kontynuowała. – Chciałaby pani przenieść się do Tczewa?

– Tak – odpowiedziałam zdecydowanie, choć w głębi duszy nie wiedziałam, czego chcę. Przez całe swoje czterdziestoletnie życie mieszkałam w Zachodniopomorskiem.

Obecnie miałam tam nawet dobrą pracę w technikum, ale podkusiło mnie, żeby wziąć urlop dla poratowania zdrowia, który niemalże od razu moja kochana mamusia zaplanowała w najdrobniejszych szczegółach, łącznie ze znalezieniem kandydata do ręki swojej jedynaczki. Przyjechałam więc razem z nastoletnią córką na Kociewie zaopiekować się starą, schorowaną i samotną ciotką Zosią, która, jak się okazało, doskonale radziła sobie bez czyjejkolwiek pomocy. W dodatku podstęp mamuśki szybko wyszedł na jaw, gdyż chciała mnie zeswatać z synem sąsiadki – Piotrem – nazywanym przez ciotkę po kociewsku blublusiem. W każdym innym miejscu w Polsce stara ciotka nazwałaby takiego fircykiem. Na szczęście nasz Blubluś okazał się gejem związanym z przesympatycznym sprzedawcą samochodów – Sebastianem.

Przy okazji realizacji planów poznałam owdowiałego chirurga. Serce zabiło mi mocniej i teraz rozpoczęły się poszukiwania pracy i rozmyślania nad tym, czy zostać na Kociewiu, czy może wracać w rodzinne strony. A najgorsze w tym wszystkim jest to, że serce mówi jedno, a rozum drugie. Odzywała się we mnie kobieta pełną gębą – nie wiedziała, czego chce od życia, a w dodatku przypomniały o sobie demony przeszłości, które nie pozwalały patrzeć optymistycznie na to, co się miało wydarzyć. Artur nalegał, aby po zakończeniu rocznego urlopu zostać w Starogardzie, ale ja postawiłam konkretny warunek: bez pracy się nie przenoszę. Na pewno nie będę na utrzymaniu mężczyzny, bo zdążyłam się już przekonać, że różowe okulary w każdej chwili mogą spaść z nosa, a wtedy księżę stanie się potworną ropuchą. Kobieta musi być niezależna, przygotowana na najczarniejszy scenariusz! Nawet jeżeli mężczyzna wydaje się najcudowniejszy na świecie. W Starogardzie pracy w szkołach nie było, więc szukałam w okolicy. Może się uda. A jeśli nie, to wracam do siebie. Przyznaję jednak, że od razu na myśl o powrocie lekko ścisnęło mnie w dołku. Bo do czego tam wracać? Do pracy i pustego mieszkania? Luśka już zapowiedziała, że przeprowadza się do internatu i nigdzie się stamtąd nie ruszy.

– Wie pani... Będzie problem, bo u nas jest pełna obsada. Prawdopodobnie jedna z nauczycielek wybierze się na emeryturę, więc jeżeli się coś zwolni, to dam pani znać. – Uśmiechnęła się. – Ze względu na pana Piotra – dodała po chwili i jeszcze raz zaczęła się wpatrywać w mój życiorys. – Ma pani też zrobione studia zarządzania...

A mam cię! Tu cię boli. Tak podejrzewałam. Mogłam tego jednak nie wpisywać, bo to dla niektórych dyrektorów jasny komunikat: konkurencja.

– I doradcą metodycznym pani była...

– Tak – odpowiedziałam zdecydowanie i spojrzałam jej w oczy. – Jestem bardzo dobrym nauczycielem. I właśnie tylko nauczycielem chciałabym pozostać – stwierdziłam dobitnie, akcentując słowo „tylko”, może nawet wyraźniej niż zamierzałam.

– Dobrze. – Odłożyła moje dokumenty na bok. – Będziemy mieć panią na uwadze. Dziękuję, że zechciała pani przyjechać, w dodatku w tak smutnych okolicznościach. Piotr

opowiadał, co się stało. Ale sama pani rozumie, bardzo chciałam panią poznać. Kupiłam od Piotra pani bajkę i przyznaję, że jestem pod wrażeniem. – Pokiwała głową z uznaniem.

– Dziękuję – przerwałam jej, bo nie miałam ochoty słuchać tego, co ma mi do powiedzenia. Nie wiem, po co mnie tutaj ściągała. Wystarczyło wysłać mejlem życiorys i podanie, zamiast się tłuc zapchanym autobusem, by mogła na mnie popatrzeć. – W takim razie będę czekać na wiadomość. Kiedy mogę się spodziewać?

– Myślę, że do końca czerwca najpóźniej powinniśmy wiedzieć, czy będzie u nas wakant.

– Dobrze. Dziękuję, że znalazła pani dla mnie czas – odparłam, choć miałam ochotę jej przywalić.

Wstałam i podeszłam do drzwi. Ku mojemu przerażeniu usłyszałam dziwny dźwięk. Wydobywał się z butów. Odruchowo spojrzałam w ich kierunku. Dyrektorka zrobiła to samo. Kątem oka widziałam, jak otworzyła usta z wrażenia. Trochę zmoczyłam jej puszystą wykładzinę. A moje à la zamszowe botki robiły plask-plask i niczym gąbka przy każdym zgięciu stopy oddawały wodę. W dodatku z bąbelkami!

Doczłapałam do drzwi i dość szybko znalazłam się przed szkołą. Niestety pogoda się nie zmieniła. Pośniegowe błoto zalegało wszędzie. Gdzieniedzie uwijali się ludzie z szuflami, ale wyglądało to na syzyfową pracę. Zanim to odgarną, będę w domu pod ciepłym kocykiem, rozmarzyłam się.

Dworzec w Tczewie odnalazłam bez trudu, choć byłam tutaj wcześniej tylko raz w życiu, kiedy odbierałam swoje przyjaciółki: Olgę i Beatę. Machnęłam kilka fotek telefonem czarno-białej lokomotywie. Kiedyś kochałam Republikę, więc sweet focia z maszyną przypominającą kolorystycznie zebkę lub przejście dla pieszych, była wręcz obowiązkowa, tym bardziej że nie wiadomo, czy tu jeszcze kiedyś wrócę. Co prawda, moja facjata zajęła prawie cały ekran telefonu i że w tle jest lokomotywa, można było się tylko domyślać, ale pozostałe zdjęcia stanowiły dowód na to, gdzie byłam.

Na dworcu kupiłam kubek gorącej kawy. Do odjazdu pociągu zostało zaledwie pięć minut, a ja z otwartą gębą po raz drugi podziwiałam odnowione perony. Z hali dworcowej można się było dostać na nie tunelem nad torami. Wszystko świeże, pachnące farbą. Dopiero teraz zrozumiałam, dlaczego starogardzianie tak bardzo zazdroszczą dworca tczewianom. Był piękny i nowoczesny. Co prawda tego w Starogardzie jeszcze nie widziałam, ale mogłam się jedynie domyślać, że nie dorasta sąsiadowi do pięt.

Kiedy wsiadłam do pociągu, od razu wpadłam na genialny pomysł, by ściągnąć buty. Wyżymać się ich nie dało, ale może przez te kilkadziesiąt minut obeschną lekko, a stopy mi się rozgrzeją i zmienią kolor z sinofioletowego na różowy. Na szczęście obok mnie nikt nie siedział, więc zdjęłam moje, pożałuj Boże, prawie zamszowe botki. Skarpety wyglądały, jakbym w nich przebiegła piekło tam i z powrotem, a na koniec wskoczyła do jakiejś sadzawki. Najlepszym rozwiązaniem byłoby je całkowicie ściągnąć. Tak też zrobiłam. Wycisnęłam je nad śmietniczką i wrzuciłam do woreczka, który szczęśliwie znalazł się w moim torbiszczu. Nie wiem dlaczego od razu ich nie wyrzuciłam, bo raczej marne szanse, żeby się doprały. Niestety, ekologiczny zamsz puścił farbę. Pogrzebałam jeszcze w torebce. Grzebnięłam całkiem głęboko. Ha! Znalazłam dwie stopki, które nosiłam na wszelki wypadek, gdyby jakieś cud-buty wpadły mi w oko i trzeba było je mierzyć. Przecież nie będę wkładać ich w sklepie na grubą zimową skarpetę. Kobieta musi być przygotowana na wszelkie możliwości zakupowe.

Wytarłam chusteczkami higienicznymi stopy à la rozkładający się trup. Dałam im dwie minutki pooddychać „świeżym” pociągowym powietrzem. Potrzymałam je blisko gorącego grzejnika i kiedy miłe ciepło rozeszło mi się po ciele, nałożyłam eleganckie stopki. Byłam zadowolona z siebie, że poradziłam sobie prawie jak MacGyver. Nie liczyłam na cud, że w ciągu

dwudziestu minut wyschną mi buty, ale przynajmniej przez chwilę się ogrzałam, a podczas chodzenia botki może nie będą wypuszczać z siebie baniek.

Spoglądałam przez szybę na mijane drzewa i domy, z uwagą obserwowałam, czy zbliża się Starogard. Okolica była mi zupełnie obca, więc trudno rozpoznać, jak jeszcze daleko. Kontrolowałam czas. Według rozkładu pozostało piętnaście minut.

Na jednej ze stacji wsiadła starsza kobieta i zajęła miejsce naprzeciwko mnie. Od razu spojrzała na moje prawie bose nogi. Kuse cieniutkie skarpetki i brak butów mogły być sygnałem, że coś ze mną nie tak i należy się przesiąść w drugi koniec wagonu. Pani jednak okazała się twardzielką i nie uciekła.

– Przemokły? – spytała, wskazując na moje godne pożałowania buty.

– Tak. Staram się je trochę podsuszyć. Skarpety musiałam ściągnąć, ale na szczęście miałam w torebce stopki – zaczęłam się tłumaczyć.

– Straszna ta dzisiejsza pogoda. Z domu się nie chce wychodzić, ale jadę do córki – kontynuowała. – Do Starogardu.

– Daleko jeszcze? Nie mamy czasem opóźnienia? – spytałam, bo przecież wcześniej trzeba będzie włożyć buty. I po rzuceniu tego pytania, aż chciało mi się cmoknąć – niczym osiołkowi w popularnej kreskówce – i kilka razy powtórzyć irytujące pytanie.

– Powiem pani, jak zostanie jedna stacja, to zdąży się pani ubrać.

– Dziękuję, bo ja pierwszy raz jadę pociągiem z Tczewa. Zresztą w Starogardzie też jestem nowa. Osiem miesięcy temu przyjechałam opiekować się ciocią. Za sześć wrócę do siebie – powiedziałam i jakoś tak dziwnie coś ukłuło mnie w żołądku. „Wrócę do siebie” niczym echo odbiło się w moich szarych komórkach.

– Nie podoba się pani tutaj?

– Podoba. Nie o to chodzi. Tam mam pracę, skończy mi się roczny urlop...

– Jo, a dzisiaj o pracę nie jest łatwo i trzeba ją szanować.

– Dokładnie.

– O, może pani już nakładać buty, bo teraz będzie przystanek, a następna stacja to już Starogard. On na krótko zatrzymuje się tutaj.

Sięgnęłam po buty, które lekko się nagrzały przy grzejniku. Ciągle były mokre, ciężkie i nieprzyjemnie wciągało się je na stopy.

– Kurczę – stęknęłam, bo but stawił zdecydowany opór i za żadne skarby świata nie dawał się nasunąć na stopę. – Nie mogę.

– Skurczyły się?

– Nie wiem, ale nie mogę ich wciągnąć. – Moją twarz zalała fala gorąca. Nerwowymi ruchami wciskałam lewy but. I nic, za cholere nie dawał się, dziad jeden, włożyć na stopę. Chwyciłam nerwowo prawy. Może ten się zlituje. I dawaj, naciągać go. Nic. *Fuck! Fuck! Fuck!* Po co ja ściągałam te cholerne buty?!

– Musi się pani pospieszyć, bo już się zbliżamy. – Starsza pani mnie popędzała, a ja za nic w świecie nie mogłam włożyć butów.

Wyglądały, jakby były o numer za małe. A niby taka ekologiczna skórka, że wygląda jak prawdziwa, że dobry producent. Ile to się sprzedawczyni nagadała. A tu? Dupa zimna. Buty pod wpływem wilgoci i zimna skurczyły się i za żadne skarby nie chciały wrócić do rozmiaru mojej stopy. Narzuciłam więc na siebie kurtkę. Staruszka stała już w drzwiach i ciągle mnie popędzała, a stacji przegapić nie mogłam, bo to oznaczałoby większe kłopoty, już nie tylko z butami.

Trudno. Wsiądę i posiłuję się na peronie lub w poczekalni. Że ja nie pojechałam swoim samochodem! Chciałam bezpieczniej, bo za ślisko było, bo połączenie dobre. Dupa! Dupa! Dupa! A teraz będę pomykać do domu na boso. O nie, przepraszam, w rajstopowych stopkach. W

marcu. Po śnieżnej brei!

– To się pani kłopot zrobił – ubolewała nade mną starsza pani, kiedy już stałam na peronie i przebierając nogami, próbowałam się zorientować, w którym kierunku powinnam pójść.

– Jest tu poczekalnia? – spytałam.

– Oj, widać, że pani nigdy nie była na tym dworcu. – Uśmiechnęła się do mnie. – Niech pani nie stoi w miejscu, tylko biegnie po taksówkę. Przed dworcem powinno się udać jakąś złapać. Albo lepiej niech pani zadzwoni – dodała. – Bo tutaj to nie wiadomo, czy coś będzie. – Szybko pogrzebała w torebce i wyciągnęła notes. Wyrwała z niego kartkę i mi ją podała. – To jest numer. Proszę wziąć.

– Ale tu ma pani też inne zapiski – odparłam, spoglądając na niedbale wyrwaną kartkę.

– To nic. Niech pani biegnie w jakieś cieplejsze miejsce, bo mi zimno, gdy patrzę na panią. Zapalenie płuc będzie jak w banku!

– Dziękuję bardzo. – Ruszyłam przed siebie z butami w jednej dłoni i kartką w drugiej. Przebierałam nogami dość szybko, bo próbowałam zapewnić im jak najkrótszy kontakt ze śniegową breją.

Wpadłam do hali dworcowej. Jednak „hala” to chyba zbyt dumnie zabrzmiało w odniesieniu do miejsca, w którym się właśnie znalazłam. Na szczęście ludzi było tu niewielu. Jakiś facet z kobietą i dzieciak pałętający się z kąta w kąt. Chyba ich. Od razu oczy wszystkich zwróciły się na mnie. Widok pewnie mieli nieziemski; zdyszana, bosa baba, z butami pod pachą.

Przysiadłam na ławce, by jeszcze raz spróbować wcisnąć buty. Ale gdzie tam! Nie dało się. Pora się poddać. Zadzwoniłam pod numer wypisany na kartce. Po chwili zgłosiła się dyspozytorka i przyjęła zamówienie. Taksówka miała podjechać za trzy minuty.

– Mamo, mamo! – krzyczał dzieciak, pokazując na mnie paluchami. – Ta pani nie ma butów!

– Chodź tutaj. Nieładnie tak pokazywać – zawołała kobieta i podeszła do malca, by go chwycić za dłoń. Pewnie pomyślała, że ma do czynienia z wariatką, która uciekła ze szpitala psychiatrycznego. Boso w marcu, po śniegu. Może nawet ze skradzionymi butami, bo niby dlaczego nie dadzą się wcisnąć na stopy?

Odczekałam dwie minuty. I na boso chlap-chlap wyszłam z dworca. Na szczęście taksówka przyjechała od razu. Wsiadłam i odetchnęłam, zamykając za sobą drzwi. Podałam kierowcy adres.

– Jakiś wypadek? – spytał, spoglądając na mnie w lusterku.

– Tak – odparłam. – Buty mi się skurczyły.

Uśmiechnął się. Nie wyglądał jednak na zdziwionego.

– Jo, bo to teraz chińskie wszędzie. Nie wiadomo, z jakiego badziewia robione.

– Z ekologicznego zamszu – burknęłam, chyba sama do siebie.

– Ta? A jaki to zamsz ekologiczny? Buty, pani, muszą być porządne, skórzane, a nie takie chińskie barachło. Kiedyś to u nas była taka fabryka butów. Co to szyli naprawdę na cały świat. Porządne, skórzane. A teraz co? Nie oplaca się. Chińczykom się oplaca, a nam nie. Kto to widział?

– To chyba nie są chińskie.

– Jo, na pewno chińskie. Teraz wszystko chińskie. Mówię pani, że te Chińczyki to nas zaleją.

– O, to ten dom z tym małym płotkiem – powiedziałam, przerywając kierowcy jego wywody na temat Azjatów.

– Dyszka się należy.

– Proszę. – Podałam mu banknot. – Polski. W Polsce robiony – dodałam zadowolona i z

butami w dłoni szybko pokonałam schody. Nacisnęłam na dzwonek. Po chwili usłyszałam znajomy tupot nóg.

– O, rany! Mamo, a tobie co? – spytała przerażona Luśka. – Wypadek miałaś?

– Nie. Było tak pięknie, że postanowiłam zdjąć buty, by się przespacerować – ironizowałam. – Szkoda było marnować taką pogodę.

– No coś ty? Jednak szalona jesteś! To ta miłość ci się rzuciła na szare komórki?

– Jezu, Luśka! Wstawiaj wodę na herbatę. Z malinami, cytryną i miodem, poproszę. I jeśli jest imbir, to tonę imbiru możesz dorzucić.

– Dobra, dobra, ale powiedz, co się stało.

– Jak dostanę gar gorącej herbaty, to powiem.

Szybko pobiegłam do łazienki. Zrzuciłam z siebie zmasakrowane stopki razem z resztą garderoby i wskoczyłam pod gorący prysznic. Łazienka prawie natychmiast zaparowała, a ja poczułam przyjemne ciepło i mrowienie w stopach. Mogłam wyjść. Za drzwiami już Luśka krzyczała, że herbata gotowa.

Naciągnęłam bawełniane skarpety, a na nie jeszcze – dla pewności – wełniane. Miałam wrażenie, że płoną, a skóra szczypała, jakby kto w nią tysiące szpilek powbijał. Opatuliłam się szlafrokiem. Chwyciłam też koc ze swojego łóżka i poczłapałam do kuchni. Herbata stała na stole. Usiadłam, dokładnie się okrywając. Aż dreszcze mi przeszły po ciele, kiedy chwyciłam gorący kubek.

– Daj mi jeszcze aspirynę. Bo jak nic po takiej eskapadzie będę chora.

– Jutro pogrzeb, musisz być na chodzie – odpowiedziała Luśka, wykładając przede mną jedną tabletkę aspiryny. – Lepiej?

– Do dupy. To jakieś fatum czy co?

– A co ty w ogóle zrobiłaś z tymi butami?

– Nic. Przemokły, to chciałam je w pociągu podsuszyć i chyba się skurczyły.

Luśka zachichotała.

– To ludzie musieli mieć niezłe widowisko.

– Ba! Sama siebie wzięłabym za wariata, więc nie zdziwiłabym się, gdyby inni tak pomyśleli.

Powoli siorbałam herbatę. Była gorąca, parzyła usta i język, ale chciałam ją wypić zanim ostygnie, więc trzeba było płyn wciągać razem z chłodzącym powietrzem. Przyjemne ciepło rozchodziło się po żołądku.

– Lekcje odrobiłaś?

– Tak, ale mam, ja nie pójdę jutro do szkoły. Zostanę z tobą. I tak nie mogę się skupić na nauce. Chcę iść na pogrzeb.

– Naprawdę?

– Tak. Czuję, że muszę. To dla mnie dziwne, że człowiek jednego dnia jest, a na drugi już go przysypują piachem.

– Nic się na to nie poradzi. Takie jest życie.

– Wiem – powiedziała cichutko. – Aaa... sobie też zrobię herbatę.

Przez kilka minut w domu zalegała cisza przerywana w końcu szumem czajnika. Żadna z nas nie miała ochoty na rozmowę. Mnie robiło się coraz cieplej. Na twarzy czułam rumieńce, pewnie z powodu nagłej zmiany temperatury. Siorbałam herbatę w milczeniu, a za chwilę do odgłosów wydawanych przeze mnie dołączyły emitowane przez Luśkę. Też piła gorące.

– Dziwna taka cisza, gdy cioci nie ma, co? Niby ona siedziała w swoim pokoju, modliła się czy słuchała radia, ale zawsze człowiek miał poczucie, że ona tam jest. Nie?

– Ano, dziwna. Duży dom. I wtedy ta cisza chyba brzmi jeszcze dobitniej.

– Yhy – mruknęła. – Dobra, mam, idę do siebie, posłucham jakiejś muzy, bo tylko to jestem w stanie teraz robić. Dasz sobie radę sama?

– A jak myślisz? – Uśmiechnęłam się do niej. – Jestem już dużą dziewczynką. Dzięki, Luśka, za herbatę – dodałam już poważniej. – Kochana jesteś. Bez ciebie to wszystko nie miałoby sensu.

– Mamuś, tylko się nie rozklej, proszę cię! – krzyknęła. – Zmykam w takim razie do siebie.

– Leć.

Luśka wstała, zasunęła krzesło. Trzasnęła drzwiami i zniknęła w swoim pokoju. A tyle razy jej mówiłam, żeby po cichu zamykała drzwi. Klamka jest od tego, by jej używać, a nie trach i niech same się zatrzaskają. Zaraz wylecę z futryny.

W tym momencie zadzwonił telefon. Zanim go wygrzebałam z torebki, oczywiście zamilkł. Spojrzałam na wyświetlacz: Doktorek. Muszę w końcu zmienić ustawienia i wpisać jego imię. Spotykamy się od kilku miesięcy, a ja ciągle mam w telefonie Doktorka, a nie Artura.

Wybrałam jego numer. Zgłosił się prawie natychmiast.

– No, już się martwiłem! – krzyknął mi do ucha. – Tyle godzin nie dzwonisz.

– Tęskniłeś?

– Denerwowałem się. Wszystko w porządku?

– Tak. Spoko. – Moje przygody z butami postanowiłam jednak przemilczeć. – Przyjedziesz dzisiaj?

– Słonko, nie mogę. Mam dzisiaj dyżur. Poprzestawiałem tak, aby jutro mieć wolne. Pójdę z tobą na pogrzeb.

– Szkoda...

– Szkoda, że pójdę, czy szkoda, że nie przyjdę?

– To drugie. – Uśmiechnęłam się do słuchawki. – Chyba się od ciebie uzależniam.

– I o to chodzi. A jak z pracą wyszło?

– E tam. Jak zawsze. Zadzwonimy do pani.

– To po co ta baba cię ściągała?

– Podobno chciała mnie zobaczyć. W sumie nieważne. Pojechałam, pogadałam, pokazałam CV, a teraz cierpliwie poczekam.

– Zobacysz, będzie dobrze. A ja cię stąd na pewno nie wypuszczę.

– Okej, okej, zobaczymy. – Znów uśmiechnęłam się do słuchawki. To miłe, co mówił, ale ja ciągle czułam, że gdzieś tam musi być jakiś haczyk. To niemożliwe, żeby trafił mi się facet doskonały. Chyba że po tylu latach posuchy zapomniałam, jak to jest i każdy wydaje się idealny.

– Dobra, kończę, bo się spóźnię. Jutro będę. Pa.

– Pa – odpowiedziałam i prawie natychmiast usłyszałam sygnał. Artur się rozłączył. Szkoda, że tak szybko. Miałam ochotę pogadać. A tak, sama w czterech ścianach dużego domu, czułam się jakoś nieswojo. Co prawda była Luska, ale pewnie siedziała już ze słuchawkami na uszach. Został mi tylko kot.

– Nutuś! – krzyknęłam. – Nutuś!

Usłyszałam tupot małych łapek. Biegł do mnie i pomiaukiwał radośnie. Podniosłam go i razem z nim poczłapałam do swojego pokoju, ciągnąc za sobą po podłodze koc.

– Chodź, poleżymy sobie.

Rozdział 2

Na łóżku piętrzyła się góra ubrań. Nie mogłam znaleźć czarnej bluzki. Nie pamiętałam, czy zabrałam ją z mojego mieszkania. A dzisiaj będzie potrzebna. Czarne spodnie i czarna bluzka – społecznie akceptowalne jako przejaw emocji po stracie kogoś. Czy kolor ma znaczenie? Zapinałam guziki pod szyją, jakbym przekładała paciorki zapomnianego już dawno różańca. Ostatni rzut oka na bebechy szafy wywalone na łóżku i byłam gotowa. Przynajmniej teoretycznie. Bo jak można być gotowym na pogrzeb?

– Maaamoooo! – Dobiegł mnie krzyk Lusi. – Pan Artur przyszedł!

Wyglądziłam ręką spodnie i poszłam do przedpokoju. Czekał tu Artur w czarnym płaszczu, ciemnych spodniach i lakierowanych butach. Luśka też już naciągała kozaki.

– Jak się czujesz? – spytała przechylona w pół.

– Znośnie. Wzięłam coś na uspokojenie.

– Damy radę – szepnął Artur.

– Taaa – mruknęłam, bo nie miałam najmniejszej ochoty o tym rozmawiać. Myślami byłam już na cmentarzu. Wyobrażnia niestety podpowiadała straszne scenariusze i coraz bardziej się denerwowałam. – Podjedziemy jeszcze po kwiaty?

– Jasne, nie kupowałam bez ciebie. Sama wybierzesz.

– Białe róże – powiedziałam bez zastanowienia. – To muszą być białe róże.

Chwyciłam torebkę, klucze, zamknęłam drzwi, a po chwili już odjeżdżaliśmy sprzed domu w kierunku kwaciarni. Kupiłam pięć białych dużych róż. Trzy dla siebie i po jednej dla Artura i Luśki. Żadnych wielkich wieńców. Nienawidziłam ich. Ogromnych, przewiązanych szarfami ciągle z tymi samymi tekstami, bardziej dla żywych, dla snobistycznego zaakcentowania, że ten największy to właśnie ode mnie. Zwykle wołały z kopca ziemi banalne słowa pożegnań podpisane wyraźnie kto był kim dla zmarłego. Teatr.

Kiedy zbliżyliśmy się do kaplicy, zauważyłam Piotra z Sebastianem. Ubrani na czarno stali kilka metrów od wejścia, jakby nie mieli najmniejszego zamiaru wchodzić do środka. Pochylali głowy. Sebastian oglądał czubki swoich butów.

– Cześć – szepnęłam na powitanie. Panowie podali sobie dłonie i coś pod nosem wymamrotali. Nikt z nas nie miał ochoty na rozmowę. Staliśmy z boku. Ludzie wchodzili do kaplicy. Nie przyglądałam się twarzom. Być może były wśród nich te znajome. Nie wiem. Mój wzrok tępo wpatrywał się w szklane wejście. Żadna, nawet mała myśl, nie zakiełkowała w głowie. Podskórnie czułam sztywność żałobników i ich pełne cierpienia milczenie.

Po chwili dopiero jakiś obraz przykuł moją uwagę. W bramie cmentarza zauważyłam Szpilkę i jej mamę. Dziewczynka siedziała na wózku. Była tak chuda i drobna, że prawie zniknęła pod kocem, którym została okryta. Była na tyle słaba, że mama musiała przywieźć ją tutaj na wózku inwalidzkim. A jeszcze kilka miesięcy temu, kiedy zaczynałam pracę jako wolontariuszka, w miarę żwawo poruszała się po korytarzu hospicjum. Teraz jakby zapadła się w sobie. Jej podkrążone oczy wskazywały na kilka przeplakanych nocy. Śmierć koleżanki musiała być dla dziewczynek ogromnym szokiem. Nikt się tego nie spodziewał, przynajmniej nie w takim tempie.

Pomachałam do Szpilki. Jej mama od razu podeszła do nas, pchając przed sobą wózek. Przywitaliśmy się i znów zapadła cisza i bezruch. Staliśmy, czekając na to, aż w końcu z kaplicy zostanie wyniesiona na twardych barkach mężczyzny trumna z kruchym ciałem dziewczyny, której wiatr powinien rozwiewać włosy, a deszcz obmywać twarz.

– Idą – szepnęła Luska, szturchając mnie pod ramię. I faktycznie, po chwili z kaplicy

wyprowadzono trumnę. Zapakowano ją do karawanu i powoli fala ludzi przelewała się w kierunku grobu, w którym zostaną złożone zwłoki. Trudno mi było myśleć o żyjącej jeszcze kilka dni temu dziewczynie w czasie przeszłym. Ciągle miałam przed oczyma jej rude loki, kiedy przyjmowano ją do hospicjum. Wyróżniała się bardzo. Jednak po kilku miesiącach na jej głowie nie było śladów złotych loków. I tak szybko zbladła...

Ruszyliśmy wolnym krokiem za karawanem. Słysząc było szuranie stóp, chlapanie roztopionego śniegu i szloch. Przerażający szloch wydobywający się z piersi kogoś bliskiego. Nie wiem, czyj to był płacz, ale wyciskał łzy z moich oczu. Chwycałam mocniej rękę Luśki. Dobrze, że tu jest. Z drugiej strony miałam Artura.

Dotarliśmy do wyznaczonego miejsca. Ksiądz coś mówił. Potem ktoś jeszcze zabrał głos. Ludzie się modlili, a ja ciągle słyszałam tylko ten przeraźliwy szloch przybierający od czasu do czasu formę lamentu. Zużywałam chusteczkę za chusteczką. Kątem oka spoglądałam na Szpilkę siedzącą w wózku. Niedaleko niej zauważyłam Mrówkę i Pati – dziewczynki, którymi opiekowałam się w hospicjum. Stały obok podpierane przez swoje mamy. Był też Krzysiu, dla którego kilka miesięcy temu robiliśmy akcję charytatywną. Przyszedł już o własnych siłach. Widziałam jeszcze kilka znajomych twarzy dzieciaków z hospicjum. Nie było jednak wśród nich Kingi. Tego rudaska przyjętego do szpitala w listopadzie. Miałam z nią lekcje języka polskiego. Siedziała często w pokoju „moich” dziewczynek. Brała od nich bajki, które im przynosiłam. I było w niej tyle życia i energii, że wydawało się niemożliwe, że jest chora. Nawet kiedy jej głowa stała się zupełnie łysa, potrafiła nas rozśmieszać. Dziewczynki przy niej zawsze się ożywiały. A dzisiaj jej nie ma wśród nas. I nie dlatego, że wyzdrowiała i poszła do domu, nie dlatego, że ją wyleczono, ale dlatego, że nie znalazł się odpowiedni dawca szpiku. Zabrakło czasu. Czegoś, czego nikt z żyjących nie mógł jej dać.

Czas! Czwarta współrzędna czasoprzestrzeni w teorii względności! Automatycznie odtworzyłam zdanie wpisane kiedyś do zeszytu z fizyki. Szpilka też potrzebuje czasu. Tej jednej jedynej współrzędnej, cokolwiek to znaczyło. Znikała w oczach, jakby postanowiła wyparować, skurczyć się do granic możliwości. Podeszłam do niej bliżej i oparłam dłoń na jej ramieniu. Pod palcami poczułam puchową kurtkę i żadnej kosteczki. Przez ubranie nie czułam Szpilki! Ścisnęłam więc mocniej. Dziewczyna spojrzała na mnie smutnym wzrokiem. Chciało mi się zawyć z powodu bólu, jakie miało w sobie to spojrzenie. Dokładnie takie samo miała jej mama.

– Uspokój się – szepnęła Lusia, chwytając mnie pod ramię. Kilka osób patrzyło na mnie, a ja nie mogłam opanować płaczu. Nie mogłam. Czułam, że Szpilka, Mrówka i Pati wymykają się życiu. A ja patrzyłam na to. Stałam z boku. Co z tego, że pisałam dla nich bajki? Co z tego, że uczyłam polskiego i historii? Na co to się zda, jeżeli nie będzie szpiku? Jeżeli nie będzie lekarstw?! Zabraknie czasu! Tej jednej współrzędnej! A Szpilka przecież kocha się w Krzysiu! Pati chce studiować medycynę. Mrówka ma zostać dziennikarką!

– Mamo – szepnęła znów Lusia. Podała mi kolejną chusteczkę. Wytarłam nos, starając się opanować emocje.

– Już dobrze – odpowiedziałam, a grabarze sypnęli ostatnią łopatę ziemi. – Już dobrze...
– Grabarze wbili krzyż. – Już dobrze... – Ludzie układali kwiaty i wieńce. Podchodzili, składali kondolencje i odchodzili. My też zaraz wrócimy do domu.

Rozdział 3

Ocknęłam się nagle. Coś musiało mi się przyśnić, bo byłam spocona. Serce biło w przyspieszonym rytmie. Dokonywałam analizy sytuacji i przez chwilę miałam nadzieję, że pogrzeb, który majaczył w resztkach snu, był tylko wytworem mojej podświadomości. Niestety tak nie było. Artur dał mi wczoraj dwie tabletki i kazał przyjąć je przed snem. Nie mogłam się uspokoić. Po przyjściu do domu znów rozryczałam się jak głupek, wymiotowałam, a głowę rozsadał mi totalny ból. Luśka ciągle powtarzała „uspokój się, uspokój”, „mamo, nie lamentuj”. Artur przytulał, a ja ciągle nie mogłam znaleźć ukojenia. Śmierć Kingi była dla mnie szokiem. W dodatku miałam przecucie, że za chwilę poumierają wszystkie dziewczynki z hospicjum. A tak przecież być nie mogło. Wiedziałam, że trzeba coś zrobić, tylko to „coś” ciągle było zbyt mocno nieokreślone.

Przyłożyłam dłoń do czoła. Przez chwilę miałam wrażenie, że jest gorące. To jednak tylko złudzenie. Nutuś zamruczał leniwie, kiedy zauważył, że nie śpię. Przeciągnął się, podniósł, by podejść do mnie i trącić mnie zimnym nosem. Trzeba było wstać, wziąć się za siebie i zrobić wszystko, by taki dzień jak wczoraj nie miał już miejsca. Przynajmniej przez następne kilkadziesiąt lat. Niech dziewczynki zdrowieją, rosną, dojrzewają, zakochują się, płaczą i śmieją! Przecież jakoś można zorganizować ten szpik, przyspieszyć szukanie dawcy!

Wstałam z łóżka. Pierwsze kroki skierowałam do kuchni i nastawiłam ekspres do kawy. Połknęłam na pusty żołądek tabletkę przeciwbólową i podreptałam do łazienki. Ciepły prysznic postawił mnie na nogi. Przełączyłam się na tryb działania. Wczorajsze lamenty i historie trzeba odstawić w kąt. Nie da się nic poradzić, trzeba ratować żyjących.

– O, Lusiu! – Zdziwiłam się, bo kiedy wróciłam do kuchni, moja córka siedziała już przy stole i popijała wodę z butelki.

– Nie mogłam spać – odparła. – A ty jak się czujesz?

– Na pewno lepiej niż wczoraj. Przepraszam cię za moje historie, ale naprawdę to było silniejsze ode mnie.

– Domyślam się, bo dałaś na cmentarzu najgłośniejszy koncert. Mogłabyś zatrudnić się jako zawodowa płaczka. Normalnie nie znałam cię od tej strony i nie wiedziałam, że byłaś tak zżyta z Kingą.

– Wiesz, bo jak ja sobie tam na cmentarzu uświadomiłam, że to loteria, że właśnie zachorowała Kinga, że mogło przecież to spotkać kogoś innego... i tak od razu zaczęłam się martwić o ciebie. A jeszcze jak widziałam Szpilkę, Mrówkę i Pati, to nie mogłam, po prostu coś we mnie pękło. Przecież dzieci nie powinny umierać. – I właśnie wtedy ni stąd, ni zowąd przypomniałam sobie moment, kiedy po raz pierwszy dotknęłam bosej stopy mojego ledwo narodzonego dziecka. Po cesarce leżałam unieruchomiona, a pielęgniarka dała mi pocałować małą stopę, w której nagle skrył się mój cały świat. Na to wspomnienie ścisnęło mi się gardło, a oczy niebezpiecznie zapiekły.

– Nie powinny, mamo, ale przecież wiesz, że tak się dzieje.

– Wiem. – Nie dałam spłynąć łzom. Otarłam oczy wierzchem dłoni tak, aby Lusiu nie spostrzegła. Postawiłam na stole kubek z kawą i usiadłam naprzeciwko córki. – Ale to niczego nie zmienia.

– A wiesz, że za dwie godziny wraca ciocia? – spytała.

Spojrzałam na nią zdziwiona. No tak! Ciocia! Trzeba po nią wyjechać na przystanek.

– Zapomniałam, kurczę – bąknęłam. – Ostatnio mówiłyśmy, że bez cioci tutaj taka cisza i pustka. A ja dziś o niej zapomniałam.

– Miałaś ważniejsze problemy.

– To co? Jakieś śniadanie chyba trzeba zjeść?

– Jasne – odparła Lusia i uśmiechnęła się do mnie. – Podejrzewam, że już w twojej głowie zaległ się genialny plan, skoro z lamentu przeszłaś do działania.

– Tak. Przełączyłam trybiki. Lamenty nic nie pomogą. Trzeba zrobić wszystko, by pomóc znaleźć dawcę szpiku dla Szpilki. Rozumiesz? Nie pozwolę odejść tej dziewczynce.

– No i właśnie za to cię kocham, wiesz?

– Wiem. A pomożesz?

– Jasne, mam. U nas w szkole przecież można zrobić akcję. Pełnoletni uczniowie mogliby zgłosić się jako dawcy, nie?

– Zgadza się. To dobry pomysł – odparłam i już w głowie zaczynałam układać plan działań. – Jajecznicę? – spytałam, ustawiając patelnię na kuchence.

– Jasne. Z szynką i szczypiorkiem – odpowiedziała. Postawiła chleb i masło na stole. A ja zajęłam się przygotowaniami śniadania. Czułam się zdecydowanie lepiej. Tabletki już działały. Kawa przywróciła jasność myślenia.

– I zadzwoń potem do Artura, bo chyba usmarkałaś mu marynarkę – rzuciła Lusia, zjadając jajecznicę.

– Wiem. Zachowałam się jak histeryczka. Mógł nie zbliżyć swojego ramienia w pobliże mojej zaryzowanej twarzy. Nic nie mogłam poradzić.

– Pewnie ci wybaczy. A widziałaś, że Piotr też płakał?

– Widziałam – szepnęłam. Nie chciałam wracać myślami na cmentarz. – Jedz, bo trzeba tu jeszcze ogarnąć, zanim przywiozę ciocię. Mam nadzieję, że u niej wszystko dobrze.

– Na pewno. Przecież to była pielgrzymka, a nie obóz przetrwania.

– Oj, nigdy nie wiadomo. Wiesz, jak takie dziadki potrafią się przepychać w kolejkach? Łokcie idą wtedy w ruch. A tam do spowiedzi muszą być kolejki.

– Ciocia na pewno dała radę, przecież jeździ tam co roku ze swoją paczką staruszków.

– W to wierzę. – Uśmiechnęłam się, bo już widziałam naszą energiczną ciocię w działaniu. Pewnie zaraz po tym, jak wsiadła do autobusu, przejęła dowodzenie.

Spojrzałam na zegarek. Było dobrze po dziesiątej. Ciocia miała przyjechać wpół do dwunastej. Przed wyjazdem wydała konkretne instrukcje. Z Lichenia jedzie się do nas podobno około trzy i pół godziny. Autobus miał podjechać na Pomorską, stamtąd odbiorę ciocię. Przy okazji może jeszcze wskoczę do sklepu po parę drobiazgów, bo lodówka lekko opustoszała, a staruszka lubiła mieć zapasy.

– Pojadę z tobą, co? – spytała Lusia. Włożyła talerze do zmywarki i nie czekając na odpowiedź, pobiegła się ubierać.

Zrobiłam to samo. Trochę mi zelżało na duszy. Ciocia wróci, pójdę do hospicjum, życie zacznie wracać do normy. Na pewno zrobię wszystko, żeby pomóc dziewczynkom. I nie tylko takie pierdu-pierdu sprowadzające się do pisania bajek, lecz także prawdziwe działanie. Akcja poszukiwania szpiku musi być konkretna i na wielką skalę. Poruszę piekło i niebo, ale go znajdę.

– Jesteś gotowa?! – Lusia krzyczała z przedpokoju. Mnie akurat zadzwonił telefon, więc szybko odkrzyknęłam i przyłożyłam słuchawkę do ucha. To Artur. Jak dobrze było usłyszeć jego ciepły, spokojny głos.

– Dobrze się czujesz? – Padło pierwsze pytanie. – Spałaś? – Nie pozwolił mi odpowiedzieć. – Tabletki podziałały? Lepiej trochę?

– Tak. – Uśmiechnęłam się do siebie. – Na wszystkie pytania odpowiadam „tak”.

– Martwiłem się, wiesz?

– Przepraszam, że tak histeryzowałam, ale śmierć dziecka to coś, z czym nie umiem się pogodzić i tak bardzo zaczęłam się bać tam na cmentarzu o Lusie, o Szpilkę, Mrówkę i Pati.

Jakbym nagle miała cztery córki. Wiesz, jak to jest... – Lusia machała do mnie, ale ja odwróciłam się do niej plecami, żeby mieć trochę intymności podczas rozmowy.

– Wiem. Dla każdego to było traumatyczne przeżycie, ale sama wiesz, że trzeba jakoś wrócić do codzienności.

– Wiem. I już mam plan.

– Jaki plan? – W jego głosie wyczułam zdziwienie.

– Potem ci opowiem. Teraz jedziemy z Lusią po ciocię, a przy okazji musimy zrobić zakupy.

– Spotkamy się wieczorem?

– Jasne. Wpadniesz do nas?

– A może ty do mnie?

– Dobrze, to potem jeszcze uzgodnimy. Kończę, bo Luśka macha, że się już poci. Stoimy w kurtkach, gotowe do wyjścia.

Pożegnałam się ze mną szybko. Rozłączyłam się. Wrzuciłam telefon do torebki. Zupełnie bezmyślnie, bo jeśli ktoś zadzwoni, będę musiała przerzucić całe torbiszcze w poszukiwaniu aparatu. A przecież mam specjalną kieszonkę na telefon! Ciągle nie mogę się nauczyć, by go tam wkładać. Zawsze byłby w jednym miejscu, a tak to trzeba często wszystko wysypać na podłogę, by go znaleźć. Widocznie jestem niereformowalna.

– Chodź, bo mamy coraz mniej czasu! – Luśka poganiała. Wrzuciłam jeszcze do torebki bawełnianą siatkę na zakupy i mogłyśmy w końcu wyjść.

Kiedy przyjechałyśmy przed hipermarket, znalazłam odpowiednio szerokie miejsce parkingowe. Nie byłam mistrzem kierownicy i zawsze podczas parkowania musiałam mieć dużo wolnej przestrzeni. Nie było więc szans, by samochód stał blisko wejścia do sklepu. Zazwyczaj zostawiałam go na tyłach parkingu, tam gdzie aut było najmniej, a dzięki temu taka łamaga jak ja mogła spokojnie wpasować samochód na wyrysowane miejsce.

– Jezu, mamo, i taki kawał musimy drałować – stękała Lusia, bo ona uważała, podobnie jak większość kierowców sprawnych jak należy, że trzeba zawsze parkować blisko wejścia.

– Zobacz, jak tam ciasno. Ktoś by poobcierał moją pszczołkę.

– Taaa. Ktoś. – Zaśmiała się.

Zakupy zrobiłyśmy szybko i sprawnie. Ani ja, ani Lusia nie byłyśmy zwolenniczkami bezcelowego łażenia pomiędzy regałami. Koszyk zapełniłyśmy dość solidnie. Potem zapakowałyśmy wszystko do bagażnika i pieszo poszłyśmy kilkadziesiąt metrów na przystanek, na którym miałyśmy czekać na ciocię. Do jej przyjazdu zostało zaledwie kilka minut.

– Szkoda, że ciocia nie ma komórki.

– No tak, ale wiesz, jaka jest ciocia. Telefon musi mieć kabelek, bo inaczej jak to możliwe, żeby ktoś do nas gadał – powiedziałam, naśladowując ton głosu cioci. Zaśmiałyśmy się. Faktycznie, Zosia broniła się przed komórką. I nie było możliwości, by ją przekonać. Przystępowałyśmy z Lusią z nogi na nogę, bo było trochę chłodno i mokro. Spoglądałyśmy z niecierpliwością w kierunku, z którego powinien nadjechać autobus, ale niestety ciągle nie było go widać na horyzoncie.

– Mam nadzieję, że się dużo nie spóźnią. – Lusia zaczynała lekko marudzić. – Która jest?

– Już dziesięć minut temu powinni tu być.

– Jeeezu, masakra.

– Nie stękać. To nie ułatwia czekania.

– A może coś się stało?

– Tfu! Wypluj. Limit nieszczęść na ten rok został wyczerpany.

– O! – krzyknęła nagle. – Jedzie! To ten?

– Chyba. – Z daleka trudno było ocenić, czy to wyczekiwany autokar, ale faktycznie wyglądał bardzo podobnie do tego, którym odjechała ciocia.

– Nareszcie!

Pojazd wjechał w zatoczkę. Miał tablicę z lakoniczną informacją „pielgrzymka”, więc to musiał być właśnie ten, na który czekałyśmy. Po chwili otworzyły się drzwi i z wnętrza powoli, ale dość hałaśliwie, zaczęli wysypywać się pasażerowie. Głównie były to kobiety. Wiek sześćdziesiąt plus. Panie na głowach miały piękne czapki, gdzieś tam tylko zdarzył się берет. Ciocia oczywiście nosiła zgrabny kapelusik. Zawsze powtarzała, że wiek nie zwalnia z klasy i elegancji, a berety kojarzyły się jej raczej z moherowym charakterem, więc unikała ich jak ognia. Zastrzegła, że na jej głowie żaden taki nigdy nie poleży.

Razem z Lusią w napięciu oczekiwałyśmy na pojawienie się znajomej sylwetki. Na razie obserwowałyśmy pociesznych staruszków powłóczących nogami i wykrzykujących do siebie słowa pożegnania. Każdy z nich po chwili krótkiego zamieszania wpadał w ramiona młodszych członków rodziny i odchodził w stronę domu.

– Jest! – krzyknęła Lusie. Po kilku sekundach moim oczom faktycznie ukazała się ciocia. W jednej ręce trzymała torbę wypchaną po brzegi swoimi ubraniami. Na pielgrzymce była trzy dni, ale musiała wziąć garderobę co najmniej na tydzień. Kiedy wysiadła, Lusie od razu do niej podbiegła i chwyciła spory pakunek. Uściskała ją mocno. Dopiero potem ja mogłam przystąpić do ceremonii powitania. Ciocia wreszcie wyzwoliła się z naszych uścisków i wskazała palcem na wnętrze autobusu.

– Asiu, jeszcze trzeba wziąć to.

Zajrzałam do środka. Jakiś pasażer żwawo wstał, by podać mi pudło ogromnych rozmiarów. Ocenivszy jego chwyt, stwierdziłam, że nie może być ciężkie. Złapałam je więc w dłonie, ważąc przez chwilę. Byłam pewna, że dam radę donieść to do auta.

– Ciociu, ty na zakupach byłaś czy na pielgrzymce?

– Opowiem wam w domu, bo taka ciekawa historia mi się zdarzyła. Ta pielgrzymka, jak się okazuje, nic mnie nie kosztowała, a jeszcze i zysk przyniosła.

– Ale się za ciocią stęskniłam – trajkotała Lusie. – Musisz nam wszystko dokładnie opowiedzieć.

– Gdzie macie samochód?

– Tam. Na parkingu po drugiej stronie. – Wskazałam kierunek brodą, bo inaczej się nie dało. Ręce miałam zajęte dużym pudłem.

– Oczywiście na samym końcu parkingu – dodała Luśka z nutką sarkazmu. Jednak nie skomentowałam tego. Trudno. Jaki ze mnie kierowca, każdy wie. Mistrzem kierownicy, a w szczególności parkowania, nigdy nie byłam i pewnie nie będę.

Ciocia maszerowała obok nas bardzo energicznie i zamasyście. Ja się lekko zasapałam przez ten tajemniczy karton, którego zawartość od czasu do czasu wydawała głuche dźwięki, jakby coś o siebie uderzało. Udało się jednak sprawnie dotrzeć do auta, zapakować bagaże i dojechać do domu. Razem z Lusią pownosiłyśmy wszystkie pakunki do środka. Kiedy już zamknęłyśmy za sobą drzwi, ciocia zawołała z kuchni, że czas na „arbatę” i szukała kawałka ciacha w lodówce. Ciasta jednak nie było. Na szczęście kupiłyśmy z Lusią trochę słodkości, więc do „arbaty” było jak znalazł.

– Wiem, wiem, nie miałaś głowy do wypieków – stwierdziła ciocia Zosia, kiedy już zasiadłyśmy wszystkie do stołu. – Żałuję, że nie poszłam z wami na pogrzeb. Co prawda nie znałam tej dziewczynki, ale na pewno bym wam towarzyszyła. Jednak sama rozumiesz... Gdy umiera dziecko, to trzeba z pielgrzymką do Najwyższego pojechać i trochę Mu nawtykać, nie?

– Nawtykać? – Lusie nie wiedziała, czy parsknąć śmiechem, czy zmartwić się o ciocię.

– Tak, bo takich numerów to się nie robi. Tylu staruszków po świecie chodzi, a Jemu przyszło do głowy dzieci do siebie zabierać. Aniołków Mu się zachciało... – Słuchałam wywodów cioci i zaczynałam się trochę o nią martwić, bo to, co mówiła, tylko o krok dzieliło ją od pomieszenia zmysłów.

– Ciociu, sama wiesz, że to tak nie działa.

– No właśnie! Nie działa, a działać powinno. I ja musiałam na tę pielgrzymkę pojechać i tam poważnie się rozmówić.

– A tu nie mogłaś?

– Nie. Takie sprawy załatwiam tylko tam. Musi być uroczyście.

– Aha – szepnęłam z rozpaczą.

– I co? – Luśka uśmiechała się już od ucha do ucha, jakby czuła, że ciocia nas wkręca. – Nawtykałaś Mu?

– Jasne. I załatwiłam, że szpik dla tej drugiej dziewczyny się znajdzie – odparła zadowolona i włożyła do ust całe ciastko.

– O rany – jęknęłam tak, by jednak ciocia nie słyszała. Nie miałam już wątpliwości, że staruszka podczas wyjazdu doznała pomieszenia zmysłów.

– Nie stękaj pod nosem – wypaliła od razu w moim kierunku. – Jak mówię, że załatwiłam, to załatwiłam. Trzeba będzie tylko pomóc Panu Bogu i wszystko tutaj zorganizować. Jakies akcje, koncerty czy coś. Już ty wiesz najlepiej, jak to zrobić, a On obiecał, że dawca się znajdzie. – Zakończyła zadowolona. Sięgnęła po następne ciasteczko i popiła je herbatą.

– Ciociu, a jak On ci to powiedział? – spytała Lusia, patrząc na nią tak wielkimi oczyma, jakby miała przed sobą kosmitkę.

– Normalnie.

– No, ale jak? – dopytywała.

– Normalnie, mówię. W mojej głowie.

– Jak w głowie?

– Normalnie, jakby do mnie szeptał. Powiedział, że jak my się tu postaramy, na ziemi, to On postara się u góry i dawca będzie.

– Aha – powiedziałam głupawo. – I już?

– Już. Zagroziłam mu oczywiście, że moja noga na pielgrzymce żadnej nie postanie, jeśli nie dotrzyma słowa.

– Aha. – To jedyne, co mogło się wyrwać z mojej paszczy.

– O rany – zapiszczała Luśka. – Ty, ciociu, to jesteś świetna babka!

– Tylko nie babka, jo?

– Jo. – Zaśmiała się Lusia. Miałam wrażenie, że one doskonale się rozumieją. Nadają chyba na tych samych falach, tylko ja jakoś nie mogłam nadażyć.

– Tak więc to mamy załatwione. Wiedziałam, że ta moja misja jest konieczna – dodała. – A co na obiad robimy?

– Dzisiaj, ciociu, na szybko, co? – W końcu mogłam zabrać głos i orientowałam się w temacie.

– Jasne. Mam ochotę na jajko sadzone. A wy?

– Może być. Kupiliśmy tę małą mrożoną marchewkę, więc zrobimy ją z miodem i chili.

– Wyśmienicie – odparła zadowolona, wygodniej rozsiadając się na krześle.

– Ciociu, a co jest w tym dużym pudle, które targałam z autobusu? – spytałam, bo dałabym sobie głowę uciąć, że w tamtą stronę nic takiego w podróż nie zabierała.

– A to jest specjalny prezent – powiedziała, wstając od stołu. Patrzyliśmy na nią

zdziwione. Białe pudło było dość niedbale oklejone taśmą. Nie było jednak na nim żadnych rysunków i napisów, więc trudno było określić, co może znajdować się w środku. Ciocia podeszła do niego i machnęła na moją córkę, by ta pomogła jej postawić ów skarb na stole. Luscia skoczyła jak poparzona. Przyznaję, że ja też z zainteresowaniem przypatrywałam się ich działaniom.

– Rozpakować? – spytała podniecona.

– Tak. – Ciocia wróciła na krzesło i chwyciła ciasteczko. Zajadała ze smakiem, obserwując zmagania Luśki z taśmą klejącą.

– A co to jest? – dopytywałam.

– Zobaczysz. Niech dziecko spokojnie rozpakuje.

Dopiłam więc herbatę, zjadłam dla towarzystwa ciastko, kiedy w końcu Lusi udało się dotrzeć do wnętrza kartonu. Zajrzała tam pierwsza i od razu skierowała zdziwiony wzrok na ciocię.

– Garnki?

– Jak to garnki? – wymamrotałam i prawie zanurkowałam we wnętrzu pudła. Faktycznie, były tam garnki. Od razu po przykrywkach rozpoznałam znaną markę i aż skóra mi ścierpła. – Ciociu... – szepnęłam. – Coś ty zrobiła? – Oczyma wyobraźni widziałam kosmiczny kredyt, który wzięła. Doskonale wiedziałam, ile kosztują, bo kiedyś byłam na pokazie. Takie firmy specjalizowały się w naciąganiu starszych osób.

– Garnki? – powtórzyła Luscia.

– Ciociu, czy ta pielgrzymka połączona była z promocją towarów?!

– Tak, zawsze tak jeżdżę, bo jest tanio. I jeszcze poczęstunek jakiś dadzą. Dla zainteresowanych są upominki. Zobacz, każdy uczestnik wycieczki dostał taki czajniczek. – Ciocia zbliżyła się do kartonu. Wystawiła największy gar na blat, a po chwili obok niego umieściła półlitrowy czajnik w tym samym kolorze.

– To jakim cudem oprócz czajniczka masz też cały zestaw?

– I nie tylko! – krzyknęła z dumą. – Mam jeszcze dziesięć różańców!

– Dziesięć? – pisnęłam. – Po co ci dziesięć?

– To nie są zwykłe różańce, bo każdy jest poświęcony przez papieża – odparła i po chwili wykladała na stół malutkie pudełeczka. Jedno z nich otworzyła, by pokazać mi jego zawartość. Najwidoczniej była z siebie bardzo zadowolona.

– Ciociu, ty to wszystko kupiłaś? – spytała przytomnie Luscia.

– Nie, no coś ty, dziecko, aż taka głupia to ja nie jestem.

– To skąd to? Takie gary to ze trzy tysiące kosztują.

– Trzy tysiące osiemset!

Luscia wystawiła wszystkie garnki. Opróżniła pudło, a następnie zestawiała je ze stołu i ładnie poskładała, by można było je wepchnąć do kosza z surowcami. Przez chwilę razem z ciocią obserwowałyśmy jej dokładne ruchy.

– Ciociu, skąd masz te garnki? – Patrzyłam na nią w oczekiwaniu na jakieś sensowne wytłumaczenie.

– Dostałam.

– Ciociu, nikt nikomu nie daje takich garnków za darmo. Na pewno coś podpisałaś i teraz będziesz musiała płacić raty. To są oszuści, naciągacze. Specjalnie organizują niedrogie wycieczki, bo potem im się to zwraca w postaci sprzedanych towarów. A one nie są warte tych pieniędzy – tłumaczyłam, ale ciocia nagle podniosła dłoń, dając mi znak, że ona teraz ma zamiar zabrać głos.

– Jak mówię, że dostałam, to dostałam. Wiesz, Joasiu, ja nawet o nie nie prosiłam, ale jak

zaczął się ten pokaz, to zaczęłam zadawać pytania. Przyznaję, dużo pytań. I jeszcze mi się przypomniało, jak moja znajoma z kółka różańcowego mówiła, że jej synowa takie garnki kupiła i że zaraz te uchwyty od pokrywek poodpadały. Ucho się w jednym oderwało, a patelnia to psa warta. To ten prowadzący najpierw taki czerwony jak burak się zrobił. Próbował mnie zagadać, ale wiadomo, nie ze mną te numery i ludzie zaczęli krzyczeć na niego, by odpowiadał na pytania. To wtedy on zarządził postój, spalił chyba całą paczkę papierosów, taki był zdenerwowany. A jak wsiedliśmy znowu, to ogłoszono konkurs i że komplet garnków wygra ktoś, kogo numer siedzenia zostanie wylosowany. Dziwnym trafem mnie wylosowano. To już potem się nie odzywałam, bo mi głupio było. A garnki wzięłam, nie? Toż darowanemu koniowi się w zęby nie zagląda.

– A różańce skąd masz?

– Też od tego faceta. Sprzedawali te różańce po sto złotych, bo poświęcone przez papieża podobno.

– Ciociu, one nawet koło papieża nie leżały...

– Oj tam, oj tam. Zobacz. Tutaj jest napisane nawet, kiedy papież je poświęcił. – Odwróciła denko pudełeczka skrywającego we wnętrzu jeden z różańców, a tam faktycznie była data i podpis, że niby Benedykt XVI to poświęcił. Być może ostatnia rzecz, którą zrobił jako papież, to święcenie różańców dla polskich pielgrzymów, ironizowałam w myślach, bo wydawało mi się to niedorzeczne.

– I wydałaś na to tysiąc złotych? – spytała Lusia.

– No coś ty, dziecko. Myślisz, że ja z choinki się urwałam i dam się robić w bambuko?

– Też wygrałaś?

– Nie. Jak ten facet zaczął mówić o ich mocy uzdrawiającej, to ja mu wtedy opowiedziałam o Kindze, o dzieciach w hospicjum, że nie ma szpiku, że jadę z misją. A on wcześniej mówił o tym, jak to nie dla zarobku, ale czynienia dobra sprzedaje te różańce, więc ja mu na to, że jak taki dobry, to niech pomoże. Ludzie zaczęli bić brawo. Ktoś krzyknął, że jak nie da na hospicjum przynajmniej pięciu, to nikt nic nie kupi. Nie miał więc wyjścia. Wtedy ludzie zaczęli krzyczeć, że więcej, więcej i facet znów czerwony jak burak dał dziesięć. Ja ci mówię, Joasiu, on miał coś z krążeniem, bo jak tylko ktoś się odzywał, to on zaraz taki prawie bordowy się robił. W powrotnej drodze już z nami nie jechał. Nic nam nie prezentowano, a zgodnie z ulotką mieli pokazywać wtedy jakieś kołdry zdrowotne. Ale nie było żadnej prezentacji.

Parsknęłam śmiechem. Lusia za mną. Przez długą chwilę żadna z nas nie mogła się uspokoić. Co spojrzaliśmy na ciocine gadzety, to głupawka nas dopadała i nie sposób było zachować powagę.

– Z czego się tak śmiejecie? – dopytywała ciocia, ale też uśmiechała się do nas pełną buzią. – Dasz jutro dziewczynom po różańcu?

– Ciociu, ja nawet nie wiem, czy one są wierzące – odparłam, ocierając oczy, bo z tej głupawki aż łzy mi poleciały.

– Wierzące, niewierzące. Jak człowiek chory, to zawsze wierzący. A jakby nawet nie, to dasz im to jako taki talizman. Resztę damy Piotrowi, to będzie na aukcję. Toż jak to sam papież poświęcił, to ludziska chętnie kupią i będzie na fundację. Przynajmniej coś dobrego z tego wyniknie.

– Ciociu, jesteś niesamowita. – Od razu podeszłam do niej, by ją uściskać.

– Eee tam. Powiedziałam, że to misja była. Resztę razem z Piotrem zorganizujecie.

– Jasne, że zorganizujemy. – Ucałowałam ją w policzek.

– A teraz może weźmy się za ten obiad, co? Za chwilę zjem wszystkie ciastka, a mówiłam ci, że trzeba myśleć o barkach tych, którzy kiedyś moją trumnę poniosą. – Zaśmiała się.

– Wypróbujemy te cudne gary – powiedziała Lusia. Zaczęła przeglądać ich opis dołączony do zestawu.

– A ja proponuję, by zostawić tylko jeden gar, ot tak dla eksperymentu, aby przekonać się, czy faktycznie są dobre, a resztę oddać na licytację – powiedziałam, spoglądając od razu na twarz cioci, by zobaczyć jej reakcję.

– Brawo! – Klasnęła w dłonie. – Mnie takie ustrojstwo na nic, a dzieciakom pieniądze się przydadzą. Sama mówiłaś, że te gary drogie.

– Też jestem za, gdyby kto pytał o moje zdanie – wtrąciła Lusia.

– No! I tak trzymać. To ja teraz obiorę ziemniaki. – Zgłosiłam się na ochotnika i od razu zabrałam się do pracy. Luśka tymczasem głośno mnie informowała o niezwykłych możliwościach garów kosztujących fortunę.

– Na chwilę się położę. Dacie sobie radę? Gnaty boją, muszę trochę poleżeć.

– Jasne, ciociu.

Zosia ciężko wstała z krzesła i poczłapała najpierw do łazienki, a potem od razu do swojego pokoju. Po chwili usłyszałyśmy ciche dźwięki radia dochodzące zza zamkniętych drzwi.

– Ciocia jest zaje...

– Luśka!

– Czaderska, nie?

– Noo, normalnie powinno się ją posyłać wszędzie tam, gdzie diabła nie można.

– Zdecydowanie.

– Tam, gdzie diabeł nie może, Zofię pošlij. – Rechotała na całego. W końcu musiałam ją uciszyć, bo może ciocia chciała się zdrzemnąć do obiadu, a my strasznie hałasowałyśmy. Dobrze, że wróciła, bo od razu w domu weselej się zrobiło i myśli nie krążyły wokół wczorajszego dnia.

Ostatni ziemniak trafił do garnka z wodą. Jednak po chwili zgodnie z instrukcją ją odlałam, zostawiłam niewielką ilość na dnie, bo jakoś nie chciało mi się wierzyć, że można tak zupełnie na sucho to robić. Następnie włączyłam kuchenkę. Garnek przykryłam elegancką pokrywką z termometrem. I teraz tylko czekać, aż wszystko dojdzie i będzie gotowe do jedzenia. W tym czasie ugotowałam marchewkę. Roztopiłam masło z miodem, do tego dodałam odrobinę chili, szczyptę soli i gotowe. Kiedy ziemniaki dochodziły, usmażyłam jajka i Lusia mogła wołać ciocię na obiad.

Zajadałyśmy ze smakiem, choć ziemniaki raczej nas nie zachwyciły. Stwierdziłyśmy zgodnie, że jednak będziemy gotować je jak zawsze: z wodą i solą, bo tak smakują najlepiej. Może nasze podniebienia nie są gotowe na przyjęcie tak wysublimowanych smaków?

– Ale marchewka pycha – szepnęła ciocia. – Podjadłam. Teraz pójde się zdrzemnąć, bo przed obiadem jednak nie przysnęłam, a z pełnym brzuchem śpi się doskonale.

– A ja pobiegnę do hospicjum, bo obiecałam dziewczynkom, że dziś będę.

– Nie zapomnij wziąć różańców. Powiedz, że to od ciotki Zośki.

– Wezmę, nie zapomnę. – Włożyłam różańce do torebki. Ucałowałam ciocię w czoło i powstawałam brudne naczynia do zmywarki. – A potem jeszcze chyba wpadnę do Artura, więc w razie czego nie czekajcie na mnie z kolacją.

– Dobra, dobra. – Uśmiechnęła się Lusia. – A ze śniadaniem też nie czekać?

– Luśka, co ty gadasz? – zgromiłam ją, bo głupio mi się zrobiło. Spotykaliśmy się z Arturem od kilku miesięcy, ale jeszcze etap „śniadaniowy” mieliśmy przed sobą. Nie chciałam się spieszyć, a on, podejrzewam, nie chciał mnie spłoszyć. Kilka lat żyłam jak mniszka, więc teraz strach mnie oblatywał na samą myśl o seksie. Artur to chyba czuł, bo nie starał się niczego przyspieszać. A ja w dodatku nie miałam stuprocentowej pewności, że on to On. Chciałam się upewnić. Ponadto przecież kiedyś będę musiała stąd wyjechać, bo raczej wątpię, że ktoś mnie

tutaj przyjmie do szkoły, a ja poza uczeniem nie umiałam chyba nic.

Myśląc o seksie, przypominałam sobie niestety wykrzywioną w ironicznym uśmiechu twarz byłego męża, który zapewniał, że wszyscy faceci zdradzają. Znowu czułam upokorzenie i falę złości zaciskające pięści na wnętrznościach i targające nimi jak dawniej. „Ją požądam, ciebie Kocham” – te słowa wyryły się na zawsze w pamięci, sprawiły, że coś we mnie pękło. Zaufanie, wiara w człowieka, poczucie bezpieczeństwa rozsypały się niczym paciorki koralu. Jednym ruchem zerwał to, co udało się nanizac latami. Teraz bałam się i nie potrafiłam przełamać, choć sama siebie przekonywałam, że czas na zmiany. Próbowałam ubierać argumenty w miłość, szaleństwo i chęć korzystania z życia, ale ciągle nie przynosiło to odpowiednich rezultatów.

- Oj, mam, żartuję. Nie spinaj się tak.
- Nie spinam. Lecę. Będę wieczorem.
- Baw się dobrze i nie rób niczego głupiego.
- Tak jest.

Zamknęłam drzwi na klucz. Wrzuciłam go do swojego torbiszczka i poszłam w kierunku hospicjum. Nie spieszyło mi się. W głowie układałam słowa, którymi miałam zasypać dziewczynki na powitanie. Nie chciałam dopuścić do niezręcznej ciszy, bo w ciszy słyszałabym głos Kingi odbijający się echem od szpitalnych korytarzy. Wyobrażałam sobie grobowe miny dziewczynek. Nastrój pewnie był tam przerażający. Pewnie bardziej niż zwykle. Kinga była przecież ich koleżanką. Co prawda znały się zaledwie kilka miesięcy, ale choroba zbliża bardziej niż cokolwiek innego. Miała w sobie tyle życia! Jej zielone oczy i rude loki wbiły mi się w pamięć zbyt mocno.

Doszłam do drzwi hospicjum. Przed wejściem nie było nikogo. Parking oczywiście był zapchany samochodami. Niedaleko gdzieś spieszyli ludzie. Nikt z nich nie spoglądał w kierunku hospicjum. Stałam tak przez chwilę, wpatrując się w ten ruch. Po chwili dopiero przeniosłam wzrok na klamkę. Położyłam na niej dłoń. Jej chłód przeniknął moją rękę i przywrócił mnie rzeczywistości. Zrobiłam kilka głębszych wdechów, przetrenowałam parę uśmiechów i w końcu nacisnęłam. Pchnęłam ciężkie drzwi przed siebie i przekroczyłam próg. Spojrzałam wzdłuż korytarza. Ktoś mignął mi w jego końcu, ale po chwili zniknął za drzwiami. Powoli zaczęłam przemierzać korytarz. Skradałam się niczym złodziej, chcąc jak najbardziej odwlec moment spotkania z dziewczynkami.

– Dzień dobry. – Usłyszałam za sobą i aż podskoczyłam z wrażenia. Nie spodziewałam się nikogo. Delikatna dłoń spoczęła na moim ramieniu. Obejrzałam się za siebie.

– O, dzień dobry – szepnęłam. Sama nie wiem, dlaczego odezwałam się ściszym głosem. Może nie chciałam, by dziewczynki słyszały, że już jestem? Pani Ada uśmiechnęła się do mnie, jednak w jej oczach nie było blasku ani radości. – Nie spodziewałam się, że ktoś tu jest.

– Przestraszyłam panią. Przepraszam – odparła. Podała mi dłoń na powitanie. – Idzie pani do dziewczynek?

– Tak, ale... mam stracha. – Ciągle szeptałam.

– Domyślam się. Nie będzie łatwo. Podłamała je śmierć Kingi – powiedziała i na chwilę się zamyśliła. – Wie pani, my tutaj niby powinniśmy być na taki obrót sprawy przygotowani, ale nigdy nie jesteśmy. To zawsze jest szok i towarzyszą temu duże emocje.

– Chyba do takich rzeczy człowiek nie jest w stanie się przyzwyczaić.

– Nie będę pani zatrzymywać. Proszę do nich iść i jakoś podtrzymać je na duchu.

Pożegnała się, a następnie wyminęła mnie i zniknęła w głębi korytarza. A ja znowu zrobiłam parę kroków, by w końcu znaleźć się przed drzwiami pokoju dziewczyn. Znowu nalykałam się powietrza, żeby było łatwiej. Policzyłam do trzech i nacisnęłam klamkę.

– Cześć, dziewczyny – powiedziałam dziarsko od progu. Uderzyła mnie jednak ściana

ciszy. Nikt nie odpowiedział na moje powitanie. Każda z nich odwrócona była tyłem do wejścia. Leżały skulone na łózkach. Jakby się umówiły, że w tej chwili wszystkie przyjmują pozycję embrionalną. Nie drgnęły. – Hej – powtórzyłam i zbliżyłam się do Mrówki. Pogłaskałam ją po plecach. Dopiero wtedy się odwróciła. Spojrzała na mnie podkrążonymi oczyma.

– Hej – odpowiedziała cichym głosem. Na pozostałych łózkach coś drgnęło. Pati usiadła, patrząc w moją stronę. Tylko Szpilka leżała cały czas w jednej pozycji. Poruszyła nogą, ale się nie odwróciła.

Podeszłam do Pati, pogłaskałam ją po głowie.

– Jak tam?

– Okej – odpowiedziała. – Jak w grobie – dodała po chwili.

– Ej, dziewczyno, tak być nie może, nie? Jakie „w grobie”?

Podeszłam do Szpilki. Usiadłam na krawędzi jej łóżka, choć pielęgniarki bardzo za to goniły.

– A jak u ciebie? – Zaczęłam głaskać ją po plecach. Nawet przez kołdrę czułam jej kościste ciało. Wzruszyła ramieniem. – No jak tam, kochanie? Dobrze się czujesz?

I znów ruch ramieniem, żadnego głosu.

– Szpilka mówi, że teraz jej kolej – powiedziała Pati.

– To wy do kibelka macie kolejkę? – Próbowałam obrócić to w żart. Mrówka zachichotała, Pati się nawet uśmiechnęła, jednak Szpilka ani drgnęła.

– Nie żartuj – powiedziała w końcu. Jej głos był stłumiony przez kołdrę, którą zakrywała sobie twarz.

– Nie żartuję. Macie tu jakąś kolejkę?

– Tak – odpowiedziała i gwałtownie się do mnie odwróciła. – Do trumny. – Spojrzała hardo w moje oczy. Wytrzymałam jednak to spojrzenie, choć w brzuchu mnie tak ścisnęło, jakby ktoś zasunął mi kopniaka.

– To ja jestem i tak przed wami – odparłam, siląc się na beztroski ton, choć przychodziło mi to z wielkim trudem. – Stara przecież jestem. A starszym należy się pierwszeństwo, nie?

– Oj tam, oj tam, nie taka stara. – Mrówka się zaśmiała. Czułam, że temperatura w pokoju robi się cieplejsza, lód trochę stopniał, lecz musiałam uważać na każdy gest i każde słowo.

– No, trochę jednak stara, ale powiem wam w sekrecie, że się tam za szybko nie wybieram.

– Bo jesteś zdrowa! – krzyknęła Szpilka.

– Kochanie. – Przytuliłam ją, choć początkowo wydawało mi się, że będzie stawiała opór. – Człowiek może być zdrowy, a w drewnianym kościele ceglówka mu na głowę spadnie i go ukatrupi. Nie ma reguły. Na każdego przyjdzie czas. – Tuliłam ją w ramionach i czułam, jak jej łzy wsiąkają w moją bluzkę. – A ja obiecuję, że zrobię wszystko, ale to wszystko, żeby znaleźć dla ciebie dawcę. Spójrz na mnie – powiedziałam, odsuwając ją trochę od siebie. – Czy ja cię kiedyś okłamałam?

– Nie – odpowiedziała bez namysłu.

Pati i Mrówka uważnie się nam przyglądały.

– Właśnie – odparłam. – Dlatego obiecuję ci, że zrobię wszystko, co w mojej mocy. Rozumiesz? Nie pozwolę ci odejść. Po moim trupie! – Uśmiechnęłam się do niej. W końcu kąciaki ust lekko jej drgnęły. Może nie przypominało to uśmiechu, ale było już pierwszym krokiem do tego, by mógł się pojawić na jej ustach.

– Obiecujesz?

– Obiecuję.

– I wyzdrowieję?

- Tego nie wiem, ale ja się postaram. Tylko jest pewne „ale”.
- Wiedziałam, że będzie „ale” – odparła i położyła głowę na poduszkę.
- Ale... – zaczęłam – musisz obiecać, że też zrobisz wszystko, by wyzdrowieć, że nie będziesz płakać, że będziesz ładnie jeść i że napiszesz piękne wiersze.
- Obiecuję. – W końcu uśmiechnęła się do mnie. – Nawet zadedykuję ci jeden, jeżeli uda mi się go kiedyś napisać.
- Dobrze – rzuciłam. – Dziewczyny są świadkami.
- A dla nas też napiszesz? – spytała Pati.
- Jasne – odpowiedziała Szpilka. – Jeśli w końcu mi się uda napisać choć jeden.

Dziewczynki dopytywały jeszcze, jaki mam pomysł zdobycia szpiku dla Szpilki, ale ponieważ sama jeszcze dokładnie planu nie miałam, powiedziałam im, że to tajemnica. Musiałam przecież wszystko omówić z Piotrem i dopiero wtedy będę mogła im powiedzieć o szczegółach. Do tego czasu na pewno coś konkretnego zrodzi się w mojej mózgowicy. Wiedziałam jednak jedno: nie odpuszczę i choćbym miała wyszarpać ten szpik komuś z bebeczków czy kości, to go zdobędę.

– O, zapomniałabym – przypomniałam sobie tuż przed wyjściem. – Mam przecież dla was prezent od mojej cioci Zosi. – Opowiedziałam im pokrótce o misji. Dziewczynki zaśmiały się i zainteresowały tym, co dla nich przyniosłam.

– A co to?

– Ciocia przywiozła wam różańce poświęcone przez papieża... – zawahałam się. – Nie wiem, czy jesteście wierzące, więc potraktujcie je po prostu jako dobry znak. W końcu przecież ciocia w waszym imieniu prowadziła te negocjacje. – Wyjęłam z torebki trzy pudełeczka i podałam dziewczynkom. Ucieszył je bardzo ten prezent, a najbardziej chyba to, że moja ciocia pojechała kilkaset kilometrów, żeby pomodlić się właśnie za nie.

– Super! – powiedziała Mrówka, otwierając pudełko. – Pochwalę się księdzu, gdy do nas przyjdzie.

– Cieszę się, że wam się podoba. Musicie wiedzieć, że wszyscy, którzy was znają, zrobią naprawdę to, co w ich mocy, żeby wam pomóc. Pamiętajcie o tym, dobrze?

– Okej. Ja będę.

– Aha, i jeszcze zostawię wam nową bajkę. – Podałam Mrówce maszynopis. Od jakiegoś czasu pisałam dla dziewczynek historie, które miały wprowadzić je w lepszy nastrój, a przy okazji książki wydawano na potrzeby fundacji. – Pojutrze przyjdę, by zapytać o wrażenia. Zdażycie przeczytać?

– Jasne że tak – odpowiedziały prawie jednocześnie.

Kiedy wychodziłam z ich pokoju, były już w lepszym nastroju. Natomiast ja miałam wrażenie, jakby ktoś przeorał mną pole. Pod pachami czułam mokre plamy. Dobrze, że mój sweter przynajmniej tego nie prezentował na zewnątrz. Spociłam się jak mysz. Niezwykłe uczucie, kiedy trzeba robić dobrą minę do złej gry i udawać, że wszystko się ogarnia.

Zamknęłam za sobą drzwi hospicjum. Oparłam się o nie i przez chwilę wdychałam chłodne powietrze. Zamknęłam oczy, wyrównałam oddech.

– Dzień dobry. – Usłyszałam nagle przed sobą.

– Dzień dobry – odpowiedziałam i natychmiast spojrzałam w kierunku źródła głosu. Zobaczyłam oczy Szpilki, tylko umiejscowione w twarzy jej mamy.

– Przepraszam – powiedziała, chwytając za klamkę. Odsunęłam się, by ją przepuścić. W pierwszej chwili chciałam zagadać, ale chyba dziś to nie był najlepszy czas. Nie miałam już siły na poważne rozmowy i zapewnianie, że dam radę tak wszystko zorganizować, by pomóc Szpilce.

Jej mama pchnęła drzwi i od razu za nimi zniknęła. Czas było opuścić teren hospicjum.

Spojrzałam na zegarek. Wskazówka sekundnika nerwowo przeskakiwała, pozostałe w stanie spoczynku oczekiwały na odpowiedni moment, by zmienić pozycję. Zapatrzyłam się w tarczę zegarka. Może mnie na chwilę zahipnotyzowało miarowym ruchem? Wreszcie jednak odczytałam godzinę. Nie było późno, więc wybrałam numer Doktorka. Zgłosił się prawie natychmiast.

– Gdzie jesteś? – spytał od razu. Kiedy mu odpowiedziałam, stwierdził, że po mnie przyjedzie. Ja jednak miałam ochotę się przejść, by przewietrzyć głowę. Za dużo tego dzisiaj. Do Artura nie miałam aż tak daleko, żebym nie mogła tej odległości pokonać spacerem. Mieszkał w okolicy szpitala w domku jednorodzinny. Szybko ruszyłam w odpowiednim kierunku. Nie patrzyłam w oczy przechodniom, nie spoglądałam na mijane domy, w głowie układałam plan działania. Szare komórki pracowały jak opętane. Ogłosiły chyba stan gotowości bojowej, bo przez moją rozczochraną łepetynę przewijały się takie obrazy, że nawet dwa razy uśmiechnęłam się do swoich myśli. O mało też nie przyznałam, że jestem geniuszem. Poprawił mi się trochę humor, bo światelko w tunelu robiło się coraz jaśniejsze i byłam przekonana, że uda się znaleźć dawcę dla Szpilki. Pieniądze to mniejszy problem, bo je zawsze można zorganizować. Jest przecież fundacja, są pomysły na zbiórki, a na świecie wciąż jest tylu ludzi dobrej woli, że z tym damy radę.

Kiedy postawiłam już kropkę na końcu swojego genialnego planu, z oddali zauważyłam dach domu Artura. Drzewa rosnące w jego ogródku nie miały jeszcze liści, więc schodząc z lekkiego wzniesienia, widziałam odsłonięty gzyms.

Zbliżyłam się do bramki. Nacisnęłam dzwonek, a po chwili drzwi się otworzyły i wybiegł z nich Artur. Wystrzelił do furki niczym pocisk, czym mocno mnie zdziwił, bo przecież miał w domu domofon i bramkę mógł otworzyć, przyciskając odpowiedni guzik.

– No! Nareszcie jesteś! – powiedział głośno i chwycił mnie w ramiona.

– O rany – odparłam z trudem, bo moją głowę tak mocno przycisnął do siebie, że ledwo cokolwiek mogłam z siebie wydusić. – Też się cieszę, że cię widzę – dodałam, kiedy mnie w końcu uwolnił z uścisku. – Stało się coś?

– Nie. Dlaczego miałyby się coś stać?

– Bo tak się na mnie rzuciłeś...

– Stęskniłem się – odparł i zamknął za mną drzwi. – Daj kurtkę.

Zdjęłam okrycie i podałam mu, by mógł zawiesić moją lekko sfatygowaną kurtkę na wieszaku.

– Po prostu martwię się o ciebie. Widziałem, jak przeżywałaś pogrzeb. Zresztą związałaś się z tymi dziewczynkami.

– Tak, ale może nie mówmy dziś o tym. Jestem wykończona.

– Jasne – powiedział i złapał moją dłoń. – Chodź, siadaj wygodnie. Zrobiłem kolację.

– Kurczę, jeszcze się przyzwyczaję – szepnęłam i poczułam jego ciepłe usta na swoim policzku.

– O to właśnie chodzi.

Usiadłam na krześle, do którego mnie odprowadził. Na stole stała butelka wina, dwie lampki i talerze. Z kuchni dolatywał bardzo przyjemny zapach, który sympatycznie łechtał nos. Próbowałam zidentyfikować potrawę, wciągając unoszącą się woń. Wyczuwałam pomidory, ale nie miałam pewności, czy zmysł powonienia mnie nie zawodzi.

Nalałam wino. Było już otwarte, więc czekało tylko na napełnienie kieliszków. Czerwona ciecz powoli spływała z szyjki butelki. A w kuchni uderzenia garnków świadczyły o tym, że kolacja za chwilę wjedzie na stół.

– Pewnie jesteś głodna! – zawołał, próbując się przebić przez odgłosy garów.

– Troszkę. Ale pachnie bardzo smakowicie!

– Zaraz podaję!

I znów stukanie garów, jakby nagle zintensyfikowane. Pewnie przyspieszył ruchy. Nagle rozległ się straszliwy brzęk. Zaśmiałam się w duchu na tę intensywną akustykę towarzyszącą przygotowaniu posiłku.

– To pokrywka!

– Spoko – rzuciłam i zamoczyłam usta w winie. Jego czerwień wyglądała tak zachęcająco, że nie mogłam się oprzeć. Młasnęłam, by dokładnie poczuć jego smak na języku. Pycha. Naprawdę dobre. Spojrzałam na etykietkę na butelce, ale nic mi nie mówiła. Na pewno było francuskie, nic więcej nie wyczytałam. Nie należałam do znawców win. Musiało być po prostu smaczne, czyli bez kwaskowatego posmaku, dokładnie jak to. Było łagodne i przyjemnie rozlało się po żołądku.

– Już jestem – powiedział Artur, wyrastając przede mną z naczyniem żaroodpornym w dłoniach opatulonych grubymi kuchennymi rękawicami. Na stole stała metalowa podstawka. Dopiero teraz ją zauważyłam. Artur postawił na niej gorące naczynie. Wrócił do kuchni, by po chwili pojawić się z wielką salaterką kolorowej sałatki i z sosjerką. Postawił je na stole i wreszcie usiadł naprzeciwko mnie.

– Proszę, częstuj się. Tylko uważaj, bo naczynie jest bardzo gorące.

– Co to? Bo pachnie wyśmienicie.

– Zapiekanka – odparł. Wyczułam dumę w jego głosie. – To moja specjalność. Podobno jestem wirtuozem zapiekanek. A tu jest sos. Z tym sosem smakuje genialnie.

– Kto ci nadał ten tytuł? – spytałam podejrzliwie i uśmiechnęłam się, bo w mojej wyobraźni pojawił się cały tabun kobiet, którym Artur serwował popisowe danie.

– Moja żona – odpowiedział.

– Ups, nie chciałam... – Poczułam bolesne ukłucie.

– Spokojnie, ja już swoją żonę dawno temu pożegnałem. Ten rozdział jest zamknięty. Kochałem ją bardzo, ale niestety los zdecydował za nas.

– Przykro mi – stwierdziłam, choć nie było to szczere. Przecież gdyby żyła, być może nie siedzielibyśmy przy tym stole we dwoje.

– Nakładaj sobie i proszę, wydaj werdykt.

Wstałam, by móc wygodniej operować sztućcami nad parującym naczyniem. Staralam się go nie dotknąć dłonią, by się nie poparzyć. Nałożyłam dwie porcje tego zapiekankowego cuda. Oczywiście były tam pomidory. Zauważyłam też oliwki. Ich ciemny kolor mocno wyróżniał się na tle jasnej potrawy.

– Proszę, weź jeszcze sałatkę. – Podał mi salaterkę. Zgarnęłam na talerz mnóstwo zielonych pyszności.

– Wygląda super.

– Spróbuj i powiedz, czy ci smakuje.

Nabrałam trochę zapiekanki na widelec. Przez chwilę potrzymałam ją blisko ust, żeby się nie oparzyć. Podmuchałam i skosztowałam. Wrażenie było niezwykłe. Pychota. Naprawdę smaczne. Nigdy wcześniej nie jadłam czegoś takiego. Nawet trudno mi było w pierwszej chwili zidentyfikować wszystkie składniki tego cuda. Nabrałam więc kolejną porcję, polewając ją sosem.

– Nooo. Przyznaję, w pełni zasłużyłeś na miano wirtuoza. To jest pyszne.

– Cieszę się. Wznieśmy toast. Za nas. – Podniósł lampkę wina i skierował ją w moją stronę. Ciszę w pokoju zakłócił cichy brzęk szkła.

– Poczekaj – powiedział nagle i wstał z krzesła, odstawiając wino. – Włączę muzykę.

Nie czekał na moją odpowiedź. Po prostu szybkim krokiem podszedł do odtwarzacza i nacisnął przycisk. Miał już przygotowaną płytę. W pokoju rozbrzmiały przyjemne dźwięki. Nie próbowałam jednak odgadywać kto to i co to, bo zdawałam sobie sprawę z tego, że raczej śmiało można by mnie nazwać muzyczną analfaberką.

Artur wrócił na miejsce. Chwycił lampkę i upił łyk wina.

– Opowiesz, jak było u dziewczynek? – spytał. – Czy może jednak nie chcesz o tym mówić?

– Nie, no jasne, że opowiem. Potrzebuję twojej rady, bo mam kilka pomysłów.

Pokrótkce przedstawiłam mu rozmowę z dziewczynkami i pomysł na zdobycie szpiku dla Szpilki. Artur prawie nic nie mówił, tylko uważnie słuchał. Potem mi wyjaśnił, na czym polega leczenie białaczki, jakie są jej rodzaje i ile kosztują leki. Przyznam, że cena leków mnie lekko zmroziła. Nie spodziewałam się, że są to aż tak wysokie kwoty.

– Dam radę – powiedziałam w końcu. – Przecież trzeba zrobić wszystko, by tej dziewczynce pomóc, nie?

– Jasne. Możesz na mnie liczyć.

Kiedy skończyliśmy jeść kolację, przesiedliśmy się na wygodniejszą od krzeseł kanapę. Artur przestawił na mały stolik butelkę, w której zostało jeszcze trochę wina. Usiadł bardzo blisko mnie. Już do jego bliskości się przyzwyczaiłam, więc nie odskakiwałam jak poparzona, kiedy kładł dłoń na moim kolanie. Delikatnie mnie głaskał, a ja czułam niebiańską rozkosz, jakby jakaś niezidentyfikowana słodycz rozlewała się po moim podniebieniu, a w brzuchu przyjemnie łaskotało. Mogłabym tak zostać na zawsze, nie myśleć o niczym złym, zapomnieć, że na świecie dzieją się straszne rzeczy. Mogłabym uwierzyć w to, że w życiu jest wyłącznie słodko, niebiańsko i beztrosko.

Artur nachylił się nade mną i pocałował mnie w usta, a potem patrzył przenikliwie prosto w moje oczy. Och, ten jego wzrok! Nogi miękły pod jego wpływem, jakby były z masła. Potem znów zbliżył usta do moich i delikatnie całował, jak gdyby pytał o zgodę na to, czy może więcej. Odwzajemniłam pocałunek, bo tak przyjemnie szumiało mi w głowie. Nie wiedziałam tylko, czy to on tak na mnie działa, czy to zasługa wina.

– Dolejesz mi jeszcze? – spytałam, odrywając się od niego. Trzeba było to przerwać w odpowiednim momencie. Jeszcze nie nadszedł czas.

Otrząsnęłam się z jego pocałunków i szybkim haustem wypiałam dwa łyki wina.

– Coś nie tak? – spytał, widząc moją reakcję. – Czasami mam wrażenie, że się boisz.

– Ja? Nie, nie boję się – skłamałam, bo ten pierwszy raz z Arturem lekko mnie przerażał. Niby Olga zapewniała, że to jak z jazdą na rowerze, ale skąd ona może wiedzieć? Przecież od kilkunastu lat ma jednego męża. A ja na żadne wpadki i wypadki nie miałam ochoty. Pozdzierane łokcie i kolana podczas jazdy rowerem to moja specjalność, więc teraz jeszcze trochę się wstrzymam. – Tylko wiesz, ostatnio się tyle wydarzyło, że chyba nie czas na takie rzeczy.

– Przepraszam, masz rację – odparł. Rozlał resztę wina z butelki do naszych kieliszków. Podszedł do barku i po chwili wrócił z kolejną.

– Nie otwieraj już następnego. Szkoda. Za chwilę muszę lecieć do domu.

– Na pewno?

– Tak.

– Wiesz, ja sobie tak bardzo ciebie wkręciłem w serducho, że najchętniej, to bym cię nie wypuścił. Nie mogę się oprzeć, by ciebie nie dotykać i nie mieć kosmatych myśli. – Delikatnie pogłaskał mnie po dłoni.

– Wiem – odparłam. – Czuję to, ale bardzo cię proszę, bądź cierpliwy.

– Będę czekał tyle, ile trzeba. – Podniósł moją dłoń i złożył na niej ciepły pocałunek.

– No, dobrze. – Cofnęłam rękę, bo niebezpieczny dreszcz przebiegł moje ciało. – Lecę. – Wstałam tak szybko, że zakręciło mi się w głowie i upadłabym na kanapę. Jednak refleks Artura zadziałał i Doktor ukronił mnie przed upadkiem.

– Zamówię taksówkę – zdecydował.

– Coś ty! Przecież to kilka przecznic stąd.

– Ale jest ciemno, tak? Nie ma mowy, żebyśmy wypuścił cię po ciemku.

– No dobrze. Poddaję się. Dzwoni.

Szybko wybrał odpowiedni numer. Spojrzałam na zegarek i lekko się przeraziłam, bo zbliżała się dwudziesta trzecia. Nie miałam pojęcia, że jest tak późno.

– Będzie za dziesięć minut.

Poszłam do przedpokoju. Zdjęłam z wieszaka swoją kurtkę, jednak Artur zaraz zabrał mi ją z dłoni i przytrzymał, żeby łatwiej mi było ją włożyć.

– Dziękuję. – Pocałowałam go w policzek. Wtedy on mocniej mnie chwycił i przytulił do siebie. Nie było jednak mowy o namiętym pocałunku. Przytrzymał mnie, pogładził po plecach, a w końcu pocałował w czoło i coś wyszeptał. Nie usłyszałam jednak, co. Ton jego głosu był tak ciepły, że musiało to być coś bardzo miłego. Zabrałam to wrażenie ze sobą na zewnątrz.

Nawet chłodny wiatr, który od razu po przekroczeniu progu owiał moją twarz, nie zabrał mi tej słodyczy. Taksówka stała już przed domem. Odprowadził mnie pod same drzwi. Otworzył je przede mną i kazał na siebie uważać. Normalnie oszalał chłop. Dwie ulice dalej był dom ciotki, a ten dla bezpieczeństwa zapakował mnie w samochód. W sumie mógłby mnie odprowadzić, a nie robić cyrk z taksówką. Ściągnęłam torbę z ramienia i niestety tak nią szarpnęłam, że zerwałam rączkę.

– Dobry wieczór – rzuciłam kierowcy. – Cholera – dopowiedziałam pod nosem, kiedy oglądałam zniszczoną torebkę. Artur zapukał jeszcze w szybę i pomachał. Podałam kierowcy nazwę ulicy i odjechaliśmy.

– To blisko – powiedział taksówkarz, zerkając na mnie w lusterku. – Coś się stało?

– Zerwałam ucho torebki – odparłam ze złością. – A nie była taka stara, żeby puściło.

– Jo, bo to pewnie chińskie barachło... – zaczął, a ja od razu rozpoznałam w nim kierowcę, który wiózł mnie ostatnio. Zaczynałam podejrzewać, że w Starogardzie jest jedna taksówka. Zaśmiałam się. – Polskie trzeba kupować – kontynuował w najlepsze. Nagle przerwał i przyjrzał mi się uważnie. Nawet próbował się odwrócić, by dokładniej mnie obejrzeć. – A to nie pani ostatnio bez butów jechała? No chyba tak, bo ten sam adres!

– Nie da się ukryć. Ja.

– A widzi pani, to jakiś pech chyba. Najpierw buty, teraz torba. Pewnie kamienie pani w niej nosi. Wie pani, ja kiedyś podniosłem z krzesła torebkę żony i mało mi przepukliny nie wywalilo. Toć to ważyło chyba tonę. Co te baby... o przepraszam, kobiety, tam noszą?

Zaśmiałam się. Moja torebka też mogłaby zdziwić niejednego faceta. Odparłam:

– Bo kobiety muszą być przygotowane na różne ewentualności.

– Jo, wy tam nosicie pół domu. A to chińskie barachło niech pani wymieni na polskie, ja to pani radzę.

– Postaram się. Obiecuję – odparłam, kiedy taksówkarz zaparkował przed domem. – Dziękuję za dobrą radę. – Podałam mu banknot, z którego wydał mi resztę.

– Jo, tak pani mówi, a następnym razem znów będzie jechała w skarpetach.

Rozśmieszył mnie swoimi mądrościami.

– Bez obaw. Następnym razem będę mieć wszystko w porządku.

– Jo. Do widzenia.

– Dobranoc. Spokojnego wieczoru życzę.

Zatrzasnęłam za sobą drzwi. Torbę chwyciłam pod pachę. Na szczęście klucz znalazł się od razu. Nie trzeba było przetrzącać wszystkich rzeczy.

W domu panowała zupełna cisza. Kiedy zapaliłam światło, pojawił się tylko Nutuś. Miauknął kilka razy zadowolony, że jestem. Otarł się o moje nogi i zniknął gdzieś w zakamarkach domu. Pewnie polazł do dużego pokoju i tam rozłożył się na kanapie. Ostatnio to jego ulubione miejsce leżakowania.

Wyszperałam z szafy zapasową torebkę. Na szczęście wzięłam z domu dwie. Co prawda ta była w rudobrazowym kolorze, więc nie do wszystkiego pasowała, ale na szczęście była równie pojemna i wygodna, co uszkodzona. Przerzuciłam wszystkie klamoty z jednej do drugiej, by jutro odruchowo nie chwycić torebki z urwanym uchem. Spojrzałam na nią z sentymentem. Może da się naprawić. W wolnej chwili zawiozę do kaletnika, niech zszyje, bo żal się było z nią rozstawać. Jeszcze trochę powinna posłużyć.

Rozdział 4

Ze snu wyrwało mnie szarpanie za ramię. Od razu otworzyłam oczy i w pierwszym odruchu chciałam przywalić napastnikowi.

– Jezu, mamó, co ty? – Luśka uchyliła się przed moim ciosem. – Daj mi na kartę miejską, bo wczoraj zapomniałaś mi zostawić. Pomykam do szkoły.

– O rany, córciu, toż noc jest. Do jakiej szkoły?

– Mamó, jest po piątej. Zapomniałaś, że twoja pierworodna realizuje jeszcze obowiązek szkolny? Szybko, bo się spóźnię.

– Podaj torebkę. Tę rudą. – Oczy powoli przyzwyczajały się do oślepiającego światła. Luśka rzuciła mi torbę na brzuch. – Au!

– Mamó, bo nie zdążę!

– No już, już... – Wymacałam portfel i wyciągnęłam z niego pięćdziesiąt złotych. Podałam Luśce. Ta chwyciła banknot, rzuciła „dzięki”, potem „pa” i pobiegła do drzwi. Oczywiście światła nie wyłączyła! Musiałam zwlec się z łóżka. Normalnie, gdy tylko wróci, to ją uduszę. Zgasiłam i od razu wskoczyłam pod kołdrę. Niestety, przewracałam się z boku na bok. Nie szło zasnąć, choć rozum podpowiadał: „Śpij, śpij, bo to środek nocy”. Jednak, w cholere, nie szło! W końcu zrezygnowałam. Wstałam jeszcze raz. Włączyłam światło i wzięłam laptopa do łóżka. Nie można spać, więc można pracować. A Luśkę potem uduszę gołymi rękoma.

Kiedy w końcu komputer raczył się uruchomić, otworzyłam pustą stronę Worda i zaczęłam pisać. W mojej rozczochranej łepetynie pojawiła się nowa bajka. Musiałam ją przelać do komputera, by zanieść dziewczynkom wydruk. Po jej wydaniu będzie można wystawić książkę na aukcji dla Szpilki. To pierwszy punkt planu. Położyłam więc palce na klawiaturze. Chwilę tylko się wahały i nieśmiało błędziły po przyciskach. Po kilku minutach ledwo nadążałam wystukiwać to, co pomyślała głowa.

Mój szal pisania przerwał dopiero dźwięk telefonu. Wtedy zauważyłam, że za oknem zrobiło się całkiem jasno. Spojrzałam na wyświetlacz. O, nie!

– Cześć, mamó. – Rzuciłam okiem na zegarek. Była dokładnie siódma trzydzieści. Chyba mama z Lusią umówiły się, by mi dziś rano przeszkadzać.

– Śpisz?

– Nie śpię, przecież z tobą rozmawiam.

– No tak. Słuchaj...

W tym momencie zadzwonił dzwonek do drzwi. Kurza twarz! Kogo to jeszcze niesie o tak wczesnej porze? Ruszyłam, by otworzyć intruzowi, a mama po drugiej stronie telefonu zasypywała mnie gradem pytań.

– Poczekaj chwilę, mamó, ktoś się dobija.

– O tej porze? – Święcie się oburzyła. Ale że ona dzwoni tak rano, to raczej jej nie zastanawiało.

Otworzyłam drzwi. Na progu stał nie kto inny jak Blubluś we własnej osobie.

– Cześć, gotowa? – wypalił od razu, kiedy mnie zobaczył. Jednak nie musiałam tłumaczyć, bo na szczęście domyślił się, że gotowa nie byłam. No, ewentualnie byłam przygotowana na powrót do łóżka, bo ciągle jeszcze miałam na sobie piżamę.

– Mama dzwoni – szepnęłam i pokazałam na telefon.

– Dobra, poczekam, bo dziś nie mam ochoty na bieganie w pojedynkę. Trzeba, by ktoś mi potrajkotał nad uchem. – Uśmiechnął się jak zwykle rozbrajająco i wszedł do środka. Próbowałam go zmrozić wzrokiem, ale chyba to zlekceważył. Przyłożyłam na powrót telefon do ucha.

– Jestem – powiedziałam na tyle cicho, by nie robić większego zamieszania i nie obudzić cioci. Niech przynajmniej ona dzisiaj pości.

– Kto przyszedł? Doktorek?

– Nie, mam, Piotr.

– O, to też ładnie. Ale wiesz, ty się lepiej trzymaj Doktorka, bo w dzisiejszych czasach wolny lekarz to normalnie, jakby się ślepej kurze ziarno trafiło.

– Jezu, mam, nie zaczynaj. Proszę cię.

– Wiesz, byłabyś panią doktorową... – Słyszałam rozmarzenie w jej głosie. Poniosło kobietę, jak nic. – Miałabym takiego wspaniałego zięcia. – Zaakcentowała ostatnie słowo i westchnęła. – Ty tylko uważaj i dobrze to rozegraj, bo wiesz, tam na pewno niejedna sobie na niego pazurki ostrzy.

– Mam, przerwałam jej. – Po co dzwonicz?

– Ot tak, chciałam wiedzieć, jak się sprawy posuwają.

– Mam, jak się posuną, to ci o tym powiem, dobra?

– A jeszcze się nie posunęły? No wiesz... mogłyby się w końcu posunąć, bo posuwanie, hm, wiadomo, że posuwanie... – Szukała odpowiedniego słowa, a ja nie wierzyłam własnym uszom. Normalnie ktoś mi matkę podmienił! – Posuwanie spraw naprzód jest konieczne – wybrnęła.

– Mam, czy ja mam ci przypomnieć, co mi obiecałaś?

– Co? – zdziwiła się. Spojrzałam na Piotra, który uśmiechał się od ucha do ucha, przysłuchując się tej lekko żenującej rozmowie.

– Że się nie będziesz wtrącać, tak? Nie-bę-dziesz! Obiecałaś?

– Dobra, dobra. A czy ja się wtrącam? Pytam tylko. Nic więcej nie robię.

– No i niech cię ręka boska broni! – krzyknęłam, zapominając, że miałam mówić cicho. Zaraz za moimi plecami pojawiła się ciocia. No pięknie.

– Nie krzycz na mnie!

– Nie krzyczę – powiedziałam spokojniej. – Mam, jak się coś zmieni w tej sprawie, to dam ci znać. Dobrze?

– Możemy ewentualnie pójść na ustępstwa...

– A teraz kończę – przerwałam jej, bo czułam, że miała ochotę się znów rozwinąć. – Mam tu Piotra, a i ciocię obudziłam przez to gadanie.

– Mówiłam ci, żebyś nie krzyczała, ale tak to już jest, gdy się matki...

– Dobra, mam, pa!

– Pa! – Ledwo zdążyła odkrzyknąć w słuchawkę.

Wyłączyłam telefon. Odłożyłam go na szafkę. Piotr siedział zadowolony, ciocia zaczęła się krzątać po kuchni.

– Przepraszam.

– Za co?

– Że tak hałasowałam, ale znasz mamę, z nią się nie da po cichu.

– Jo. Znam, znam. Idziecie biegać?

– Tak, już lecę się przebrać – rzuciłam i pobiegłam do łazienki.

Szybko umyłam się i wskoczyłam w dres. Po chwili zameldowałam się w pełnej gotowości. Przez ostatni tydzień nie biegaliśmy, więc można było się spodziewać, że dostanę palpacji serca i dwóch zawałów.

– I jak tam posuwanie? – Piotr się zaśmiał, kiedy znaleźliśmy się poza domem.

– Proszę cię, choć ty mnie nie denerwuj, bo będę zmuszona ci przywalić.

– Okej. Ale posuwa się czy nie? – Zarechotał.

– Nic się nie posuwa! Ponadto to moja prywatna sprawa, tak? Ja cię o takie rzeczy nie pytam, choć pewnie byłoby ciekawie co nieco usłyszeć. – Teraz ja zachichotałam, bo przez chwilę próbowałam sobie wyobrazić Piotra z Sebastianem. Jednak znów ni stąd, ni zowąd przypomniałam sobie byłego męża. Pewnie przez te wszystkie lata po rozstaniu nie myślałam o nim tyle, ile po poznaniu Doktorka. W głowie zabrzmiał mi głos kochanki eksmęża, bo to przecież ona w bardzo niewyszukany sposób postanowiła mnie uświadomić, a on długo się zapierał, zanim zdecydował się przyznać. Jakby mnie kto zdzielił obuchem i rozpołowił ziemię pod stopami. Mój świat runął. Pytałam siebie dlaczego, co takiego zrobiłam, że poszedł do innej, co ma ona, czego nie mam ja. Klasyczny repertuar zdradzonej żony. Zadręczałam się, ale w pierwszym odruchu chciałam mu wszystko wybaczyć. Kurczowo trzymałam się myśli o rodzinie. Była przecież Lusia! Okazało się jednak, że ani ja nie potrafiłam zapomnieć i wybaczyć, ani on zakończyć znajomości z tą kobietą. Nie umiałam ponownie zaufać. Ale wtedy miałam pracę i własne mieszkanie, więc pod skórą czułam, że sobie poradzę. I właśnie wówczas uświadomiłam sobie, że gdybym była zależna finansowo od męża, gdybym nie pracowała, bałabym się zrobić tak poważny krok. Dlatego Lusię zawsze uczyłam, że co innego być panią doktor, a co innego panią doktorową. Nie wiedziałam tylko, że los zakpi ze mnie i każe mi wybierać pomiędzy „doktor” a formą z końcówką „-ową”, która jednoznacznie wskazywała na przynależność do faceta. W gruncie rzeczy byłam magistrem. Szczęście, że nie magistrową. Nauczyłam się, że kobieta musi być niezależna, musi mieć w razie czego furtkę, przez którą ucieknie z toksycznego układu. I to wspomnienie z przeszłości wypaczało obecnie moje spojrzenie na związek z Arturem. Powodowało sprzeczne uczucia.

Zatrzymałam wzrok na Piotrze. Chwyciłam w przelocie jego uśmiech i błękitne spojrzenie. Uśmiechnęłam się do niego, bo taki przyjaciel to skarb. Wiedziałam, że za chwilę przestanę dokonywać autoanalizy i rozkładania przeszłości na czynniki pierwsze.

– Dobra, jesteśmy kwita – odparł. – A teraz wywietrzmy te głupoty z głów. Biegniemy.

I oczywiście wywietrzyliśmy tak bardzo, że w gardle urosła mi kosmiczna gula. Chciało mi się zwrócić zawartość żołądka, a w dodatku oddychanie stało się nie lada wyzwaniem. Z boku pewnie wyglądałam i brzmiałam jak lokomotywa.

– Sł... sł... chaj Piotr – próbowałam wyduszać z siebie słowa, kiedy już zbliżyliśmy się do domu. – Ja, ja, ja wiem, że... że czasami mam głupie pomysły i wy... wy... dawać by się mogło, że nie grzeszę rozumem. – Uspakajałam oddech, kiedy w końcu się zatrzymaliśmy. – Ale ja... na... naprawdę chciałabym pomóc Szpilce. Ciągle tu jestem obca, jak wiesz, rozglądam się za pracą i niestety trafiam na mur, więc mam małe możliwości, ale z twoją pomocą i z pomocą fundacji jakoś chyba damy radę, co?

– Nie wiem, trzeba spróbować. Kilka takich akcji już robiliśmy, więc teraz też powinno się udać, ale sama wiesz, że znalezienie dawcy to loteria.

– Wiem, wiem, ale ja sobie nie wybaczę, jeżeli niczego nie zrobię.

– Przyjdź do mnie za godzinę – powiedział, ocierając pot z czoła. – Pogadamy, ustalimy, co na początek. Trzeba będzie z rodzicami tej dziewczynki też porozmawiać.

– Dobrze – rzuciłam od razu. – Będę za godzinę.

Pożegnaliśmy się. Piotr truchcikiem pobiegł do siebie, a ja z dodatkową dawką energii kilkoma susami pokonałam sześć schodów dzielących mnie od drzwi.

Ciocia siedziała w kuchni i przeglądała gazetę. Wzięłam kilka łyków wody prosto z butelki stojącej na szafce. Zosia nagle uderzyła dłonią o blat stołu. O mało się nie zakrztusiłam. Spojrzałam na nią. Ciągle patrzyła w gazetę.

– A to dziągwa jedna! – krzyknęła w końcu.

– Co się stało, ciociu?

– To ta dziągwa Elka – odparła i podsunęła mi gazetę. Jednak niczego szokującego tam nie znalazłam, bo na stronie były same nekrologi, a ja szukałam wzrokiem jakiejś sensacyjnej wiadomości. Ciocia zauważyła, że błędę po stronie, więc stuknęła palcem w miejsce, gdzie stało wytłuszczonym drukiem: Elżbieta Lisiecka.

– Ciociu, ale to nekrolog... – zawahałam się, bo w pierwszym momencie myślałam, że to jakaś pomyłka.

– No właśnie. Elka kojfnęła – powiedziała ciocia z oburzeniem.

– Nie rozumiem...

– Normalnie, kojfnęła. Miała skubana osiemdziesiąt jeden lat, więc młodsza była ode mnie.

– Przykro mi...

– No tak, przykro, ale skubana zakład wygrała. – Pokręciła z dezaprobatą głową.

– Jaki zakład?

– Kiedyś się założyłyśmy – zaczęła – czekaj, czekaj, to już chyba z dwadzieścia lat temu było. – Liczyła w pamięci, pomagając sobie palcami. – Nie, dziewiętnaście! – W końcu stwierdziła z tryumfem. – Tak. Dziewiętnaście lat temu założyłyśmy się, która pierwsza pójdzie na tamten świat i od jakiegoś czasu się przekomarzałyśmy, bo wiesz, to już ten wiek, kiedy z naszej półki biorą.

– I co?

– No i przegrałam. Bo według mnie to ja miałam być pierwsza, ale Elka to zawsze cwana była i potrafiła się wszędzie wepchnąć bez kolejki. Wiesz, jak ona kiedyś w ogonku po odkurzaczu wykiwała cały tłum ludzi? A pięć odkurzaczy wtedy rzucili na sklep i ta małpa dostała, chociaż postąpiła tam może z piętnaście minut! Ludzie w nocy koczowali, a ta dziągwa przyszła, pogadała, zakręciła się i z odkurzaczem wyszła!

– A o co się, ciociu, założyłyście? – Nie mogłam się powstrzymać, by nie parsknąć śmiechem.

– O taki wielki znicz, taki jak rzeźba. Będę przez Elkę z pięć dyszek w plecy – powiedziała z wyraźną troską w głosie. – A czekaj, kiedy ta małpa ma pogrzeb? – Przyłożyła gazetę bliżej oczu, by lepiej widzieć. – Aha, jutro. – Złożyła szybko gazetę i poderwała się z krzesła. Zdziwiła mnie werwa, z jaką to zrobiła. – Lecę w takim razie po Jadźkę, bo trzeba różaniec Elce odmówić.

– Może cię, ciociu, zawieźć? – spytałam, bo nie miałam pojęcia, w jakie rejony się wybiera. Kościół co prawda niedaleko, ale czort jeden wie, na jaki pomysł wpadła ciocia.

– Nie, skarbie, nie. Jadźka mieszka blisko, a ona ma samochód, więc sobie same pojedziemy.

Zamarłam. Bo jeżeli ta Jadźka jest w wieku cioci, to niech ich Bóg ma w opiece, gdy wyjadą na ulicę. Starsi ludzie za kierownicą trochę mnie przerażali. Toż refleks i wzrok nie ten!

– Ciociu, ta pani Jadzia jest kierowcą? – niedowierzałam.

– Tak, mówię ci, ona zasuwa jak stary. – Zastanowiła się przez chwilę i uśmiechnęła od ucha do ucha. – Co ja gadam, jo? Toż ona przecież jest stara, więc inaczej powinnam powiedzieć. Zasuwa, jakby miała z dwadzieścia lat. – Zaśmiała się.

– A ile ma?

– Spokojnie, jest młodsza ode mnie.

Odetchnęłam, jednak spojrzenie cioci znów mnie zaniepokoiło.

– A o ile?

– O dwa. Ale nie denerwuj się. W tym wieku dwa lata to bardzo dużo. Jadźka jest dobrym kierowcą, więc nic się nie martw.

– No dobrze, skoro tak mówisz. Tylko uważajcie na siebie.

– Jasne. Lecę się przebrać. – Ciocia zniknęła za drzwiami swojego pokoju, a ja stałam oniemiała z wrażenia i zastanawiałam się, gdzie jest ta chora ciocia, którą miałam się zaopiekować po przyjeździe na Kociewie. Gdzieś tam daleko w Zachodniopomorskiem moje mieszkanie użytkowali obcy ludzie! Otrząsnęłam się jednak z zamyślenia, bo na horyzoncie znów pojawiła się ciocia z laską w ręce i zamaszycie zmierzała do przedpokoju, by włożyć kurtkę i buty.

– Asiu – zaczęła – mogłabyś pościerać u mnie kurze?

– Jasne, ciociu. Nie ma sprawy. A o której wrócisz?

– Nie wiem, muszę się zorientować w sytuacji i Elce kupić ten wielki znicz. Żeby mnie nie straszyla po nocach. – Zaśmiała się i już po chwili zniknęła za drzwiami domu. Miałam wrażenie, że to huragan przeleciał przez przedpokój, a nie prawie osiemdziesięcioletnia kobieta. I tak na myśl o wieku cioci oświeciło mnie, że ona chyba niedługo ma urodziny. Tak mi się wydawało, że to musi być w kwietniu. Trzeba będzie staruszce jakąś sympatyczną niespodziankę przygotować.

Poszłam do łazienki i wskoczyłam pod prysznic. Gorąca woda spływała po moim ciele, oddalając ode mnie wszystkie myśli. Podałam się rozkoszy kąpieli całą sobą. Czułam słodki zapach żelu i było mi tak dobrze, że mogłabym tu stać w nieskończoność, gdyby w końcu zdrowy rozsądek nie przebił się przez zaporowane powietrze.

Po wyjściu z łazienki spoglądałam na zegarek stojący na szafce w moim pokoju. Miałam jeszcze dwadzieścia minut do spotkania z Piotrem. Wydrukowałam więc napisaną dzisiaj rano bajkę i złożyłam razem z tą, której egzemplarz dałam już dziewczynom. Wrzuciłam papiery do torebki i zajęłam się pacykowaniem mojej twarzy. Miałam całkiem niezłą wprawę i ruchy opanowane do perfekcji, poszło więc szybko. Posmarowałam jeszcze kromkę chleba masłem i mogłam biec do Prażmowskich.

– Dzień dobry, Joasiu! – zawołała na mój widok pani Beata. – Dawno cię u nas nie było. Chodź, dzisiaj ja upiekłam ciasto. Może nie tak pyszne, jak twoje, ale skosztujesz.

Szukałam wzrokiem Piotra, ale nie było go na horyzoncie. Miałam nadzieję, że nie zapomniał o naszym spotkaniu. To zbyt ważna sprawa, by sobie odpuścić.

– Siadaj. – Pani Prażmowska wskazała mi miejsce za stołem. Postawiła od razu przede mną mały talerzyk i zaczęła przygotowywać kawę. Wiedziała już, jaką lubię, więc nawet nie pytała.

– Jest Piotr? – Rozglądałam się, bo w domu panowała podejrzana cisza i miałam wrażenie, że jednak go nie ma.

– Musiał na chwilę wyskoczyć, ale kazał mi się tobą zaopiekować, co oczywiście czynię z wielką przyjemnością. Zobacz, jakie zrobiłam drożdżowe. – Zaprezentowała mi blachę ciasta przykrytego lnianą ściereczką. Odsłoniłam brzeg, by zajrzeć do środka. Imponujący widok. Świeżutkie drożdżowe z kruszonką i owocami. Pachniało wyśmienicie. Uśmiech samoistnie pojawił się na mojej twarzy. Odruch bezwarunkowy na widok ciacha.

– Wygląda i pachnie cudnie – westchnęłam. Pani Prażmowska zaśmiała się i zapewniła, że zaraz pokroi i mnie poczęstuje.

Postawiła przede mną piękną filiżankę Rosenthala. Parował z niej gorący napój. Pani Beata posiadała niezwykłą klasę, trzeba było jej to przyznać. To się rzadko zdarza. Ruchy miała dostojne, płynne, jakby była prawdziwą damą. Przy bluzkach też zawsze nosiła białe koronkowe kołnierzyki. Klasyczna elegancja w czystej postaci.

– A gdzie pobiegł Piotr? – spytałam, kiedy gospodyni usiadła naprzeciwko mnie, a na stole pojawiło się zabójczo pachnące ciasto drożdżowe.

– Nie mam pojęcia. Nagle gdzieś poleciał i tyle go widzieli, ale chyba zaraz wróci – odpowiedziała, podsuwając drożdżówkę bliżej mnie. Nałożyłam sobie solidny kawałek. Nie ma co się oszczędzać, jeżeli chodzi o ciepłutkie i świeże ciasto. Na drugi dzień już tak wyśmienicie nie pachnie i nie smakuje. Chociaż mój tata chyba najbardziej lubił takie „uleżale”. Smarował je masłem i zajadał z apetytem.

– Pycha – pochwaliłam. – Naprawdę pyszne.

– Cieszę się, że ci smakuje.

I kiedy tak siedziałam z pełną gębą, usłyszałam zgrzyt zamka w drzwiach i wołanie Piotra od progu.

– Jestem!

Szybkim krokiem wszedł do kuchni i na sekundę zamarł na mój widok. Moje policzki wypchane były jak u chomika. Zaśmiał się, ale zaraz stwierdził, że wcale mi się nie dziwi. Chwycił również kawał ciasta. Pani Prażmowska podała mu talerzyk, żeby nie nakruszył i zaparzyła kolejną kawę.

– No to wy sobie, dzieci, porozmawiajcie, a ja pójdę do swojego pokoju.

– Ale my nie mamy żadnych tajemnic, może mama z nami posiedzieć.

– E, tam. Po co ja wam. Na spokojnie omówcie co i jak, ja i tak chciałam poczytać. A co u cioci, powiedz mi jeszcze, Joasiu.

– Dobrze. Nawet bardzo. Pobiegnę teraz kupić znicz i zmówić różaniec. – Opowiedziałam pokrótce historię zakładu z Elką. Pani Beata słuchała, odsłaniając zęby w szczerym uśmiechu. Piotr również nie zdołał zachować powagi.

Pani Prażmowska pożegnała się ze mną i po chwili zniknęła za drzwiami swojego pokoju. Piotr w najlepsze zajadał ciasto. Zachęcona jego miną, poczęstowałam się jeszcze jednym kawałkiem. Niestety, trudno się było powstrzymać.

– I jaki mamy plan? – spytał w końcu. – Chodź może do pokoju. Siądziemy na wygodnej kanapie, bo mi się pasek wpija od tego obżarstwa.

– Okej. – Przełknęłam ostatni kęs. – I schowaj to diabelstwo, bo kusi strasznie, a pyszne nieziemsko.

Piotr podał mi butelkę z wodą. Sam wziął dwie szklanki i przenieśliśmy się na wygodną kanapę.

– Z planem to jeszcze kiepsko – zaczęłam. – Mam napisane dwie bajki, więc można by je wydać, a dochód z ich sprzedaży przeznaczyć na lekarstwa dla Szpilki, tylko z tego będzie niewiele pieniędzy. Można by znów zorganizować festyn, ale sami mieszkańcy naszego miasta to za mało, nie damy rady, by zebrać dużą kasę.

– Oczywiście. Masz rację. Zrobimy aukcje internetowe, zadziałamy w sieci. Sebastian da chyba też jedno auto. Może zrobimy loterię. Trzeba by było dobrze to przemyśleć. A może jakiś bieg, co? Teraz bieganie jest w modzie... – zastanawiał się głośno.

– A może się uda znaleźć sponsorów? – spytałam.

– Kogo masz na myśli?

– Nie wiem. Ja tutaj ciągle jestem obca i nie mam takich kontaktów jak ty.

– Jaka obca? Coś ty? Ty już jesteś nasza.

– Eee – mruknęłam. – To się tak tylko mówi. Wiesz, to jest takie dziwne uczucie. Z jednej strony spotykam tutaj niezwykle sympatycznych i życzliwych ludzi, a z drugiej ciągle mam wrażenie, że się odbijam od jakiegoś muru.

– Jakiego znów muru?

– Niewidzialnego! – palnęłam, bo wydawało mi się, że kto jak kto, ale gej powinien mnie zrozumieć. – To trudno jest wyjaśnić, ale odczułam to w momencie, kiedy zaczęłam się

rozglądać za pracę.

– Aaa, rozumiem. Wiesz, jest duże bezrobocie...

– Ja to doskonale wiem i nie o to chodzi. – Zamyśliłam się. – Wiesz, jak się ma czterdzieści lat, to może nie jest najlepszy czas, by się przeprowadzać. Człowiek jest taki wyrwany z korzeniami, trudno mu nawiązać nowe relacje i więzi.

– Źle ci tutaj?

– Nie o to chodzi. Chyba tęsknię za swoim miastem, za ludźmi, mieszkaniem.

– A Artur? Nie myślisz o nim poważnie?

– Myślę – zawahałam się – i nie myślę. Ja po prostu nie wiem, co mam myśleć, bo to nie jest takie łatwe. Sparzyłam się kiedyś, więc teraz boję się, że może to się stać po raz kolejny. Wiesz...

– Yhy.

– W książkach dla kobiet często pojawia się taki motyw wyprowadzki jako panaceum na wszelkie zło. Kobieta się rozwodzi, jedzie na jakieś zadupie, a tam nowa miłość, nowy biznes, po prostu wszystko pięknie i ładnie, a to wcale nie jest takie łatwe. Kiedy tu przyjechałam, to poczułam wiatr w żaglach, przyplływ nowej energii, bo przecież wcześniej czułam się wypalona zawodowo i potrzebowałam dystansu. A teraz? Teraz sama nie wiem, bo nie jest mi tutaj łatwo, choć przyznam, że spotykają mnie same dobre rzeczy.

– To nie rozumiem. Czego ci więc brakuje?

– Sama nie wiem, ale chyba takiej więzi, jaką miałam z ludźmi w poprzednim miejscu zamieszkania. Wiesz, tam niektóre moje znajomości przetrwały od podstawówki.

– No to musisz dać sobie czas, nie? Nie da się tego zrobić w ciągu kilku miesięcy.

– Artur chce, żebym tutaj się przeprowadziła na stałe. Nie mogę jednak znaleźć pracy, a być na jego utrzymaniu to raczej nie chcę. Wiesz, jak jest.

– Wiem, ale może jeszcze coś się uda wykombinować. Może akurat w Tczewie w tej szkole, w której byłaś, będzie miejsce.

– Może – bąknęłam. – Dobra, bo się za bardzo rozczulam nad sobą, a tu trzeba zastanowić się, jak pomóc Szpilce. Musimy pomyśleć jeszcze nad akcją szukania dawcy, bo same pieniądze to będzie za mało. – Staralam się odciągnąć naszą uwagę od moich dylematów. Trudno mi było dokładnie wyrazić, co czułam. Nie potrafiłam jasno myśleć, bo najzwyczajniej w świecie obawiałam się nowej sytuacji. Bałam się podjąć decyzję, bałam się jej skutków i ewentualnego rozczarowania. Żonglowałam argumentami za i przeciw, i kompletnie nie wiedziałam, co powinnam zrobić.

– Dobra, ja na pewno jeszcze uruchomię kontakty. Pogadam też z dwiema blogerkami, które może nas wesprą w poszukiwaniach internetowych. Blogerzy to raczej zżyte środowisko, więc pewnie się uda. – Spojrzał na mnie. – Zresztą komu ja tłumaczę, sama przez chwilę blogowałam.

– Ale przez bardzo krótką chwilę. – Zaśmiałam się.

– Zobaczysz, musi się udać. Jeśli zaangażujemy tak dużą grupę ludzi, to się uda. Nie ma wyjścia. Poszukam też sponsorów. Mamy tutaj przecież dwa duże zakłady pracy. Myślę, że nie odmówią.

– Mam nadzieję, bo obiecałam Szpilce, że zrobimy wszystko, co w naszej mocy.

– Dobrze. To zróbmy tak. Ja jutro idę w miasto pogadać. Zrobię na piśmie dokładny plan, to znaczy spiszę, co mamy i czego potrzebujemy. A ty może skrobnij jeszcze ze dwie bajki.

– Nie ma sprawy. – Spojrzałam na zegarek. – A teraz lecę, bo Luscia zaraz wróci ze szkoły, ciocia z różańca, a ja obiecałam, że posprzątam w jej pokoju. W dodatku Luśka bombarduje mnie esemesami, by jej ulepić górę ruskich pierogów.

– Okej, leć. – Pocałował mnie na pożegnanie w policzek. Po rozmowie z Piotrem poczułam lekką ulgę, bo cały czas gniotło mnie na serduchu. Sama nie wiem, czy mi tutaj na Kociewiu tak dobrze, że się boję do tego przyznać przed samą sobą, czy może tęsknię za moim starym mieszkaniem, koleżankami i pracą. Ech... Trudno mi dogodzić.

W domu od razu zabrałam się za sprzątanie. Ziemniaki na ruskie pierogi pyrkały sobie powoli w garnku, a ja pobiegłam uzbrojona w sprzęt sprzątający do pokoju cioci. Zazwyczaj sama ścierała kurze, więc był to dla mnie teren prawie zupełnie obcy. Nie chciałam jej niczego poprzestawiać, bo wiadomo, że u cioci wszystko miało swoje miejsce. Zaczęłam od ścierania paprochów z półek. Ciocia miała sporo albumów ze zdjęciami. I, co dziwne, nie pokazywała nam ich z uporem maniaka. A przecież starsi ludzie uwielbiają posadzić kogoś obok, nakłaść mu na kolana albumów, starych zdjęć i zasypać opowieściami o tym, jak to drzewiej bywało. Nie wiem, może Luśce już ciocia zdążyła co nieco opowiedzieć, ale mnie jeszcze nie. W sumie mogłoby to być ciekawe. Chociażby sprawa staropanieństwa cioteczki. Dlaczego przez wiele lat mieszkała z bratem? Ten jej brat chyba miał kiedyś żonę, tak mi się majaczy w pamięci.

Wytarłam środkową półkę i już miałam sprzątać dalej, jednak jeden z albumów wyglądał tak zachęcająco, że nie mogłam się mu oprzeć. Miał złote okucia i skórzaną oprawę. Teraz już chyba nikt nie inwestuje w tak drogie albumy. Zdjęcia trzyma się na dyskach w komputerze i w sumie nikt ich nie ogląda, nawet właściciel.

Usiadłam na łóżku. Na kolanach położyłam wielki i ciężki wolumin. Otworzyłam na pierwszej stronie. Kilka pożółkłych fotografii. Twarze kompletnie nieznane. Tylko na jednym zdjęciu rozpoznałam starogardzki Rynek. Nie byłam jednak pewna, bo wyglądał zupełnie inaczej niż obecnie. Koń w zaprzęgu w tle. Kobieta z dwójką dzieci. Po stroju osób widniejących na zdjęciu obstawiałam lata dwudzieste, no może trzydzieste minionego stulecia. Wtedy chyba rzadko kogo było stać na zrobienie fotografii. Rzuciłam okiem jeszcze na kilka ujęć. Bałam się, że ciocia za chwilę wróci, a nie chciałam, żeby moje wścibstwo ją uraziło. Później poproszę, żeby mi pokazała i co nieco opowiedziała o starych fotografiach. Może kryje się tutaj jakaś niezwykła historia.

Odłożyłam album na swoje miejsce. Przetarłam kolejną półkę. Najtrudniej było na komódce, bo ciocia poustawiała tutaj różne drobne przedmioty. Prawie wszystkie wykonane były ze szkła. Dziwne. Kiczowate szklane figurki. Nie wiem, po co ciocia je tutaj wyeksponowała. Zbierały tylko kurz, a w dodatku łatwo było je stłuc. Oczywiście na samą myśl, że można coś uszkodzić, jedna z figurek wymknęła mi się z dłoni. Poturlała się pod łóżko, więc musiałam się dobrze nagimnastykować, by ją dosięgnąć. Cioci pokój był mały i żeby zajrzeć pod łóżko, trzeba było się odpowiednio wcisnąć między nie a komodę. W końcu udało mi się coś wymacać. Pod palcami poczułam dwa przedmioty. Pięknie! Pewnie się rozbiło. I teraz ciocia mi głowę za to urwie, bo jeżeli to tak wszystko tutaj poustawiała, to znak, że są to dla niej ważne rzeczy i muszą być na widoku.

Ostrożnie wyciągnęłam dłoń. Trzymałam w niej dwa przedmioty wykonane ze szkła. Słonik niestety miał ułamaną trąbę. Dostanie mi się, jak nic. Zaświtała iskierka nadziei, że może już wcześniej miał taką, tylko nie zauważyłam. I tej myśli postanowiłam się trzymać.

Druga figurka była śmieszna. W pierwszej chwili nie wiedziałam, co to jest. Dopiero kiedy uważnie się jej przyjrzałam, stwierdziłam, że to serduszko ze zniekształconymi stopami i jedną dłonią. Pięknie. Druga wyglądała na odłamaną. Bilans sprzątanego to brak trąby i jednej dłoni. Będzie niezła bura. Odłożyłam szklane przedmioty tuż obok pozostałych i dokończyłam ścieranie kurzu. Na szczęście niczego więcej nie zdemolowałam, niczego nie przewróciłam i nic innego nie spadło. To mnie zawsze zadziwiało. Czasami miałam wrażenie, że jestem chodzącym kataklizmem z durnymi pomysłami, by już po chwili, gdy tylko znalazłam się w klasie za

biurkiem, uosabiać pełen profesjonalizm. Wszystko w najlepszym porządku. A kiedy na powrót przekraczałam próg szkoły (wystarczyło nawet o kilka centymetrów), to znów durne pomysły i siano w głowie. Dziwna sprawa. Pewnie jakiś psychoterapeuta miałby ze mną ręce pełne roboty. Teraz, na rocznym urlopie, ilość sianka we łbie mogła się niebezpiecznie rozrosnąć.

W tym momencie dobiegł mnie lekki śwąd. Jakby ktoś jarał fajki! Przecież nie ma nikogo w domu, więc skąd ten smród? Kiedy wypadłam do przedpokoju, już wiedziałam. Ziemniaki się spaliły. Z kuchni wylatywały kłęby dymu. Kurza twarz! Dwoma susami dostałam się do dymiącego gara. W pierwszym odruchu o mało nie złapałam go gołą dłonią. Jednak resztki zdrowego rozsądku zadziałały, chwyciłam szmatę i dawaj z garem na taras. Trzeba się tego pozbyć! I nagle jak mi się noga w kapciu przekręciła, jak runęłam przed siebie! W ostatniej chwili ujrzałam tylko kilka ziemniaków lecących przede mną nisko nad podłogą. Reszta na szczęście była twardo przytwierdzona do dna, więc nie odbyła fascynującego lotu. Twardość podłogi poczułam na tyłku i łokciu, bo wolną ręką próbowałam się asekurować. Jak dobrze, że w złamanej i ledwo zrosniętej trzymałam gar, bo jestem pewna, że takiego uderzenia by nie wytrzymała. Na szczęście w pełni zdrowa łapa zadziałała prawidłowo. O, matko! Żyłam! Sprawdziłam wszystkie członki. W dłoni oczywiście ciągle dzielnie trzymałam gorący gar. Przez chwilę leżałam i łapałam oddech. Patrzyłam, jak resztki po ziemniakach spływały po szafie znajdującej się w przedpokoju. Jakby ktoś ją obryzgał. Ups! Będą bryzgane ziemniaczki na obiad, pomyślałam i zarechotałam jak głupek. To była histeryczna reakcja mojego organizmu. Nie mogłam opanować śmiechu. Po chwili ktoś otworzył drzwi wejściowe. Stała nade mną ciocia we własnej osobie.

– O rany, Joasiu, a tobie co? Ty płaczesz czy się śmiejesz?

– Oj... oj... – Nie mogłam opanować głupawki. – Śmie... śmieję się, cio..., ciociu.

– Jezus Maria, ile tu dymu, dziecko, ty coś jarałaś? Czy jak to tam się mówi? Trawkę teraz dzieciaki palą, a może ty też, co? – Ciocia przyglądała mi się z większym zainteresowaniem. To musiał być niecodzienny widok. W domu tumany dymu, ja na podłodze z garem spalonych ziemniaków w dłoni niczym ze sztandarem i chichoczę głupkowato.

– Tak. – I znów parsknęłam śmiechem.

– Jarałaś, jo?

– Tak, ciociu – odpowiedziałam, dławiąc się śmiechem. – Ziemniaki zjarałam.

– I tak zadziałały? No proszę. Daj ten gar – powiedziała i wyjęła naczynie z moich rąk. – Nieźle je przypaliłaś. Gar do wyrzucenia. Dobrze, że nie użyłaś tego nowego, bo by było szkoda.

– To prawda – odparłam. Poruszałam dla pewności rękami i nogami, wszystko wydawało się całe. Pewnie zbiłam kość ogonową, bo ta bolała mocno, ale na szczęście wciąż byłam w jednym kawałku.

Ciocia odstawiała garnek i pomogła mi pozbierać się z podłogi. Wyniosła spaleniznę na taras i pozostawiła drzwi otwarte na oścież. Poczłapała też do kuchni i tam otworzyła okno. Zrobił się niezły przeciąg. Może dzięki temu szybciej się wywietrzy.

– Co ty robiłaś? – spytała ciocia.

– Kurczę, ciociu, przepraszam, ale sprzątałam u ciebie. Wycierałam kurz, potem spadły mi dwie figurki. Nie mogłam ich odnaleźć i kompletnie zapomniałam o tych ziemniakach.

– I co teraz robimy na obiad?

– Miałam zrobić ruskie. Luscia tak prosiła. Zaraz obiorę dwa ziemniaki i szybko się ugotują, zdążę jeszcze przed jej powrotem.

– Dobrze, przecież się nie spieszy. A Luscia przyjedzie głodna jak wilk, to niech ma to, co lubi.

– Jak, ciociu, było na spotkaniu?

– Dobrze, przyszło sporo kobiet. Odmówiliśmy różaniec. Poczekaj – powiedziała i zniknęła mi na chwilę z widoku. – Zobacz, to jest ten znicz. – Wyjęła z reklamówki wielkie чудо, które było chyba czymś pośrednim pomiędzy małą rzeźbą a zniczem. Tak kiczowate, jak tylko można sobie wyobrazić. Wokół jakiegoś pala wił się anioł, nad nim tkwił krzyż, a wszystko to oplatało serce. W dodatku zdobycz cioci była dość sporych rozmiarów jak na zwykły znicz. – Będzie Ela zadowolona? – Ciocia szukała akceptacji w moich oczach.

– Pewnie, że będzie. Jeżeli zobaczy to z nieba czy skądkolwiek, to myślę, że się ucieszy.

– Wiesz, ta Elka to zawsze była cwana. Na pewno tu wróci, by sprawdzić, czy dotrzymałam słowa. Jak się zakładałyśmy, to obiecałyśmy sobie, że jak która nie dotrzyma słowa, to wracamy z zaświatów i straszymy. A Elżbieta jak wyjęła sztuczną szczękę i rozwichrzyła tę resztkę włosów, które miała, to bój się Boga. Nie chciałybyś jej zobaczyć tu w nocy.

Zaśmiałam się, bo próbowałam sobie wyobrazić cioci koleżankę z rozwianymi włosami spacerującą po nocy wokół domu. Zabawne te staruszki, choć pewnie dobrze, że mają tyle dystansu do siebie. Ciocia śmierć Eli przyjęła całkiem spokojnie. Nie było żadnej rozpacz, jakby los się toczył naturalną koleją rzeczy. I pewnie tak było. Trzeba się cieszyć, że dożyła tak pięknego wieku i tyle.

– To ja pójdę trochę odpocząć, jo? – spytała. – Bo zmęczona jestem.

– Jasne, ciociu. Kiedy tylko uda mi się zrobić obiad, to cię zawołam.

Ciocia poszła do swojego pokoju, a ja skończyłam obierać ziemniaki. Wstawiłam je w supernowoczesnym garnku, żeby było szybciej. W tym czasie zagniotłam ciasto na pierogi i odstawiłam je, by chwilę odpoczęło.

– Asiu, Asiu! – usłyszałam głos cioci. Aż podskoczyłam ze strachu. Kość ogonowa zabolęła, ale jak najszybciej popędziłam do pokoju, z którego dobiegało wołanie.

– Co?! – zawołałam, otwierając z impetem drzwi. Ciocia stała przy łóżku i coś trzymała w dłoni.

– Zobacz – powiedziała. Przed nos podsunęła mi serce z odłamaną dłonią. Jak na zawołanie zrobiłam się czerwona niczym burak. Jednak zauważyła!

– Ciociu, ja...

– Co to jest? – mówiła podniesionym głosem i nie odrywała wzroku od szklanej figurki.

– Ciociu, bo ja... wiesz, tyle tutaj tego... ścierałam kurz...

– Skąd to się tu wzięło? – zawołała i wskazała na szafkę, na której stały szklane przedmioty. Zdziwiłam się jej pytaniem, bo raczej spodziewałam się, że nie o to zapyta. Czekałam na burę za zniszczenie szklanego serduszka, a ta pytała mnie, skąd ono się wzięło.

– Jak to? – zdziwiłam się. – To nie stało tutaj?

– Nie! – Zobaczyłam, że ma łzy w oczach. Była bardzo poruszona. Siadła na łóżku i zapadła się lekko w ramionach.

– Ciociu, bo ja tu sprzątałam i spadł mi słonik. Myślałam, że to serduszko też, bo dokładnie nie widziałam, jak się zamachnęłam szmatą. A wtedy pod łóżkiem wymacałam to serduszko i słonika. Niestety obydwie figurki się uszczerbiły. Bo zobacz, to serduszko nie ma...

– Wiem, czego nie ma – przerwała mi. Była bardzo zdecydowana, inna niż zwykle, coś szorstkiego wyczułam w jej głosie. – Nie ma dłoni. Od początku jej nie miało.

– Jak to? Mówiłaś, że nie wiesz, skąd to się wzięło.

– Tak, bo szukałam tego długo, dlatego też wszystkie to szklane badziewie wystawiłam, bo ciągle miałam nadzieję, że po prostu nie widzę serduszka.

– Badziewie? – Zdziwiłam się, bo do tej chwili sądziłam, że te przedmioty są dla niej ważne.

– To badziewie. – Wskazała na stolik. – Kupowałam przez lata. Jak tylko gdzieś pojechałam, to przywoziłam sobie nic nieznaczące szklane pamiątki. Te kolorowe przywoziłam z Pragi.

– A to serce? – spytałam. Dostrzegłam, że aż drgnęła na to pytanie.

– Asiu, a tobie ziemniaki znów się nie przypalają?

– O rany! – krzyknęłam i pognałam do kuchni. Rzeczywiście ziemniaki były już miękkie. Odlalam spod nich wodę, bo chciałam jak najszybciej wrócić do cioci, by wyjaśnić sprawę dziwnego szklanego serca. Przełożyłam gorące ziemniaki do miseczki i dokładnie ugniotłam. Muszą przestygnąć, żeby z nich zrobić farsz. Będzie więc czas, by porozmawiać z ciocią.

Siedziała na łóżku i trzymała w dłoni ten szklany drobiazg. Zauważyłam, że ukradkiem ociera łzę z policzka. Na mój widok wyprostowała się i przyjęła beztroską minę.

– Ciociu, to serduszko jest dla ciebie ważne? – Pogłaskałam ją delikatnie po plecach. Miałam nadzieję, że to zachęci ją do mówienia.

– Jo – odparła. – To długa historia, a ty nie masz na nią czasu.

– Mam, ciociu. Ziemniaki muszą ostygnąć, a pierogi nie zając, poczekają.

– Dostałam to od pewnego mężczyzny... – Zawahała się, a ja dokładnie tak pomyślałam, że jak jest serce, to na horyzoncie musiał być facet. – To jedyna pamiątka, jaka mi po nim została... A poczekaj... – Zastanowiła się. – Ja mam przecież jeszcze zdjęcie, na którym jesteśmy razem. Chcesz zobaczyć?

Nie czekała jednak na moją odpowiedź. Odłożyła szklaną figurkę na poduszkę, podeszła do regału, gdzie stały albumy. Zdecydowanym ruchem sięgnęła po ten, który wcześniej przeglądałam. Przewróciła kilka stron.

– Patrz. – Podsunęła mi album pod nos.

– Który to? – spytałam, bo na stronie, którą wskazywała ciocia, znajdowały się cztery zdjęcia. Dwa z nich dość małych rozmiarów, więc postaci na nich były niewyraźne, tym bardziej że zdjęcia zostały mocno nadgryzione zębem czasu.

– Ten. – Ciocia wskazała na zdjęcie po lewej stronie. To akurat nie było małe, ale mocno żółkłe. Pod nim ktoś wypisał „1947”. Na zdjęciu stała para: młody mężczyzna i kobieta. On ubrany w garnitur skrojony zgodnie z ówczesną modą, a ona prawdziwa elegantka. Na głowie kapelusik lekko zakrywający jej prawą stronę twarzy. Cień padał na jej policzek. Trudno mi było rozpoznać jej twarz. Miała ciemną sukienkę. Z czarno-białej, mocno żółkłej fotografii trudno się domyślić, czy sukienka była czarna, czy po prostu ciemna. W pasie połyskiwał pasek, na szyi jakaś biżuteria. Zauważyłam też jej lekko podkręcone włosy wystające spod kapelusika. Kobieta miała w sobie elegancję i klasę. To się czuło nawet po latach. Mężczyzna był skromniejszy, ale chyba zadowolony, bo uśmiechał się do fotografa. Widać, że towarzystwo kobiety sprawiało mu przyjemność. Kim był ten człowiek, że ciocia z takim rozrzewnieniem go wspominała?

– Przystojny nawet – powiedziałam. – Choć kobieta ładniejsza, elegancka bardzo.

Ciocia zachichotała. Spojrzałam na nią zdziwiona. Doprawdy miała dziś pomieszane nastroje.

– Nie poznasz tej kobiety? – spytała.

– Nie. A powinnam?

– No przyjrzyj się dokładnie. – Ciocia zadowolona podsuwała mi album trochę bliżej. Ale z odległości dziesięciu centymetrów trudno coś dostrzec. Przyjęłam więc odpowiednią perspektywę.

– Hm, nie wiem. – Spoglądałam jednak na jej uśmiechniętą twarz. Jest coś w tym... – Ciociu!

– Jo?

– To ty?!

– Jasne, że ja. Przecież nie zawsze miałam osiemdziesiąt pięć lat, nie? No, w sumie jeszcze osiemdziesiąt cztery przez miesiąc. Nie ma się co postarzać.

– Oj, ciociu, niezła laska z ciebie była – powiedziałam ze szczerym podziwem. – Ile miałaś wtedy lat?

– W czterdziestym siódmym miałam dokładnie dziewiętnaście – odpowiedziała. – Dobrze liczę, nie? Teraz mamy dwa tysiące trzynasty, a ja urodziłam się w dwudziestym ósmym.

– A ten facet?

– On miał dwadzieścia. Był dokładnie rok ode mnie starszy.

– Ciociu, nie pytam o wiek, ale o to, kim on jest. To ktoś z rodziny? Jakiś mój wujek?

– Nie. Choć mógł nim być – szepnęła.

– Umarł? – spytałam.

– Nie wiem. W czterdziestym ósmym albo dziewiętym widziałam go po raz ostatni. Nie wiem, co się z nim stało. Może jeszcze żyje... – zamyśliła się. – Całkiem możliwe, że jest teraz takim starym pierdołą jak ja i gdzieś tam w świecie sobie spokojnie egzystuje.

– A kto to?

– Spotykałam się z tym mężczyzną. Henryk. To była moja wielka miłość. Największa i jedyna. – Westchnęła. – I przekleństwo – dodała po chwili. – Głupia byłam i młoda, narobiłam sporo błędów w życiu. Ale wiesz, jak to jest, gdy się człowiek zakocha. Nie myśli. A po wojnie chciałam żyć. Po tym jak wyszliśmy z mamą z obozu, obiecałam sobie, że będę korzystać z tego, co przyniesie życie, bo życie jest tak kruche, że nie można go marnować. Widziałam tyle strasznych rzeczy, Joasiu. A potem nagle los dał mi miłość Henryka.

– Ale co się stało? Bo ty nie wyszłaś za mąż, prawda?

– Nie wyszłam. Opowiem ci kiedy indziej, dzisiaj nie chce mi się o tym gadać. To serduszek dostałam właśnie od niego. Sam je zrobił. Pracował w hucie szkła.

– To tu była huta?

– Jest jeszcze. Ledwo przedzie, ale jest. Kiedyś to była duża huta. Robili szkło na całą Polskę.

– Ciociu, ty koniecznie musisz mi o wszystkim opowiedzieć!

– To będzie nudne. – Zaśmiała się. – Starzy ludzie to przecież nudziarze.

– Idę teraz robić pierogi, bo naprawdę zostaniemy dzisiaj bez obiadu. Ale potem w wolnej chwili opowiesz mi, co?

– Opowiem, opowiem. To już wiem po kim nasza Lusia taka ciekawska.

– To Lusia już zna tę historię?

– Jo. Jakoś tak wyszło. Kocham tę twoją córkę jak własną. To mądra dziewczynka.

– Wiem, ciociu. Ja też ją mocno kocham. Nad życie.

Zostawiłam ciocię samą w pokoju. Zaintrygowała mnie ta historia, ale musiałam zrobić obiad, bo Lusia z pewnością przyjedzie głodna jak wilk. Wzięłam się do farszu, kiedy w przedpokoju usłyszałam charakterystyczne szuranie kapturami.

– Asiu! – Rozległ się nagły krzyk. Jajko, które właśnie próbowałam wbić do miski z mąką, spłynęło mi na podłogę, bo wystraszyłam się tym nagłym wołaniem cioci.

– Cholera – rzuciłam. Chwyciłam ścierkę, by wytrzeć dłonie i pobiegłam do cioci. Stała przed szafą i na coś pokazywała.

– A co to? – spytała. Oświeciło mnie, że przecież nie sprzątnęłam tych ziemniaków, które zjechały po szafie po swoim bardzo efektownym locie z gara.

– A to, ciociu, nowa wersja bryzganych ziemniaków. – Zaśmiałam się.

– Wygląda jak zaschnięte smarki. – Ciocia z obrzydzeniem próbowała dotknąć palcem

tego, co przyłgnęło do drzwi. Wróciłam do kuchni po papierowe ręczniki i wytarłam szafę. – A ty wiesz, że bryzga się na ziemniaki maślanką, a nie ziemniakami przed siebie? – Ciocia uśmiechała się od ucha do ucha wyraźnie zadowolona ze swojego żartu.

– Wiem, ciociu, szkoda, że już wytarłam, bo można by na to bryzgnąć maślanką i obiad byłby gotowy.

– Jo, w dodatku podany na drzwiach. Toby się Luśka zdziwiła.

– W domu wariatów by nas pozamykała. A w kuchni na podłodze rozlane jajo, bo tak się wystraszyłam, jak krzyknęłaś, że mi poleciało.

– To nic, to się da – odparła, a wtedy doznałam olśnienia. Przecież tutaj na Kociewiu prawie każdy mówi „że to się da”, obojętnie czego by to dotyczyło. Zawsze się da, więc nie ma się co zamartwiać. Jak wszystko się da, to wszystko. Nawet dawca dla Szpilki się znajdzie. Nie ma innej opcji!

Wypucowałam szafę do końca i wróciłam do kuchni, by sprzątnąć i zabrać się wreszcie do tych nieszczęsnych pierogów. Ciocia usiadła przy stole. Sięgnęła po gazetę i zaczęła ją przeglądać. Co chwilę jednak zerkała na to, co robię i dyrygowała, że wodę do zagniatania pewnie dałam za chłodną, że ona nie daje jajek do pierogów, by ciasto nie było za twarde, że cienie trzeba wałkować. W końcu jednak domyśliła się, że mnie to lekko irytuje i kazała robić, jak uważam. Zagniotłam więc moje ciasto z jajkiem na akceptowalną przeze mnie grubość. Ciocia nie komentowała. I kiedy na stolnicy powycinałam kółka, by lepić pierogi, kazała postawić wszystko na środku stołu, bo razem pójdzie nam sprawniej. Widziałam, że coś ją gryzie, że przymierza się, by mi o czymś powiedzieć, ale nie chciałam naciskać. W duchu liczyłam na to, że w końcu poznam historię tajemniczego Henryka.

– Pokażę ci, jak się lepi pierogi na Kociewiu – powiedziała ciocia, rozciągając w palcach ciasto. Widać, że miała wprawę. Mnie szło niezdarne, ale moje pierogi na pewno nie wyglądały dużo gorzej niż te ciocie. Po prostu były w wersji awangardowej.

– We dwie to szybko pokleimy.

– Wiesz, Joasiu... – Ciocia zawahała się. – To szklane serce to pamiątka po Henryku. Szukałam go długo, bo gdzieś się zapodziało. Dziękuję, że je znalazłaś.

– To przypadek.

– Nie ma przypadków... – Znów się na chwilę zamyśliła. – Wiesz, ja zrobiłam coś strasznego...

– Ty? Nie wierzę.

– Naprawdę. Wiesz, kiedy wyszłam z obozu w Stutthofie, obiecałam sobie, że teraz będę żyć tak, jakby każdy dzień miał być ostatni. Tak chciałam się tym życiem najeść do syta. Wojna zabrała mi dzieciństwo. Wybuchła, kiedy miałam zaledwie jedenaście lat. Byłam dzieciakiem. A skończyła się, kiedy stałam się dorosłą, choć na papierze miałam zaledwie siedemnaście. I ja naprawdę, mając te naście lat, czułam się jak staruszka. Tak bardzo chciałam być znów młoda, cieszyć się życiem, miłością, wiosną. Bałam się, że wojna wróci, że znów coś stracę...

– Ciociu, ty nie musisz się przede mną tłumaczyć.

– Nie przerywaj, tylko słuchaj, bo za chwilę się rozmyślę, a chcę ci o tym opowiedzieć. To nie jest łatwe.

– Przepraszam – szepnęłam, bo widziałam, że ciocia walczy ze sobą. Waha się i zacina. Oczy zrobiły się jej szkliste, a dłonie drżały.

– Po wyzwoleniu obozu przyjechałam z mamą do Starogardu. Tata nie wrócił. Dwoje z mojego rodzeństwa nie przeżyło wojny, a Marysia z Rysiem mieszkali u babci w Zblewie. Niestety babcia sama radziła sobie z nimi, bo dziadka zaraz na początku wojny rozstrzelano w Lesie Szpegawskim. Byłaś już tam? Widziałaś?

– Nie.

– Asiu, musisz w końcu pojeździć po okolicy. W Lesie Szpęgawskim są mogiły zbiorowe. Tam Niemcy rozstrzeliwali Polaków. Pojeźdź, zobacz. Liczba tych mogił jest porażająca.

– Pojadę, ciociu. Na pewno. Ale wujek Rysiek był starszy od ciebie, nie? To pewnie pomagał babci.

– Jo, pomagał. Dobrze że był drobny i niski, zawsze wyglądał na młodszego niż w rzeczywistości. Dzięki temu na szczęście udało się mu przeżyć. Jednak Ala i Lucynka nie miały tyle szczęścia. Ala zmarła na tyfus, Lucyna zginęła od przypadkowej kuli, jak to na wojnie. Ja z mamą zostałyśmy wysłane do obozu. Tata nie wrócił z frontu. Wiesz, potem po wojnie jedynym mężczyzną w naszym domu był Rysiek, najstarszy z naszego rodzeństwa. A Marysia, twoja babcia, miała wtedy jedenaście lat. Była jeszcze dzieckiem wymagającym opieki. Mama naszego taty zamieszkała z nami, bo była bardzo chora, a i gospodarstwo zostało w czasie wojny całkowicie zrujnowane, a tutaj w Starogardzie wprowadziliśmy się do kamienicy rodziców mamy. Potem były z tym problemy, ale wtedy mieliśmy dach nad głową. Rysiek pracował po wojnie w fabryce obuwia, ja znalazłam pracę w zakładzie farmaceutycznym. Marysia też tam później pracowała, ale bardzo krótko, bo wcześniej wyszła za męża za Stasia Sikorę. Wyjechała do Bydgoszczy i urodziła twoją mamę. Ten zakład dobrze się po wojnie rozwijał. Zresztą to było miasto przemysłowe, więc o pracę nie było trudno. Mama pilnowała, żebyśmy zrobili szkoły. I nie wiem, jakim cudem, ale się udało. To były strasznie ciężkie czasy, ale cieszyliśmy się, że żyjemy, że udało się nam przetrwać.

– Ciociu, jeśli teraz nie chcesz, to nie opowiadaj – powiedziałam i czule pogłaskałam ją po dłoni, w której akurat lepila pieroga.

– O wojnie już nie będę – odparła. Wyprostowała się, wygodnie oparła. – Nie chcę do tego wracać, ale jest coś, co chciałabym ci powiedzieć.

Kiedy ciocia po krótkiej pauzie nabrała powietrza, by kontynuować opowieść, zadzwonił telefon. Próbowalam go ignorować, jednak jego sygnał był tak natarczywy, że w końcu chwyciłam aparat w brudne od mąki dłonie i odebrałam połączenie.

– Cześć, córciu! – Usłyszałam entuzjastyczny głos mamy. No, jakżeby inaczej, przecież musiała trzymać rękę na pulsie i doprowadzić sprawę przyszęłego zięcia do końca. – Co tam słychać? – Oczywiście pytanie było tylko pretekstem, bo przecież niedawno dzwoniła i od poprzedniego jej telefonu raczej nic się nie zmieniło.

– Lepimy z ciocią pierogi – zaczęłam tłumaczyć.

– Dobra, to powiem krótko. Jutro przyjeżdżamy z ojcem.

– Co? – Prawie zakrztusiłam się, próbując złapać oddech. – Jak to? Po co?

– A co ja córki i wnusi nie mogę odwiedzić?

– Nie, no jasne. – A że za tym coś stało, to pewne jak w banku. Moja mama nigdy nie przyjeżdża ot tak, bo się stęskniła. Zawsze towarzyszy temu jakiś genialny plan. – Ale pamiętasz, mammo, co mi obiecałaś?

– Oczywiście, córko droga. A czy ja się kiedykolwiek wtrącałam? Zawsze chodzi mi tylko o twoje dobro.

– Ta – stęknęłam w słuchawkę. – Dobra, mammo, o której jutro będziecie, bo lepimy z ciocią pierogi, Luśka zaraz wpadnie głodna jak wilk.

– Z domu wyjedziemy o szóstej lub siódmej, więc około jedenastej powinniśmy być.

– O, to wcześniej – powiedziałam. I to już było bardzo podejrzane, że tak nagle mamę wzięło na tęsknoty. Znów coś uknuła i obawiam się, że to ja będę główną bohaterką jej genialnego planu.

– Powiedz cioci, dobrze?

– Dobrze.

– Pa. – Mama się wyłączyła. Odłożyłam telefon. Ciocia przyglądała mi się z zainteresowaniem.

– I co ta twoja mama wymyśliła?

– Jutro przyjeżdża – odparłam i opadłam na krzesło. Chwyciłam ciasto i zaczęłam je nerwowo ugniatać w dłoniach. Ciocia uśmiechnęła się.

– Spokojnie, może nie będzie tak źle, przecież już cię swatać nie musi, nie?

– No właśnie, ciociu, obawiam się, że ona dopóki nie zobaczy papierka z urzędu stanu cywilnego, dopóty będzie mnie swatać. A zięcia sobie przecież wybrała, teraz tylko doprowadzi sprawę do końca.

– To postaw się. Przecież matka nie może sterować twoim życiem.

– Oj, ciociu, nawet nie wiesz, jakie to trudne. Musiałabym chyba ją związać i zakneblować, a potem wrzucić do ciemnego lochu.

– To się da. Piwnica u mnie duża. – Zaśmiała się, a ja oczyma wyobraźni zobaczyłam mamusię w ciemnym lochu i, niestety, dusza we mnie złowrogo zachichotała.

– Dobra, lepmy te pierogi, bo nie skończymy nigdy.

– Wstaw już wodę.

Spojrzałam na zegarek i od razu przyspieszyłam ruchy. Dzisiaj wszystko mi się ciągnęło jak gumka w kalesonach, a czas i tak bezlitośnie przeciekał pomiędzy palcami. Luśka powinna być za pół godziny.

Nalałam wody do garnka. Osoliłam ją żdziebko i wróciłam do lepienia pierogów. Zostało jeszcze trochę ciasta i farszu. Wyrobić trzeba było wszystko, żeby się nie zmarnowało, a pierogi potem się zamrozi i będzie awaryjny obiad.

Ciocia już nie wróciła do opowieści o tajemniczym Henryku. Ja też zajęłam myśli przyjazdem mamy, więc nie pytałam. Ponadto w takich sytuacjach nie ma co naciskać i ponaglać. Sama opowie, kiedy będzie gotowa. Przyglądałam się staruszce lepiącej w skupieniu pierogi. Nic nie mówiła, a jednak wargi lekko jej drżały. Być może analizowała to, co ma mi powiedzieć, a być może wróciła na chwilę do przykrew przeszłości. Lekko przygarbiona, nie wiadomo czy starością, czy wspomnieniami, pochylała się nad stołem. Dopiero teraz dotarło do mnie, jak wiekowa jest ciocia Zosia. Na co dzień tego nie zauważałam. Była energiczna i dowcipna, miała koleżanki, zainteresowania i swój świat, a dziś po raz pierwszy ujrzałam w niej starowinkę, którą życie mocno doświadczyło. Westchnęłam i skupiłam wzrok na pierogach, które w moich palcach przybierały oryginalne kształty.

Kiedy ostatni pieróg został ulepiony, a w wodzie bulgotała kolejna partia gotowa do wyjęcia, klucz w drzwiach zazgrzytał i pojawiła się Luśka. Jak zwykle miała rozchełstaną kurtkę i rozwiany włos, za to usta elegancko pomalowane różowym błyszczkiem. Odruchowo spojrzałam na jej stopy. Ciężkie buty zostały starannie zabłocone przez moją mądralińską latorośl. Z pewnością kilka dni nie widziały szcztotki i pasty, ale kto by miał na to czas, z pewnością nie nastolatka. Uśmiechała się od ucha do ucha i widać było, że próbuje skupić się na zapachach dolatujących z kuchni. Zmarszczyła nos, na którym, jak zawsze, błyszczały drobne kropelki potu. To był znak rozpoznawczy mojej córki. Od razu po porodzie zauważyłam, że mój maluszek najbardziej poci się na nosku. Ku utrapieniu Lusi to nie mijało. Zawsze więc, odkąd skończyła trzynaście lat, miała w torebce puder, by zatuszować niedoskonałości.

– Cześć. Co na obiad?

– Ziemniaki bryzgane – zażartowała ciocia, a Luśce od razu buzia się uśmiechnęła jeszcze bardziej.

– Mniam, mniam. Ruskie?
– Ruskie – odpowiedziałam. Kiedy Lusia poszła myć ręce, ja już podsmażałam cebulkę i nakładałam pierogi na talerze. Pachniało smakowicie. Ciocia powtarzała, że jest głodna i zje z dziesięć pierogów, a potem najwyżej się będzie odchudzać.
– Mamo, tylko dużo poproszę. – Luśka zasiadła przy stole naprzeciwko cioci. Trzymała już widelec w gotowości.
– A jak tam w szkole?
– Normalnie – odparła.
– Czyli?
– Aha, zapomniałabym. Rozmawiałam dziś z wychowawczynią, potem z dyrektorem, a na końcu z pielęgniarką w sprawie akcji szukania dawcy. I wiesz?
– No? – Postawiłam na stole talerze z pierogami. Usiadłam obok Luśki, która prawie natychmiast wpakowała sobie gorącego pieroga do paszczy, a po chwili machała dłonią, by ostudzić to, co właśnie próbowała pogryźć. – Spokojnie, bo się poparzysz.
– Użżż... se... pppazyyya – bełkotała z otwartymi ustami.
– Lusia, daj, podmucham – powiedziała ciocia i przystąpiła do dmuchania w twarz Luśce, a ta o mało nie zadławiła się ze śmiechu. W końcu jednak udało się jej pogryźć gorącego pieroga i następnie wkładała do ust z większą ostrożnością.
– To opowiadaj wreszcie.
– No, i dyrektor się zgodził. Podobno co jakiś czas robią takie akcje. Współpracują z jedną fundacją, która się tym zajmuje i robi w szkole pogadanki. Rejestrują też dawców. Mam dla ciebie ich wizytówkę, to może dasz panu Piotrowi, a on się z nimi skontaktuje. Albo z dyrektorem by musiał pogadać.
– Dobra, Luśka, jesteś cudna córka.
– Wiem. – Uśmiechnęła się. – Ale ty za to robisz najlepsze ruskie na świecie.
– A ja? – spytała ciocia. – O mnie nie zapominajcie, co? Kto jest najlepszą ciocią na świecie?
– Ba! Wiadomo – odpowiedziałam, a Lusia od razu potwierdziła. – No, to jak już sobie pokadziłyśmy, to skończmy jedzenie w spokoju. Aha – dodałam po chwili. – Babcia jutro przyjeżdża.
– To żart? – spytała Lusia.
– Niestety nie.
– Ale to fajnie, znów się szykuje jakaś rewolucja! – zawołała z entuzjazmem.
– Luśka, ty mnie nawet nie denerwuj takimi tekstami.
Po obiedzie powkładałyśmy talerze do zmywarki. Trochę ogarnęłam kuchnię. Ciocia poszła mówić różaniec albo słuchać radia, Lusia miała podobno dużo nauki, a ja pobiegłam jeszcze do Piotra zanieść mu wizytówkę fundacji zajmującej się szpikiem. Pani Beata wpuściła mnie do jego pokoju. Akurat był u niego Sebastian. Pierwszy raz zobaczyłam ich razem tak blisko siebie. Siedzieli przytuleni. Zrobiło mi się głupio, że zakłócam ich spokój i niczym intruz wdzieram się do pokoju. Od razu obaj wstali, by się przywitać. W ogóle nie byli zmieszani. Zachowywali się bardzo swobodnie. Sebastian jak zwykle miał na sobie rurki w kratkę. Skąd on brał te spodnie à la pan Kleks, nie miałam pojęcia, ale obiecałam sobie, że kiedyś go o to spytam.
– Nie chciałam wam przeszkadzać – powiedziałam.
– E tam, nie przeszkadzasz. Tak sobie rozmawiamy. Siadaj.
Powtórzyłam Piotrowi to, co przekazała mi Lusia. Ucieszył się, bo podobno z tą fundacją współpracuje od czasu do czasu i dobrze zna jej prezesa. Kiedy mówił, przyglądałam się Sebastianowi. Widać było w jego oczach miłość do Piotra. To, jak na siebie patrzyli, mowa ich

ciał – wszystko wskazywało na to, że łączy ich piękne uczucie. I nie miało znaczenia, że są tej samej płci. Miłość podobno nie zna granic. I pomimo to że brzmiało to jak wyświechtany banał, to świetnie sprawdzało się w życiu.

– Napijesz się z nami wina? – spytał Sebastian.

– Nie chcę wam przeszkadzać. I tak wparowałam tu bez zapowiedzi.

– Co ty gadasz? – zdziwił się, a po chwili postawił przede mną lampkę wypełnioną do połowy. – Dobrze ci to zrobi, bo widzę, że coś nie halo.

Podaliśmy mu wizytówkę, którą dostałam od Lusi, i pokrótce opowiedziałam, o co chodzi. Piotr ucieszył się bardzo, bo to dawało nowe możliwości. Przy okazji stwierdził, że jeszcze zaangażuje kilka innych szkół średnich. Dyrektorka, u której byłam w Tczewie, na pewno mu nie odmówi.

– Mama jutro przyjeżdża – powiedziałam.

– A to źle? – zdziwili się obaj.

– Piotr chyba wie, jakie dziwne pomysły ma moja mama. – Spojrzałam na niego. Uśmiechał się, a w jego oku zauważyłam dziwny błysk. Zrobiło mi się głupio, bo od razu przypomniałam sobie pierwsze spotkanie z Piotrem. Miałam wtedy wrażenie, że na ziemię zstąpił młody bóg. Wydał mi się nawet zbyt piękny, by mógł być prawdziwy. A jego błękitne oczy zatykały dech w piersi. Potem okazało się, że moja genialna mamuska obmyśliła strategię, by zrobić z nas parę. Współpracowała z panią Prazmowską, która bardzo chętnie wyswatałaby dorosłego syna. Żadna z nich nie miała wtedy pojęcia, że Piotr jest w związku z Sebastianem.

– To prawda, ale to chyba u was rodzinne. – Zaśmiał się, a ja od razu wiedziałam, co miał na myśli. Moje dziwne, zupełnie bezzasadne wyobrażenia na jego temat! W dodatku wysnute na podstawie fragmentu podsłuchanej rozmowy! Przyczajona przy drzwiach budynku, w którym miałam zostawić blachy ciasta po zakończeniu festynu charytatywnego zorganizowanego dla jednego z podopiecznych hospicjum, usłyszałam wyznanie miłości. Potem, jak ostatni głupek, czekałam schowana za gzymsem, żeby zobaczyć, z kim Piotr rozmawiał. Pech chciał, że wychodziło z niego dwóch chłopców. Dodałam dwa do dwóch i wyszło mi to, co wyszło. Że mnie wtedy nikt nie walnął w rozczochraną łepetynę!

– Już przepraszałam za to – burknęłam, bo nie miałam ochoty do tego wracać. Co mi wtedy strzeliło do łba, by myśleć, że Piotr to pedofil, nie mam pojęcia.

– Sorki, żartuję.

– Ale fakt, że to dziwne było – wtrącił Sebastian. – Przecież Piotr to najcudowniejszy człowiek na świecie i nawet muchy by nie skrzywdził.

– Jasne, ale wiesz, też się nad tymi swoimi urojeniami zastanawiałam i podejrzewam, że to wina pracy. Jeśli spotykasz dzieciaki, które opowiadają ci o tym, jak dziadek, wujek czy sąsiad je molestował, to potem masz taki czujnik w łepetynie i wiesz, że osoby, których teoretycznie nigdy byś o takie rzeczy nie podejrzewał, są w stanie to robić. – Zamyśliłam się na chwilę. – Pamiętam opowieść jednej z uczennic. Opowiadała mi to z takimi szczegółami... Miała potrzebę wygadania się, a ja musiałam tego słuchać. Potem długo budziłam się z tymi okropnymi obrazami przed oczyma. Brrr. To było straszne.

– Rozumiem – odparł Sebastian. – Na zimne lepiej dmuchać. Nawet jeśli coś się wydaje obrzydliwe i nierealne, to zawsze lepiej sprawdzić, niż potem żałować, że się nic nie zrobiło.

– Mam nadzieję, że kiedyś jednak wszyscy o tym zapomnimy. – Upiłam łyk wina.

– Już nie pamiętamy. – Piotr się uśmiechnął. – Na szczęście wszystko dobrze się skończyło i zostałam oczyszczony z zarzutów.

– No, a moja mama po tym falstarcie ze swataniem mnie z tobą, teraz upatrzyła sobie Artura...

– Niezła ta twoja mamuśka. Ale dasz sobie z nią radę.

– Dobra, lecę już, bo tylko zawracam wam głowę, smęcę i przeszkadzam. – Dopiliśmy szybko wino. Nie czekałam, aż będą mnie zatrzymywać. Od razu podeszłam do drzwi. – Będziemy w kontakcie! Zadzwoń do tej fundacji?

– Jasne.

Ledwo wyszłam za próg, a zawibrował mi w kieszeni telefon. Spojrzałam na wyświetlacz. Esmes od Artura: „Tęsknię”. Ciepłej mi się zrobiło na sercu. Odpisałam równie krótko: „Ja też”. Dzisiaj miał dyżur w szpitalu. Pewnie doglądał połamane pacjentki, a te się do niego wdzięcznie uśmiechały. Cały czas był przecież do wzięcia i niejedna sobie na niego ostrzyła pazurki.

Rozdział 5

Ze snu wyrwał mnie budzik ustawiony w telefonie. Wlepiłam w niego bezmyślne spojrzenie, zanim w pełni dotarło do mnie, dlaczego dzwoni. Dopiero wtedy zerwałam się jak poparzona.

Pobiegłam sprawdzić, czy Luśka wstała do szkoły. Na szczęście jej łóżko było puste. Poprawiłam pościel. Nakryłam patchworkową kapą i zesłam na dół do łazienki. Dzisiaj nie miałam czasu na zbyt długie stanie pod prysznicem. Trzeba było się uwijać, żeby zdążyć wrócić do domu przed przyjazdem rodziców. Mamuśka byłaby w stanie pomyśleć, że zdezerterowałam. A ja przecież wszystko biorę na klatę. Nie uciekam. Ewentualnie mam problem z podjęciem decyzji, w którą stronę powinnam iść.

Samochód czekał na mnie na parkingu na końcu naszej ulicy. Miałam wrażenie, że zderzaki uśmiechają się na mój widok. Pogłaskałam czule mojego nissana po dachu. Poklepałam i w końcu wsiadłam za kierownicą. Przekręciłam kluczyk i mogłam gnać przed siebie. Samochód jednak zaczął pikać złowieszczo, bo nie zapięłam pasów. Z tego wszystkiego zapomniałam o bezpieczeństwie. Ustawiłam zestaw głośnomówiący i byłam gotowa do drogi. Najpierw hospicjum. Muszę zrobić lekcję z dziewczynkami. Potem zakupy, ciasto, rodzice i wspólny obiad. Plan wydawał się doskonały, choć pękał w szwach od liczby zadań.

Posuwałam się powoli w rządku samochodów. O tej godzinie wszyscy spieszyli do pracy, więc miasto jak zwykle było zakorkowane. I kiedy stałam grzecznie na światłach, zauważyłam, że mam nieprzeczytanego esemesa: „Przyjechałabyś do mnie o 10.00? Proooszę?”. To Doktor. O szóstej skończył dyżur, a o dziesiątej chce się spotkać? Aż tak się stęsknił? Światło przede mną zmieniło się na zielone, więc nie miałam jak odpowiedzieć. Dopiero kiedy zajechałam na parking przy hospicjum, odpisałam mu, że się postaram, ale nie wiem, czy zdążę, bo jestem u dziewczynek. Liczyłam na to, że coś jeszcze napisze, ale telefon milczał. Być może wiadomość wysłał, zanim się położył, a teraz odsypia nocny dyżur. Nie dzwoniłam, by go nie budzić. Wrzuciłam telefon do torebki. Spojrzałam na zegarek. Dochodziła ósma, więc może dam radę do niego dotrzeć na dziesiątą. Pojadę oczywiście na chwilę, bo przecież mama się zdenerwuje, gdy przyjedzie, a ani mnie, ani Lusi nie będzie w domu.

Zamknęłam auto i szłam przez parking, który powoli zapełniał się samochodami pracowników i gości hospicjum. Jednak na ławce tuż obok mignęła mi znajoma kobieca sylwetka. Spojrzałam. Mama Szpilki. Siedziała dokładnie w tym miejscu, gdzie kiedyś rozmawiałyśmy. Paliła papierosa i patrzyła nieobecny wzrokiem gdzieś w dal. Między jednym a drugim zaciągnięciem zaciskała mocno usta. Podeszłam do niej. Usiadłam obok. Wyciągnęłam przed siebie nogi i skupiłam swoje spojrzenie na stopach. Dłonie złożyłam, jakbym je szykowała do modlitwy. Wcisnęłam je pomiędzy uda. Szukałam odpowiednich słów, by zacząć rozmowę. Chwilę też przyglądałam się jej rudym butom na koturnie. Miały przybrudzone noski. Jedna ze sznurówek zgubiła plastikową końcówkę i rozwichrzyła się niczym pędzelek. Skupiłam na niej uwagę, próbując odciągnąć myśli od rozmowy. Spod spodni kobiety wyglądała biała skarpeta. Kontrastowała z dzinsowymi spodniami. Te drobne elementy garderoby mamy Szpilki pozwoliły mi zapanować nad myślami. Spojrzałam na jej twarz i ciągle zaciśnięte usta, które rozwierały się tylko po to, by przyjąć papierosa i wypuścić dym.

– Dzień dobry – powiedziałam, ale nie usłyszałam odpowiedzi. Wzrokiem wróciłam do oglądania butów. Prawdopodobnie nawet na mnie nie spojrzała. Przyłożyła papierosa do ust i po chwili wypuściła ustami dym. Szare obłoki unosiły się w powietrzu.

– Dzień dobry. – Ocknęła się po chwili. – Idzie pani do dziewczyn?

– Tak. A pani już była czy dopiero zbiera siły?

– Zbieram – odparła. – Zapali pani ze mną?

– Nie palę... – zawahałam się. – Ale z panią może puszczyć dymek. Tak dla towarzystwa i bez zaciągania. – Uśmiechnęłam się pod nosem. Podała mi paczkę, z której wielkimi literami spozierał na mnie napis „palenie zabija”. Wyciągnęłam jednego papierosa. Był cieniutki jak wkład do długopisu. Może mnie takie maleństwo nie zabije od razu, przemknęło mi przez myśl. Mama Szpilki podała zapalniczkę. Spojrzałam na nią. Zdobił ją satyryczny rysunek z dwoma żółwiami. Od razu rozpoznałam kreskę Mleczki.

– Dziękuję, że pani tutaj jest – odparła. Wydawała mi się w trochę lepszym nastroju niż ostatnio.

– To przypadek. – Zakaszlałam od wciągniętego właśnie dymu papierosowego. Chyba niechcący się zaciągnęłam.

– Pani Asiu, dlaczego pani to robi? – spytała, patrząc mi prosto w oczy.

– Ale co? Palę z panią? – zdziwiłam się. – W sumie to głupie, ale wie pani, czasami nawet chyba niepalący ma ochotę sobie posiedzieć z fajką w dłoni.

– Nie o to pytam – przerwała mi. – O tę akcję dla mojej córki.

– A, o to – odparłam i zamyśliłam się na chwilę. – Szczerze?

– Szczerze.

– Ze strachu – powiedziałam. – Ze strachu, że jeśli niczego nie zrobię, to dam sobie przyzwolenie na to, by poddawać się wszystkim przeciwnościom losu. A przecież trzeba walczyć.

– Walczyć? A może właśnie czasami trzeba jednak się poddać i nie robić sobie złudnych nadziei?

– Kiedyś przeczytałam, jak kobieta mówiła o sobie, że musi być tak silna, by mieć moc rozwalenia trumny od środka. Rozumie pani? Nie ma sytuacji beznadziejnych, trzeba mieć tylko siłę i wolę walki. Czasami oczywiście się przegra, ale w przekonaniu, że zrobiło się wszystko, co było w naszej mocy. Nie zawsze da się rozbić tę trumnę, ale trzeba próbować.

– Myśli pani?

– Tak. I nie ma złudnej czy niezłudnej nadziei. Nadzieja zawsze jest tylko jedna. Daje lekki podmuch wiatru, a wtedy można stawiać żagle.

Sięgnęła po kolejnego papierosa. Włożyła go do ust, a ja oddałam jej zapalniczkę. Znów spoglądała przed siebie. Jednak po chwili wrzuciła ją do kieszeni, a papierosa schowała do pudełka. Wstała. Podała mi rękę.

– Dziękuję. Idzie pani? – Pokazała głową w kierunku hospicjum. Zgasiłam więc z ulgą mojego niedopalonego slima i razem z nią poszłam do dziewczynek. Ucieszyły się na nasz widok. Pati nie mogła się doczekać lekcji. Mrówka chciała dzielić się wrażeniami po przeczytanej bajce, a Szpilka pobyć z mamą. Dało się to jednak wszystko pogodzić. Pati nie była dziś podłączona do kroplówki, więc mogłyśmy przejść do innej sali, by skupić się na nauce. Przypomnialiśmy części mowy i części zdania. Nie był to porywający temat, ale dziewczynka radziła sobie całkiem nieźle i chętnie wykonała wszystkie ćwiczenia. Nawet kilka razy uśmiechnęła się beztrudnie. Zauważyłam, że ma piegi na policzkach i bardzo proporcjonalne rysy twarzy. Kiedy czegoś nie wiedziała, charakterystycznie wruszała ramionami. A ja cierpliwie tłumaczyłam jeszcze raz. Godzina zajęć minęła bardzo szybko.

Kiedy wróciliśmy do sali, mamy Szpilki już nie było. Dziewczynki o czymś zawzięcie dyskutowały. Mrówka od czasu do czasu chichotała. Dzisiaj był chyba dobry dzień.

– Co tak się śmiejecie? – spytałam.

– Bo Szpilka w końcu napisała wiersz – powiedziała Mrówka, pokazując na nią palcem.

– Naprawdę?

– Tak. Przeczytać? – Szpilka usiadła na łóżku. Wygładziła dłonią koldrę. Poprawiła

zieloną piżamę, a przed sobą położyła kartkę i ołówek.

– Jeszcze pytasz? Czytaj. – Usiadłam na krześle tak, aby widzieć wszystkie dziewczynki.

– Tylko się nie śmiej, dobra? Bo to mój pierwszy wiersz w życiu.

– Dobrze, zachowam pełną powagę.

Szpilka odchrząknęła ze dwa razy. W pokoju nastąpiła cisza, aż w końcu zabrzmiały jej słowa:

W naszej sali jest wesoło, Aż chce się kręcić wkoło, Jednak łóżka nasze stare I stoją chyba tu za karę. Kręcić się nie dają wcale, może mają kółka za małe. Joanna pisze dla nas bajki, Jak dziwne stwory palą fajki. Mrówka ciągle książki czyta, A Pati zawsze ciekawsko pyta. – Koniec – powiedziała z dumą.

Mrówka zaczęła bić brawo. Przyłączyłam się do niej, bo przecież za tak piękny wiersz należały się oklaski.

– Wyszło super! – krzyknęłam. – Widzisz, a jednak potrafisz tworzyć wiersze. Im więcej będziesz pisać, tym będą lepsze.

– Śmiesznie jej to wyszło, nie? – wtrąciła Mrówka. – I o nas napisała.

– A ja niby ciekawska jestem? – zachichotała Pati.

– Napisałam też dla Krzysia, ale to przeczytałam tylko jemu – szepnęła, prawie w ogóle nie poruszając ustami i od razu zarumieniła się na twarzy. – Te rymy mi nie bardzo wychodzą – dodała.

– Zobaczysz, że im więcej będziesz czytać i pisać, tym będzie łatwiej.

– Czyli całe lata świetlne – podsumowała. – A przyniosłabyś mi z biblioteki jeszcze jakieś wiersze? – spytała. – Bo te już przeczytałam.

– Pewnie, że tak. Już lecę. – Chwyciłam książki z jej stolika i automatycznie spojrzałam na zegarek. Było wpół do dziesiątej, więc miałam jeszcze trochę czasu. Nie musiałam się spieszyć. Do Artura nie miałam przecież daleko, a samochodem dojadę w kilka minut.

W bibliotece od mojego ostatniego pobytu niewiele się zmieniło. Bez trudu potrafiłam już znaleźć miejsce, gdzie znajdowała się poezja. Poprzekładałam kilka książek, by zachować porządek alfabetyczny i wyciągnęłam tomik wierszy Małgorzaty Hillar, a potem poszukałam jeszcze czegoś w zupełnie innym klimacie. Znalazłam Kulmową. I te dwie książki zaniiosłam Szpilce. Zareagowała bardzo entuzjastycznie i z nową dawką energii przystąpiła do przeglądania tomików.

– A wiesz, że Hillar chodziła do szkoły w Starogardzie? – spytałam.

– Naprawdę? – Wszystkie dziewczynki spojrzały na mnie z zainteresowaniem.

– A to jest wielka poetka? – zaciekawiała się Pati.

– Pewnie, że wielka. Choć nie wiem, ile miała wzrostu. – Dziewczynki parsknęły śmiechem. – Na pewno znana – dopowiedziałam. – Możecie być dumne, że chodziła do szkoły w mieście, w którym wy mieszkacie.

– Więc najpierw to przeczytam – odrzekła Szpilka, przytulając książkę do drobnej piersi.

– Będę lecieć. Moi rodzice dzisiaj przyjeżdżają, ale jutro do was wpadnę na pewno.

Ucałowałam każdą dziewczynkę po kolei. Pożegnałam się i poszłam do samochodu. Miałam parę minut, by być na czas u mojego Artura, poczuć dotyk jego ciepłych dłoni i zatonać w szerokich męskich ramionach. Na samą myśl o nim niemalże poczułam zapach jego perfum. Ujrzałam łagodną oczy i przystojną, godną zaufania twarz dojrzałego mężczyzny.

Wyjechałam z parkingu. Słońce świeciło mi w oczy, więc opuściłam lekko osłonkę. Ruch w mieście trochę zmalął. O tej godzinie łatwiej było się przemieszczać autem. Zewsząd było widać oznaki wiosny. Śnieg nareszcie stopniał, zrobiło się cieplej. Gdzieś na rabatkach widziałam wczoraj krokusy. To napawało optymizmem. Do Wielkanocy zostało kilka dni, może

do tego czasu jeszcze bardziej się rozpogodzi. Jednak bezpowrotnie mijająca tegoroczna zima zapowiadała koniec urlopu. To ciągle gdzieś w zakamarkach mojej głowy dawało o sobie znać, wprawiając serce w dziwne drżenie.

– Eee – szepnęłam do siebie. – To pewnie moje ciśnienie wariuje. – Przyspieszyłam, by wyprzedzić jadący przede mną samochód. Wtedy zadzwonił telefon.

– Halo?! – krzyknęłam w stronę mikrofonu, bo miałam ustawiony zestaw głośnomówiący, ale jakoś nie bardzo wierzyłam, że po drugiej stronie dobrze było mnie słyszeć.

– Cześć, Aśka. – Usłyszałam głos Olgi, mojej przyjaciółki, z którą od kilku lat pracowałam w jednej szkole. Niezmiernie mnie to ucieszyło, bo dawno nie rozmawialiśmy.

– Cześć!

– Coś się długo nie odzywasz. Żyjesz? – spytała.

– Żyję. Jasne. Mam tu istny dom wariatów.

– A co się dzieje? Znów jakieś podejrzenia albo może klątwa fallusa się odezwała? – Zaśmiała się. Na wspomnienie o zakupach w sex-shope i noszeniu w torebce prezentu na wieczór panieński na mojej twarzy pojawił się rumieniec. To Olga wpadła na ten genialny pomysł, by naszej przyjaciółce Beacie sprezentować wibrator, a ja zgłosiłam się na ochotnika, że zrobię zakupy, które potem zdecydowanie mnie przerosły. Nie spodziewałam się, że aż tak się zawstydzę, patrząc na silikonowe penisy na półkach. A następnie okazało się, że to faktycznie była prawdziwa klątwa. Nie miałam gdzie w swoim pokoju ukryć gumowego potwora, więc nosiłam go na wszelki wypadek w torebce. Nie chciałam, żeby ciocia go zobaczyła, ale za to udało mi się, zupełnie przypadkowo, zademonstrować go sporej liczbie postronnych osób, z Luśką na czele. Moja córka stwierdziła, że noszę w torbie dość oryginalny paralizator.

– Długo by opowiadać – odpowiedziałam. – Ale za chwilę przyjeżdżają do mnie rodzice, więc coś się szykuje.

– A jak się posuwa sprawa z Doktorkiem? – Nie odpuszczała.

– Kurczę – zaśmiałam się. – Wszyscy mnie o to pytają. A to posuwanie mi się kojarzy jednoznacznie.

– A jest coś na rzeczy?

– Nieee.

– Aśka, żaden facet nie czeka tak długo. Jeszcze go wystraszysz!

– Olga – zmieniłam ton na bardziej poważny – wiesz, że ja się boję...

– Czego ty się boisz? Pierwszy raz masz przeciw za sobą.

– Nie, głupia – zachichotałam. – Boję się, że wszyscy mi tak bardzo tego Doktorka wkręcą, że w końcu mi go obrzydzą. Wiesz, to tak jakby cię ktoś namawiał do zjedzenia ciastka. I tak ci trą dupę, że w końcu nie możesz na to ciastko patrzeć. Rozumiesz?

– No – powiedziała. – A motyle masz?

– Mam. Całe stado. – Przypomniałam sobie to miłe łaskotanie w żołądku na myśl o dotyku Artura.

– No to wszystko będzie dobrze. Zobaczysz.

– Mam nadzieję. Nie chcę nic na siłę – odparłam. – A ty o tej godzinie nie w pracy?

– Mam na dwunastą, dlatego dzwonię, bo potem, gdy dzieciaki wrócą ze szkoły, to nie miałabym głowy, by pamiętać o telefonie. A ty w aucie?

– Taaa, jadę do Artura.

– Dobra. Nie przeszkadzam. Daj tylko potem znać, co i jak. Okej?

– Pewnie. Dzięki, że zadzwoniłaś.

– Baw się dobrze. – Rozłączyła się, a ja właśnie wjeżdżałam w uliczkę Artura. Zaparkowałam na chodniku, bo nie było tutaj innego miejsca. I jak za dotknięciem

czarodziejskiej różdżki przed drzwiami stanął Artur. Musiał obserwować ulicę przez okno, bo pojawił się, zanim zdążyłam wygrzebać się z auta. Wyszedł z domu w samym podkoszulku, aż ciarki mi przeszły po plecach na jego widok. W pierwszym odruchu zauroczyła mnie jego męska sylwetka, jednak w drugim – zmartwiłam się o jego zdrowie. Pogoda na pewno nie sprzyjała spacerowaniu w koszulce z krótkim rękawem.

– Nareszcie! – Ucieszył się i od razu chwycił mnie w ramiona. Mocno przytulił. Wystraszyłam się, że coś się stało, bo jaki facet przy każdym spotkaniu reaguje tak emocjonalnie na widok kobiety, z którą nawet się nie bzyknął?

– Udusisz mnie.

Rozluźnił ramiona. Pocałował mnie delikatnie w usta. Nawet nie zdążyłam dokładnie poczuć, jak smakuje, bo musnął je zaledwie w przelocie i od razu poprowadził do domu.

– Stało się coś? – spytałam, bo jego zachowanie było dziwne.

– Nie. Ale nie mogę żyć bez ciebie. – Oparł mnie o drzwi wejściowe. – Ja wariuję przez ciebie, nie mogę się na niczym skupić – szeptał mi do ucha. Miałam wrażenie, że chłonie mój zapach.

– Wariat z ciebie.

– Mówię poważnie. – Podniósł delikatnie moją brodę i spojrzał w oczy. Jak zwykle zrobił to tak głęboko, że nogi mi lekko zmiękły. A w żołądku motyle radośnie zatrzepotały skrzydełkami.

– O, matko – jęknęłam. I nagle czerwone neony rozbłysły w mojej łepetynie. Spojrzałam na Artura i jego maślany wzrok. Zdziwił się moim nagłym otrzeźwieniem. Lekko go od siebie odsunęłam.

– Zrobiłem coś nie tak?

– Nie, ale matka przecież.

– Jaka matka?

– Moja. Przecież zaraz rodzice przyjadą, a ja tutaj u ciebie ciągle jestem. Wpadłam tylko na chwilkę. Niestety muszę jeszcze zrobić zakupy i takie tam. Sam rozumiesz.

– Dobrze. – Ku mojemu zdziwieniu zaczął nakładać buty. Patrzyłam na niego przez kilka sekund, bo nie bardzo rozumiałam, gdzie on teraz się wybiera. – Pomogę ci – oświadczył, widząc moje ogłupienie.

– Jak to?

– Normalnie. Chodź, pojedziemy po zakupy, a potem pomogę ci coś pysznego ugotować. Robię przecież najlepsze zapiekanki pod słońcem. Zapomniałaś?

– No nie wiem... – Nie dał mi jednak wyrazić moich wątpliwości. Przerwał je soczystym buziakiem.

– Przecież z tego, co opowiadałaś o mamie, wynika, że przyjeżdża na zwiady, tak? – Spojrzał na mnie. – To dajmy eleganckie przedstawienie. Niech się mamusia ucieszy.

– Nie wiem... – Znów buziak przerwał mi na początku zdania. Uśmiechnęłam się do niego, bo tak to ja mogę żyć w ciągłej niewiedzy.

– Chodź, nie ma na co czekać. – Otworzył drzwi. Wypuścił mnie przodem. Wskazał na mój samochód, a po chwili dodał, że to ja prowadzę, więc poczułam się prawie jak królowa, choć ona pewnie miałaby prywatnego kierowcę.

Przekręciłam klucz w stacyjce, pozapinaliśmy pasy. Arturowi pod nogi rzuciłam moje torbiszczki i mogliśmy jechać. Doktor najwidoczniej był z siebie bardzo zadowolony, bo siedział wygodnie rozpostarty w fotelu i uśmiechał się od ucha do ucha. A ja marzyłam o tym, by mieć dość siły, aby przeciwstawić się matce w jej nowych genialnych planach, obojętnie czego dotyczyły. Odchyliłam głowę. Mocniej chwyciłam kierownicę. Po chwili zdecydowanym ruchem

nacisnęłam sprzęgło, zmieniłam bieg. Na dłoni ciągle spoczywającej na gałce poczułam ciepłe muśnięcie. Artur dotknął moich palców. Ta niewinna pieszczota miała w sobie niezwykłą moc. Staralam się jednak nie reagować, by go nie spłoszyć i by nie przerwał starań.

– Asiu? – spytał i cofnął dłoń. – Masz przy sobie krem? Mam spierzchniętą skórę, a zapomniałem posmarować dłonie w domu.

– Oczywiście, że mam. Wymacaj sobie w torebce, a ja postaram się znaleźć miejsce parkingowe.

Artur sięgnął po moją torebkę. Wsunął rękę do pierwszej lepszej przegródki i po omacku szukał czegoś, co przypominałoby w dotyku pudełeczko z kremem. A ja starałam się w ogóle nie dziwić temu, że chce nawilżyć dłonie. Mój były mąż z pewnością tego nie robił, a innych doświadczeń, niestety, nie miałam.

– Poczekaj, zaraz zaparkuję i znajdę.

– Jak ty się w tym wszystkim łapiesz? – spytał. – O, czekaj, chyba mam jakieś pudełeczko. – Wyciągnął coś z torebki. W tym czasie kończyłam prostować koła wzdłuż wyrysowanych linii. Oczywiście wybrałam miejsce daleko od wejścia do sklepu. Spojrzałam na Artura. Wyglądał, jakby się czymś zadławił.

– Co tobie? – Zdziwiłam się, bo w dłoni trzymał pudełeczko z kre... No, ja się zastrzelę. Klasyk w moim wydaniu. Próbowałam mu to odebrać, ale zasłonił się i nie dał sobie wyrwać. Czytał, co było napisane na wieczku.

– Jesteś gejszą? – zapytał w końcu, dławiąc się śmiechem.

Kurza twarz! Kompletnie o tym zapomniałam. Kiedy kupowałam w sex-shopie silikonowego potwora na wieczór paniński przyjaciółki, sprzedawca zapakował mi w gratisie dwa gadzety, w tym właśnie to, co dzierżył w dłoni Artur.

– Dawaj! – krzyknęłam, choć też chciało mi się śmiać.

– Kusisz, oj, kusisz, a moje nerwy napięte są jak postronki. – Zamknął pudełeczko i wrzucił je z powrotem do torby. Zbliżył się do mnie i spojrzał w oczy. – Wypróbujemy to kiedyś? – szepnął.

– To się zobaczy. – Cmoknęłam go w usta. – A teraz chodź, bo nie zdążymy wszystkiego załatwić.

Artur najwyraźniej był bardzo z siebie zadowolony. Prawie cały czas coś podśpiewywał pod nosem, od czasu do czasu tylko przerywając, by odpowiadać na „dzień dobry” ludzi, których mijaliśmy. On pakował do koszyka niezbędne produkty do zapiekanki, a ja pozostałe rzeczy. Kupiłam też gotowe ciasto, bo plan, by coś dzisiaj upiec, już dawno spalił na panewce. Nie wiem, na jak długo zostaną rodzice, więc na wszelki wypadek dorzuciłam do koszyka pojemnik z twarogiem na sernik.

Podjechaliśmy przed dom po jedenastej, jednak samochodu rodziców nie zauważyłam. Wszystko więc przebiegało zgodnie z moim wcześniejszym planem.

Weszliśmy do domu. Z kuchni dobiegały bajeczne zapachy. Ciocia, ubrana w elegancki biały fartuszek z kociewskim haftem, krzątała się od szafki do szafki.

– No, nareszcie! – wykrzyknęła na nasz widok. – Goście w drodze, a ciebie nie ma i nie ma. – Po chwili dopiero spostrzegła Artura z siatami w obu dłoniach. – Dzień dobry, Arturku. – Uśmiechnęła się na jego widok, a do mnie mrugnęła porozumiewawczo. Nie wiem, jak to miałam odczytać, ale powoli reakcje na niego zaczynały mnie irytować. Nawet cioci się udzieliło. Ja rozumiem, że samotny lekarz w średnim wieku, bez garba (jak to określała moja mamusia) w postaci dzieci, bez zobowiązań, to gatunek wymierający, więc łapać trzeba i nie wypuszczać z dłoni, ale jeśli jeszcze ktoś spróbuje mnie z nim swatać, to normalnie uduszę gołymi rękami jego, Artura, a na końcu siebie.

Artur czuł się w ciocinej kuchni jak we własnej. Nie pozwalał sobie pomagać. Kazał nam usiąść i patrzeć. Tak też zrobiliśmy. Zofia oddała mu nawet swój kociewski fartuszek, by nie zachlapał spodni, i patrzyła na niego jak na niezwykle zjawisko. Kilka razy szepnęła coś pod nosem na temat mężczyzn w kuchni, potem wymownie westchnęła, podparła głowę i przyglądała się uważnie. Nalałam nam po kubku kawy i mogłyśmy z ciocią spokojnie obserwować preludium do cyrku, który za chwilę miał się tutaj rozegrać.

Rodzice przyjechali przed dwunastą. Jakby mieli zamontowany czujnik, który im podpowiadał, że obiad właśnie dochodzi w piekarniku, a komitet powitalny jest prawie w komplecie. Nie było tylko Lusi, bo właśnie szczęściara siedziała sobie w szkolnej ławce i zanim wróci, pierwszy kurz po bitwie opadnie. Bo że będzie jakaś bitwa, to pewne jak w banku.

– Cześć, córciu! – zawołała mama od progu. Za nią wtoczył się do mieszkania tata obładowany tobołami. To był zły znak. Toboły zapowiadały kłopoty. – O, pan doktor! – ćwierkała mama. Po kolei ścisnęła wszystkich. Była bardzo podekscytowana, a to rozpałało w mojej głowie wszystkie lampki na czerwono.

– A gdzie mój kwiatuszek? – spytał tata, rozglądając się po mieszkaniu. Pewnie oczyma wyobraźni widział trzyletnią wnuczkę, która miała wybiec z pokoju z okrzykami radości. Czas dla niego stanął w miejscu. Momentami nie mógł uwierzyć, że jego malutka wnuczka, która przed chwilą jeszcze była „sitorą”, jest już prawie dorosłą kobietą.

– Kwiatuszek w szkole – odpowiedziałam. – Będzie około szesnastej.

– Ale coś wyśmienicie pachnie – westchnął. – Co to takiego?

– A, różne pyszności. Ciocia rano upiekła drożdżowe, a Artur właśnie zrobił zapiekankę. Proszę, siadajcie – zachęcałam, bo chciałam ich mieć pod kontrolą. Wskazałam miejsca, gdyż mama ciągle dreptała po mieszkaniu, zbyt natarczywie rozglądając się po wszystkich kątach. Jakby liczyła na to, że coś ukrywamy.

Kiedy w końcu udało się wszystkim zebrać przy stole, Artur wyciągnął z piekarnika swoje dzieło. Wielkie naczynie żaroodporne znalazło się pośrodku, pomiędzy naszymi talerzami. Parowało, tak intensywnie roznosząc smakowity zapach, że w brzuchu mi zaburczało.

Artur był mistrzem ceremonii. Sprawnymi ruchami nakładał na talerzyki odpowiednie porcje zapiekanki. Zostawił trochę w naczyniu dla Lusi i od razu schował tę porcję do piekarnika, bo stwierdził, że jeśli tego nie zrobi, to jej zjemy.

– Pyszne! – zachwyciła się mama. – Nie wiedziałam, że potrafi pan gotować.

– Jestem mistrzem!

– Nie chwal się – zażartowałam.

– Jedzmy, bo ostygnie – powiedział Artur, a wszyscy jak na komendę zaczęli kosztować jego wyśmienite danie. Tata jak zwykle wyrażał swój zachwyt nad potrawą. Mama ciągle o czymś opowiadała, jednak trudno mi było się skupić na tym, co mówiła. Było tak głośno, że nie mogłam wyłapać sensu tej dyskusji.

Kiedy zapiekanka zniknęła z naszych talerzy, ciocia postawiła na stole malinową nalewkę. Tata nalał każdemu mniej więcej po równo, a ja w tym czasie kroiłam ciasto. To kupne miało marne szanse przy drożdżówce cioci. Ekspres po kolei wypełniał filiżanki kawą. Zapachy w kuchni znów się wymieszały.

– Za spotkanie. – Mama podniosła kieliszek. Jej ekscytacja wydawała się nie mieć końca, choć do tej pory nie wyjaśniła przyczyn nagłego przyjazdu. Wyprostowała się i dumnie wypięła pierś podczas wznoszenia toastu. Tkanina bluzki niebezpiecznie się naprężyła, a guziki z trudem utrzymywały ją na miejscu. Oczyma wyobraźni zobaczyłam, jak moja rodzicielka rośnie jeszcze bardziej w dumę i mały błękitny guziczek strzela z jej piersi prosto w moją twarz. Coś we mnie radośnie zachichotało i na wszelki wypadek lekko przesunęłam się w prawo, by nie mieć przed

sobą naprężonej bluzki mojej mamy.

Nalewka stała się ostatnim punktem dzisiejszego obiadu. Powoli piliśmy lepki płyn, który przyjemnie rozlewał się w żołądku. Tata jako pierwszy chwycił z talerza ciacho. Zajadał je z apetytem, wydając z siebie od czasu do czasu pomruki zadowolenia.

– Mamo, co się stało, że tak nagle przyjechaliście? – spytałam w końcu. – Spodziewałam się was na Wielkanoc. To już niedługo... – Nagle zamarłam. Dodałam do siebie toboły, które wtaszczył do domu tata, i czas, jaki został do świąt. Ku mojej rozpaczy wyszedł z tego rachunku niezadowolający wynik. Rodzice mają zamiar zostać tu do końca miesiąca?! Całe osiem dni! Plus święta, to wychodzi dziesięć! Kurza twarz! Tworki na mnie czekają.

– Stęskniliśmy się – odparła mama. – A ponieważ jutro jedziemy do sanatorium, postanowiliśmy was zobaczyć.

– Jak to? – spytałam, bo jakoś podejrzanym mi się to wydało. Z ulgą stwierdziłam, że przynajmniej sprawa z bagażami się wyjaśniła.

– Normalnie. Załatwiliśmy sobie. Do Ciechocinka jedziemy. Dzisiaj sobie u was przenocujemy, a jutro pojedziemy odpoczywać. Tylko mam prośbę do ciebie. – Mama spojrzała na mnie. Przełknęłam ślinę. Chyba zbyt głośno, bo uśmiechnęła się od ucha do ucha. Potem wyprostowała się tak, że pod jej błękitną bluzką ponownie uwydatniły się piersi, a guziki niebezpiecznie naprężyły. – Babcia na święta zostanie sama, więc mogłabyś do niej pojechać.

– Nie, no jasne, że pojedę. Wezmę Lusię i skoczymy do niej w odwiedzinach.

– Pojadę z wami – wtrącił Artur. – A gdzie mieszka babcia?

– W Bydgoszczy.

– No, to się cieszę, że mamy wszystko ustalone. Nie będę się denerwować. A wy dacie sobie tutaj radę – skwitowała mama, wyraźnie ukontentowana przebiegiem rozmowy. Sięgnęła po ciasto i zadowolona zajadała je ze smakiem. Tymczasem skupiłam uwagę na ojcu, który beztrudnie wkładał do ust kolejny kawałek drożdżówki. Nie zauważałam, żeby kręcił się nerwowo, kiedy zasypywałam matkę gradem pytań, więc doszłam do wniosku, że rodzicielka musi mówić prawdę i tym razem obejdzie się bez żadnych podstępów wymierzonych w moją osobę. Poczulałam więc ulgę, że plan mamy nikomu nie rujnował życia. A jej wyjazd do sanatorium dawał nadzieję na spokój i niewtrącanie się w moje sprawy.

Rozdział 6

Uchyliłam okno, by wpuścić do pokoju trochę wiosennego słońca. Zapowiadał się piękny dzień. Nie tylko dlatego, że rodzice już pojechali. Pogoda nastrajała pozytywnie. Do wnętrza płynęło chłodne rześkie powietrze. Promienie słońca błyskały po blacie biurka. Na krześle obok wylegiwał się gruby kot i aż się prosił, by go pogłaskać po miękkim futerku. Zamruczał i przeciągnął się leniwie.

– Wiosna jest, wiesz? – szepnęłam do niego. – Pomarcowałbyś?

Nutuś jednak leniwie ziewnął i znów zwinął się w kłębek. Zamknął oczy, ignorując całkowicie wiosnę.

Poszłam do łazienki, by odpędzić ostatnie senne marzenie ze swojej twarzy. Wygładziłam dłonią zmarszczki, które natychmiast wróciły na swoje miejsce. Mościły je sobie przecież przez lata, zapamiętując każdy uśmiech i grymas.

Potem otworzyłam szafę w poszukiwaniu lżejszych ubrań. Przesuwałam wieszaki i myślałam o tym, że czas jednak odświeżyć swoją garderobę. Odbywałam codzienny ceremoniał „nie mam co na siebie włożyć”. W końcu stanęło na dzinsach i koszulce. Klasyk. Jednak czekało mnie tego poranka niemiłe zaskoczenie. Naciągałam dzinsy na dupsko. Szło mi tak opornie, że o mało się nie przewróciłam. W dodatku do zapięcia guzika brakowało ze dwóch centymetrów. Kurza twarz! Trzy razy w tygodniu biegam! Pot i łzy na darmo? Wciągnęłam brzuch tak mocno, jak się tylko dało i dopięłam wreszcie te cholerne dzinsy. Jednak jak się wciągnie z jednej strony, to musi wypłynąć z drugiej. Sadełko zmieniło się w oponkę pięknie się prezentującą nad paskiem. No, na pewno nie utonę, gdyby mi się zdarzyło wpaść do Wierzycy. Westchnęłam. Naciągnęłam koszulkę, jednak ta była zbyt opięta, więc wygrzebałam z szafy luźniejszy fason. Zakryłam wszystkie niedoskonałości i nie było tak źle. Ważne, by nikt mnie nie dotykał w obrębie talii.

Nagle rozzwonił się telefon. Jednym susem doskoczyłam do aparatu, by uporczywy dźwięk nie obudził cioci. Dzwonił Piotr.

– Cześć – powiedział lekko zdenerwowanym głosem. – Mamy problem.

– Problem? Z czym? – Zadrzałam, bo kłopoty moje i Piotra od razu kojarzyły mi się z dziewczynkami.

– Z grafikami – rzucił w słuchawkę.

– Z jakim grafikami? – Nie rozumiałam, o co chodziło.

– Z tym, co robił ilustracje do bajek.

– A co z nim?

– Ma jakieś kłopoty rodzinne i nie będzie miał możliwości, by zrobić rysunki.

– No to jesteśmy w dupie – wyrwało mi się. – Co teraz?

– Słuchaj, zacząłem już załatwiać, ale nie wiem, czy coś z tego wyjdzie. Przypomniałem sobie o kumplu z ogólniaka. On pracuje teraz jako zawodowy ilustrator w warszawskim wydawnictwie. Już z nim gadałem, ale nie wiem, czy ostatecznie się zgodzi. Przyjedzie do Starogardu jutro, bo teraz jest na warsztatach twórczych. Robi tu wystawę, więc przez jakiś czas będzie na miejscu. Wpadniesz jutro do fundacji?

– Jasne. O której mam być?

– Bądź o dwunastej. I trzymaj kciuki.

– Dobrze – odparłam. I całe zdenerwowanie minęło. Podświadomie czułam, że wszystko będzie dobrze. Przecież nie na darmo Kociwiacy mówią, że to się da. Ponadto Blubluś zawsze ze wszystkim sobie radził doskonale, a jego urokowi osobistemu trudno się było oprzeć, więc na pewno facet się zgodzi.

– Do zobaczenia, Aśka.

– Pa.

Rozłączyłam się i wyszłam na korytarz. Drzwi do pokoju cioci były uchylone. Przez szparę zauważyłam, że siedzi na łóżku z pochyloną głową i czemuś się przygląda. Delikatnie zapukałam w futrynę i kiedy zaprosiła mnie do środka, weszłam. Zobaczyłam staruszkę owiniętą starannie szlafrokiem. Miała rozwichrzone włosy, wydawała się krucha i nieszczęśliwa. Jej dziarski, zaczepny wyraz twarzy zniknął. W pierwszej chwili pomyślałam więc, że jest chora.

– Ciociu, coś się stało? – spytałam, siadając obok niej. Dopiero wtedy zauważyłam, że ogląda zdjęcia. Jej wzrok był wbity w fotografię Henryka. To przecież niemożliwe, by przez kilkadziesiąt lat nosić w sobie miłość do jednego mężczyzny. To zdarzało się w cikliwych romansach, a nie w życiu.

– Nie, nic. Tak sobie oglądam – szepnęła. – Chyba moja godzina coraz bliżej, bo robię się sentymentalna.

– Eee tam, ciociu. Tak nie można myśleć.

– Ładny był z niego mężczyzna, nie?

– Tak – odparłam zgodnie z prawdą, choć dzisiaj kanony piękna raczej inaczej się prezentowały.

– Masz z nim jeszcze jakieś zdjęcie?

– Nie, tylko to jedno.

– A opowiesz mi o nim?

– Opowiem, tylko obiecaj, że nie będziesz mnie oceniać.

– Nie śmiałabym – odparłam zgodnie z prawdą. Może kiedy ciocia w końcu wyjawia tę swoją tajemnicę, zrozumie, dlaczego dawno temu powtarzała, że wszyscy faceci to zło wcielone i przez nich tylko same kłopoty. Kiedy o tym pomyślałam, przypomniałam sobie siebie sprzed dziesięciu lat. Wychodziłam z sali sądowej i powtarzałam, że nigdy więcej nie dam się skrzywdzić żadnemu mężczyźnie, że żaden nie przestąpi progu mojego mieszkania. Wracalam do domu jako rozwódka i mamrotałam przekleństwa. Z wielką zjadłością rzucałam oskarżenia pod adresem wszystkich facetów i wierzyłam, że nigdy żadnemu nie dam się do siebie zbliżyć bardziej niż na wyciągnięcie ręki. A teraz wszystkie te przekleństwa szlag trafił i byłam bliska obdarzenia kogoś zaufaniem.

* * *

– Tylko nie przerywaj, jo? – Głos cioci wyrwał mnie z zamyślenia. – Mama pilnowała, żeby nas wykształcić, żebyśmy w ziemi nie robili. Zapisalam się więc na studia chemiczne i potrzebowałam szklanych menzurek na ćwiczenia. Ktoś podpowiedział mi, że najszybciej i najtaniej dostanę je w hucie szkła. Zależało mi na sporej liczbie tych naczyń, bo ciągle się tłukły, a profesorzy kazali przychodzić z nimi na zajęcia. Wtedy wszystkiego brakowało, więc nikogo to nie dziwiło.

Huta znajdowała się przy Kościuszki. Wiesz, gdzie to jest, jo? Dzisiaj ta ulica nie wygląda za ciekawie, jednak wtedy było zupełnie inaczej. Chociaż... Powojenne ślady ciągle przypominały o minionym czasie. Część domów wciąż pogrążona była w ruinach. Szłam po nierównym bruku, trochę się denerwowałam, bo widywałam w sklepiku obok naszego domu pracowników huty. Łatwo ich było poznać po bandażach na dłoniach albo bliznach po poparzeniach. Kiepsko tam zarabiano, a praca była ciężka, więc ich chude sylwetki czasami migaly mi na ulicy czy w sklepie. Niekiedy miałam wrażenie, że są jak widma. Wtedy gapi rosół nawet nie każdy miał. Wiesz, taką zupę ziemniaczaną z cebulą, zielem angielskim i olejem. Bida była, aż piszczało.

Weszłam do huty. Wówczas było to możliwe, żeby ot tak wejść z ulicy tylko dlatego, że się miało sprawę. Przeraziło mnie to, co zobaczyłam. Wielki hutniczy piec przypominał wrota piekieł. Okropny upał. Kobiety pracowały w lnianych koszulach bez rękawów. Stały przy specjalnej taśmie i sortowały szkło. Kilka osób pochylało się przy szlifierkach. Przez hałas przebijały rozśpiewane głosy pracowników. Ale mnie zaczarował widok pewnego mężczyzny. Postawny, przystojny, z lekko umorusaną twarzą. Miał na sobie okropnie ufufrany fartuch. Akurat wydmuchiwał szkło przez wielką rurę. Wyglądał pięknie na tle ogromnego pieca.

Na końcu rury pojawił się szklany bąbel, jakby za chwilę miał skapnąć na podłogę. Jednak mężczyzna panował nad tym, co robił. Stałam jak zaczarowana. To były czary. Potem znów wkładał to do ognia. Wyciągał. Dmuchał, formował. A po chwili odciął od rurki dzbanek. Wyczarowany przez niego. Nigdy wcześniej nie widziałam, jak się robi szklane naczynia. W tym było coś tak urzekającego, że stałam i patrzyłam na tego mężczyznę, w ogóle nie zauważając, że wszyscy wokół przyglądają się mi z zaciekawieniem. Zaczynają nawet podśmiewać się i żartować. Mężczyzna wreszcie podszedł do mnie i zapytał, po co przyszłam. Wyjaśniłam, o co mi chodzi. Jąkałam się i motałam, ale zrozumiał.

– Takich rzeczy niestety nie wydmuchujemy – odparł, ale też uważnie mi się przyglądał. Potem szepnął mi do ucha: – Ale jeżeli to dla panienki takie ważne, mogę to zrobić. Nikt chyba nie będzie miał za złe, jeżeli wesprzemy adeptkę chemii.

– Bardzo panu dziękuję. – Dygnęłam, ale wciąż nie mogłam oderwać od niego wzroku. To było jak uderzenie pioruna, jakby ktoś rzucił na mnie urok i nie pozwolił przestać na niego patrzeć. Uśmiechał się zalotnie, a na czole pokrytym kroplami potu miał taki zabawny loczek. Miałam ochotę go odgarnąć, ale bałam się, że gdy go dotknę, to zniknie. Pęknie jak szklana bańka, a to spotkanie okaże się snem. I stałam tam jak to ciele w barchanowej spódnicy, bo o niczym lepszym nawet pomarzyć wtedy nie można było.

Na drugi dzień przyszłam po odbiór moich menzurek. Zrobił ich aż dwadzieścia i nie chciał za to żadnej zapłaty. Tuż obok huty znajdował się bar. Zaprosił mnie, by tam w ciszy porozmawiać, bo mówił coś ciągle o tych menzurkach, a ja nie bardzo wiedziałam, o co mu chodzi. Kupiłam dwie kromki chleba ze smalcem, a on zamówił piwo. Długo rozmawialiśmy. Znów nie mogłam oderwać wzroku, choć na takiego babara wyglądał, że pewnie każda dziewczucha tak w jego oczy się wpatrywała jak ja wtedy.

Potem spotykaliśmy się regularnie.

– Mam żonę. – Zabrzmiało jak ogłoszenie wyroku, ale, uwierz mi, nie odstraszyło mnie to, że on miał kobitę. Początkowo miałam nadzieję po prostu na przyjaźń, jednak sama siebie oszukiwałam. Czułam, że mam prawo brać od życia to, co zabrano mi podczas wojny. A miłość była jedną z tych rzeczy. Wojna zabija wszelkie oznaki miłości. Wszelkie. Świadomie zdecydowałam się na romans z żonatym mężczyzną. Nie umiałam się temu oprzeć.

Wiesz, to trudno wyjaśnić. Nie chcę się tłumaczyć, ale chcę, żebyś zrozumiała. Pamiętasz wiersz tego młodego poety, co podczas powstania zginął? Tego Krzysztofa. Jak mu tam było? Zapomniałam. Ale nas nauczono wtedy, tak jak on pisał, że nie ma miłości, że nie ma litości, nie ma sprawiedliwości. A po zakończeniu wojny znów nam tłumaczono, że miłość, przyjaźń... Dla mnie to było schizofreniczne. Raz kazali żyć tak, potem inaczej, a jeszcze później wrócić do tego, co było na początku. Każdy by się pogubił.

Najgorsze jednak było przed nami. Przede mną i Henrykiem. Spotykaliśmy się od roku. Miałam wrażenie, że wszyscy o nas plotkowali. Jednak kiedy szłam do huty, uśmiechałam się, bo słyszałam rozśpiewane głosy pracowników. Wiesz, oni tam byli radośni i robili sobie żarty. Odkryłam, że to nie tylko spracowani, źle opłacani ludzie, czasami kiepsko się odżywiający, lecz przede wszystkim właśnie ludzie – roześmiani, pełni życia. A każdy objaw życia po wojnie był

dla mnie niczym skarb. Chciałam kolekcjonować radosne chwile. Głupia dzierlatka wtedy byłam, oj głupia. Nikt chyba nie wierzył, że tak szybko tłukły mi się menzurki, że wciąż musiałam przechodzić po nowe. Widzieli, że zbyt często tam jestem, że patrzę na Henryka jak w najświętszy obrazek, że wychodzimy razem, że w przerwach znikamy w jego izbie.

Gnieździł się nad hutą. Tam były trzy mieszkania. Widziałam w ich pokoju ślady tej kobiety. Jej ubrania, szpargały, a mimo to nie umiałam się oprzeć. Chciałam zbudować swoje szczęście na jej tragedii. Głupia baba ze mnie, jo?

W rogu pokoju stało łóżeczko, bo oni mieli synka. Jak ja jej zazdrościłam, że to ona dała Henrykowi dziedzica nazwiska! Nawet sobie nie wyobrażasz, jak ja jej zazdrościłam...

– Bój się Boga – powtarzała mi matka. – Przynosisz wstyd rodzinie.

– Mamo, ja nic złego nie robię. To tylko mój znajomy – tłumaczyłam, ale nikt chyba w to nie wierzył.

– Ojciec sprząłby cię na kwaśne jabłko, gdyby zobaczył, że biegasz do huty.

– Tatko by mnie nie uderzył.

– Nie tak cię, Zosiu, wychowaliśmy. Nie tak. Wspomnisz moje słowa. Zło wróci do ciebie, zobaczysz. – Te słowa niczym mantrę powtarzała moja matka, a mnie zawsze wtedy ciarki po plecach przechodziły, bo brzmiało to złowieszczo, ale nie było odpowiednią motywacją, by przerwać romans.

W latach czterdziestych, po wojnie, było jeszcze sporo ruin na przedmieściach. Znaleźliśmy dom, w którym jeden z pokoi miał wszystkie ściany. Dach w tym miejscu też raczej nie groził zawaleniem. Henryk pozamiatał, położył na podłodze jakieś deski i przytargał skądś siennik. Zrobił taki barłóg. To było straszne miejsce. Przypominało mi obóz. Ale z drugiej strony dało nam możliwość spędzania czasu bez świadków. Zabrałam z domu prześcieradło. Mama mi miotłą potem za to przetrzepała dupę, ale cóż to znaczyło w obliczu mojej wielkiej miłości?

Pamiętam ten dzień. Henryk zapalił lampę naftową i ustawił ją na podłodze, niedaleko naszego siennika. Tak aby żadne z nas nie potrafiło jej nogą. Było ciemno. Ta nasza izba nie miała oczywiście drzwi. Ludzie pokradli z tych opuszczonych zrujnowanych domów wszystko, co nadawało się do użytku. Po zakończeniu wojny sporo tutaj było szabrowników. Nie mogliśmy więc się zamknąć. Ryzykowaliśmy, że ktoś nas zobaczy, ale nie bardzo się tym przejmowaliśmy. Wydawało się nam, że tylko nasza miłość jest ważna. Nie pytałam Henryka, czy jego żona coś podejrzewała. Ta wiedza nie była mi do niczego potrzebna. On też na ten temat nie mówił. Katarzyna (bo tak miała na imię) dla nas nie istniała. Czasami coś Henryk opowiedział o synku, ale rzadko, a ja nie dopytywałam. Jego rodzina to był inny świat. Nie mój.

– Tak bardzo bym chciał cofnąć czas, żeby móc się z tobą ożenić – szepnął mi tego wieczoru. A ja wtuliłam się w niego mocno, bo chłodne powietrze hulało po zrujnowanym pokoju. – Tak bardzo chciałbym cofnąć czas...

– Henryku, nie myśl o tym. – Pocięłam się, a w duchu się modliłam o to, by móc codziennie budzić się u jego boku.

I niestety, tego wieczoru moje prośby zostały wysłuchane. Ocknęliśmy się nad ranem. Było niemilosiernie zimno. Miałam nieprzyjemne wrażenie, że ktoś się we mnie wpatruje. W otworze okiennym siedziało wielkie ptaszysko. Chyba kruk. Po chwili odleciał, ale to jego potworne krakanie przyprawiło mnie o gęsią skórę. Szturchnęłam Henryka. Obudził się z przerażeniem. Szybko zbieraliśmy nasze rzeczy. Kiedy weszliśmy na Kościuszki, zauważyliśmy, że coś jest nie tak. Ludzie biegali zdenerwowani. Ktoś machał do Henryka, krzyczał do niego. Przeszłam na drugą stronę ulicy, żeby nie widziano nas razem. Wtedy tam na drodze minęła mnie jakaś kobieta. Nie znałam jej, ale ona spojrzała na mnie takim wzrokiem, że zrobiło mi się jeszcze zimniej. Burknęła coś pod nosem, ale nie usłyszałam. Po chwili zobaczyłam, że Henryk

biegnie w stronę huty. Tam się coś działo, ale nie wiedziałam, co. Schowałam się za rogiem i patrzyłam na ten przeklęty budynek z czerwonej cegły. Przed nim ciągle panował wzmożony ruch. Jakby ktoś wetknął kij w mrowisko.

Zawiązałam chustkę na głowę, by mnie nie rozpoznano. Postawiłam wyżej kołnierz i stałam, przyglądając się widowisku. Jakiś magnes mnie tam trzymał.

– Pchnięto ją nożem. – Ktoś opowiadał. – Jakies żuliki napadły kobietę.

– Co ty mnie bajdurzysz? Banda jaka?

– Jo. Albo jaki bagabuńda. Czort wi.

– Oby go złepeli.

– Jo. Henrykową zadźgali. Ona sinka miała. Babka go wzięła, bo ryczał w chałupie.

– Niech to donder świśnie! Toć to młoda kobita była.

– Szukała chłopca po nocy, to się jej dostało. A ten za babami się uganiał, babar jeden.

– Pani, z chłopami to właśnie ino kłopoty. Latają za babami jak psy za sukami w rui.

Upilnować takiego to nijak nie idzie. A dzieciak w kołysce. Sumienia trza nie mieć, żeby ojca dzieciakowi zabierać.

– To ten Henryk taki pies na baby był? A w hucie to na żadną nie spojrzął.

– Aaa, bo jemu, kumo, panienki z lepszych domów w głowie były. – Kobieta zaśmiała się złowieszczo. – Bo te chyba lepiej nogi rozwierały. – I znów głośny rechot gawiedzi. Zasłoniłam więc mocniej twarz chustką i przemknęłam do domu. Jak złodziej. Tak się wtedy czułam. Asiu, cały świat mi się zawalił. Ta Kaśka zginęła przeze mnie. Poszła szukać Henryka. Dzieciaka samego w domu zostawiła i polazła w noc szukać swego chłopca. Kiedy ktoś wbijał w nią nóż, ja z Henrykiem... To tak jakbyśmy to my ją zabili. Mam jej krew na rękach. Od tamtej pory nie spotkałam się z Henrykiem ani razu. On też nie próbował. Podobno na pogrzebie płakał bardzo i krzyczał, że przeprasza, że nie chciał. Nie chciał, jo? Rozumiesz? A ja nawet po śmierci Katarzyny nie umiałam tego powiedzieć. Nigdy się go nie wyrzekłam. Zostawiłam tę miłość w sercu na zawsze. Co prawda pogrzebałam ją w nim na zawsze, ale nie wyrzekłam się.

Teraz możesz myśleć o mnie najgorsze rzeczy. Zasłużyłam na to. Modlę się co dzień za duszę Kaśki. Mam nadzieję, że mi wybaczyła. Pokutę przecież zadałam sobie okrutną. Nigdy, a to nigdy nie związałam się z żadnym mężczyzną. Złorzeczyłam im przez wiele lat, bo też czułam się zdradzona. Nie mogłam uwierzyć, że on żałował naszej miłości. Ja wiem, że to wszystko przez nas. Wiem, ale przecież uczucie na człowieka zsyła Bóg, jo? No, chyba że w naszym przypadku to sprawa jakiegoś Belzebuba, bo inaczej wytłumaczyć tego nie można. – Ciocia nie patrzyła na mnie. Siedziała z pochyloną głową. W dłoni drżała jej fotografia. Włożyła ją do albumu, a potem z hukiem go zatrzaskała.

– Taka jest twoja ciotka. Nie da się ukryć – dodała, mocniej otulając się szlafrokiem.

– Ciociu, to było kilkadziesiąt lat temu. Byłaś bardzo młoda – szepnęłam, głaszcząc ją po dłoni. – Nie ma co do tego wracać.

– Ach, Joasiu, ja chyba już stara jestem i potrzebowałam to z siebie wyrzucić. Nie użalam się nad sobą. Tak mnie ostatnio tylko wzięło.

– A ludzie ci nie dokuczali potem?

– Rysiek mnie bronił. Miał tutaj takie towarzystwo, że ludzie może gadali po cichu, ale bali się Ryśkowi podskoczyć. Mama przepłakała wiele nocy. Ciągle powtarzała, że tatko się w grobie przewraca. Tylko Marysia żyła jak Bóg przykazał. Po bożemu. Wyszła za męża i urodziła twoją mamę. Rysiek też potem się ożenił, ale za późno i jego Jola już nie urodziła mu dzieci.

– A nie próbowałaś odnaleźć tego Henryka?

– Nie. On po pogrzebie zabrał syna i gdzieś wyjechali. Ludzie mówili, że do Tczewa. Niby blisko, ale szukać nie chciałam. Może w duchu liczyłam na to, że on ochłonie, a potem

przyjedzie po mnie. Nie wiem, czy tam został, czy jeszcze żyje. Nie wierzyłam, żeby mnie zapomniał, bo podejrzewałam, że za każdym razem, kiedy patrzy na swojego synka, wie, przez kogo dzieciak nie ma matki.

– Ciociu, to przecież nie twoja wina. To był nieszczęśliwy wypadek.

– Gdyby Henryk wtedy nie był ze mną, to ona nie wyszłaby go szukać po nocy. Taka jest prawda. Siedziałyby w chałupie z dzieciakiem.

– Nie mogłaś tego wiedzieć.

– Ale mogłam wiedzieć, że na nieszczęściu drugiego człowieka nie zbuduje się własnego raj!

Rozdział 7

Dzisiejsze śniadanie należało do tych z gatunku zdrowych i pożywnych. Ugotowałam płatki owsiane z mlekiem i wodą. Wsypałam do tego garść żurawiny i dodałam łyżkę miodu. Trzeba w końcu pozbyć się koła ratunkowego z brzucha, najwidoczniej samo bieganie nie pomagało.

Ciocia już zjadła i właśnie słuchała swojego „radyjka”. Luśka popędziła do szkoły, a ja za chwilę miałam być w fundacji, by poznać kandydata na ilustratora moich bajek. Byłam zadowolona, bo poprzedni grafik nie spełniał moich oczekiwań. Inaczej sobie wyobrażałam postaci z moich opowieści. Jednak wszyscy piali peany na temat pana Norberta, więc się nie odzywałam. Teraz była okazja, by nadać tym ilustracjom zupełnie innego charakteru. Piotr jednak ostrzegwał, że facet jest dziwny. Nastawiałam się więc na egocentrycznego artystę. Podobno był w trakcie przygotowywania wystawy w Starogardzie. To będą rysunki miasta z XIX i XX wieku zrobione na podstawie starych pocztówek. Brzmiało interesująco. W sumie ciekawiło mnie to, jak tutaj było dawniej. Ciocia miała niewiele zdjęć z tego okresu. Co prawda na fotografiach uwieczniono całą rzeszę ciotek, stryjków i stryjenek, ale zazwyczaj były to postaci na sztucznym tle, więc jedynie mogłam podziwiać dawną modę.

Wskoczyłam w moje auto i już po kilku minutach byłam w fundacji. Na korytarzu panowała taka cisza, że miałam ochotę krzyknąć coś głupiego, by sprawdzić, jak rozchodzi się echo. Powstrzymałam się jednak, bo zrobienie z siebie wariata wcale nie służyłoby nowej znajomości.

Zapukałam do drzwi, za którymi urzędował Piotr. Nacisnęłam klamkę i weszłam. Uderzył mnie zaduch panujący w pomieszczeniu i wszechobecny gwar. Dziwne, że na korytarzu nie było nic słyhać. Donośne dźwięki skumulowały się wokół biurka Piotra. Na mój widok wszystko na chwilę ucichło, żeby po sekundzie stopień napięcia rozmów wrócił do normy. Na moje „dzień dobry” nikt nie odpowiedział, a jedynie Piotr pomachał zapraszająco.

– Dobrze, słuchajcie! – przerwał w końcu. – Później to skończymy, każdy wie, co ma robić, tak?

– Piotr, ale...

– Ale potem, dobrze?

Blondynka w niebieskim sweterku, znana mi już z widzenia, zakłęła półszeptem pod nosem. Ktoś coś mruknął i zaraz zaczęto opuszczać pokój Piotra. Dopiero wtedy zauważyłam, że za biurkiem obok siedział mężczyzna, którego nigdy wcześniej tutaj nie widziałam. Ubrany był w bluzę dresową z kapturem, spod której wystawał szary golf. Nie patrzył w moim kierunku. Obserwował coś na monitorze komputera. Zwróciłam uwagę na jego lekko przerzedzone włosy. Facet miał dość duże zakola na głowie. Z pewnością jego fryzura przez lata przerzedzi się jeszcze bardziej. Nieuchronnie więc zmierzał ku łysej czaszce.

Podeszłam bliżej. I kiedy wreszcie zapanował spokój, przywitałam się jeszcze raz. Facet zza biurka lekko podniósł na mnie wzrok, burknął coś, co być może było powitaniem, i znów wpatrywał się w monitor.

– Fajnie, że jesteś. – Piotr wstał i podał mi rękę. – Przepraszam za to zamieszanie, ale mieliśmy tu całkiem niezłą burzę mózgową.

– W sprawie Szpilki?

– Między innymi – odparł. – No, ale poznaj Jaromira. – Wskazał dłonią w kierunku mężczyzny, a potem na mnie, mówiąc: – A to jest Joanna, o której ci opowiadałem.

– Miło mi. – Jaromir podał mi rękę.

– No, to prezentację mamy za sobą. Siadaj. – Podał mi krzesło. – Napijesz się kawy? Herbaty?

– Kawę poproszę.

Zdjęłam kurtkę i odwiesiłam ją na oparcie krzesła. Blubluś zniknął mi z horyzontu, a Jaromir nawet na mnie nie spojrział. Jakiś buc. Dopiero kiedy Piotr wrócił z kubkami gorącej kawy, mężczyzna odsunął się lekko od biurka i przyglądał mi się z dziwnym uśmiechem wymalowanym na twarzy.

– Jaro – zaczął Piotr – zrobi ilustracje do twoich trzech bajek. Mamy już wstępne projekty. Co prawda niewiele, ale zawsze coś na początek. W ogóle jeszcze muszę cię ostrzec, że Jaro jest pospolitym homofobem, więc nie przejmuj się żartami na mój temat.

– Oj tam, oj tam. Zaraz homofob. Bez przesady. Kilku gejów toleruję. Tylko na wszelki wypadek nie chodzę z nimi na siłownię i na basen, nie biorę w ich obecności pryszniców i nie odwracam się do nich tyłem.

– No. Jest tak, jak mówiłem. – Piotr się zaśmiał. Przesunął swoje krzesło i zaprosił mnie, bym usiadła bliżej. Z tego miejsca mogłam zobaczyć wstępne projekty. Jaromir ustawił odpowiednio monitor.

– Dobrze. Na początek te twoje grube leniusiołki – powiedział. – Zobacz, tak je widzę. Co ty na to? – Na ekranie komputera pojawił się dokładnie taki leniusiołek, jaki był w mojej głowie. Leni był idealny. Zamurowało mnie na chwilę. Patrzyłam jak urzeczona. – A tu ten chudy Prac. Tak sobie go wyobrażałaś? – I znów wyrysowała się przede mną postać taka, jaką sobie wymyśliłam. Prac miał być chudy, długi, z wielkim nosem, czyli dokładne przeciwieństwo leniusiołka, któremu od leżenia wyrosła wielka pupa i brzuch. Tak było w bajce.

– Świetne – powiedziałam radośnie.

– Kiedy robiłem pracusiołka, to szukałem inspiracji w Sebie. – Zachichotał. – Wiesz, taki trochę on gejowaty ci wyszedł w tej bajce.

– Nie przesadzaj – warknęłam, bo facet faktycznie był dziwny. Pięknie rysował, to trzeba było przyznać, ale jego teksty były kompletnie nie na miejscu.

– A może spodnie w kratę mu zrobimy?

– Przestań, Jaro, bo mi dziewczynę wystraszysz – wtrącił Piotr. – Świetne rysunki, prawda?

– No, trzeba przyznać, że ilustracje kapitalne – odparłam, a w myślach dodałam: W przeciwieństwie do ich autora.

Spojrzałam na niego, bo przed chwilą śmiał się z Sebastiana, a sam wyglądał jak parodia mężczyzny. Przyjrzałam mu się uważniej, kiedy wstał zza biurka i podszedł do okna po jakieś dokumenty. Chude, patykowate nóżki, a brzuch niczym bębenek noszony przed sobą. Włosy nie dość, że mocno przerzedzone, to jeszcze sterczące w nieładzie. Szczupła, pociągła twarz. Nic szczególnego. Do tego ironiczny uśmiezek przyklejony do przeciętnej facjaty. Znam takich typków, oj znam. Trzeba będzie mu utrzyć nosa.

– Do naszej akcji dołączy jeszcze jedna fundacja – powiedział Piotr nagle. – Rozmawiałem z jej prezesem, to dobry człowiek. Ostatnio podobno nawet oddał komuś własne buty, bo...

– No to grzyba mu sprzedał – wtrącił Jaromir, znów nie odrywając wzroku od monitora. Coś tam robił, ale jak widać, miał całkiem niezłą podzielność uwagi.

– Zwariowałaś? – spytałam, choć było to pytanie retoryczne i tylko na chwilę zawisło w powietrzu.

– Nie. – Spojrzał na mnie. – Jak taki dobry, to mógł kupić potrzebującemu, tak? Obuwniczy jest niedaleko. Taniej by mu wyszło, bo pewnie taki prezes to ma buty full wypas.

– Ocipiałaś? Ty to mówisz na poważnie, czy żartujesz? Bo jakoś nie łapię tego dowcipu – warknęłam. Facet mnie irytował swoimi głupimi gadkami.

– Żartował – wtrącił Piotr. – Poznaj Jaro w pełnej krasie. Taki właśnie jego urok.
– To może ten Jaro by jednak poczytał trochę o dobrym wychowaniu? – Spojrzałam na niego prowokacyjnie. Nie będzie mi tu żaden pajac głupot opowiadał. – A jeśli nie, to jajka ogolić, krótkie majtki i do przedszkola!

– Jajka mam ogolone – odpyskował niezbity z pantaląku. Trzeba przyznać, że twarda sztuka.

– Ups... – Piotr podniósł obie ręce do góry. – Spasujcie, co? Mamy razem pracować!

– To on niech odpuści głupie teksty – parsknęłam lekko urażona, bo kto jak kto, ale to on powinien odpuścić, a nie ja.

– Dobrze, ogłaszam rozejm – odparł zadowolony z siebie. A potem zwrócił się do Piotra z bezczelnym pytaniem: – Skąd ty ją wzięłeś?

– Z wykopalisk – rzuciłam. – Nie jestem rzeczą.

– O, rany. Ja tu z wami zwariuję. Mamy przegadać bajkę dla dzieciaków. Przypominam o Szpilce.

Na te słowa opuściłam gardę, bo faktycznie nie było sensu walczyć, jeżeli chce się pomóc dziecku. Jeszcze przez głupie odzywki wszystko zepsujemy.

– Dobrze, ja też odpuszczam – odpowiedziałam. – Na kiedy będziesz miał resztę rysunków?

– A na kiedy tekst będzie po redakcji? – Spojrzał, jakby po raz kolejny wyzywał mnie na pojedynek.

– Za trzy dni. Koleżanka sprawdza. – Przyjęłam wyzwanie i dzielnie zniosłam jego wzrok.

– W takim razie za trzy dni – powiedział, a po chwili szeroko się uśmiechnął i dodał: – W samo południe.

– Zdązysz? – Piotr się zdziwił.

– Jeśli ona zdąży, to ja też.

– Tylko nie ona, tak? Mam imię.

– Jo! – Zaśmiał się. – Po naszymu będziesz Jo.

Spojrzałam zdziwiona na Piotra. Wzruszyłam ramionami, bo nie bardzo wiedziałam, czy ten facet na rozumy się z kimś pozamieniał, czy jak. Może Blubluś to rozumie, bo ja ani trochę nie.

– Jaro żartuje – odparł. – U nas na Kociewiu często skraca się imiona. Mówi się Jaro, Sław, Pio, Zygi i tak dalej.

– I?

– I Jo od Joanna – rzucił Jaro zadowolony z siebie.

– Nie nadążam. Idę stąd, bo to dom wariatów.

– Będziemy tęsknić! – krzyknął za mną Jaromir. Usłyszałam tylko, że coś uderzyło o blat biurka. Miałam nadzieję, że to Piotr rzucił czymś w tego palanta. Nigdy więcej! Niech robi te cholerne bajki i żebym nigdy później go nie spotkała na swojej drodze, bo nie ręczę za siebie.

Wysłałam z fundacji. O dziwo miałam całkiem dobry nastrój. Może wymiana zdań z tym bucem trochę mnie rozruszała i dlatego poczułam się lepiej. Podniósł mi ciśnienie, nie ma co. Kawę przynajmniej mam z głowy.

Odszukałam w swojej torebce telefon. Spojrzałam na wyświetlacz, by sprawdzić godzinę. Nie mogłam się powstrzymać i wybrałam numer do Artura. Może jeszcze nie zaczął dyżuru i odbierze. W myślach odliczałam sygnały. Po pięciu zawsze się wyłączam. Na wszelki wypadek, by po drugiej stronie nie włączyła się automatyczna sekretarka, bo tego nie cierpiałam. Trzy, cztery... Odebrał.

– Cześć, Artur – powiedziałam najśłodszym głosem, na jaki mnie było stać. Sama nie wiem, dlaczego tak się wdzięczyłam do słuchawki, ale już za późno było na przemyślenia, bo wybrzmiało to do ucha Doktorka.

– Cześć, skarbie – odpowiedział. – Stęskniłaś się?

– Tak – odparłam zgodnie z prawdą. – Miałam nadzieję, że jeszcze nie zacząłeś dyżuru i cię złapię przed pracą.

– Cieszę się, ale muszę cię zmartwić. Jestem już w szpitalu. Mamy tutaj teraz kocioł, bo kilku lekarzy jest na zwolnieniu – tłumaczył się, a ja w jego głosie wyczuwałam wyrzut sumienia, co, przyznam, było całkiem miłe.

– Strasznie zapracowany jesteś.

– Tak to niestety jest w tym zawodzie – odparł. – Aha, Asiu, nie będę mógł jechać z tobą pojutrze do babci. Nie dam rady. Mam na ten dzień wpisane dwa zabiegi, bo wszystkie terminy się poprzesuwały.

– O nie – szepnęłam zawiedziona. – Kiszka.

– Ale obiecuję, że gdy tylko ten młyn się skończy, to wszystko ci wynagrodzę.

– To ten młyn ma jakiś koniec?

– Ma. Obiecuję.

– Nie ma problemu. Pojadę sama. A kiedy się zobaczymy?

– Może jutro wieczorem? Pasuje ci? Przyszłabyś do mnie? Pobylibyśmy trochę sami. Co ty na to?

– Dobrze. Postaram się. Jutro zadzwonię albo napiszę esemesa.

– Kochana jesteś. To lecę, bo mnie na salę operacyjną wołają. Buziaki – rzucił pospiesznie ostatnie słowa i się wyłączył. Nie zdążyłam odpowiedzieć. Głuchy sygnał zakończył naszą rozmowę.

Wsiadłam więc do samochodu i przestawiłam go na parking hospicjum. Dokładnie się rozejrzałam, czy czasem na horyzoncie nie widać mamy Szpilki. Jednak wszystkie ławki przed budynkiem były puste.

– Cholera – szepnęłam, kiedy na nosie poczułam krople deszczu. Z nieba sączyło się coś, co nie bardzo wiedziało, czy rozpadać się na dobre, czy złośliwie nękać pojedynczymi kroplami. Aura nie napawała optymizmem, ale każde spojrzenie w kalendarz dawało nadzieję na słońce i wysokie temperatury. Koniec marca zbliżał się wielkimi krokami, a potem już tylko krótkie spódniczki, sandały lub bieganie na boso po plaży. I... mój powrót do domu. Musiałam pozamykać tu wiele spraw, by móc wrócić i kontynuować stare życie ograniczające się do pracy i domu.

Kopnęłam kamień leżący na chodniku. Potoczył się z impetem i trafił w słupek ogrodzenia. Odbił się lekko, ale nie wrócił pod moje stopy. Nie mogłam więc poprawić uderzenia.

Weszłam na schody i energicznie nacisnęłam klamkę. Prawie przygniotłam drzwiami panią Adę, która wystraszona odskoczyła.

– Najmocniej przepraszam! Nic się pani nie stało?

– Nie – odparła, przyglądając mi się z uwagą. – Coś nie tak, pani Asiu?

– Nie, nic. Deszcz pada – dodałam po chwili, by nie zapanowała cisza i by pani Ada nie przyglądała mi się zbyt uważnie.

– Faktycznie kiepska pogoda. Mogę pani zaproponować herbatę.

– Nie, dziękuję. Nie chcę pani zatrzymywać, przecież pani wychodzi.

– Ale herbata przed wyjściem dobrze mi zrobi – odparła. – Zapraszam do siebie.

– Dobrze, tylko powiem dziewczynkom, że już jestem – rzuciłam i przyspieszyłam kroku,

by ją wyminąć. W korytarzu rozległ się głuchy dźwięk moich butów energicznie uderzających o podłogę. – Zaraz do pani przyjdę.

Kobieta poszła korytarzem wprost do swojego gabinetu, a ja skręciłam, by szybko znaleźć się u dziewczynek. Wszystkie znajdowały się na swoich łózkach. Zwinięte w kłębki leżały w milczeniu. Pati chyba miała słuchawki na uszach, a Szpilka i Mrówka spały. Na palcach podeszłam do łóżka Patrycji, przywitałam się z nią i powiedziałam, że będę u pani Ady i wrócę, zanim dziewczynki się obudzą. Pokiwała głową, a ja równie cicho wycofałam się do wyjścia.

Pani Ada zalewała właśnie herbatę wrzątkiem. Usiadłam przy stoliku znajdującym się w kącie gabinetu. Przedemną pojawiła się zgrabna filiżanka na białym spodku. Wyciągnęłam od razu tutkę, by herbata nie była zbyt ciemna. Pani Ada usiadła. Powoli zamieszała ukrop w swoim kubku. Dosypała dwie łyżeczki cukru i spojrzała na mnie uważnie.

– Pani Asiu, co się dzieje? – spytała, czym zaskoczyła mnie tak bardzo, że otworzyłam niemo usta i nie wiedziałam, co odpowiedzieć. – Ślepa nie jestem, przecież widzę, że coś jest nie tak.

– Nie wiem, co pani ma na myśli, ale jest wszystko w należyтым porządku – powiedziałam spokojnie. Kobieta szczupłą dłonią obejmowała filiżankę.

– Przecież widzę. – Uparła się przy swoim. Tak mnie świdrowała wzrokiem, że w końcu pękłam.

– Boję się – szepnęłam. A ona jeszcze uważniej mi się przyjrzała. I uśmiechem zachęciła do mówienia. – Boję się, bo mój urlop dobiega końca i będę musiała wrócić do domu.

– A nie planuje pani u nas zostać?

– Boję się – powtórzyłam.

– To boi się pani powrotu czy pozostania tutaj?

– Jednego i drugiego. I nie wiem, czego bardziej.

– Przepraszam, nie chcę się wtrącać, ale podobno spotyka się pani z tym owdowiałym chirurgiem, więc myślałam, że sprawa jest przesądzona.

– Spotykamy się, to prawda, ale to początek naszej znajomości. Nie wiadomo, co z tego wyniknie, a ja nie mogę zrezygnować z pracy, przenieść się ot tak, pod wpływem emocji. Przecież mam córkę i muszę ją utrzymać. A jeśli coś nie wyjdzie w nowym związku, to zostaniemy bez środków do życia.

– Ale emocje często są dobrym doradcą, po co więc zaraz myśleć o najczarniejszym scenariuszu – powiedziała z uśmiechem na twarzy. Spojrzałam na nią, bo w pierwszej chwili pomyślałam, że żartuje. – Może warto zaufać?

– Wie pani, ja już kilka razy zadziałałam pod wpływem emocji i nic dobrego z tego wyszło. Zawsze okazywało się, że to było durne i niedojrzałe. Właśnie tego też się boję, że będę musiała znów podejmować ważną decyzję i nigdy nie będę miała pewności, czy dobrze zrobiłam.

– A po co pani taka pewność? – spytała.

– Hm – zawahałam się. – Szczerze? Nie wiem – odpowiedziałam. I faktycznie zaczęłam się nad tym zastanawiać. Po cholerę mi pewność? Przecież nigdy jej mieć nie będę, a trzeba się cieszyć z tego, co jest, doceniać to, a nie rozważać, co by było, gdyby. – Może to racja? – dodałam. – Nie wiem.

– No właśnie. Tutaj przecież wszystko się dobrze układa, tak? Dobrze się pani czuje u nas?

– Niby dobrze, ale ciągle jakby nie u siebie.

– To tylko kwestia czasu – powiedziała i przyłożyła filiżankę do ust.

– Może i tak. Ale czy ja już nie jestem za stara na to, by takie rewolucje robić w swoim życiu?

– Na rewolucje nikt nie jest za stary. – Uśmiechnęła się. – Trzeba tylko wiedzieć, czego się chce, a chyba to jest największy problem, że pani nie bardzo wie.

– Chyba tak. – Zamyśliłam się. Może faktycznie nie wiedziałam? Artur wydawał się cudownym człowiekiem, ale pamiętałam, że równie cudowny wydawał się kiedyś mój mąż. Potem to wszystko rozsypało się jak szklane figurki cioci. Niby można posklejać odłamki, ale efekt nigdy nie będzie już taki, jak dawniej. Blizny zostają na zawsze. Nie tylko te od kleju na szkłe. A w pamięci zbyt mocno utrwalił mi się widok wykrzywionych w nienawiści ust. I ta chęć przywrócenia męskiej dumy. Tylko dlatego, że to ja zdecydowałam o rozstaniu. To nie kobieta powinna kończyć związek! Stąd późniejszy ból i ciosy wymierzane na oślep, by zadać psychiczny ból. Takie rany nigdy nie goją się całkowicie. Pamiętałam, jak sędzia podczas rozprawy rozwodowej zapytała, po co mi rozwód. Jedna myśl wtedy przeszła mi przez głowę: jestem zmęczona ciągłymi przepychankami, brakiem zaufania, stabilizacji i upokorzeniem. Wiedziałałam, że nawet jeśli wyjdę z sądu z papierem orzekającym o rozwodzie, to i tak do końca życia będę kobietą zdradzoną i oszukaną. Jak więc mam zaufać ponownie?

Dopiłam swoją herbatę. Odsunęłam filiżankę na bok. Łyżeczkę ułożyłam na brzegu talerzyka. Poprawiłam serwetkę. Przyprasowałam ją dłonią. Pani Ada obserwowała przez chwilę moje ruchy. Potem wstała, podeszła do biurka i podała mi kartkę z dokładnym programem akcji poszukiwania szpiku dla Szpilki. Przejrzałam wszystkie punkty. Wyglądało imponująco.

– To między innymi pani zasługa – powiedziała, znów zajmując miejsce przy stoliku.

– Cieszę się, że udało się Piotrowi zaangażować tylu ludzi. Bez niego nic by nie wyszło.

– To prawda. Ma pani tutaj dobrego przyjaciela.

– Dziękuję. Pójdę teraz do dziewczynek, bo pewnie już się obudziły i czekają. – Wstałam.

– Mogę to zabrać? – Wskazałam na arkusz trzymany w dłoni.

– Oczywiście. Tylko proszę pamiętać, że to wersja robocza. Wyślę pani mejlem ostateczną, ale to jeszcze trochę potrwa.

Podziękowałam i wyciągnęłam do niej dłoń. Miała ciepły uścisk.

Dziwna była ta rozmowa. Znam panią Adę od kilku miesięcy. Rzadko kiedy rozmawiałyśmy, ale miała w sobie coś, co budziło zaufanie. Wydawała się taka zasadnicza, a w gruncie rzeczy potrafiła zadziałać na człowieka tak, że ten od razu spowiadał się przed nią ze swoich lęków.

Weszłam do pokoju dziewczynek. Już nie spały. Szpilka trzymała przed sobą książkę. Mrówka grała w gierkę na telefonie komórkowym, a Pati leżała ze słuchawkami na uszach i wpatrywała się w sufit, od czasu do czasu mrużąc coś pod nosem, pewnie w rytm tego, czego akurat słuchała.

– I co nowego? – spytałam. – Są nowe wiersze?

– Nie ma – odparła Szpilka. – Ale kiedyś będą. – Usiadła na łóżku. – Strasznie mnie wczoraj wieczorem wszystko bolało – szepnęła.

– A jak dzisiaj? Lepiej? – Usiadłam na krześle obok. Położyłam dłoń na jej kołdrze, pod którą wyczułam drobne kości dziewczynki. Każdy taki dotyk przypominał mi o jej chorobie. Błada twarz ginęła na jasnej poduszce. Sine usta, pozbawione karminowego koloru, zapadnięte podkrążone oczy – wszystko w niej wołało o pomoc, a ja z jednej strony próbowałam działać, zdobyć szpik, z drugiej skupiona byłam na swoim życiu, bo ciągle nie wiedziałam, czy to odpowiedni moment na rewolucje.

Światło słoneczne oświetlało pokój, uwydatniając szpitalny charakter miejsca. Wszystko wokół przyprawiało mnie o depresyjne nastroje i prawdopodobnie będzie to trwało jeszcze przez kilka miesięcy. Aż do podjęcia ostatecznej decyzji. Z jednej strony dziewczynki i Artur, z drugiej praca, bezpieczeństwo finansowe i niezależność.

– Lepiej – odpowiedziała, wrywając mnie z zamyślenia. – A wiesz, co Mrówka wyczytała w necie o Halinie Poświatowskiej? – Ożywiła się na chwilę.

– Nie wiem. Mówcie.

– No, bo ja przecież czytałam jej wiersze kiedyś, prawda? I jak powiedziałaś, że Hillar chodziła do szkoły w Starogardzie, to Mrówka zaczęła sprawdzać te poetki w sieci.

Mrówka odłożyła telefon i przysłuchiwała się z uwagą. Próbowwała nawet wtrącić się do tego, co mówiła Szpilka, ale nie było szans. Dziewczynka opowiadała z taką ekscytacją, że jedynym wyjściem było dać jej skończyć.

– Wiesz, że ona była chora? – spytała, a ja kiwnęłam głową. – I jej właśnie poradzono, by pisała wiersze, i że to jej pomoże – mówiła podekscytowana. – I pomogło!

– A widzisz – odpowiedziałam. – Mówiłam, że wiersze pomagają.

– Tak to każdy chory byłby poetą – wtrąciła Mrówka.

– A może jest, tylko o tym nie wie, jeżeli nie próbuje? – Szpilka trzymała się swojej wersji.

– Pewnie tak. Zawsze trzeba próbować – powiedziałam. – Najważniejsze, to mieć jakieś hobby, pasję, bo wtedy chce się żyć.

– To prawda. Bo to tak człowieka napędza i chce się coś robić. Gdyby jeszcze nic nie bolało, to byłoby lepiej. Ale może kiedyś przestanie, co?

– Myślę, że przestanie. Robimy wszystko, co w naszej mocy. Wszyscy was kochają i naprawdę się starają.

– Nooo. I nawet moja mama zaczęła się uśmiechać – powiedziała Szpilka. Wyprostowała się jeszcze bardziej na swoim posłaniu. Uniosła łusą głowę, wypięła drobniutką pierś do przodu, aż kropiółka lekko zadrżała na statywie. Dziewczynka spojrzała na butlę wypełnioną lekarstwem już tylko do połowy. – Dam radę, nie? – Jej wielkie oczy w drobniutkiej twarzy wyjątkowo nie były smutkiem. Błysnęło w nich coś tak urzekającego, że przez chwilę w milczeniu się w nie wpatrywałam. Kiedyś chłopcy będą tonąć w tych oczach.

– Ja tak wierzę i wierzę, że dam radę, ale nic z tego nie wynika – wtrąciła Pati. – Moja babcia powiedziała, że ten różaniec od papieża, co nam dałaś, to dobry znak, więc trzeba się tego trzymać.

Uśmiechnęłam się, bo chyba wszystkie babcie są takie same.

Spędziłam z dziewczynkami dwie godziny. Humory miały jak w kalejdoskopie. Kiedy jedna była pełna optymizmu, to druga marudziła. Wtedy odzywała się trzecia, komentując zachowanie koleżanek, by mogły zamienić się rolami. I tak kilka razy. Jednak kiedy od nich wychodziłam, były w nie najgorszych humorach. Szpilka zaczynała właśnie pisać wiersz, a Pati z Mrówką pomagały jej wymyślać oryginalne rymy. Przy okazji przypominałam im, co to są rymy żeńskie i męskie, parzyste, okalające i przeplatane, więc udało się nam połączyć zabawę z nauką.

Do domu dotarłam po piętnastej. Miałam godzinę na przygotowanie obiadu. Już na początku naszego pobytu tutaj umówiliśmy się z ciocią, że jeść będziemy wspólnie, kiedy Luscia wróci ze szkoły. W trójkę zawsze różniej i lepiej smakuje.

Otworzyłam drzwi i od wejścia uderzył mnie dziwny zapach. Spojrzałam na kurtki wiszące w przedpokoju. Spod płaszcza cioci wystawała kurtka Lusi, czyli córca wróciła wcześniej ze szkoły! Zbliżyłam twarz do wieszaka. Próbowalam zidentyfikować niepokojącą woń. Pety! Czyjeś ubranie przesiąknięte było dymem papierosowym. Obwąchiwanie zaczęłam od kurtki Lusi i trafiłam bezbłędnie. To jej kurtka rozsiewała ten mało sympatyczny smrodek. Miałam ochotę włożyć rękę do kieszeni, jednak w ostatniej chwili się powstrzymałam. Może po prostu siedziała w autobusie obok palacza?

– Jesteś już? – Usłyszałam głos z kuchni.

– Jestem, jestem – odpowiedziałam. Ściągnęłam buty i odstawiłam je do szafki. –
Odgrzewasz pierogi?

– Czekaliśmy z ciocią na ciebie.

– A dlaczego ty dzisiaj tak wcześniej? – spytałam i podeszłam do Lusi, by ją pocałować na powitanie. Oczywiście nie omieszkałam jej odpowiednio obniuchać.

– Ostatnia lekcja nam przepadła – odpowiedziała.

– Dobra, siadaj, a ja odsmażę pierogi – odparłam z ulgą, bo na szczęście nie wyczułam od niej nikotyny. Musiała więc przesiąknąć tym zapachem w autobusie albo gdzieś indziej.

Ciocia siedziała już przy stole i przeglądała codzienną gazetę. Minę miała poważną, coś od czasu do czasu mruczała pod nosem. Lusia w końcu nie wytrzymała i zajrzała cioci przez ramię.

– Znów nekrologi? – zdziwiła się.

– To najciekawsza część gazety. Tu przynajmniej coś się dzieje. – Ciocia się zaśmiała.

– I jak? – spytałam. – Ktoś znajomy?

– Nie. Jedno nazwisko jest mi znane, ale tylko ze słyszenia, więc na razie na pogrzeb się nie wybieram. Po Eli nikogo znajomego nie zabrano na tamten świat.

– I dobrze – odparłam. Poprzekładałam pierogi na drugą stronę. Ładnie się przysmażyły. Miały brązową skórkę. Lubiłam, gdy chrupały w zębach. Takie przypieczone były najlepsze. Kiedy odpowiednio się zarumieniły z drugiej strony, wyłożyłam je na talerze i podałam na stół.

– Lusia, a jak w szkole? – zainteresowałam się.

– Normalnie.

– I?

– I nic. Spoko. Mam na poniedziałek przeczytać *Makbeta*.

– A masz?

– Mam. Wypożyczyłam.

– A ja w niedzielę jadę do babci – powiedziałam, wkładając do ust połówkę pieroga. Ciocia odłożyła gazetę i przysunęła sobie talerz. Spojrzała na mnie zdziwiona. Myślała, że pojedę po niedzieli, krótko przed świętami.

– A dzwoniłaś do Marysi?

– Tak, ale nie odbiera, więc pojedę w ciemno. Potem nie będzie kiedy, a muszę dokończyć sprawę z bajkami i mogę nie mieć czasu.

– To może Lusia z tobą pojedzie, co? – Ciocia uśmiechała się do mnie, jakby coś knuła. Zdziwiło mnie to w pierwszej chwili, ale przecież nie robi w domu imprezy. Oczywiście pomijam fakt, że mieszkanie należy do niej, więc może szaleć w nim do woli. Może jednak jest już nami zmęczona i chce odpocząć?

– Chcesz, Lusia? Bo prawdę mówiąc, liczyłam na to, że razem odwiedzimy babcię.

– Jasne. Chętnie pojedę. A Artur jedzie z nami?

– Nie – odparłam.

W jej głosie wyczułam dziwną nutę. Nie była to złość ani sarkazm, ale coś, co mnie w pierwszej chwili zaniepokoiło:

– Ma dyżur?

– Masz coś przeciwko niemu?

– Nie, mam. No coś ty. Lubię go.

– Pyszne te pierogi – wtrąciła ciocia. – Dzisiaj nawet lepsze. Musimy jeszcze kiedyś zrobić z mięsem.

– Ja z mięsem nie lubię – odparła Lusia. – Ale jak będą jagody, to bardzo chętnie zjem na słodko. Lubisz, ciociu?

– Jo. Ja lubię wszystko.

Ciocia z Lusią dyskutowały o wyższości ruskich nad tymi z mięsem i owocami. A mnie się coś nie podobało zarówno w zachowaniu cioci, jak i Lusi. Coś się działo, tylko nie wiedziałam, co. W przyływie wątpliwości minęło mi popołudnie. Humor miała mi poprawić dopiero wieczorna wizyta u Artura.

Rozdział 8

– Aśka, czyś ty ocipiała? Stało się coś? Jest siódma rano... Niedziela! – Olga mówiła podniesionym głosem, jednak wyraźnie było słychać, że jest zaspana.

– Sorry, ale musiałam zadzwonić. Za godzinę jadę do babci, więc nie byłoby kiedy, bo jadę z Luśką. Teraz jest najodpowiedniejszy moment – szeptałam w słuchawkę, tak by ciocia nie słyszała, bo – jak wiadomo – słuch miała przytępiony, ale to, czego nie powinna, zawsze słyszała.

– Do jakiej babci? Co ty pleciesz? To już nie jesteś u cioci?

– Jestem – odparłam zniecierpliwiona, bo ciągle nie dawała mi powiedzieć tego, co najistotniejsze. – Nieważne. Posłuchaj.

– Ale mów szybko, bo chcę jeszcze pospać!

– Dobra. Streszczę się. Zrobiłam to! – powiedziałam trochę za głośno. Na wszelki wypadek wyjrzałam na korytarz, ale w domu ciągle nie było oznak życia. Wszyscy spali. Nawet kot.

– Co zrobiłaś? – Olga ziewnęła w słuchawkę.

– To – szepnęłam. – No wiesz, z Arturem.

– Jezu, Aśka, co ty z nim... – przerwała na chwilę. – A! Zrobiłaś to!

– No... – Chodziłam po pokoju, ponieważ tak bardzo byłam podekscytowana, kiedy z nią rozmawiałam. Co chwilę musiałam się pilnować, by nie mówić za głośno. – Wczoraj, ale już w piątek czułam, że mogłabym to zrobić, jednak stchórzyłam. Natomiast wczoraj poszliśmy na całość.

– I jak było? – Olga najwyraźniej się ożywiła i już się nie gniewała, że budzę ją o siódmej rano w niedzielę. – Opowiadaj.

– Cudnie było – odparłam. – Co tu opowiadać. Wszystko tak jak być powinno – zamyśliłam się na chwilę – tylko wiesz, ja się jeszcze bardziej boję.

– Czego, wariatko?

– Bo on nie ma wad – rzuciłam w słuchawkę. – A przecież każdy facet je ma, nie? Każdy. Myślałam, że może w te klocki będzie kiepsko, że nie będzie wiedział, czego chcę, albo że będzie lubił inaczej niż ja...

– A skąd miałby to wiedzieć za pierwszym razem?

– No, za pierwszym nie, ale za trzecim chyba już tak, nie? – Zachichotałam, a na wspomnienie wczorajszego spotkania motyle zatrzepotały skrzydłami niczym psy ogonami na widok swoich właścicieli.

– Trzeci? To był już trzeci?

– No, był, bo jak już przełamało się pierwsze lody...

Olga zaśmiała się w słuchawkę.

– Lody?

– No, lody, lody.

– Cieszę się, a bać się nie masz czego, na pewno ma jakieś wady. Może zamordował swoją żonę i zakopał ją w ogródku? Dlatego tak długo jest samotny. Taki czarny wdowiec, postrach miejscowych kobiet.

– Coś ty, żona zmarła. Tutaj wszyscy znają tę historię, pomimo że to tak dawno...

– Aśka! – przerwała mi. – Ja żartuję!

– Aha. No, to tyle ci chciałam powiedzieć. Musiałam z kimś się podzielić tą wiadomością. Beata nie odbierała, więc padło na ciebie.

– Cwaniara. Pewnie wyciszyła na noc telefon. Też tak będę robić. Ludzie pracy w

niedzielę odsypiają! Zapomniałaś?

– Dobra, to śpij sobie dalej, a ja jadę do babci.

– Do jakiej babci?

– Mojej. Potem ci opowiem.

– Dobra. Pa.

– Pa – odparłam i się rozłączyłam. Usiadłam na łóżku, a po chwili położyłam się i patrzyłam w sufit. Podobno zakochani widzą słońce. Jednak na suficie oprócz cieni i błysków promieni słonecznych nie było ani jednego słońca, choć jakby się uparł, to trąbę można by było dostrzec, więc może przyjdzie czas i na całego słońca.

Nutuś ziewnął, zamiauczał i wszedł mi na brzuch. Myślał chyba, że kontynuujemy spanie, a tu trzeba wstawać. Na szczęście pogoda była ładna, nie padało, więc aż tak bardzo nie denerwowałam się wyjazdem do Bydgoszczy. Nie lubiłam jeździć, kiedy lał deszcz. Bałam się. Siedziałam wtedy spięta za kierownicą i niewiele widziałam przez rozmazane szyby.

Wzięłam szybki prysznic. Wstawiłam wodę na herbatę dla Lusi, dla siebie nastawiłam ekspres. Po chwili do kuchni przyczłapała ciocia. Owinięta była w miękki szlafrok. W domu faktycznie panował chłód. Chyba ktoś przykręcił wczoraj ogrzewanie, bo wydawało się, że tak pięknie świeci słońce, że już jest ciepło, więc można przełączyć się na tryb wiosenny. A wczesną wiosną, wiadomo, te ocieplenia są złudne. Temperatura w południe wynosiła zaledwie dwanaście stopni. Jeszcze za wcześnie na lżejsze ubrania, a w domu na pewno nie należało przykręcać ogrzewania.

– Zrobisz mi arbaty? – spytała ciocia, zagryzając pajdkę suchego chleba. Muszę wziąć lekarstwa. – Aha, i pogadaj z Lusią, bo coś jest nie tak.

– Coś się stało? – Wystraszyłam się. Wczoraj prawie z nią nie rozmawiałam, bo najpierw pobiegłam do hospicjum, a potem byłam z Doktorciem. – Mówiła coś? Ma jakieś kłopoty?

– Nie, ale czuję w kościach, że coś jest nie tak, więc pogadaj z nią po prostu.

Spojrzałam uważniej na ciocię. Nie wyglądała na zmartwioną, więc może to faktycznie tylko jej dziwne przecucie. Nie zauważyłam, żeby Lusią się zachowywała podejrzanie, ale może coś przeoczyłam. Szczerze powiedziawszy, tak się zajęłam bieganiem do hospicjum, a potem do Artura, że mogło mi coś umknąć. Dobrze, że razem pojedziemy do Bydgoszczy. W samochodzie będzie czas, by porozmawiać.

Zalałam dwa kubki wrzątkiem i wrzuciłam do nich tutki herbaty. Kawa z ekspresu też już spłynęła do filiżanki, więc ustawiłam gorące napoje na stole i poszłam jeszcze raz do pokoju Lusi, by ją obudzić. Stęknęła kilka razy, ale w końcu wstała.

– Co ci zrobić na śniadanie? – spytałam.

– Wszystko jedno – odparła i poszła do łazienki.

W jej zachowaniu nie było niczego dziwnego. Patrzyłam za nią, jak znika za drzwiami, ale kompletnie nic nie zauważyłam.

– A ty, ciociu, jakie masz plany na dzisiaj? – spytałam.

– Zaraz idę do kościoła – odparła. Wyłożyła na talerzyk różnego koloru tabletki. Niektóre dzieliła na pół, niektóre rozkruszała na łyżeczce, a inne połykała w całości. – A potem – powiedziała i przystawiła na chwilę kubek do ust. Przełknęła i dokończyła: – Mamy spotkanie kółka różańcowego. Jadzia dziś prowadzi, więc będzie wesoło, bo ona czasami prawie śpiewa i tak przy tym zawodzi, że śmiać się chce. Jak Marysia przyjedzie, to ją zabiorę. We dwie będziemy mieć większą siłę przebicia.

– Oj, ciociu – zaśmiałam się. – Tego to ci na pewno nie brakuje.

Zjadłyśmy z Lusią śniadanie. Zapakowałyśmy się do auta i prosto spod domu pojechałyśmy na stację paliw, by nie było przygód po drodze. Zatankowałam bak do pełna i

wyjechałyśmy w trasę. Lusia nałożyła słuchawki i przez piętnaście minut kompletnie się nie odzywała. Siedziała lekko przygarbiona. Od czasu do czasu nuciła pod nosem. Kilka razy nawet potrząsnęła głową. Wreszcie wygodniej oparła się o zagłówek i przymknęła oczy.

– Ej, Luśka! – krzyknęłam, przebijając się przez muzykę, którą sobie aplikowała bezpośrednio do uszu. – Zdejmij to!

– A co?

– Pogadaj z matką może!

– Gadamy codziennie – odburknęła i już szykowała się, by słuchawki znów wsadzić w uszy. Nagle mój telefon zadzwieczał. Esmes.

– Możesz mi przeczytać od kogo? – poprosiłam. Lusia natychmiast chwyciła mój telefon. A mnie przez myśl przeszło, że może to być od Artura i nie powinna czytać. Jednak było już za późno.

– Od jakiejś Wiesi. Przeczytać?

– Czytaj, to koleżanka z pracy.

– Cześć, Joasiu, stęskniliśmy się w pracy za tobą. Co u ciebie? To prawda, że piszesz bajki?

– Odpisz jej, dobrze? Napisz, że wszystko okej, że piszę bajki dla chorych dzieci i pracuję w hospicjum. Na końcu ją pozdrów.

– Zrobione.

– Chyba się za mną stęsknili – odparłam zadowolona.

Po chwili przyszła odpowiedź, Lusia odczytała:

– Cieszę się. Chętnie przeczytam kiedyś twoją bajkę. Powodzenia.

– Napisz jej „dziękuję”. I już nic więcej. Tyle wystarczy. W sumie to trochę dziwne, że po tylu miesiącach ktoś z pracy się do mnie odezwał. – Zastanowiłam się. Jednak zaraz moje myśli zaczęły krążyć wokół Artura. – Lusia... A ty lubisz Artura? Nie masz nic przeciwko niemu?

– Lubię – powiedziała, ale miałam wrażenie, że nie do końca była to szczerza odpowiedź. Wyraźnie nie chciała kontynuować tematu, więc odpuściłam.

Jechałyśmy w milczeniu. Radio grało. Lusia nie zakładała już słuchawek. Siedziała z przymkniętymi oczami, głowę miała opartą o zagłówek. Faktycznie, coś dziwnego było w jej zachowaniu. Nie wiedziałam tylko, co.

Na drodze panował niewielki ruch. Co chwilę wyprzedzał mnie jakiś samochód, bo osiągnięcie zawrotnych prędkości nie leżało w mojej naturze. Jak kazano pięćdziesiąt, to było na liczniku właśnie tyle. Zasady ruchu drogowego były po to, by ich przestrzegać. Być może brakowało mi ułańskiej fantazji, ale na drodze wolałam zachować ostrożność.

Po godzinie jazdy miałam ochotę na dużą dawkę kofeiny, więc rozglądałam się za stacją paliw. Liczyłam na to, że może nad kubkiem kawy z mlekiem Lusia powie, co jej leży na wątrobie.

Zjechałam na prawą stronę. Zaparkowałam obok wielkiego dostawczego samochodu. Poszłyśmy do toalety. Patrzyłam, jak Lusia myje ręce. Długo i bardzo dokładnie, jakby chciała zmyć z palców uporczywy brud. Pocierała dłońmi chyba mocniej niż powinna. Rzuciłam okiem w lustro. Jej oczy z zaciętością skupione były na tej czynności.

– Lusia? Ty palisz? – Pytanie pojawiło się w mojej głowie ni stąd, ni zowąd. Nie zdążyłam go przemyśleć. Córka spojrzała na mnie zaskoczona.

– Nie, a co?

– Bo twoje ubrania tak jakoś ostatnio mi śmierdziały papierochami. Naprawdę nie palisz?

– No dobrze – odparła jakby z wyczuwalną ulgą – zapaliłam raz, może dwa albo trzy.

Byłam ciekawa, czy wyczujesz.

– Ty to zrobiłaś, żeby mnie przetestować? – Zdziwiłam się jej zachowaniem, bo nigdy niczego głupiego nie robiła. Zawsze była rozsądna. Może nawet za bardzo, jak na swój wiek.

– No. – Zakręciła wodę i spojrzała na mnie wyzywająco.

– I co? Zdałam? – Próbowałam obrócić to w żart.

– Prawie – odparła.

– Lusiu, co się dzieje? – powiedziałam, gdy powoli szliśmy w kierunku baru.

– Mamo – zaczęła – bo ty nie zwracasz na mnie uwagi. Ciągłe tylko Szpilka, Mrówka, jakieś bajki, teraz Artur... A ja? Zapomniałaś o mnie? – Patrzyła na mnie wzrokiem zbitego szczeniaka, a ja nie wiedziałam, co odpowiedzieć. Zaskoczyła mnie. Nie tego się spodziewałam. Bardziej jakiejś nieszczęśliwej miłości, złamanego serca!

– Córciu. – Objęłam ją mocno. – Ja cię Kocham nad życie. Nie wiedziałam, że tak czujesz. Dlaczego nie mówiłaś?

– Mówię przecież – burknęła, a po jej policzkach popłynęły łzy.

– Nie miałam pojęcia. – Pocałowałam ją w czoło. – Przepraszam, ja postaram się to wszystko inaczej zorganizować. Przecież wcześniej też pracowałam...

– Tak, ale teraz masz podobno urlop.

– Przepraszam, przepraszam, przepraszam...

Lusia otarła łzy wierzchem dłoni. Pociągnęła nosem. Dałam jej chusteczkę i jeszcze raz mocno przytuliłam.

– Zapaliłam te papierosy, bo chciałam, żebyś wyczuła.

– Po którym papierosie wyczułam? – zapytałam zaczepnie i uśmiechnęłam się.

– Za trzecim, więc nie jest najgorzej – odparła już w trochę lepszym nastroju. – Nie chcę, byś o mnie zapomniała. Ja wiem, że Szpilka jest chora i trzeba jej pomóc, ale ja ciągle cię potrzebuję i chcę być dla ciebie najważniejsza.

– Jesteś. – W gardle ugrzęzła mi wielka gąłka wzruszenia. – I zawsze będziesz.

– Nawet ponad Arturem?

– Nawet. A teraz zapraszam cię na kawę.

Kiedy składałyśmy zamówienie w barze, znów zabrzączał mój telefon. Przyszła kolejna wiadomość. Odczytałam ją, a w żołądku poczułam przyjemny skurcz. „Tęsknię. Kocham. I czekam na powtórzenie wczorajszego spotkania”.

– Kochasz tego swojego Artura? – spytała, widząc moją reakcję na esemesa. Pewnie zacerwieniłam się przy tym jak piwonია.

Uważnie na nią spojrzałam.

– Nie wiem – odparłam szczerze. – Może...

– To dobrze – powiedziała już zupełnie bez troski. – Bo to fajny facet.

Wypiłyśmy kawę w milczeniu. Ja rozmyślałam o naszych relacjach, a Luśce przez twarz przemknął niezwykły uśmiech. Miałam wrażenie, że kamienie z łoskotem spadały jej z serca. Nie przyszedł już żaden esemes. Nie zadzwonił telefon. Ciszą zakończyłyśmy poważną rozmowę. Pewnie właśnie to ciocia miała na myśli. Albo zauważyła coś wcześniej niż ja, albo rozmawiała z Lusią.

Wróciłyśmy do samochodu. Moja pszczołka rozkosznie zamruczała. Wyjechałam z parkingu i wbiłam się w niewielki ruch na szosie. Niestety słońce zaszło i zapowiadało się na deszcz. Miałam nadzieję, że uda nam się jednak zdążyć do babci przed ulewą.

– A wiesz, że ciocia opowiedziała mi historię o panu Henryku? – zagadnęłam.

– Mnie już dawno opowiedziała i pokazała zdjęcia – chwaliła się. – Romantyczne, nie?

– No, bardzo.

– Mamo, słuchaj, mam pomysł – rzuciła nagle Lusia. Usiadła wygodniej, wyprostowała się i z ekscytacją w głosie opowiadała o swoim genialnym planie. Natychmiast przypomniała mi się mama. Oby tylko wnuczka nie odziedziczyła po babci talentu do mieszania się w cudze życie.

– Może byśmy cioci zrobili prezent urodzinowy?

– A co masz na myśli?

– Myślałam, żeby odnaleźć tego pana Henryka. Może jeszcze żyje? Zrobiłybyśmy takie przyjęcie niespodziankę, jak na filmach amerykańskich i zaprosiłybyśmy tego faceta?

– A jeśli nie żyje? Poza tym może nie ma ochoty widzieć się ze wszystkimi naraz na jakiejś fecie. Jesteśmy obcy.

– To wtedy trudno. Wyobrażasz sobie takie spotkanie po latach? Może ciocia całkowicie zamknęłaby ten rozdział? Bo te szkiełka, które zbiera przez całe życie, to jednak chyba świadczą o tym, że przez cały czas o nim rozmyśla, nie?

– Pewnie masz rację. Znalazłam pod jej łóżkiem takie serduszko, to chyba pamiątka po tym Henryku.

– Tak, to on dla niej wydmuchał, bo te pozostałe figurki kupowała w różnych miejscach na pamiątkę.

– Ale wiesz co? Może faktycznie to nie jest głupi pomysł. – Zamyśliłam się, bo podobnie jak Lusia widziałam w wyobraźni scenę niczym z hollywoodzkiego filmu, jak to on i ona spotykają się po sześćdziesięciu latach, wpadają sobie w ramiona i resztę życia spędzają razem, pijąc sobie z dzióbków. – Tylko trzeba by się dowiedzieć, jak ten Henryk ma na nazwisko. To na początek. Wiemy, gdzie mieszkał i pracował, więc może uda się znaleźć kogoś, kto go pamięta.

– Super. – Luśka klasnęła w dłonie. – Sumiński!

– Co?

– Henryk Sumiński – powtórzyła.

– Skąd wiesz?

– Ciocia mi powiedziała, a ja to wszystko zapisałam. Stwierdziłam, że to taka historia, że może się przydać.

– Jesteś geniuszem – powiedziałam z podziwem. Aż pokiwałam głową, bo nie mogłam uwierzyć, że moja córka jest taka zapobiegliwa i kolekcjonuje ciekawe historie na zaś.

– Wiem. To jaki mamy plan?

– Widzę, że idziesz w ślady babci. – Zaśmiałam się. – Ona jest specjalistką od planów.

Aż do samej Bydgoszczy układałyśmy harmonogram działań. Lusia w końcu przypominała tę dziewczynkę, którą urodziłam. Była pełna zapału i dobrego humoru. Zapisała na kartce w punktach, co mamy zrobić, by znaleźć tajemniczego Henryka. Ucieszyłam się, choć nie bardzo wierzyłam w to, że może się udać. Jednak takie wspólne działanie znów nas z Lusią zbliżyło do siebie, a to było ważne.

– No, widać już dom babci – powiedziałam, kiedy na końcu ulicy zamajaczyła czerwona blachodachówka. Babci kamienica wyróżniała się spośród pozostałych na tej ulicy, bo jako jedyna miała tak krwistoczerwony dach.

Wjechałam w podwórko. Zaparkowałam koło śmietnika. Z przyjemnością się rozejrzałam po zakamarkach, w których spędzałam niejedno lato w dzieciństwie. Płot, na którym rozdarłam pośladek, został już dawno wymieniony na nowy. Zniknęła też hałda blachy, która udawała materac, i na którą skakaliśmy jak Władysław Kozakiewicz, bijąc rekordy podwórka. Kończyło się to uszkodzeniami ciała, ale to było nieważne w obliczu genialnej zabawy.

Nacisnęłam biały przycisk na domofonie. Tutaj przecież też dotarła nowoczesność. Po chwili usłyszałyśmy głos babci i pytanie „Kto tam?”. Lusia krzyknęła, a w odpowiedzi babcia otworzyła nam drzwi.

Ucieszyła się bardzo. Płakała, jak zawsze, na widok gości. Nie mogła uwierzyć, że Lusia już jest taka duża, a przecież widziała ją ledwie kilka miesięcy temu. Wycalowała nas i wyściskała. Dopiero potem zaprosiła do kuchni i wstawiła wodę na herbatę, bo według niej po podróży trzeba się najeść. Taki urok wszystkich babć tego świata, że kochają karmić wnuki i prawnuki.

– Ale mi zrobiłyście niespodziankę! – mówiła podekscytowana.

– Chciałyśmy cię zobaczyć przed świętami – odparłam. Włożyłam cytrynę do kubka. Babcia zawsze miała przygotowane plastry w słoiczku. Zасыpywała je cukrem i dobrze wygniatała, by nic się nie marnowało. Taka wersja cytryny smakowała lepiej niż ot tak wrzucony świeży plaster.

Nagle zadzwonił mój telefon. Nie musiałam go tym razem zbyt długo szukać, bo wcześniej wcisnęłam go do kieszeni. Zdziwiłam się, kiedy na wyświetlaczu zobaczyłam „Mama”.

– Cześć, córciu. Słuchaj, mam prośbę.

– Cześć, mam – weszłam jej w słowo. – My teraz jesteśmy u babci. Czy coś się stało?

– O, u babci jesteście? Bo wiesz co, my z ojcem zostawiliśmy u cioci w tym pokoju, w którym spaliśmy, torbę. Zauważyłaś może?

– Nie, nie wchodziłam tam. Ale jak to? Pojechaliście do sanatorium bez bagażu? – Zdziwiłam się, bo taki brak organizacji do mojej mamy był niepodobny. – I co teraz? Dopiero to zauważyłaś? Przecież jesteście tam już kilka dni!

– A wiesz – zaczęła tłumaczyć – bo my mieliśmy tyle bagaży, że w końcu te dwa tobołki się nam zapodziały u cioci.

– Dwa?! Oj, mam, coś ściemniasz.

– Nie, no prawdę mówię. I mam do ciebie prośbę. Sprawdź, czy w tej niebieskiej torbie są leki ojca, bo nie mogę ich znaleźć.

– To pięknie się wybraliście bez leków.

– Gdyby tam były, to nam wyślesz. Podam ci adres, dobrze?

– Dobrze. Sprawdzę, gdy wrócimy od babci. Oddzwonię wieczorem.

– Spokojnie, to nie jest aż tak pilne, bo ojciec jedno opakowanie miał przy sobie, a tam chyba zostały zapasowe. Ucałuj ode mnie babcię.

– Ucałuję, pa.

Opowiedziałam Lusi i babci o zagubionych torbach mojej mamy. Uśmiechały się i podobnie jak ja, zdziwiły się takim brakiem organizacji. Toż to do niej kompletnie niepodobne, by zapomnieć o bagażu. Babcia westchnęła i stwierdziła, że czasami ma wrażenie, że jej ktoś córkę w szpitalu podmienił.

– I, co? Masz ochotę wybrać się na święta do cioci? – zmieniłam temat.

– Na pewno na święta nie planuję nigdzie jechać, bo nie zostawię tutaj Stasia samego – stwierdziła kategorycznie babcia.

– Ale przecież pradziadek Stasiu ma doborowe towarzystwo na cmentarzu – skwitowała Lusia. – Zapewne nie będzie miał nic przeciwko.

– Jaśka ma być u mnie na święta. Samotna jest, więc posiedzimy sobie razem. Pójdziemy do kościoła, a potem na grób Stasia. W końcu to jej brat, więc sobie spokojnie z nim porozmawiamy.

– Babciu, jak chcesz, to przecież przyjedziemy i po ciebie, i po ciocię Jasię – powiedziałam. W sumie dwie czy trzy starszki nie robiły mi różnicy, a każda z nich była na tyle sprawna i energiczna, że niejednego młodego zapędziłyby w kozły róg. To pokolenie chyba tak miało. Niezniszczalne.

– E tam. Trzy babki to już za wiele – odpowiedziała. – Chcę zostać w domu, a do Zośki przyjadę, kiedy będzie cieplej. Na przykład na jej urodziny. Posiedzimy sobie w ogródku. Teraz muszę pieca pilnować. Jak wracam skądś po dłuższym czasie, to zimno w domu. Kwiaty marzną.

– Babciu, ale ty masz gazowy piec. Można go odpowiednio ustawić.

– Co ty, dziecko, wiesz – wtrąciła zniecierpliwiona. – Ja tam wolę mieć na niego oko. A jak się coś zepsuje?

– Dobrze, poddam się. – Podniosłam obie dłonie w geście kapitulacji.

– No, a teraz zjedzcie ciasto. Wczoraj babkę robiłam. Miałam nosa, że ktoś mnie odwiedzi. Dwa razy łyżeczka mi na podłogę spadła.

– Pyszna – stwierdziła Lusia i wpackowała do ust spory kawałek. – Mamo, rozumiesz coś z tymi bagażami? – spytała.

– Nic a nic. Natomiast wiem jedno: z moją matką jest coraz gorzej. Ciekawa jestem tylko, co jest w tych torbach, że dopiero po kilku dniach zauważyła ich brak.

– A co wy ciągle o tych torbach? – spytała babcia zdeorientowana.

– Bo moja mama zostawiła przecież bagaż u cioci i teraz sobie o tym przypomniała.

– A może babcia nam jakąś bombę podrzuciła albo podsłuch? – Lusia zadała pytanie retoryczne, bo raczej trudno było na nie znaleźć odpowiedź, siedząc sto czterdzieści kilometrów od domu.

– A wiesz... – zastanowiłam się. – Podsłuch. To mogłoby wiele wyjaśnić. Tylko chyba te torby są za duże.

– Będziecie nocować do jutra? – spytała babcia, przerywając nasze bezsensowne rozważania.

– Nie. Lusia przecież jutro idzie do szkoły. Dopiero w czwartek ma wolne. Niedługo będziemy się zbierać. Po prostu chciałyśmy się z tobą zobaczyć przed świętami. Miałam też nadzieję, że dasz się namówić na wyjazd do Starogardu.

Babcia spojrzała na zegarek. Potem na nas.

– To może ja obiad wstawię?

– Nie, babciu. Nie rób sobie kłopotu. Zjemy ciasto, wypijemy kawkę i pojedziemy. Zdamy do cioci na późniejszy obiad.

– Jak chcecie. Zatrzymywać was nie będę, bo rozumiem, że lepiej jechać za widnego – powiedziała. – A i pewnie ciekawe jesteście, co ta moja córka zapomniała wziąć do sanatorium. Znając życie, to nic ważnego. Pewnie pół szafy zapakowała, a potem nie doliczyła się tobołów. I ucałujcie ode mnie koniecznie Zosię, bo stęskniłam się za tą moją siostrą – westchnęła.

Spędziłyśmy z babcią jeszcze dwie godziny. Lusia opowiedziała, jak jest w nowej szkole. Bardzo się otworzyła. Miałam nadzieję, że rozmowa w aucie dobrze na nią podziałała, bo może faktycznie coś ostatnio przegapiłam. Babcia oczywiście nie odpuściła, by nas nie karmić i wyciągnęła na stół chyba wszystko, co miała w lodówce. Ledwo udało się nam ją powstrzymać przed robieniem obiadu. Wracałyśmy do domu obżarte jak bąki. Humory nam dopisywały. Nawet przestałam myśleć o zapomnianych tobołkach mojej matki, tylko idąc w jej ślady, razem z Luśką knułyśmy swój plan odnalezienia pana Henryka. Jabłko jednak nigdy nie może spaść daleko od jabłoni. I to było przerażające.

Do Starogardu wróciłyśmy po osiemnastej. Odstawiłam Lusię do domu i pojechałam na godzinę do Artura. Niesamowicie się za nim stęskniłam, a myśl o wczorajszym wieczorze sprawiała, że nogi mi miękły. Dziwna fala ciepła przelewała się przez mój żołądek, a na facjacie malował się lubieżny uśmiech. Trudno mi było zachować spokój i powagę. Miałam tylko nadzieję, że Lusia tych moich chwilowych odlotów nie zauważy.

Nie miała też nic przeciwko, żebym wieczór spędziła poza domem. Po tylu godzinach z

matką pewnie chciała odpocząć od mojego trajkotania.

Zajechałam przed dom Artura. Miał włączone światło w kuchni, więc pewnie coś pichcił. Na szczęście zdążył wrócić z dyżuru i jeszcze nie położył się spać. Przybyłam więc o idealnej porze. Wyłączyłam silnik, by się nie zorientował, że ktoś przyjechał. Zamknęłam samochód i pomknęłam na spotkanie. Zapukałam cicho w drzwi, mając nadzieję, że może nie usłyszy, a po naciśnięciu klamki okaże się, że nie zamknął ich na klucz i będzie miał niespodziankę. Jednak nic z tych rzeczy. Zamknięte na trzy spusty. Zmuszona byłam zadzwonić, by usłyszał i wpuścił mnie do środka.

Jedno naciśnięcie dzwonka i nic. Cisza za drzwiami. Drugie. Trzecie. Już bardziej niecierpliwe. W końcu dało się słyszeć jakiś ruch wewnątrz.

– Asia? – zdziwił się na mój widok, a mnie trochę to zaniepokoiło. Nie zauważyłam dzikiej radości. Na jego twarzy malowała się tylko głupia mina.

– Niespodzianka! – wykrzyknęłam.

– Wchodź. – Wpuścił mnie do środka. – Nie spodziewałem się. Niezła niespodzianka.

Dopiero w przedpokoju, kiedy drzwi zostały zamknięte, przytulił mnie mocno, a jego głos znów przybrał ciepłą, dobrze mi znaną barwę.

– Stęskniłem się. – Pocałował mnie w czoło, potem w policzek i w usta. Spojrzał w oczy, jak zawsze głęboko, prawie do dna żołądka. A potem nie pozostało nam nic innego, jak oddać się szalonej grze dłoni, rąk, nóg, ust...

Rozdział 9

– O, rany – jęknęłam. – Mój łeb. – Złapałam się za głowę, bo bolała niemiłosiernie. Zdetonowano w niej wszystkie ładunki, czyniąc całkiem niezłą rozpięduchę, bo przez kilka sekund próbowałam zidentyfikować miejsce, w którym się znajdowałam, a powieki były tak ciężkie, że nie dawały się całkowicie podnieść. Ściany w kolorze dobrze utrwalonym, odhaczyłam w myślach. Z boku biurko wuja, odhaczone. Jestem u siebie, czyli u cioci. Odetchnęłam. Wczorajszy upojny wieczór z Arturem zakropiliśmy winem, odhaczone. Nie mam zaniku pamięci. Na szczęście. Auto? Zostało u niego przed domem. Wszystko pod kontrolą.

Wymacałam pod poduszką telefon, by sprawdzić, która godzina. Kurza twarz! Usiadłam natychmiast. Dziesiąta! Dziesiąta jak w mordę strzelił! Wskoczyłam z pościeli. Nie mogłam znaleźć kapci. Padłam więc na kolana i ręką próbowałam je wymacać pod łóżkiem. Były! Szybko na nogi i biegiem do Luśki. Zaspaliśmy! Niech to szlag! Zachciało mi się ekscesów, to mam. Dziecko przeze mnie nie poszło do szkoły.

– Lusia! – krzyknęłam, znajdując się już na schodach prowadzących do jej pokoju. – Lusia! – Podbiegłam do łóżka. Było puste. Oczywiście w nieładzie. Mogłam jeszcze poszukać córki w tej rozrzuconej pościeli albo pod łóżkiem, ale to bezcelowe. Lusia wstała sama i pewnie już od dwóch godzin siedziała w szkolnej ławce. Jak dobrze, że mam rozsądną córkę!

Już spokojnie zesłam na dół i na paluszkach poczłapałam do ciocinego pokoju. Delikatnie zapukałam, choć raczej były marne szanse, że mój galop przez przedpokój, a potem dzikie wrzaski na schodach jej nie wystraszyły. O tej godzinie ciocia nigdy nie śpi. Słucha swojego „radjka”. Jednak po dłuższej chwili ciszy nacisnęłam na klamkę i zajrzałam do środka. Tutaj dla odmiany łóżko było elegancko zaścielone. A po cioci ani śladu. Pewnie gdzieś wyszła. Korzystając z okazji, weszłam do jej pokoju i zbliżyłam się do półki z albumami. Odszukałam ten, w którym znajdowało się zdjęcie Henryka. Było na swoim miejscu, jak wszystko u cioci. Wyciągnęłam fotografię i po cichu wróciłam do swojego pokoju. Włączyłam skaner. Na szybie ulokowałam zdjęcie i zrobiłam kopię. Potem odniosłam zdjęcie na swoje miejsce. Album ułożyłam dokładnie tak, jak wcześniej leżał.

– Ciociu! – krzyknęłam, by się upewnić, że faktycznie jestem w domu sama. – Halo?!

Odpowiedział mi głos kota. Nutuś upominał się o jedzenie. Otworzyłam okno w swoim pokoju i poszłam do kuchni. Nalałam ryczącemu zwierzakowi mleko i wsypałam suchą karmę. Od razu nastała idealna cisza przerywana chrupnięciem przysmaku kocura.

Dopiero wtedy na stole zauważyłam kartkę zapisaną nierównym pismem cioci: „Poszłam do Jadzi. Będę o 11.00”.

– Jesteśmy sami, Nutuśku – powiedziałam do kota. – Pospaliśmy, nie?

Nutuś, kulturalny kot, spojrzął na mnie i miauknął dwa razy na potwierdzenie moich słów.

– To ty pij mleko, a ja kawkę sobie zaparzę. – Podeszłam do ekspresu. Włączyłam go i podstawiłam w odpowiednie miejsce małą filiżankę. Na całkowite obudzenie będzie espresso z odrobiną mleka. Dwa łyki mocnego napoju i będę w pełni władz umysłowych. Zacznę myśleć, co dzisiaj mam do zrobienia i rozpocznę wdrażanie planu odnalezienia amanta cioci.

Brałam już drugi łyk kawy, kiedy nagle doznałam oświecenia. Alarm zawył, lampki się włączyły, a odruchem bezwarunkowym był bieg w kierunku pokoju gościnnego. Tobałki przywiezione przez rodziców! Zapomniałam! Dopadłam do niebieskiej torby. Podniosłam ją. Ciężka. Postawiłam na stoliku, by wygodniej było zajrzeć do środka. Odpięłam suwak. Na samym wierzchu kartka: „To dla ciebie, córciu, od kochającej mamusi”. Co jest? Nie miałam w najbliższym czasie żadnego święta. Książki?! Zdziwiłam się. Książki? Moja mama przywiozła

tutaj książki? Po cholere! Wzięłam jedną do ręki i przyjrzałam się okładce. Krzychał do mnie tytuł: *Jak zdobyć mężczyznę?*. Chwyciłam drugą: *Związek idealny*. Trzecia: *On i ona. Poradnik*. Potem: *Jak uwieść mężczyznę w ciągu trzech dni?*, *Jak wydobyć z siebie seksapil?*, *Masaż tajski*. Kolejnych już nie musiałam przeglądać. Bezcelowe było też szukanie tabletek ojca, bo – jasna sprawa – tutaj ich nie było. Moja matka oszalała! A ja czułam się, jakbym dostała główną rolę w *Cyrku Monty Pythona*. Jakaś groteska i absurd wkradły się w moje życie, a reżyser, czyli moja ukochana mamuśka, postradał zmysły i wziął nogi za pas.

Postawiłam drugą torbę obok. Ta dla odmiany była dość lekka. Otworzyłam i zamarłam. Na wierzchu znajdowała się kartka tej samej treści. Zabiję swoją matkę. Zabiję! Normalnie uduszę! Kto to widział, żeby własna matka coś takiego robiła dziecku?!

Pobiegłam po telefon. Nie daruję jej tego! Wybrałam numer mamy. Kilka sygnałów. Automatyczna sekretarka.

– O, nie! Nie ze mną te numery! – Wybrałam kolejny raz, kolejny i kolejny. Ciągłe to samo, ale postanowiłam się nie poddawać. Będę dzwonić do skutku!

Usiadłam w fotelu i upierdliwie, co chwilę, wybierałam połączenie. Udało się chyba dopiero za dziesiątym razem.

– Jezu, córciu! Stało się co? Ktoś umarł?

– Mamo! – krzyknęłam. – Zaraz ja ciebie zamorduję! Co to jest?!

– Mogłabyś nie krzyczeć? Zaraz mi bębenki w uszach popękają – powiedziała tak spokojnym głosem, że ciśnienie pewnie miałam już zawałowe.

– Mamo!

– Co?

– Co jest w tych tobołach, które tutaj przytachałaś?

– Sądząc po twoim tonie, już wiesz – odparła lekko urażona tym, że nie pieję na jej cześć z powodu genialnego prezentu.

– Mamo, czy widziałaś kiedyś, żeby matka własnej córce kupowała kilkanaście poradników na temat uwodzenia facetów, tworzenia idealnych związków i seksu?

– Kupiłam te najlepsze...

– Domyślałam się. A do tego jeszcze seksowna bielizna i szpilki? Mamo? Co ty znów wymyśliłaś?

– Poczytaj poradniki, to sama zobaczysz. Faceci nie lubią w łóżku grzecznych dziewczynek. Wiesz...

– Proszę cię – jęknęłam w słuchawkę, a nogi się pode mną ugięły. Moja matka udzielała mi rad na temat seksu!

– Nie ma się czego wstydzić. Ten Doktorek to naprawdę taka partia, że powalczyć trzeba. A wiesz, jak to jest. Prawo dżungli. Musisz być przygotowana.

– Mamo... – Dał się słyszeć jęk z moich ust.

– Ja tylko zaopatrzyłam cię w odpowiednią broń. W miłości jak na wojnie, więc broń potrzebna. A kto inny ma ci pomóc, jeśli nie matka?

– Mamo... – Byłam tak bezsilna, że nic innego nie udało mi się wyartykułować.

– Nie wiedziałam, jakie kolory lubi Artur, więc masz w trzech i do każdego kompletu szpile jak się patrzy. Nakładasz peniuarek, szpilki i...

– Proszę cię – przerwałam jej. – Skąd ty wzięłaś ten genialny pomysł?

– Czyta się to i owo, nie?

– Mamo, ja naprawdę mam ochotę cię teraz udusić – warknęłam.

– Córciu, odłóż to na kiedy indziej. Ja teraz jestem w sanatorium i nie mogę się denerwować. Kiedy wrócę, to mi wszystko opowiesz. Dobrze?

- I po to było to ściemnianie z lekami?
- Przecież sama byś tam nie zajrzała. Prawda?
- Zgadza się.
- No widzisz. Sama jesteś sobie winna, bo gdybyś pozwoliła sobie pomóc...
- Jezu, mamó, proszę cię. Obiecałaś przecież, że nie będziesz się wtrącać.
- Przecież ja jestem daleko. Nic nie robię. A w umowie nie było, że nie mogę ci zrobić prezentu. Potraktuj to jak prezent od mamusi. Zobaczysz, jeszcze mi podziękujesz.
- Dobrze, mamó. Widzę, że to nie ma sensu. – Czułam, jak wzbierał we mnie wulkan, a nagromadzona lawa koniecznie chciała wydostać się na zewnątrz.
- Baw się dobrze. Pa – powiedziała, najwidoczniej zadowolona z siebie i ze swojego genialnego pomysłu.
- Pa – rzuciłam z niechęcią w słuchawkę.

Odłożyłam telefon na stolik. Siedziałam wbita w fotel. Nagle dał się słyszeć sygnał esemesa. Odruchowo wsadziłam do kieszeni koronkowe gacie, które przed chwilą wzięłam w dłoń. Pewnie mama nie zdążyła czegoś powiedzieć. Sięgnęłam po aparat. Numer nadawcy był jednak nieznany. Odczytałam: „Spodziewaj się niezbyt miłej niespodzianki”.

– Aaaaaaaaaa! – zaczęłam krzyczeć z totalnej bezmyślności. Mama z jej genialnymi pomysłami, a do tego jakiś dziwny esemes, to było zdecydowanie za dużo, jak na moją rozczochraną łepetynę. – Aaaaaaaaa! – Uff! Lepiej. Automatycznie poczułam ulgę. Kot wystraszony skoczył do przedpokoju i spoglądał na mnie, jakby nie wiedział, czy uciekać, czy nie. Na ugiętych nogach obserwował sytuację.

– Ej, nie bój się – powiedziałam do niego już bardzo spokojnie. Kucnęłam w progu i łagodnie do niego szeptałam. Ton mojego głosu powinien go uspokoić. Jednak Nutuś drgnął i nadstawił uszy. Nie patrzył w moim kierunku. Spoglądał w stronę drzwi prowadzących do pokoju Lusi. Tuż za nimi znajdowało się wejście do piwnicy. Wystraszony kot właśnie tam spoglądał. Jeszcze bardziej ugiął nogi i strzygł nerwowo uszami.

Spojrzałam tam, gdzie Nutuś wpatrywał się z taką uwagą. Nagle usłyszałam jakiś dźwięk dochodzący z piwnicy. Coś tam huknęło. Ciarki mi przeszły po plecach, bo tyle się mówi, że koty widzą duchy, a teraz mój kot dziwnie się zachowywał.

– Ktoś tam jest? – szepnęłam do Nutusia. Zjeżył się lekko i ani drgnął.

Rozejrzałam się po pokoju. W rogu, obok drzwi, stała elektryczna łąпка na muchy do złudzenia przypominająca paletkę do badmintonu. Niewiele myśląc, chwyciłam ją w dłoń. Może w piwnicy ktoś jest? Odgłosy umilkły, ale zdecydowanie coś z Nutusiem usłyszeliśmy. Jeżeli to duch, to nic nie poradzimy, ale jeżeli włamywacz, to przyfasolę mu chociaż tą łąpką. Sprawdziłam suwakiem przy rękojeści, czy „paletka” była naładowana. Zazgrzytała po dotknięciu paluchem, więc prąd w niej był. Niestety nie miałam pod ręką niczego ciężkiego, więc zdecydowałam, że tak uzbrojona sprawdzę, co jest źródłem niepokojącego hałasu.

Cicho, na palcach podchodziłam do podejrzanego miejsca. Nutuś skradał się obok mnie, zdecydowanie zachęcony poczynaniami swojej pańci. Wyglądał na przestraszonego, czym niestety nie dodawał mi odwagi. I kiedy znalazłam się metr od drzwi, wyraźnie usłyszałam, jak trzeszczą schody prowadzące do piwnicy. Sprawiały wrażenie, jakby dźwigały coś ciężkiego. Nagle tuż przede mną powolutku zaczęła się uginać klamka. Zamarłam. Ktoś tu jest! Cholera! Ktoś tu jest! Przystąpiłam z nogi na nogę. Chwyciłam mocniej łąpkę na muchy. Złapałam jej rękojeść dwoma dłońmi niczym samurajski miecz i przyjęłam odpowiednią postawę, by móc się zamachnąć. Nutuś cały czas pozostawał przyczajony za mną. No, obronnym kotem to on nie będzie chyba nigdy. Najlepiej to się schować za plecami swojej pani.

Klamka w drzwiach ugięła się mocniej i drzwi przede mną zaczęły się pomalutku

uchylać. Znowu nerwowo przestąpiłam w miejscu. Serce waliło mi jak oszalałe. Włamywacz nie mógł mnie widzieć, bo drzwi otwierał przed sobą do wewnątrz przedpokoju, dając mi idealną zasłonę. Przyłgnęłam całym ciałem do ściany za nimi, będąc w pełnej gotowości. Patrzyłam w dół, kiedy pojawi się stopa przestępcy. Kiedy jej czubek wychynał zza drzwi, wzięłam najmocniejszy zamach, na jaki mnie było stać, jednocześnie włączając przepływ prądu w łapce. Walnęłam na wysokości twarzy.

– Ła! – Dodałam sobie animuszu okrzykiem bojowym. A jakżeby inaczej?

Oczywiście celowałam zupełnie na oślep, czyli tam, gdzie włamywacz mógł mieć twarz. Założyłam, że jest wyższy ode mnie. Nie wiem, skąd taki pomysł, bo przecież kurdupłowaci złodzieje też istnieli. Szczęście mi jednak sprzyjało, bo łapka wyczuła opór i rozległ się nagły wrzask.

– Kurrrra! – To było najgłośniejsze wykrzykane przekleństwo, jakie kiedykolwiek słyszałam. – Kur...

– Stój, bo przywalę jeszcze raz! – krzyknęłam.

Mężczyzna zwinął się w pół i trzymał za twarz. Niestety – lub stety – wyglądał znajomo.

– Piotr? Jezu, Piotr. To ty?

Odrzuciłam na podłogę swoją prowizoryczną broń i pomogłam Piotrowi usiąść. Cały czas trzymał ręce przy twarzy, więc nie widziałam jeszcze, jak bardzo go uszkodziłam. Jedno było pewne: dobrze wymierzyłam cios!

– Aśka – szepnął w bólu. – To ty?

– No a kto? Pokaż twarz.

– Psss... Łaaa, boli. – Wił się jak piskorz. Chyba faktycznie go bolało. Miał na dłoni krew.

– Krew ci z nosa leci – powiedziałam. Przyniosłam ręcznik papierowy i mu go podałam. W końcu jest ratownikiem medycznym, więc chyba lepiej ode mnie wie, co robić. Było mi tak wstyd, że nie wiedziałam, jak tę sytuację załagodzić. Zabiłabym Blublusia!

– Jezuuu – jęczał. – Coś ty zrobiła?

– To po co się tak zakradasz?! – spytałam, zmieniając taktykę. W końcu nie na darmo się mówi, że najlepszą obroną jest atak.

– Bo krzyczałaś! Myślałem, że coś się stało, więc przelazłem przez żywoplot i wszedłem piwnicą.

– Ale tam są drzwi od ogrodu. Wyważyłeś je?

– Rany! Mam zmasakrowaną twarz. Czym ty mi przywaliłaś?

– E, tym co miałam pod ręką.

– Nie wyważałem. Tak długo już tu mieszkasz i nie wiesz, że ciocia ich nie zamyka? Umówiliśmy się, że w razie czego, gdyby tutaj zmarła i zaśmierdła, to żeby nie wywalać drzwi, mam wejść od ogrodu.

– Jak to zaśmierdła?

– Normalnie. Nie znasz swojej cioci? Bała się, jeszcze jak was tu nie było, że umrze w samotności i zaśmierdnie, bo nikt jej przez kilka dni nie znajdzie.

– Cała ciocia. – Uśmiechnęłam się. – Pokaż twarz. Może do szpitala trzeba?

– O, nie! Nie dotykaj. – Wstał. – Muszę do lustra.

Odprowadziłam go do łazienki. Stałam przyklejona do drzwi i nasłuchiwałam. Nie słyszałam wcześniej z ust Blublusia aż tylu przekleństw. Zza drzwi niestety tylko to było słychać, a w tle szum wody lecącej z kranu.

Po chwili Piotr wyszedł. Spojrzał na mnie morderczym wzrokiem. Zabolalo to spojrzenie. Prawie poczułam, jak mnie dusi.

– Czym ty mnie walnęłaś, że przecięłaś mi skórę na nosie?
– Taką łapką na muchy – wydukałam. Wtedy Piotr zauważył moje narzędzie zbrodni porzucone w przedpokoju.

– Jezu, Aśka, to ma w sobie paralizator.

– Tak, ale na muchy. Miało zadziałać odstraszająco. Myślałam, że to włamywacz.

– A dlaczego wrzeszczałaś? Byłem pewien, że ktoś robi ci krzywdę.

– Na moim miejscu też byś wrzeszczała. Chodź, zrobię ci kawę – powiedziałam i zaprowadziłam go do kuchni. Kiedy kawa bulgotała w ekspresie, streściłam mu genialne pomysły mojej mamy.

– A to, co ci wystaje z kieszeni, to prezencik od mamusi? – spytał, wskazując palcem na moją kieszeń. Faktycznie, wystawały z niej koronkowe gacie. Wyciągnęłam je i zademonstrowałam Piotrowi.

– Tak.

I kiedy stałam z tymi seksownymi majtkami w dłoni, do kuchni z impetem weszła ciocia. Nie słyszałam, jak otwiera drzwi, więc kiedy znalazła się naprzeciwko nas, miała niecodzienny widok. Stałam z seksownymi gaciami w dłoniach, a Piotr z pokiereszowaną twarzą przyglądał się koronkom. Ciocia na nasz widok się przeżegnała.

– O, mortadelo – szepnęła.

– Dzień dobry, pani Zosiu – powiedział Piotr, grzecznie wstając z miejsca i kłaniając się cioci.

– Co się tu dzieje? – spytała. – A ty nie jesteś... no... jak by to powiedzieć...

– Jestem – przerwał jej Piotr, bo wiedział, o co chciała zapytać, a ja odruchowo znów wepchnęłam gacie do kieszeni.

– To kto mi to wyjaśni?

– Ja cioci zrobię cappuccino i na spokojnie wszystko opowiemy. Bez kawy się nie da.

– Jo, to ja naleweczki naleję, bo widzę, że to jakaś grubsza sprawa. – Uśmiechnęła się. Wyjęła butelkę. Postawiła ją na stole i zatarła dłonie z zadowoleniem. – Z wami to ja mam bardzo ciekawe życie – dodała.

– Nawet pani nie wie, jakie ja mam – westchnął Piotr. – Joanna to jakiś chodzący kataklizm.

– Oj tam, oj tam – odpowiedziałam. – Musiałam się bronić. A gdyby to był prawdziwy włamywacz?

– Ale Piotr to nie bandyta. – Ciocia od razu wzięła go w obronę.

Kiedy siedzieliśmy i popijaliśmy nalewkę, streściłam jej ostatnie wydarzenia. Pokazałam kilka poradników i szpilki. Widoku staników i peniuarków już jej zaoszczędziłam.

– Nie wiedziałam, że ta moja siostrzenica jest zdolna do takich podstępów.

– Ja też nie. To, ciociu, leczyć chyba trzeba, bo inaczej się nie da.

– Trzeba jednak przyznać, że się martwi o ciebie.

– Kurczę, ona mnie przyszykowała jak do wojny. A ile się nagadała, że trzeba walczyć.

Piotr parsknął śmiechem.

– Sorki – odparł po chwili i już nic więcej nie dodał.

– Najgorsze jest to, że ja z tej perspektywy mam ochotę machnąć ręką na Artura, bo przecież każdemu by ta moja mama go obrzydziła...

– Ale? – spytał Piotr.

– Ale jak jestem u niego i zapominam o tej całej szopce, to... Ech, co ja wam będę mówić – westchnęłam. – Wtedy jest pięknie.

– Masz jakieś rozdwojenie, a to źle – stwierdziła poważnie ciocia. – Musisz jak

najszybciej odizolować się od pomysłów mamusi.

– Ba! Ja to wiem. Nawet mamuśka to wie, a nijak nam to nie wychodzi, bo ona i tak swoimi pokrętnymi sposobami coś mi wciśnie.

– Zostaw to mnie – powiedziała znów ciocia. – Ja sobie z nią poważnie porozmawiam.

– O, czas na ciężką broń. – Piotr się zaśmiał. – Dobrze, to ja idę do domu. Mam nadzieję, że moja mama mnie pozna i mi nie przywali. – Wstał od stołu. – Dziękuję za nalewkę. Podziękowała. Już mi lepiej.

– A, nie ma za co. – Ciocia zachichotała. – W tym roku pewnie z twoją mamą znów narobimy zapasów.

– Wiadomo, trzeba mieć ten czarodziejski eliksir w spiżarni, bo jak Asia dłużej tu zostanie, to może być więcej ciekawych sytuacji.

– Ha, ha, ha. Ale zabawne!

Kiedy Piotr wyszedł, ciocia poszła poleżeć i posłuchać „radyjka”. Do domu wrócił spokój. Odłożyłam łapkę na muchy na swoje miejsce i zabrałam tobołki przywiezione przez mamę do swojego pokoju. Ciekawość jednak była silniejsza od złości na mamę, więc postanowiłam dokładnie przejrzeć, w co mnie uzbroiła.

Zaczęłam od książek. Czternaście woluminów! Każdy kosztował kilkadziesiąt złotych. Wszystkie były nowe, więc nieźle się wykosztowała. Widać, że ma poważne zamiary wobec Artura, jeżeli tak inwestuje. Tytuły książek mnie załamały. Co ta moja mama ma w głowie, że pomyślała o skuteczności tych książek? Ułożyłam je w elegancką wieżę. Chwilę się jej przyglądałam, jeszcze raz odczytując tytuły z grzbietów. Jednak żaden nie zainteresował mnie na tyle, by odłożyć do przeczytania. Autorom wydawało się, że znają wszystkie sposoby uwodzenia, tworzenia związków, pozycji seksualnych i zatrzymania faceta przy sobie na dłużej niż kilka randek. Jakby dało się napisać instrukcję obsługi przeciętnego mężczyzny!

Odłożyłam książki z powrotem do torby. Zapięłam ją na zamek i odstawiłam w kącie pokoju. Nie miałam zamiaru brnąć w to według scenariusza mojej mamy. Zawahałam się jednak przy drugim bagażu. Ładna bielizna to było coś! Może warto byłoby zawiesić na niej oko na dłużej? Zamknęłam drzwi do pokoju. Po kolei wyciągałam fatałaszkę. Odnalazłam najpierw części do kompletu gaci, które miałam w kieszeni. Położyłam je na łóżku. Po chwili znalazłam czerwony koronkowy stanik i zwiewny peniurek. Muszę przyznać, że mama ma gust. Na podłodze postawiłam szpilki w tym samym kolorze. Zdjęłam skarpety i założyłam buty. Rozmiar odpowiedni. Kto jak kto, ale mama doskonale sprawdziła moje wymiary.

Przeszłam się po pokoju. W szpilkach jest coś niezwykłego. Od razu czynią nogę zgrabniejszą, dodają pewności siebie, dostojności i odrobinę szaleństwa. Po cichu przeszłam do łazienki, by przejrzeć się w lustrze. Bosko! Miałam ochotę przymierzyć również bieliznę, ale bałam się, że za chwilę ktoś mnie nakryje na tych erotycznych przymiarkach.

Wróciłam do pokoju. Wyrzebałam z torby czarny komplet. Do niego oczywiście czarne szpilki. Widać, że moja rodzicielka ma fantazję. Aż nie chcę myśleć, jakie atrakcje przygotowywała w sypialni ojcu. Brrr! Czarne szpile z czerwonymi podeszwami! Mam nadzieję, że nie wzięła na te zakupy kredytu, bo to wyglądało naprawdę drogo.

Ostatni komplet był biały. Najbardziej niewinny, o ile można użyć takiego określenia w odniesieniu do bielizny erotycznej. Białe pończochy, podwiązki, pas, stanik i figi. Piękne. Do tego szpile. Tym razem satynowe. I peniurek wyglądający jak pajęczynka z drobinami pereł przypominającymi krople porannej rosy. Wyglądało to jak ślubny komplet. No, a jakże? Założę się, że mamuśka miała właśnie taką wizję w swojej głowie.

Przymierzyłam kolejne buty. Wszystkie idealnie pasowały. Czarne może trochę uwierały, ale podejrzewam, że jeżeli dam im szansę, to się rozchodzą. Przyznam, że mama bardzo się

postarała. Sama bym tak nigdy nie zainwestowała. Moje gacie à la Bridget Jones na pewno nie nadawały się na seksowną randkę. Na razie Artur tego nie zauważył, bo zrywaliśmy z siebie ubranie w takim tempie, że trudno było cokolwiek zaobserwować. Ale na pewno z czasem, kiedy nasyci mnie pierwsze żądze i będzie miał ochotę na więcej, to będzie patrzył, obserwował i być może jakieś dodatkowe bodźce w postaci pięknej bielizny byłyby wskazane. Jeśli dobrze wciągnę brzuch, nie będzie najgorzej. Chyba.

Poskładałam wszystkie elementy w kostkę. Staniki złożyłam razem, miseczka w miseczkę. Pończochy trafiły do woreczka, by ich nie pozaciągać. Nie odłożyłam jednak tego wszystkiego do tobołka mamy, a z wielką pieczołowitością ułożyłam wszystkie części bielizny w dolnej szufladzie szafy. Myślę, że ten punkt planu mogę spróbować wcielić w życie. Toż przecież sama będę mieć z tego niesamowitą frajdę. Poćwiczę tylko swoje poczucie wartości, bo na razie chyba nie byłabym w stanie stanąć tak przed Arturem i się seksownie wdzięczyc. Tego to ja niestety nie umiałam. Zaraz widziałam wszystkie rozstępy i cellulit. Odciski na stopach wołały „hello!”, a brzuch próbował robić falę meksykańską do spółki z cyckami, które sprawiały wrażenie, jakby były w stanie spoczynku. Ktoś by musiał powymieniać kilka płytek w mojej rozczochranej łepety, żeby mogła zobaczyć w lustrze atrakcyjną kobietę.

Rozdział 10

Zapamiętałam walczyłam z trawnikiem. Wbijałam grabie najmocniej, jak się dało, a potem z trudem ciągnęłam do siebie. Rzutem oka oceniłam marne efekty swojej pracy. Potem wzrok przeniosłam na brązowy dach domu sąsiadów upstrzony szpecącymi antenami. Z komina leniwie unosił się dym, a w białym oknie równie spokojnie powiewała firanka. Wprawiło mnie to w błogi nastrój i moje ruchy stały się mniej energiczne. Prace w ogrodzie to dobry moment, by pomyśleć.

Za kilka dni święta. Trzeba przygotować coś pysznego do jedzenia. Ponadto w kwietniu, jak dobrze pójdzie, zrobimy akcję dla Szpilki. Doszedł jeszcze genialny pomysł, by przed urodzinami cioci odnaleźć Henryka. Od czwartku Lusja ma wolne, więc na pewno zaczniemy działać. Pierwsza rzecz, którą mamy zamiar zrobić, to pójść do huty i porozmawiać z ludźmi, którzy tam pracują. Co prawda mało prawdopodobne, by po kilkudziesięciu latach ktoś jeszcze pamiętał Henryka, ale sprawdzić trzeba.

Zamachnęłam się ponownie i wbiłam grabie w zeszlą kępę. Narosło mchu i miałam wrażenie, że wbijam się w dywan, a nie w trawnik. Szło to bardzo opornie. Kątem oka widziałam, że ciocia od czasu do czasu zerkała przez szybę ze swojego pokoju i obserwowała moje zmagania. Raz nawet otworzyła okno, by udzielić mi wskazówek, jak się wbijać i jak ciągnąć, ale i tak nie bardzo mi szło.

Pogoda dodatkowo zrobiła się nijaka. Ani ciepło, ani zimno. Brak słońca. I nie wiadomo było, czy będzie padać. Takie typowo wiosenne chimery i brak zdecydowania. Może po południu chmury podejmą odpowiednią decyzję i odsłonią słońce.

Poczułam, jak w mojej kieszeni wibruje telefon. Odstawiłam grabie, które i tak po sekundzie przewróciły się i pacnęły mnie w ramię. Wygrzebałam telefon i odebrałam połączenie.

– Poniatowski. – Ktoś rzucił w słuchawkę tak dziwnym tonem, że odebrałam to jako głupi żart.

– Carycy Katarzyny nie ma, a Rejtan właśnie popełnił samobójstwo – palnęłam. Po drugiej stronie nastąpiła cisza, więc się rozłączyłam.

Jednak po kilku sekundach telefon znów zawibrował.

– Szukam Joanny! – krzyknął ten sam głos.

– Tu... Joanna... – odpowiedziałam z wahaniem.

– Noo, nie wiedziałem, że masz taki dowcip. Co cię ugryzło? – Dopiero wtedy rozpoznałam, kto był po drugiej stronie słuchawki.

– Jaromir? – spytałam, by się upewnić.

– No a kto? Przecież się przedstawiłem na początku.

– Tak, ale jako Poniatowski! – zauważyłam. – Więc dowcipem odpowiedziałam na głupi dowcip. Tak mi się skojarzyło.

– Poniatowski to moje nazwisko – odparł najspokojniej w świecie.

– Żart?

– Nie. Mogę ci później pokazać dowód. – Zaśmiał się w słuchawkę.

– Jaromir Poniatowski. No, proszę, jak dostojnie i po królewsku.

– A jak! – Znów zarechotał mi w słuchawkę. – Słuchaj, ale dzwonię w innej sprawie niż chwalenie się nazwiskiem. Piotr dał mi twój numer. Mogę wpaść do ciebie z rysunkami? Są gotowe.

– Jasne! – Ucieszyłam się. Faktycznie miał przecież je skończyć w ciągu kilku dni. Redakcja bajek też już jest gotowa. Teraz tylko skład i druk.

– To podaj mi, jeśli możesz, swój adres – poprosił.

Podyktowałam mu nazwę ulicy i numer. Nie wiedział, gdzie to jest, więc wytłumaczyłam,

jak ma dojechać.

Zaniosłam grabie do piwnicy i popędziłam do domu. Najpierw szybki rzut oka na pokój i biurko. Przetarłam rękawem blat, żeby politura świeciła się, jak należy. Ustawiłam laptopa i pobiegłam do łazienki, by poprawić włosy i nałożyć na gębę jakiś podkład. Skropiłam się perfumami i dopiero wtedy pacnęłam się w łeb. Co ja wyrabiam? Nie cierpiałam tego faceta od pierwszego wejrzenia, działał mi na nerwy, a mimo to sprawdzałam w lustrze, czy odpowiednio wyglądam. Takiego dupka mogłam przyjąć w worku jutowym, a nie spryskiwać się perfumami.

Ciocia w tym czasie parzyła sobie „arbatę” i podśpiewywała pod nosem. Powiadomiłam ją, że za chwilę przyjedzie mój znajomy z ilustracjami do bajek. Podałam jej również jego nazwisko, ale stwierdziła, że jedyni Poniatowscy, których kojarzy, to ci z podręczników szkolnych. Pierwszy raz słyszy o takich w Starogardzie. Na koniec dodała, że pewnie jego rodzice są napływowci, a on nie jej półka wiekowa. I co do ostatniego, to na pewno miała rację. Jaromir wyglądał na niewiele starszego ode mnie. Może miał już pięćdziesiątkę, a może i nie.

Dzwonek do drzwi wyrwał mnie z rozmyślań. Ciocia od razu przesiadła się na to krzesło w kuchni, z którego było widać wejście. Chciała sobie tego Poniatowskiego dokładnie obejrzeć.

– Cześć – powiedział od progu i podał mi dłoń na powitanie. Zaprosiłam go dalej. Przywitał się też z ciocią. – Dzień dobry, Jaromir Poniatowski.

– Zofia Abryszyńska.

Po krótkiej prezentacji zaprowadziłam Jaromira do swojego pokoju. Wskazałam miejsce przy biurku. Od razu otworzył laptopa, włożył w odpowiednie miejsce pendrive’a, a ja poszłam zaparzyć nam kawę.

– Faktycznie pierwszy raz go widzę – szepnęła ciocia do mnie. – Na takiego figolasa wygląda. I dupę ma jak ziarnko kawy.

– Ciociu – upomniałam ją. – Jeszcze usłyszysz. A co to ten „figolas”? – spytałam, ciągle szepcząc.

– To po kociewsku taki ktoś, kto lubi żartować. On właśnie na takiego wygląda.

To nieźle. Mam tu całkiem niezłą oranżerię. Był „blubluś” na określenie Piotra, a teraz „figolas”. Dziwne, że jeszcze ciocia nie ochrzciła żadnym kociewskim słówkiem Artura, choć przypuszczałam, że to tylko kwestia czasu.

Wróciłam do pokoju z kawą i cukiernicą, bo nie zapytałam, czy słodzi. Postawiłam na biurku, w bezpiecznej odległości od komputera. W tym czasie Nutuś wskoczył Jaromirowi na kolana. Zdziwiło mnie to bardzo, bo zwierzęta podobno znają się na ludziach, a ten tutaj na pewno nie był zbyt sympatyczny, czego Nutuś nie zauważył. Czekałam tylko, kiedy Jaromir zepchnie go z kolan, lecz ku mojemu zdziwieniu zaczął go tarmosić po łebku, a kot mruczał zadowolony. Spojrzałam morderczo na zwierzaka. Normalny zdrajca!

– Lubisz koty? – spytałam.

– Nie – odparł. – Straszne sierściuchy.

– Ale one chyba ciebie lubią.

– Pomylił się pewnie – odparł, ale kota z kolan nie zrzucił. Przysunęłam krzesło do biurka, by widzieć monitor.

– Zobacz, tak wyglądają rysunki. Poukładałem je chronologicznie. Piotr już rozmawiał z drukarnią. Myślę, że prezentuje się nie najgorzej.

Przeglądaliśmy ilustracje po kolei. Nie mogłam uwierzyć własnym oczom, jak taki dupek, mógł tak pięknie rysować.

– A swoją drogą to miałaś nieźle skojarzenia z tą carycą – wtrącił w pewnym momencie.

– Lubię takie ostre baby.

– Baby? – Odruchowo odsunęłam się od niego.

– No tak. Baby to baby, nie? A co ty taka nadwrażliwa?
– Miło by ci było, gdybym o tobie mówiła chłop? Tobie najwyraźniej brak oglądy. Ty na pewno studiowałaś w Warszawie? Nie na jakimś zadupiu zabitym dechami?
– O, jaka wrażliwa jesteś. Kurwa, Aśka, czepiasz się słów.
– Nie czepiam.
– Robisz to, ciągle ci coś nie pasuje. Chłopa ci brak czy jak?
– O, właśnie! Wszystko zaraz sprowadzasz do jednego.
– Może trzeba cię na pikadora nadziać porządnie? – rzucił, a ja momentalnie zrobiłam się czerwona na twarzy. Miałam ochotę walnąć go w gębę i pogonić z domu.
– Bezczelny jesteś!
– Wiesz, taki gostek w rajtkach może mieć całkiem niezłą szpadę. – Zaśmiał się. – Nie ma co się obrażać.

– Normalnie chamem jesteś.
– Nie ukrywam tego przecież – odparł, cynicznie się uśmiechając. – A rysunki jak?
– Rysunki mi się podobają i to bardzo. Gorzej z autorem.
– Taki mój urok.
– Dobra, dzięki, że się fatygowałaś. Ilustracje naprawdę super, ale nie mam ochoty bawić się w jakieś słowne przepychanki.
– Wiem, wołałabyś inne.

Wstałam z krzesła. Odstawiłam je z hukiem w drugi kąt pokoju. W myślach liczyłam do dziesięciu. Potem do dwudziestu i trzydziestu. A ten ironicznie na mnie spoglądał i najwyraźniej sprawiało mu frajdę robienie sobie ze mnie świńskich żartów.

– Lepiej się już pożegnajmy, bo inaczej nie ręczę za siebie.
– Dobra, dobra, spokojnie. Jaka ty nerwowa. Tutaj masz jeszcze numer do mojej żony. Byłej żony – dodał z naciskiem. Jakoś w ogóle mnie to nie zdziwiło, bo kto by z takim dupkiem wytrzymał. Wzięłam wizytówkę, a na końcu języka zawisło mi pytanie, po co mi telefon do jego byłej. Jednak jeden rzut oka wystarczył, by wiedzieć, o co chodzi. To ona będzie robić skład i łamanie tekstu. Miała inne nazwisko niż pan dupek vel figolas.

Jaromir delikatnie zestawił kota na podłogę, wstał i ruszył do wyjścia. Ciocia wyglądała z kuchni, dokładnie przyglądając się mojemu gościowi. Widziała pewnie, że jestem zdenerwowana i czerwona na twarzy, ten natomiast zadowolony z siebie. Pożegnaliśmy się zwyczajnym „cześć”. Zamknęłam drzwi i odetchnęłam.

– Co za pieprzony dupek – powiedziałam do siebie.
– Mówiłaś coś?! – ciocia krzyknęła z kuchni.
– Nie!
Odeszłam od drzwi, by po chwili stanąć przy stole. Nalałam sobie szklankę zimnej wody i wypiłam duszkiem. Zofia przyglądała mi się uważnie znad gazety, którą właśnie przeglądała.
– Coś się stało? Wyglądasz na zdenerwowaną.
– Ciociu, nawet nie wiesz, jak mnie ten facet irytuje. Co za cham!
– O, widzę, że iskrzy. Aż huczy. – Zaśmiała się. – Doktorek będzie zazdrosny.
– Iskrzy? Mam ochotę przegryźć facetowi tętnicę – rzuciłam oburzona. – Straszny dupek.

Straszny!
– Skoro tak mówisz, to pewnie tak jest – stwierdziła, pochylając się znów nad gazetą.
– Coś ciekawego piszą? – spytałam, by jak najszybciej zapomnieć o tej nieprzyjemnej wizycie.
– Eee, w nekrologach żadnych znajomych.
– To dobrze – odparłam i usiadłam przy stole.

– A jak ilustracje?
– Piękne. Ten dupek na szczęście pięknie rysuje. A wiesz, ciociu, że on przygotowuje w Starogardzie wystawę?

– Jaką znów wystawę?

– Z rysunkami miasta. Robił je na podstawie starych pocztówek.

– A! – Spojrzała na mnie uważniej. – To ja wiem, kim on jest. Czytałam w gazecie. Podobno bardzo zdolny.

– Może i tak. Wprost proporcjonalnie u niego się rozłożyło chamstwo ze zdolnościami.

– Asiu, może artyści tak mają – odparła i odłożyła gazetę na bok. – Jak już będzie ta wystawa gotowa, to powiedz mi, pójdę popatrzeć. Przypomnę sobie, jak to drzewiej u nas bywało.

– Dobrze. Teraz idę skończyć porządki w ogródku.

Odszukałam grabie i całą skumulowaną złość wyładowywałam na trawniku. Świetna terapia. Podziałało. Już po dwóch kwadransach czułam się zdecydowanie lepiej. Co prawda trawnik wyglądał, jakby go poryło jakieś nadpobudliwe zwierzę, ale miałam nadzieję, że dojdzie do siebie i szybko się pięknie zazieleni.

Mogłam wrócić do pokoju i jeszcze raz przejrzeć ilustracje, bo Jaromir wgrał mi je do komputera. Potem zadzwoniłam do jego żony Weroniki i umówiłam się z nią, by przegadać łamanie tekstu. Miałam już swoją koncepcję. Myślę, że powinna to zaakceptować, bo rysunki są gotowe, a to one wyznaczają rozmieszczenie tekstu.

Kiedy zamykałam laptopa, usłyszałam sygnał komórki. Odczytałam wiadomość: „Tym razem nie spadniesz na cztery łapy”. Serce zabiło mi szybciej. Usiadłam. Drżącymi palcami wysłałam odpowiedź.

Napisałam: „O co ci chodzi? To pomyłka”.

Po kilku sekundach przyszła odpowiedź: „Bój się”.

Ktoś najwidoczniej świetnie się bawił moim kosztem. Nie wiedziałam kompletnie, po co ten ktoś to robi i jakie ma zamiary, bo że miał plan, jasno wynikało z tych paskudnych wiadomości.

„Jeżeli nie przestaniesz mnie nękać esemesami, to zgłoszę to na policję”.

„Ha, ha. Dobre sobie”.

Odrzuciłam telefon na łóżko, jakby nagle poraził mnie prądem. Jakaś obrzydliwa gnida ma coś do mnie i próbuje mnie zastraszyć. Najgorzej, że ja kompletnie nie wiem, o co chodzi. Co ja temu komuś zrobiłam? Mści się za coś? Przez chwilę przyglądałam się aparatowi porzuconemu na łóżku. Bałam się poruszyć, by znów nie przywołać jakiejś wiadomości. Telefon jednak milczał.

Rozdział 11

Torebka na długim pasku przewieszona przez prawe ramię obijała mi się o udo, kiedy przemierzałyśmy starogardzki Rynek. Luscia była podekscytowana. Traktowała poszukiwania Henryka jak tajną misję. Do końca nie byłam przekonana, czy dobrze robiłyśmy i czy miało to jakikolwiek sens, by rozgrzebywać stare dzieje, ale poddałam się entuzjazmowi Lusi. Może faktycznie ciocia się ucieszy?

Pisk opon samochodu wchodzącego w zakręt wyrwał mnie z zamyślenia. Spojrzałam na mijane kamieniczki. Staralam się skupiać wzrok na ich drobnych elementach architektonicznych, jednak Luscia machała rękoma i coś pokazywała.

– Zobacz, tutaj podobno była restauracja Ratuszowa. Ciocia mi opowiadała.

Gdy tylko weszłyśmy w wąską uliczkę i ujrzałyśmy przed sobą dość spory parking przed supermarketem, Luscia pokazała mi, gdzie mieściły się kiedyś koszary. Zdziwiłam się, że tak dobrze się orientuje w mieście. Musiała sporo godzin przegadać z ciocią. Poczulałam niepokojące ukłucie zazdrości i zastanowiłam się nad tym, gdzie ja wtedy byłam. Mam urlop, a czasu dla córki jakby ciągle mało.

Po kilkunastu metrach skręciłyśmy w lewo, przeszłyśmy obok dostojnego budynku sądu i po chwili znalazłyśmy się na ulicy Kościuszki. Mijałyśmy zniszczone, zaniedbane zabudowania. Zupełnie nieznanne oblicze miasta malowało się przed nami. Przeszłyśmy obok czterech mężczyzn popijających piwo na schodach wejściowych prowadzących do jakiegoś obskurnego domku z odrapaną elewacją. Luscia zamilkła na chwilę. Chyba też poczuła lekki niepokój. Panowie odprowadzili nas wzrokiem. Tutejsi obserwatorzy życia przyprawiający miastu pijaną gębę. W każdym zakątku naszego kraju można takich spotkać. Niewiele się od siebie różnią. Twarze mają podobne, „procentowo” opuchnięte i zaczerwienione.

– O, zobacz, nawet jest sklep firmowy huty szkła. – Luscia wskazała palcem malutki budynek z oszkloną witryną, na której dumnie prezentowały się wyroby tutejszej huty.

– Idziemy do środka? – spytałam, popychając przed siebie drzwi.

Lusia nie zdążyła odpowiedzieć, a już byłyśmy wewnątrz. Pooglądałyśmy białe i kolorowe szkło. Podejrzałyśmy ceny, żeby zorientować się, czy w takim firmowym sklepie zakupy się opłacają. Nic jednak porywającego za serce nie znalazłyśmy. Ekspedientka wodziła za nami znudzonym wzrokiem. W końcu uśmiechnęła się i zapytała, czym może służyć. Była jednak zbyt młoda, by znać Henryka, więc podziękowałam jej i od razu skierowałam się do wyjścia.

– Przepraszam. – Usłyszałam za sobą głos Luśki. – Czy mówi pani coś nazwisko Sumiński? Henryk Sumiński?

Zatrzymałam się i spojrzałam na Luśkę. Ekspedientka zmarszczyła czoło. Poszukiwała w myślach jakichkolwiek skojarzeń. Takie przynajmniej sprawiała wrażenie lub chciała, żebyśmy tak pomyślały.

– Sumiński? – powtórzyła. – Nie, chyba nie.

– To musi być teraz mężczyzna w podeszłym wieku...

– Przykro mi, ale pierwszy raz słyszę. Nie znam nikogo takiego.

– Dziękuję – odpowiedziała Luscia i po chwili stałyśmy na chodniku przed sklepem. Za nami znajdował się budynek z czerwonej cegły. Huta. Odnalazłyśmy wejście, jednak nie wpuszczono nas do środka.

– Huta to nie muzeum, nie można ot tak wchodzić. Musiałybyście mieć panie pozwolenie od szefa – powiadomił nas mężczyzna z dyżurki.

– Nam w sumie nie zależy tak bardzo na dostaniu się do środka. Próbujemy znaleźć

pewnego człowieka – powiedziałam, opierając się o parapet przy okienku. – To ważna sprawa dla naszej cioci. Znała go kiedyś i chciałyśmy jej zrobić niespodziankę, odnajdując go.

– A ten ktoś chce być odnaleziony? – spytał, uważnie się nam przyglądając.

– Tego nie wiemy – wtrąciła Lusia. – Ale to sprawa wielkiej miłości sprzed lat.

Mężczyzna pilnujący wejścia uśmiechnął się do niej. Widać, że bardzo go zaintrygowało to wielkie uczucie.

– A jak się nazywa ten zagubiony?

– Sumiński. Henryk Sumiński – wyrecytowała Lusia.

– Hm. Sumiński? – Mężczyzna podrapał się po brodzie. Potem po głowie. – Chyba coś mi się o uszy obilo. Brzmi znajomo. Sumiński...

– Pracował kiedyś w hucie. Na pewno pod koniec lat czterdziestych, ale pewnie pana nie było wtedy na świecie. – Lusia wyraźnie go kokietowała, a ja nie mogłam uwierzyć, że wyhodowałam toto na własnej piersi.

– Miła panienska – odparł. – W czterdziestym siódmym się urodziłem.

– O, ten Henryk stracił tutaj na ulicy żonę. Zabito ją. To była wtedy głośna sprawa. Na pewno w gazetach o tym pisali.

– Czekaj, pani. – Znów podrapał się po głowie. – Coś mi świta. Moja mama chyba opowiadała, że coś takiego było. Ona to pewnie by pamiętała, bo całe życie na tej ulicy mieszkała.

– Szkoda – szepnęła Lusia.

– Dlaczego? – zdziwił się mężczyzna.

– No, że pana mama... – Lusia się zawahała. – Czy ona żyje?

– A co ma nie żyć! – krzyknął i dłońmi klepnął się w udo. – Toż to twarde pokolenie. Żyje mamusia, żyje. Zdrowie u niej kiepskie, ale głowa ciągle w porządku.

Prawie podskoczyłyśmy w miejscu na tę wiadomość, choć z drugiej strony to zbyt piękne, by mogło być prawdziwe.

– A można by z nią porozmawiać? – spytałam.

– Jo. Przyjdą tu panie za godzinę. Akurat kończę zmianę, to zaprowadzę.

Ucieszyłyśmy się bardzo, bo to był jakiś trop. Niewielki, jeszcze kompletnie nie nieznaczący, ale można się było go ucześcić.

– To co robimy przez godzinę? – spytałam.

– Jak to co? Idziemy do Anki na lody! – zawołała zadowolona Lusia. Od razu ruszyłyśmy przed siebie. Znów przeszłyśmy obok panów chlepcących piwo z butelek. I ponownie nas odprowadzili wzrokiem. Rzucili chyba za nami jakiś komentarz, ale nie oglądałyśmy się za siebie, tylko jak najszybciej przebierałyśmy nogami.

W kawiarni od naszego ostatniego pobytu trochę się pozmieniało. Zawisły na ścianach obrazy przedstawiające wiosenne pejzaże. Podobno to robota miejscowej malarki. Obejrzałyśmy je z bliska. Wydobyłyśmy z siebie kilka achów i ochów, a potem złożyłyśmy zamówienie. Kawa i lody były dobre na każdą pogodę, więc nie miałyśmy żadnych wątpliwości, co wybrać. Kelnerka postawiła przed nami ogromne pucharki z lodami czekoladowymi polanymi gorącymi wiśniami. Na szczycie tej czarno-czerwonej piramidy widniał niewielki kleks bitej śmietany. Miałam wrażenie, że uśmiechał się do mnie zachęcająco. W mojej głowie lekko zamajaczyły wyrzuty sumienia, ale szybko je odgoniłam. Wciągnęłam lekko brzuch, bo to dopiero będzie wyzwanie zjeść tak dużą porcję, ale miałyśmy prawie godzinę, więc podejrzewałam, że uda mi się to jakoś upchnąć w żołądku. Lusia w ogóle nie wyglądała na kogoś, kto miałby jakiegokolwiek skrępuły. Od razu przystąpiła do delektowania się deserem.

– Coś ostatnio mało rozmawiamy, nie? Dobrze, że jechałyśmy razem do babci, to trochę

nadrobiłyśmy – powiedziałam do niej, kiedy już pierwsza porcja lodów rozpuściła się na moim podniebieniu.

– Nooo – odparła, nie patrząc na mnie.

– A w szkole w porządku? – spytałam, chcąc zacząć rozmowę.

– Jasne.

– A znajomi?

– Okej.

– A coś pomiędzy okej a jasne? – Uśmiechnęłam się do niej. Wtedy spojrzała na mnie uważnie.

– Naprawdę cię to interesuje czy tylko tak pytasz?

– Lusie – szepnęłam. – Naprawdę. A coś się dzieje?

– Nie, nic się nie dzieje – odparła. – Jak będziesz szła do Doktora, to weźmiesz mnie ze sobą? – Spoglądała na mnie bardzo uważnie. Zdziwiła mnie tym pytaniem. Kiwnęłam głową.

– Chciałabym go lepiej poznać – dodała po chwili. – Tylko nie myśl, że mam coś przeciwko. Nie, ale chcę go poznać, wy badać i takie tam.

– Wy badać?

– No tak, bo jeżeli wy kręcicie na poważnie, to chcę sprawdzić, czy on nada się na mojego ojczyma, nie?

Teraz ja patrzyłam na nią. Próbowałam dostrzec w jej twarzy jakiś znak, że żartuje, ale ona była zupełnie poważna.

– Nie, no jasne. Wieczorem możemy pójść do niego razem, jeżeli chcesz.

– Tylko go uprzedź, żeby nie szykował jakiejś erotycznej randki. – Zaśmiała się.

– Luśka! – zgromiłam ją i rozejrzałam się wokół, czy nikt nie słyszał naszej rozmowy. – A ty masz chłopaka? – spytałam.

– Nie mam – odparła, wzruszając ramionami. – Jeszcze nie mam, choć może są kandydaci. Ale jak będę mieć, to ci powiem.

– Dobrze. I pamiętaj, że kocham cię nad życie.

– Wiem, tylko czasami chciałabym, żebyś mi to powiedziała.

Ciarki mi przeszły po plecach. Myślałam, że jej ciągle powtarzam, jak bardzo ją kocham, a okazuje się, że zbyt rzadko to mówię. Być może zagalopowałam się w tych wszystkich obowiązkach, akcjach, że zapomniałam na chwilę o własnym dziecku. Patrzyłam na nią i widziałam prawie dorosłą kobietę. Miała mądry, skupiony wyraz twarzy, który czasami się tylko zmieniał, kiedy do ust trafiała porcja lodów. Była strasznym łasuchem, a lody, w dodatku z wiśniową polewą, były jej ulubionym deserem.

Po czterdziestu pięciu minutach zapłaciliśmy rachunek i wyszliśmy z kawiarni. Chłodny wiatr szarpnął moimi włosami. Założyłam je więc za uszy, a końcówki skręciłam i wcisnęłam pod kołnierz kurtki.

Z daleka widziałyśmy już czekającego na nas mężczyznę. Pomachał. Lusie od razu odwzajemniła gest.

– Już myślałem, że się panie rozmyśliły – stwierdził, kiedy do niego doszłyśmy.

– Nie, za bardzo nam zależy.

– To proszę za mną. To tylko kilka domów dalej. Nie chciałem, żeby panie szły same, bo mama na pewno nikogo obcego by nie wpuściła.

Mężczyzna ruszył przed siebie. Po kilkunastu metrach przeszliśmy na drugą stronę.

– W tamtym budynku była kiedyś fabryka baterii, prawda? – spytała Lusie.

– O, to panie na pewno nie są stąd – stwierdził nasz przewodnik. – Od razu tak myślałem.

– Ale ma panią rację, tu robili baterie. Nawet tam pracowałem, ale gdy fabrykę zamknięto, to

trzeba było szukać innej roboty. A takie to miały być dobre czasy – westchnął i pokręcił głową z dezaprobatą. – Te politykiery to tylko myślą, żeby się nachapać, a nam na dole to zawsze wiatr w oczy. Szkoda słów.

W końcu zatrzymaliśmy się przed małym domkiem podobnym do wszystkich na tej ulicy. Mężczyzna otworzył drzwi i pierwszy wszedł do środka. Zapalił światło i dopiero wtedy zaprosił nas do wnętrza. Ledwo weszliśmy, uderzył nas zapach spalenizny. Dym kłuł w oczy.

– Jasna cholera! – Mężczyzna od razu zniknął w najbliższych drzwiach. Z daleka usłyszałyśmy, że krzyczy: – Dlaczego mamusia gotowała sobie obiad, co? Znów spalony?

Usłyszałyśmy jakiś rumor. Być może to trzask otwieranych okien. Głosu lokatorki jednak w tym zamieszaniu nie wyłapałyśmy. Po chwili w drzwiach zobaczyłyśmy głowę mężczyzny. Zaprosił nas do środka i wyjaśnił, że jego mama próbowała ugotować zupę i zasnęła. Z tego, co mówił, wynikało, że to nie pierwszy raz, kiedy starsza pani przypaliła swój obiad.

Weszliśmy do pokoju. W ciemnym kącie ujrzałyśmy staruszkę otuloną kocem. Prawie tonęła w fotelu, na którym siedziała. Na nasz widok jednak najwyraźniej się ożywiła.

– A co to za gości ty mnie tutaj prowadzisz?

– To są panie, które kogoś szukają! – Mężczyzna starał się mówić głośno i wyraźnie.

– Co ty gałganie mówisz?

– Że te pa-nie szu-ka-ją ko-goś!

– A kogo?

– Jak się nazywa ten mężczyzna? – zwrócił się do nas.

– Henryk Sumiński. – Luscia szybko odpowiedziała. Nie zdążyłam nawet ust otworzyć.

– Mamo, pamiętasz Henryka Su-miń-skie-go?!

– Kogo?

– Henryka Sumińskiego! Co mu żonę po wojnie tutaj zadźgano!

Kobieta chwilę się zastanowiła.

– A jo. Pamiętam. A od kogo wy jesteście?

Spojrzałyśmy na siebie z Lusią. Córka wzruszyła ramionami, nie wiedząc, co odpowiedzieć.

– Od Zofii Abryszyńskiej! – powiedziałam głośno. Kobieta nagle zmieniła wyraz twarzy. Poprawiła się w mocno sfatygowanym fotelu i machnęła ręką. – To moja ciocia! Siostra mojej babci!

– Marysi? Tej co za Sikorę ją wydali?

– Tak, tej samej.

– Marysia to zawsze dobra białka była, jak pupa, a nie taka samodajka jak Zocha. Tfu! – Kobieta splunęła przez ramię, aż się wzdrygnęłam. Syn staruszki przestąpił z nogi na nogę i chyba pożałował, że nas wpuścił do środka, bo widać, że mamuszkę zdenerwowałyśmy. – A po co wy Henia szukata?

– Chciałyśmy cioci niespodziankę zrobić – pisnęła Luscia. Kobieta jednak ku naszemu zdziwieniu usłyszała.

– Psia jego mać! – zaklęła. – Mało to chłopu narobiła? Jeszcze na stare lata dupę zawracata?

– Mamo! – zwrócił się do niej mężczyzna. – Co się stało z tym Henrykiem?

– Szkoda strzepić języka o takim bazarstwie! – rzuciła. Usta zrobiła w ciup i więcej mówić nie chciała. Tylko jeszcze raz na nas splunęła, machnęła ręką, żebyśmy wyszły. „Audiencja” zakończona.

Mężczyzna odprowadził nas do progów. Widać, że zrobiło mu się głupio. Nie spodziewał się takiego obrotu sprawy. Wydarzenia sprzed ponad sześćdziesięciu lat nie mogły przecież

wywołać takiej reakcji. Choć z drugiej strony, może tak było, że dla tej staruszki przeszłość wydawała się ważniejsza niż terażniejszość.

– Bardzo panie przepraszam – powiedział, kiedy stałyśmy już na chodniku przed domem.
– Nie wiedziałem, że mama tak zareaguje. Ona na stare lata jest trochę nerwowa, ale nie myślałem, że aż tak.

– Nie szkodzi. Dziękujemy za dobre chęci – odparłam. – Wie pan, my znamy tę historię sprzed lat. Bardziej nam zależało, żeby właśnie zdobyć jakiś ślad i znaleźć tego Henryka. Może wtedy udałoby się zamknąć tę przykrą sprawę.

– A może lepiej dać jej odejść razem z ludźmi, którzy to jeszcze pamiętają?

– Może – zamyśliłam się. – Może i tak, ale musimy chociaż spróbować. Dziękujemy panu. Do widzenia.

– Do widzenia. – Ukłonił się i zatrzasnął drzwi za nami.

Po raz kolejny przemierzałyśmy ulicę Kościuszki. Tym razem panów sączących piwko już nie spotkałyśmy. Pojawili się jednak inni obserwatorzy życia.

– Szukają panie tutaj kogoś? – zagaiła nas kobieta w niebieskiej chustce na głowie. Wyglądała przez okno i być może widziała, jak po raz czwarty przemierzamy ulicę. – Chyba panie nietutejsze, jo? Albo studentki? Bo tu szkoła niedaleko.

– Dzień dobry. – Zatrzymałyśmy się blisko jej okna, które znajdowało się na niewielkiej wysokości, więc miałyśmy panią jakieś dwadzieścia centymetrów nad swoimi głowami. – Faktycznie kogoś szukamy.

– To może pomogę. – Uśmiechnęła się. A ja od razu pomyślałam o wszystkich sąsiadkach z kategorii tych, które zawsze wiedzą, co się na ulicy dzieje. Znają imiona dzieciaków, nazwiska lokatorów, a jak ktoś zajdzie w ciążę, to wiedzą o tym szybciej niż nowo „poczęci” rodzice. Przyjrzałam się jej uważnie. Mogła mieć około sześćdziesięciu lat, więc zdarzeń nie pamięta, ale istniała nadzieja, że mieszka tu od dziecka i mama na dobranoc opowiedziała jej historię o złej Zosze, co cudzych chłopów odbijała. To mi się ciotunia trafiła. W tym momencie dziwiłam się, że jednak nie zdecydowała się stąd wyjechać, tylko dzielnie stawiała czoło plotkom. Zapewne historia ta urosła do rangi miejscowego kryminału, jak to często bywało w małych miastach.

– Mówi pani może coś nazwisko Sumiński? – spytałam.

Kobieta ponownie, jak pozostali spytani, zmarszczyła czoło, szukając w zakamarkach swojej pamięci osoby, którą można by z nazwiskiem powiązać.

– Henryk Sumiński – odpowiedziałam.

– Hm... coś świta. Ale czekaj, pani. Mówisz, że Sumiński Henryk? Mnie się coś kojarzy, ale jakby imię inne. A on tu mieszkał?

– Tak. I pracował w hucie pod koniec lat czterdziestych. Nie wiem, jak długo tu mieszkał i kiedy się stąd wyprowadził, ale to była taka głośna historia, bo mu żonę na tej ulicy zabito.

– Czekaj, pani, mówisz, że zabójstwo tutaj u nas... Toż to spokojna ulica, choć może nie wygląda zbyt elegancko... Ale czekaj, czekaj... Coś mi się rozjaśnia w głowie. – Nagle zniknęła z okna. Słysząc było jej nawoływania: – Mieciu! Mieciu! Kojarzysz Henryka Sumińskiego?! – Z wnętrza dochodziły nas podniesione głosy. W końcu kobieta wróciła na swoje miejsce w oknie. Oparła się zadowolona o parapet. Piersi wygodnie umościła w dłoniach i uśmiechała się do nas pełną gębą.

– Czegoś pani się dowiedziała? – spytała Lusja.

– Kto jak kto, ale ja to zawsze się wszystkiego dowiem. Jak będziecie czego szukać, to walcie do Grzelakowej. – Zaśmiała się i widać, że sprawiało jej przyjemność trzymanie nas w niepewności.

– Proszę w takim razie nam powiedzieć – nacisnęłam lekko.

– Henryka nie znamy – odpowiedziała zadowolona z siebie, a my z Lusią wytrzeszczyłyśmy na nią oczy, bo nie takiej odpowiedzi się spodziewałyśmy. – Ale spokojnie – dodała po chwili. – Wiem, kim był Paweł Sumiński.

– Paweł? – zdziwiłam się. – A kim był Paweł?

– Nie wiem, ale Pawła Sumińskiego zna mój chłop. W Gniewie mieszka i ma tam sklep. Ten Paweł, znaczy się, nie mój chłop. Mój Mietek to za głupi na takie interesa.

– Aha. – Lekko mnie zamurowało.

– Dziękujemy, my jednak szukamy Henryka – dodała szybko Lusia.

– A może to jego ojciec ten Henryk, jo? Bo w Starogardzie żadnych Sumińskich nie ma. Przynajmniej ja nie znam, a jak ja nie znam, to mało prawdopodobne, żeby się jakiś gdzie tutaj uchował.

– Aha – powtórzyłam. Biorąc pod uwagę logikę wyводу pani w niebieskiej chustce, można się było domyślić, że nasze nazwiska i miejsce zatrzymania też już znała, zaś wcześniejsze kokietowanie nas „studentkami” było tylko grą.

– A panią kojarzę – powiedziała, jakby czytając w moich myślach. – Pani to jest ta, co z tym chirurgiem się prowadzi, prawda? Podobno bajki pani pisze?

– Tak – kiwnęłam na potwierdzenie, ale rozmowa robiła się coraz mniej przyjemna, więc jak najszybciej postanowiłam się pożegnać. – Dziękujemy pani za pomoc.

– A proszę, proszę – odparła zadowolona z siebie. – W razie czego proszę pamiętać i walić do Grzelakowej jak w dym.

– Dziękuję, będziemy pamiętać.

Pożegnaliśmy się i jak najszybciej starałyśmy się oddalić od pani wszystkowiedzącej.

– Co to było? – szepnęła Lusia.

– Masakra jakaś. Normalnie pełna inwigilacja.

– A ten Paweł Sumiński to może faktycznie syn Henryka, co? Albo wnuk? – Luśka głośno analizowała zdobyte przez nas informacje.

– Wątpię, ale sprawdzić zawsze możemy.

– Co? Jedziemy jutro do Gniewu? – spytała. – Dopóki mam wolne.

– A kiedy weźmiemy się za przygotowanie świąt?

– Mamo, jutro piątek, więc jeżeli ten gość ma sklep, to powinien być on czynny. A potem, jak skończy się przerwa świąteczna, to zanim ja wrócę ze szkoły i dojedziemy do Gniewu, to już będzie po ptakach.

– Dobrze, ale jak tylko wrócimy, to bierzemy się za ciacho. Zrobimy mazurek i sernik.

– Nie ma sprawy.

– Lusia, a my przecież nie wiemy, jaki to sklep. W Gniewie nigdy nie byliśmy. Nawet nie wiem, jak to daleko.

– Jezu, mamo... To, jaki ma sklep, na pewno będzie w necie, tak? Sklepów nie prowadzi się anonimowo, więc na pewno go znajdziemy.

– No, skoro tak mówisz...

– Kurde, my normalnie jak para detektywów, co?

– Tak, ale jak ta kobiecina zaczęła na ciocię pluć i wyzywać, to miło nie było.

– A słyszałaś, co ona powiedziała? Że babcia Marysia to fajne dupa? Jakaś pokręcona starucha!

– Nie dupa, tylko pupa. To jest lalka. To wiem, bo po kaszubsku jest tak samo. Ona mówiła, że to białka, czyli kobieta jak lalka.

– Może być. Prababcia faktycznie za młodu ładna była. Ciocia mi pokazywała ją na zdjęciach. Normalnie laska.

– No widzisz. Mamy to w genach. – Zaśmiałam się. Luscia szybko do mnie dołączyła i rechotałyśmy do samego Rynku. Tutaj zapakowałam córkę w autobus, a sama pognałam do hospicjum.

W korytarzu natknęłam się na nerwowość i płacz. Mój dobry nastrój uleciał w nieznane. Niemrawo szłam przed siebie, a hałas i ruch wzbudzały dziwne drżenie. Niepokój ogarnął moje wnętrze, ale mimo wszystko nie pobiegłam sprawdzać, co jest źródłem zamieszania. Weszłam do dziewczynek. Na dzień dobry uderzył mnie widok śpiącej Szpilki. Leżała na wznak. Z uporem maniaka przyglądałam się kołdrze, by dojrzeć unoszącą się klatkę piersiową. Pojawił się niewielki ruch, a poza tym żadnych oznak życia. W popłochu ogarnęłam wzrokiem cały pokój. Zakodowałam puste łóżko Mrówki i natknęłam się na spojrzenie Pati. Podeszłam do niej i przysiadłam na krześle obok.

– Widzę, że Szpilka śpi – stwierdziłam, aby zagaić. Przesunęłam nerwowo kubek z dzióbkiem stojący na jej stoliku. – A gdzie jest Mrówka?

– W toalecie. Przestraszyłaś się? – spytała i spojrzała na mnie wzrokiem pełnym współczucia. Drgnęłam, bo to nie tak miało być. Nie mnie należało współczuć. Kiwnęłam jednak głową w odpowiedzi i od razu dodałam, chcąc usprawiedliwić chwilową panikę:

– Na korytarzu jest jakiś dziwny popłoch. Wystraszyłam się.

– Przywieźli dzisiaj takiego chłopaka. To chyba tam się coś stało, bo krzyczał bardzo. Pójdiesz do niego?

– Ja? – Zaskoczyła mnie tym pytaniem. Od razu chciałam dodać, że przecież są inni wolontariusze, że nie dziś, że nie dam rady, że nie udźwignę. Nie wiem, czy byłam gotowa na nową dawkę dziecięcego nieszczęścia. A jeśli nie podołam? Przywykłam do tego pokoju, do widoku kroplówek, wymizerowanych ciał dziewczyn, ich spojrzeń, pytań. Wydawało mi się, że znałam je dobrze, mogłam przewidzieć reakcje, wiedziałam, jak z nimi rozmawiać. Wątpliwości buzowały we mnie niepokojąco, jednak kiedy przeniosłam spojrzenie na Pati, osiadły we mnie, skutkując konkretną decyzją. – Masz rację, zajrzę do niego – stwierdziłam z nieopisaną lekkością. Poglaskałam dziewczynkę po głowie. Przymknęła oczy pod moim dotykiem. – Zdrzemniesz się?

– Yhy – mruknęła. Ucałowałam ją w zimne czoło i po cichu wycofałam się z sali. Szpilka nie zmieniła pozycji, a łóżko Mrówki wciąż było puste. Wyszłam na korytarz i zamknęłam za sobą drzwi. Zrobiłam kilka głębokich wdechów i wydechów. A potem poszłam za źródłem zamieszania panującego w hospicjum.

Rozdział 12

– Cześć – powiedział Artur, kiedy zobaczył mnie z Lusią przed swoimi drzwiami. Nie okazał jednak zdziwienia, że przyszedliśmy we dwie. Wpuścił nas do środka i sprawiał wrażenie zadowolonego. Lusia kompletnie nie była speszona. Najwyraźniej bawiła ją ta sytuacja, a dokładniejsze poznanie Artura postawiła sobie za cel. – Fajnie, że przyszedłeś z mamą. Czego się napijecie?

Weszliśmy do pokoju. Na stole stała butelka czerwonego wina i dwie lampki. Pewnie Artur jednak myślał, że żartuję i przyjdę sama. Bo to dziwne, żeby nastolatka aż tak bardzo chciała poznać chłopaka mamy, że szła z nią na randkę.

– Soku poproszę – rzuciła w stronę kuchni, bo tam od razu zniknął Artur.

– Ale miałem nosa! – zawołał. – Akurat wstawiłem pizzę do piekarnika. Lusia, lubisz?

– Jasne! Tylko nie z tuńczykiem.

– Też nie lubię tuńczyka na pizzy, bez obaw – powiedział już ciszej, kiedy się znalazł obok nas. Podał Lusi szklanekę z sokiem. – A ty winka się napijesz? Bo młodzieży oczywiście rozpijać nie będziemy.

– A chętnie. Miałyśmy dziś ciekawe przygody – odparłam. Usiedliśmy wszyscy przy stole. Dolatywał nas zapach pieczonej właśnie pizzy. Opowiadałyśmy o naszych dzisiejszych poszukiwaniach i planach wyjazdu jutro z rana do Gniewu.

Artur uśmiechał się co chwilę, a gdy mu Lusia opowiedziała o Grzelakowej, co inwigiluje pół miasta, parsknął śmiechem.

– Dobrą partią jest pan tutaj – zakończyła.

– A widzisz, jak to jest w małym mieście. Ludzie zawsze wszystko wiedzą.

– U nas też takie wszytkowiedzące baby były. Babcia zawsze mówiła, że one lepiej działają niż KGB.

– To prawda. Ale są też pożyteczne, bo zawsze chętnie dzielą się zdobytą wiedzą w razie potrzeby. A po co wy w ogóle chcecie znaleźć tego Henryka?

– W zasadzie sama nie wiem. Wpadliśmy z Lusią na ten genialny pomysł z okazji urodzin cioci. Lusia twierdzi, że ciocia zbyt często wraca do tamtych wydarzeń, może dlatego, że ich nigdy nie zamknęła. A gdy spotka Henryka, to może w końcu nie będzie o tym myśleć – wyjaśniłam.

– Może racja... – zastanowił się głośno. – Chociaż nie wiem, czy to dobry pomysł.

– Ja też nie jestem pewna. Kiedy już znajdziemy tego faceta, to się zastanowimy, co dalej, bo przecież może być tak, że on już nie żyje.

– Prawda – rzucił i pognął do kuchni po pizzę. Po chwili pojawił się z wielkim okrągłym talerzem, z którego unosiła się para i czarujący zapach dobrego jedzenia.

– Pachnie super – westchnęła Lusia.

– Jestem mistrzem w tej dziedzinie.

– A myślałam, że jesteś mistrzem w kategorii zapiekaneek – odparłam.

– Pizzowym też.

– Aha – mruknęłam zadowolona. Lusia nakładała sobie właśnie duży trójkąt na talerz. Artur dolał jej soku, a nam uzupełnił lampki winem.

– Już niedługo będzie można posiedzieć na tarasie. Musisz częściej, Lusi, przychodzić z mamą.

– A nie będę wam przeszkadzać? – Spojrzała na nas uważnie. Automatycznie zaprzeczyliśmy. Lusia parsknęła śmiechem. – Nie bójcie się, od czasu do czasu tylko przyjdę, bo widzę, że tu na poważnie się zapowiada, a ja lubię wiedzieć, co i jak się dzieje w mojej rodzinie –

powiedziała całkiem rozsądnie i przystąpiła do pałaszowania pizzy.

Wymieniliśmy tylko spojrzenia i uśmiechy. Jednak w mojej głowie nagle pojawiło się wspomnienie spotkania z Arkiem, nowym pacjentem hospicjum. Nie chciałam kierować myśli w tę stronę, a mimo to one z uporem maniaka przypominały, że my tu po tej stronie jemy pizzę, śmiejemy się, a tam za drzwiami ogromnego budynku z czerwonej cegły rozgrywają się tragedie dzieciaków i ich rodzin.

Rozdział 13

Samochód od czasu do czasu podskakiwał na nierównej szosie. Luscia kręciła przy kokpicie, by ustawić nawiew powietrza, a ja starałam się skupić na drodze. Właśnie przejechaliśmy przez Jabłowo. Trasa nie wydawała się skomplikowana, więc powinnyśmy trafić bez problemu.

– Co tak się wierzisz? – spytałam i spojrzałam w kierunku Lusi. Dłubała teraz przy welurowej tapicerce fotela.

– Dziurka tutaj się zrobiła – powiedziała i wetknęła palec w środek.

– To nie dłub, bo zaraz będzie większa.

– Sorki, ale nie mogłam się powstrzymać, by w nią nie włożyć palca.

– Luscia, ale jak będziemy wracać z Gniewu, to zajedziemy jeszcze do hospicjum, co? Przywieziono nowego chłopca, siedemnastolatka. Pójdiesz ze mną?

– Jasne – odpowiedziała i wróciła do oglądania tapicerki w miejscu uszkodzenia. – Trzeba będzie to zaszyć – stwierdziła fachowo.

– A może taśmą zakleimy? – Zaśmiałam się, ale po chwili spytałam już zupełnie poważnie: – Czymś się denerwujesz?

– Trochę, bo sobie nabiłam głowę tą historią cioci i boję się, że nie znajdziemy tego Henryka.

– Może tak być. Trochę mało prawdopodobne, żeby jeszcze żył – odpowiedziałam i delikatnie weszłam w zakręt. Miałyśmy przed sobą kilkanaście kilometrów, o czym informował drogowskaz, który właśnie minęłam. Na szczęście potwierdzał to, co wyświetlało się na nawigacji.

Dziwnie się czułam, szukając zupełnie obcego człowieka. Nawet nie ułożyłam sobie w głowie tego, co będę musiała mu powiedzieć. Kątem oka spoglądałam na Lusię. Pewnie też towarzyszył jej niepokój. Bo znaleźć tego faceta to jedno, a drugie to z nim porozmawiać. Może zechce odwiedzić ciocię? A może i nie?

Wjechaliśmy do miasta. Nawigacja prowadziła nas prosto do ulicy, na której miał się znajdować sklep zoologiczny prowadzony przez Pawła Sumińskiego, być może w jakiś sposób związanego z Henrykiem.

– Jesteś u celu. – Rozległ się głos z nawigacji. Hołek doprowadził mnie do wskazanego miejsca.

– To już tu! – powiedziała radośnie Luscia. – Parkuj!

– Poczekaj, znajdę dobre miejsce.

– Aha, zapomniałam, że musi być pas szeroki niczym na lotnisku, żeby zaparkować tę kruszynkę. – Zachichotała.

– Jaką kruszynkę i jaki pas? Wszędzie się wcisnę, tylko nie widzę potrzeby, by to robić. Kiedy jest szerzej, to wygodniej, choćby z otwieraniem drzwi.

– Jasne.

Przejechałam jeszcze kilkanaście metrów, kiedy w końcu zauważyłam odpowiednio szerokie miejsce do zaparkowania. Elegancko wjechałam. Wyrównałam auto i mogłyśmy ruszać na poszukiwania byłego amanta cioteczki.

– Nacieramy na Gniew? – rzuciłam w kierunku Luśki.

– Jasne – odparła. Odpięła pasy i po chwili była już na zewnątrz. Rozglądała się uważnie. A ja powoli w tym czasie gramoliłam się z auta. Wzięłam torebkę i mogłyśmy ruszać w miasto.

– Może przy okazji zobaczymy zamek? – spytałam. – Zobacz, jak ładnie się prezentuje. Jeszcze nigdy tam nie byliśmy.

– Pewnie, że tak – odparła. – Trzeba korzystać.

– Tylko wiesz, mamy mało czasu, więc plan jest taki, że idziemy do tego sklepu, a potem biegiem na dziedziniec zamkowy podziwiać zabytek, następnie sprint do auta i na sygnale do hospicjum.

Lusia się uśmiechnęła i jeszcze raz sprawdziła adres sklepu. Byłyśmy na odpowiedniej ulicy, ale należało odszukać numer budynku, bo od miejsca, które wskazywał Hołek, przejechałam już spory kawałek w poszukiwaniu wolnej przestrzeni do parkowania. Szłyśmy w dobrym kierunku, numery malały. Po kilku metrach z daleka widziałyśmy coś, co przypominało sklep. Jednak witryna wyglądała dziwnie. Podeszłyśmy bliżej.

– O, nie! – krzyknęła Lusia. – Widzisz to? Likwidacja.

– Widzę, a do tego jakoś podejrzenie się zachmurzyło.

Stanęłyśmy przed pustą witryną sklepową. Na szybie przyklejono kartkę z informacją o likwidacji. Zgodnie z tym, co widniało na tym świstku, dzisiaj przypadał ostatni dzień wyprzedaży, a jednak sklep był zamknięty na trzy spusty. Lusia próbowała mocniej pchnąć drzwi, jednak nie chciały wpuścić nas do środka. Było zamknięte.

– Ale pech!

– Poczekaj, czasami na sklepie jest przyklejona kartka z nazwiskiem i numerem telefonu właściciela.

Zaczęłam dokładniej przyglądać się wszelkim informacjom znajdującym się na szybie i drzwiach. Niestety, nie znalazłam niczego, co mogłoby nam pomóc. Wygląda na to, że właściciel sklepu skończył wyprzedaż towaru wcześniej niż przewidział, więc dzisiaj nie otwierał.

– Ale kicha, co?

– No, kicha. Taki kawał jechać na darmo – odpowiedziałam. – Nie ma co tu stać. Chodź, idziemy na zamek, a potem wracamy do domu.

– Poczekaj, mamo, przecież nie możemy się tak łatwo poddać. Zobacz, tam jest spożywczy. Może będą coś wiedzieć o właścicielu zoologicznego, nie?

– Może, ale nie rób sobie nadziei.

– Idziemy. Sherlock Holmes by się nie poddał, tylko dokładnie obserwował i pytał. W dodatku to i tak po drodze do samochodu.

– Tak jest. – Zasalutowałam i parsknęłam śmiechem. Luśka popukała się w głowę.

– Idziemy – komenderowała. Wciągnęła się w te poszukiwania na całego. Ruszyła żwawo przed siebie, wprost do sklepu spożywczego. Weszła do środka. Poczekala, aż ekspedientka będzie wolna, a jedyny klient opuści pomieszczenie.

– Przepraszam, panią – zaczęła – wie pani może, gdzie znajdziemy właściciela sklepu zoologicznego?

– Dowolnie wybranego czy jakiegoś konkretnego? – spytała i spojrzała na nas uważnie. Uśmiechała się od ucha do ucha, więc można było jej pytanie potraktować jak żart. Włożyła ręce do kieszeni różowego fartucha i czekała na dalszy rozwój wypadków.

– Bardzo konkretnego – odparła Lusia. Odruchowo wszystkie trzy odwróciłyśmy się do okien. Niespodziewanie lunął tak potężny deszcz, że przez szyby niewiele było widać. Patrzyłyśmy oniemiałe z wrażenia. Lało, jakby tam w górze zerwało tamę albo ktoś postanowił utopić jednego dnia cały świat w deszczu. A przynajmniej Gniew, bo nie wiedziałyśmy, jak było w innych częściach regionu.

– Kurtka na wacie – szepnęła ekspedientka. – A ja rano pranie wywiesiłam, żeby przed świętami jeszcze zdążyło wyschnąć. Po takiej ulewie będzie się suszyć przez tydzień.

– Nieźle – odparła Lusia. – Dobrze, że nas przed chwilą nie złapało.

– Miałyśmy szczęście.

– A o kogo panie pytały? – Sprzedawczyni odciągnęła nas od spoglądania przez okno.

Tymczasem deszcz ani na chwilę nie ustawał w swym zamiarze zalania Gniewu.

– Aha, no tak. Pytałyśmy o właściciela sklepu zoologicznego. Tego tutaj niedaleko – tłumaczyła Lusia. – Tam teraz jest likwidacja, a chciałyśmy z tym panem porozmawiać.

– Cały towar podobno wyprzedał. Za bezcen oddawał – westchnęła. – Nikt u mnie przez ten czas karmy dla psów i kotów nie kupował, bo po co, nie? Jak u niego za grosze można było. To nieuczciwa konkurencja. Tak się nie handluje. Wiedzą panie, jak trudno prowadzi się własny biznes? Miasteczko małe, ludzie pracy nie mają, chcieliby tylko na krechę albo gratis.

– Ale on przecież zlikwidował sklep – wtrąciłam, bo nie zapowiadało się, że kobieta sama przestanie. Złapała się pod boki i widać było, że dopiero się rozkręca, korzystając z okazji, że znalazła słuchaczy.

– No, niby tak, ale jak ludziska takich zapasów dla zwierzaków porobili, to długo nie kupią u mnie, a przecież to ma terminy ważności. Mój Burek będzie musiał chyba to zeżreć, bo na pewno długo nic z tego nie sprzedam.

– Ale kiedyś te zapasy się im skończą – podsumowała Lusia.

– Niby tak – odparła i spojrzała zatroskanym wzrokiem w okno. Pewnie pranie się jej przypomniało.

– A wie pani, gdzie można tego właściciela znaleźć?

– Pewnie, że wiem – odparła, ale zaraz zaczęła się nam uważniej przyglądać. – A co? Kupić panie chcą tę jego budę? I może konkurencję mi tu zrobić pod nosem? Tak najlepiej. Haruj człowieku latami, a tu przyjadą tacy, jakies towary dziwne sprowadzą, po tanioci sprzedadzą, a ja znów będę zęby w ścianę wbijać.

– Niech pani będzie spokojna, nie chcemy kupować tego sklepu. Chcemy z panem Pawłem porozmawiać. To bardzo ważna, ale prywatna sprawa.

– No, jak prywatna, to inna rzecz – odetchnęła z ulgą, choć jeszcze przez chwilę się nam podejrzliwie przyglądała. Jej ręce znów zanurkowały w kieszeniach.

– To czy może nam pani dać numer jego telefonu?

– Nie.

– A adres?

– Nie.

– Bardzo panią prosimy. To naprawdę ważna sprawa.

– Niestety nie mam – odparła zdecydowanym głosem. Nawet przez chwilę się nie zawahała, więc wyglądało na to, że nie kłamie. Spojrzałyśmy na siebie z Lusią. To wszystko wyglądało bardzo dziwnie.

– Jak to? Przed chwilą mówiła pani, że wie, gdzie znaleźć tego pana – mówiła Lusia.

– Tak, bo przed chwilą wiedziałam. Teraz niestety już nie.

– Chodzi o pieniądze? – spytałam.

– A, tfu! – Plunęła w bok. – Widać, że panie nietutejsze! Za pieniądze? Jeszcze tak nisko nie upadłam!

– Przepraszam, ale w takim razie nie rozumiem – tłumaczyłam. – Powiedziała pani, że wie, gdzie go znaleźć, potem, że już nie. Coś tu jednak jest nie tak, prawda?

– Coś panie mało rozgarnięte, za przeproszeniem. – Pokiwała głową z politowaniem. – Toż parę minut temu ja wiedziałam, gdzie go znaleźć, bo jak panie tu weszły, to on wychodził, tak? Wtedy wiedziałam, gdzie jest, bo pewnie szedł do swojego auta, bo zawsze takim czerwonym przyjeżdżał. A teraz to on już gdzieś daleko odjechał, więc nie mam pojęcia, gdzie go szukać. Czy to tak trudno zrozumieć?

– Aha – mruknęłam. Musiałam powstrzymać się ostatkiem sił, by nie parsknąć śmiechem. Lusi jednak nie było wesoło. Widziałam, jak piorunowała wzrokiem sprzedawczynię.

– Pięknie – szepnęła moja córka i podrapała się po głowie, powodując lekkie zwichrzenie fryzury. – Pięknie. To my tu cały czas paplamy, a ten Paweł sobie odjechał.

– Trzeba było od razu pytać, a nie takie podchody robić – skwitowała ekspedientka. – Nic nie poradzę. A telefonu i adresu do niego nie mam. To taki mruk był. Nawet jak tu zakupy robił, to nic nie zagadał. „Dzień dobry” tylko rzucił i „do widzenia”. Tyle go widzieli.

– No to po ptakach – stwierdziła Lusia. – To teraz kicha jak nic.

– Dziękujemy pani – odparłam i podeszłam do drzwi. Powoli jakby deszcz się uspokajał.

– Niech panie chwilę poczekają, toż jeszcze leje. Zaraz się przejaśni, to wyjdziecie. Może coś za ten czas kupicie? Mam świeżutkie szneki, chcecie?

– Co to są szneki? – spytała Lusia.

– Jak to co? – Sprzedawczyni zaprezentowała nam smakowicie wyglądające drożdżówki z owocami. Na sam ich widok ślinka leciała. Poprosiłam więc o dwie. Do tego wzięłam butelkę mleka. Usiadłyśmy przy stoliku znajdującym się przy oknie. Kobieta dała nam dwa plastikowe kubeczki. Nalałyśmy w nie zimnego napoju.

– Ma pani ochotę? – zaproponowałam.

– A co mi tam – odparła. – W towarzystwie to takie mleko lepiej smakuje. – Podstawiła kubek. Nalałam jej. A ta przysiadła niedaleko nas na skrzynce z owocami. Wzięła w rękę drożdżówkę i jadła z nami, spoglądając od czasu do czasu w okna. Po każdym kęsie wzdychała, jakby zachęcając nas do rozmowy. Jednak ani ja, ani Lusia nie miałyśmy ochoty na pogawędkę. Szneki były tak pyszne, że szkoda było się rozpraszać rozmową. Wszystkie zmysły skupiły się na pochłanianiu wybornego smaku.

– Chyba trochę przestaje – rzekła.

Włożyłam do ust ostatni kawałek drożdżówki. Oblizalam paluchy z lukru i dopiłam mleko. Pychota! Lusia powtórzyła moje ruchy, cmokając przy oblizywaniu palców.

– Ekstra, nie?

– No.

– Może jeszcze wezmą panie? Dopóki świeżutkie...

– Nie, dziękujemy. Potem dupska od ciasta rosną. – Wyrzuciłam kubeczek do kosza stojącego tuż przy drzwiach. – Będziemy się zbierać, bo już można przejść. Dziękujemy za drożdżówki i rozmowę.

– Nie ma za co – odpowiedziała i ociężale podniosła się ze skrzynki. Również wyrzuciła swój kubek i wróciła za ladę.

– Dajemy, Lusia, biegiem. – Naciągnęłam kaptur na głowę. Otworzyłam drzwi i wybiegłyśmy ze sklepu. Deszcz jeszcze zacinął, ale w porównaniu do tego, co lunęło z nieba kilkanaście minut temu, to pestka. Kiedy byłyśmy przy aucie, poślizgnęłam się na błocie. O mało nie wpadłam w nie tyłkiem, jednak w ostatniej chwili udało mi się odzyskać równowagę.

– Uważaj! – krzyknęłam do Lusi. Miejsce, w którym pozostawiłam samochód wyglądało teraz zupełnie inaczej. Wokół rozciągały się niestworzone ilości blocka, a w nich stał jak gdyby nigdy nic leniwie ociekający wodą samochód.

– Szybko, otwieraj!

– Już, już... – grzebałam w torbiszczu w poszukiwaniu kluczyków. Zamiast poszukać ich w sklepie, na spokojnie i w ciepélku, to ja dopiero teraz sobie przegląd torebki robiłam. Paluchy nerwowo macały wszystko, co w nie wpadało. Na głowę ciągle siąpił deszcz, co utrudniało gmeranie. Luśka przestępowała z nogi na nogę i ciągle mnie poganiała, co nie ułatwiało zadania. W końcu jednak udało się wymacać coś, co przypominało pilota. Otworzyłam drzwi drżącą dłonią. Wskoczyłyśmy do środka niemal natychmiast.

– O rany, ale pech z tą pogodą – szepnęła Lusia, kiedy już rozsiadła się wygodnie.

Przekręciłam kluczyk w stacyjce i podkręciłam nawiew. Zaraz zrobi się nam cieplej. Przetarłam wycieraczkami szybę i mogłyśmy ruszać.

– I z zamku nici – stwierdziłam. – Teraz do domu, gorąca herbata z cytryną, a dopiero potem hospicjum.

Wbiłam jedynekę, popuściłam sprzęgło, wciskając gaz, jednak samochód ciągle stał. Czułam, jak koła kręciły się w miejscu. Auto poruszyło się może o kilka centymetrów dalej, ale nagle stawało i nawet przyciskanie gazu nie dawało oczekiwanych rezultatów.

– O, nie, nie, nie! – zaklinałam rzeczywistość, a Lusia spoglądała na mnie wielkimi ze zdziwienia oczami.

– Nie mów czasem, że się zakopaliśmy w tym błocie.

– Nie mówię.

Znów spróbowałam ruszyć, jednak koła zabuksowały, a samochód ani drgnął.

– To niemożliwe.

– Mamo, nie mów, że ugrzęzłyśmy.

– Nie powiem. Oj, nie powiem, nie powiem.

– Jezu, i co teraz?

– *Fuck! Fuck! Fuck!* – Walałam dłonią o kierownicę. Wkopałyśmy się. Siedziałyśmy w bloku jak prosiaki.

– I co robimy?

– Ta miejscowość nie na darmo nazywa się Gniew. Chociaż Wkurw mógłby być odpowiedniejszy – powiedziałam, opierając głowę o kierownicę. – Sorki, córciu, że tak klnę przy tobie, ale to jakiś kataklizm.

– Jakoś damy radę? – spytała. Chyba chciała, by ją zapewnić o tym, że oczywiście damy radę się wydostać.

– Pewnie... przecież kiedyś to błoto wyschnie.

– Czyli mamy jakiś tydzień pikniku.

– Nie, nie, poczekaj, przecież się nie poddamy. Patrz, jakby przestaje padać. Dobra nasza.

– No, a za kilka dni wyschnie nam pod kołami. Już się mam cieszyć?

– Jest wyjście – powiedziałam. – Musimy go wypchać. Dasz radę wyjechać? Ja popcham, bo wyższa jestem, więc mam większą krzepę.

– Chyba żartujesz – oburzyła się Lusia. – Przecież ja nie umiem. Nigdy nie siedziałam za kierownicą.

– To łatwe. Wciskasz sprzęgło, popuszczasz i naciskasz gaz. Prawa gaz, lewa sprzęgło.

– Mamo, ja popcham, a ty ruszysz. Tobie to lepiej wyjdzie. Ponadto ty geriatra jesteś, więc nie ma mowy, że dasz radę pchać. – Zaśmiała się.

– Dobra. – Odwzajemniłam uśmiech. – Geriatra więc siedzi, a młodzież pcha. Zapnij tylko kurtkę, bo zimno.

Lusia ciepło się opatulila i wyszła na zewnątrz. Ustawiła się w wygodnej pozycji. Widziałam ją w lusterku. Odpaliłam auto i próbowałam ruszyć. Dodawałam gazu. Czułam lekkie bujanie i kilka razy miałam wrażenie, że już prawie udało się wyjechać, jednak samochód się cofał i opadał w wyslizganą kołami nieckę.

Spojrzałam w lusterko, tam gdzie przed chwilą była Lusia i zamarłam. Nie widziałam jej. Złapałam szybko za klamkę od drzwi, by wybiec sprawdzić, czy czasem nie przewróciła się i nie leży teraz w błocie. Jednak nagle przed szybą zobaczyłam coś, co wyglądało trochę znajomo, bo gdzieś z brązowej mazi pokrywającej głowę wystawały jasne włosy. Stworzenie machało do mnie porozumiewawczo. A z rąk rozpryskiwało się błoto.

– Boże, Lusie! – krzyknęłam, dopadając do niej. – Jak ty wyglądasz? Przewróciłaś się?

Nic ci nie jest? Niczego sobie nie złamałaś? – Zaczęłam nerwowo oglądać ją z przodu i z tyłu. Pod warstwą błota trudno było dostrzec moje dziecko.

– Mamo! – krzyknęła. – Zostaw mnie!

Puściłam ją niemalże natychmiast.

– Nic mi nie jest!

– Jezu, dziecko, dlaczego ty tak wyglądasz? – Po chwili do mnie dotarło, że nie udzieliłam jasnych instrukcji i to moje dziecko stanęło tuż za kołem, by pchać to nieszczęsne auto. Koła buksowały, a całe zgromadzone pod nimi błoto leciało na Lusię, czyniąc z niej błotnego bałwana.

– Pięknie mnie załatwiłaś – burknęła zła.

– Ja? Nie pomyślałaś, żeby nie stawać za kołem?

– Nie, nie pomyślałam.

– Dobra, ściągaj kurtkę i nakładaj moją, bo będziesz chora. A tę wrzucimy do bagażnika.

– Zobacz tam. – Lusie wskazała palcem w stronę sklepu, w którym przed chwilą byliśmy.

Biegła do nas ekspedientka, targając w dłoniach kartony. – Zwariowała?

– Nie wiem...

– Halo, halo! – krzyczała z daleka. Lusie w tym czasie zrzuciła obłożoną kurtkę. Wytarła twarz, zużywając całe opakowanie chusteczek. Tylko z włosów nie udało się wygrzebać błota. – Kartony!

– Kartony? – zdziwiłam się, kiedy sprzedawczynie podała mi dwa grube tekturowe pudła.

– Pod koła – powiedziała zadyszana. – Nie będą się ślizgać.

– Jest pani genialna. – Pacnęłam się w łepetynę. Że ja na to nie wpadłam, by coś podłożyć pod opony.

– To się wie – odparła zadowolona. Ułożyłyśmy pod koła kartony. – Wsiada pani, a ja z dziewczyną popchamy. We dwie baby damy radę, bo akurat chłopca żadnego w okolicy nie ma.

– Dziękuję. – Wsiadłam szybko do samochodu. Nie chciałam, by kobiecina się rozmyśliła, a z nieba znów nie lunęło.

Zapaliłam silnik i delikatnie ruszyłam. Koła w pierwszej chwili zabuksowały, jednak później pod wpływem silnego parcia Lusi i sprzedawczynie opony zahaczyły o suchy, twardy karton. Samochód z trudem ruszył. Udało się wjechać na twardą nawierzchnię. Kobiety z tyłu pchały z całych sił. Bez nich nie dałabym rady.

Zatrzymałam samochód na jezdni. Wsiadłam, by podziękować sprzedawczynie. Uśmiechała się najwyraźniej dumna z siebie. Życzyła nam szczęśliwej drogi i odeszła w stronę sklepu. Wsiadłyśmy do auta i ruszyłyśmy w drogę powrotną. Lusie rozsiadła się wygodnie. Głowę oparła o zagłówek. Pewnie długo zapamięta pobyt w Gniewie.

– Nieźle – powiedziała zmęczonym głosem.

– Chyba sobie darujemy szukanie tego Henryka, co?

– Chyba tak, bo to bez sensu.

– Tym bardziej że stanęłyśmy w martwym punkcie.

– Mamo, a w necie przy danych firmy tego Pawła nie było też numeru?

– Nie – odparłam. – Dokładnie to sprawdziłam.

– Dziwne, nie? Bo z reguły jest.

– Może nie podał. Przecież to nie jest obowiązkowe. Kto by tam dzwonił do sklepu zoologicznego w małej miejscowości? Gdyby prowadził działalność online to wiadomo, a tak, to po co?

– Kicha – podsumowała. – Myślałam, że się uda.

– Trudno, ale może to i dobrze, bo co byśmy mu powiedziały? Wiesz, on może nawet

cioci nie pamiętać. W ogóle przecież nawet nie wiemy, czy ten Paweł jest spokrewniony z Henrykiem. Może to zbieżność nazwisk?

– Też prawda.

– Temat zamknięty – powiedziałam niepewnie i spojrzałam na Lusię. – Nie jest ci zimno?

– Nie – odparła stanowczo. – A może od razu pojedźmy do tego hospicjum, co? Wiem, że wyglądam jak strach na wróble, ale jak wrócę do domu i wezmę kąpiel, to żadna siła mnie nie ruszy, a przecież obiecałam, że z tobą pojadę.

– Jesteś pewna?

– Tak. Mam nadzieję, że dziewczynki zawału nie dostaną na mój widok.

– Nie. Możemy im powiedzieć, że to taka charakterystyka.

Parsknęłyśmy śmiechem, bo Lusia faktycznie wyglądała ciekawie. W sumie można by pomyśleć, że ma dredy z włosów. Pod wpływem błota poskręcały się w całkiem niezłe strąki.

– Wygrzeb z mojej torebki telefon i sprawdź, czy ktoś dzwonił, okej?

Lusia zaczęła gmeranie. Co chwilę wzdychała, ale po kilkunastu sekundach udało się jej namierzyć telefon.

– Masz dwie wiadomości i jeden nieodebrany telefon.

– Kto dzwonił?

– Blubluś. – Zachichotała. – Jedna wiadomość jest od Artura, druga z obcego numeru.

– To czytaj.

– Stęskniłem się. Wpadniesz dzisiaj? Mam ochotę zrobić ci...

– Stop! – krzyknęłam przerażona. – Stop! Nie czytaj dalej!

Luśka znów się zaśmiała.

– Dobra, dobra, nawet nie patrzę, co on tu napisał, bo to obrzydliwe.

– Co?

– No to, co ci Doktorek tutaj napisał.

– Ha! A jednak patrzysz.

– Dobra, następna wiadomość. Czytać?

– Czytaj.

– Umoczysz w końcu tę swoją tłustą dupę.

– Co?!

– Mamo, co to jest?

– Nie wiem, ostatnio dostałam kilka takich dziwnych esemesów – odparłam, wzruszając ramionami. – Luśka, czy ja mam tłustą dupę?

– Absolutnie nie – odpowiedziała z udawaną powagą. – Mamo, ale co to za dziwne teksty? Przypominam ci, że masz dziecko, które nie jest gotowe na bycie sierotą.

– Luśka, co ty pleciesz. Bzdury ktoś wypisuje. Może pomylił numery. – Próbowałam ignorować te wiadomości.

– Mamo, a jeśli to jest jakiś wariat? Przyjdzie, obleje ci twarz kwasem, i co?

– Oj, chyba za dużo filmów się naoglądałaś.

– Takie rzeczy się zdarzają!

Wjechałyśmy na peryferie miasta. Spojrzałam jeszcze na Lusię, by ocenić jej wygląd. Trzymałam się nadziei, że nikt na jej widok nie dostanie zawału. Miała jednak rację. Jeśli już wrócimy do domu i wypijemy gorącą herbatę, to żadna siła nas nie ruszy z kanapy.

Wjechałam na parking przed hospicjum. Było sporo wolnych miejsc. Przed świętami pewnie niewielu gości przychodzi w odwiedziny. Wszyscy zajęci są kręceniem bab wielkanocnych i malowaniem jaj. A tutaj czas jakby stanął w miejscu. Bez znaczenia, czy to weekend, czy święto, czy dzień powszedni. Oczekiwania codziennie są takie same. Każdy

pragnie cudu i na ten cud z nadzieją i wiarą wypatruje.

Ustawiłam samochód. Rzuciłam jeszcze okiem na Lusię. Jej pozlepiane błotem włosy wyglądały ciekawie, ale chyba nikt nie powinien się przestraszyć.

– Poczekaj, mam w bagażniku jakiś sweter – powiedziałam. Było dość chłodno, a moją kurtkę miała na sobie Lusia. Zaparkowałam tym razem najbliżej wejścia, jak tylko się dało, ale i tak kawałek trzeba było przejść.

Otworzyłam bagażnik. Nie było tu zbyt wielu rzeczy, więc szary sweter od razu rzucił mi się w oczy. Nałożyłam go szybko na siebie i nie zapinając już guzików, ruszyłam w stronę hospicjum. Lusia człapała za mną, poprawiając jeszcze włosy.

– Nie jest źle, chodź – ponaglałam ją, bo miałyśmy jeszcze sporo pracy w domu.

– Ładnie tutaj nawet – stwierdziła.

– Prawda – odparłam. – Ale wewnątrz przygnębiająco.

Weszliśmy do środka. Od razu w nosy uderzył nas zapach medykamentów. Luśka trochę się zmarszczyła i szła jakby mniej pewnie. Nabrała typowej dla nowicjuszy nieśmiałości.

– To tutaj – szepnęłam, kiedy znalazłyśmy się przed drzwiami. – Gotowa? – Odgarnęłam jej jeszcze z czoła zabłocony kosmyk. Lusia przytaknęła ruchem głowy. Nacisnęłam klamkę i od razu wymalowałam na twarzy promienny uśmiech.

– Cześć, dziewczynki! – zawołałam z entuzjazmem. Natychmiast poczułam na sobie wzrok trzech par oczu. – Patrzcie, kogo wam dzisiaj przyprowadziłam.

– Hej – nieśmiało odezwała się Lusia. Dziewczynki spoglądały na nią z ciekawością. Mrówka złapała się za usta, jakby chciała stłumić jakiś okrzyk. Nie wiadomo tylko, czy strachu, czy zachwytu. Wygląd Lusi mógł budzić zdziwienie.

– Kto to? – spytała Pati i po chwili uśmiechała się od ucha do ucha. – Jakaś błotna księżniczka?

– To moja córka Lusia. Już ją kiedyś widziałyście, teraz tylko zmieniła lekko image – przedstawiłam.

– A to Mrówka, Pati i Szpilka – wskazywałam kolejno, a Lusia każdej z dziewczynek po kolei podawała dłoń na powitanie.

– Miło mi was poznać.

– A co ci się stało? – spytała Mrówka, dotykając włosów mojej córki.

– Mała przygoda – odparła. – Mama mnie tak załatwiła.

– Asia? – Pati zachichotała. – Wykąpała cię w błocie?

– Coś w tym rodzaju.

Lusia szybko złapała bardzo dobry kontakt z dziewczynkami. Początkowo tylko Mrówka trzymała się nieco z boku i rzadko kiedy odzywała, ale w końcu i ona dała się wciągnąć w rozmowę. Splotłam dłonie na kolanach i patrzyłam na nie pełna podziwu. Wiedziałam, jaka jest moja córka. Oczywiście, miała wady, jak każdy, ale często zaskakiwała mnie rozsądkiem i dojrzałością.

Kiedy wyszliśmy z pokoju dziewczynek, głośno odetchnęła. Znałam dokładnie to uczucie. Człowiek spinał się w zderzeniu z chorobą. Bacznie ważył słowa i gesty.

– Chodź, przedstawię ci jeszcze kogoś – stwierdziłam i zagarnęłam ją ręką. Poszliśmy wzdłuż korytarza do pokoju chłopców.

– Dzień dobry – powiedziałam z uśmiechem. Na środku pokoju stał wózek inwalidzki i to on przyciągał wzrok zaraz po wejściu do sali. Dopiero po chwili zauważało się chłopca leżącego w łóżku pod oknem. Przedstawiłam mu Lusię. Uścisnęli sobie dłonie. Arek wyglądał dziś zdecydowanie lepiej. Nie krzyczał, nie płakał. Ułożony w póżniej pozycji sprawiał wrażenie bardzo spokojnego. Martwym wzrokiem wpatrywał się w punkt nad drzwiami wejściowymi.

Jedynie na chwilę przykułyśmy jego uwagę. Lusia przestąpiła z nogi na nogę. Podsunęłam jej więc krzesło, sama siadłam tuż obok. Złapałam Arka za dłoń.

– Moja córka jest prawie w twoim wieku – powiedziałam, jednak ani jeden mięsień nie drgnął na jego twarzy.

– Interesujesz się piłką nożną? – Lusia przyszła mi z odsieczą. Chłopak powoli przeniósł na nią wzrok i kiwnął głową. – Komu kibicujesz?

– Lechchchiii – odparł z trudem i zaraz wrócił do wpatrywania się w punkt nad drzwiami. Lusia próbowała go jeszcze zagadywać na temat meczów, opowiadać, że niech nie myśli, iż ona nie wie, co to jest spalony. Żartowała. Arek raz nawet się uśmiechnął, ale zaraz jego twarz przybrała wcześniejszy wyraz. I kiedy próbowałyśmy z nim nawiązać kontakt, nagle wyraźnie się ożywił. Obejrzałyśmy się za siebie, bo coś przyciągnęło jego uwagę.

– Dzień dobry – usłyszałyśmy głos młodego mężczyzny, który niespodziewanie wyrósł za naszymi plecami. Arek był poruszony. Wyrwał dłoń z mojego uścisku i niezdarnym ruchem zamachał. – Nie wiedziałem, stary, że masz gości.

– Jestem wolontariuszką. Przepraszam, już wychodzimy.

– Nie trzeba. Cieszę się, że Arka ktoś odwiedza. Jestem jego bratem.

– I tak już musimy iść. Miło było pana poznać – odparłam, a zaraz potem zwróciłam się do chłopca: – Do zobaczenia, Arku.

Zamknęłyśmy za sobą drzwi sali i ruszyłyśmy wprost do wyjścia. Miałam wrażenie, że Lusia za chwilę zacznie biec, by jak najszybciej znaleźć się na zewnątrz. Dopiero tam wypuściła głośno powietrze.

– No, mamo, szacun. Naprawdę.

– Co się stało? – Spojrzałam na nią zaniepokojona. Opierała się o poręcz, jakby zaraz miała się przewrócić.

– Nic, jestem w szoku. Te dzieciaki, choroby, kroplówki, zapach szpitala. To przerażające.

– Zgadza się.

– Bałam się na początku. Te dziewczyny są bardzo fajne i takie energiczne. Jeszcze jak się weźmie pod uwagę miejsce, w jakim się znalazły, to normalnie szok, że dają radę. Ja bym się chyba załamała. Tylko ten Arek...

– Dzielne są, to prawda. Ale trzeba je wspierać i zrobić wszystko, by jakoś pomóc. Arek jest tu nowy, więc pewnie potrwa, zanim się przyzwyczai, dlatego trzeba go odwiedzać.

– Jasne. Jak będę miała znów jakieś wolne, to przyjdę z tobą. Dobrze?

– Dobrze. A teraz jedziemy, bo święta nas zastaną na tym parkingu.

Wskoczyłyśmy do auta i pognałyśmy jak najprędzej do domu. Co prawda prędkości świetlnej nie rozwinęłyśmy z powodu koszmarnych korków, ale stopniowo zbliżałyśmy się do celu. Przedświąteczny czas nie sprzyjał samochodowym podróżom. Każdy gdzieś się spieszył, od czasu do czasu jakiś nerwowy kierowca trąbił. Łatwo w tych dniach o stłuczkę albo o nerwicę. Jednak udało się nam dotrzeć do domu, nie przegryzając nikomu tętnicy ze złości.

– Ale ty masz w tych kieszeniach papierów – powiedziała Lusia w przedpokoju. – Zobacz. – Wyciągnęła z kurtki dłoń pełną śmieci. – Wyrzucić?

Spojrzałam na to, co trzymała. Nie miałam pojęcia, że tyle się tego nazbierało.

– Nie, może to przejrzyć na wszelki wypadek, bo czort jeden wie, co ja upychałam w tych kieszeniach.

– Gdzie ci to położyć?

Podaliśmy jej z kuchni zieloną miseczkę.

– Wrzuć tu. W wolnej chwili przejrę.

Lusia opróżniła obydwie kieszenie. Naczynie wypełniło się po brzegi. Odstawiłam je w przedpokoju na szafkę. Potem wezmę do swojego pokoju i w wolnej chwili sprawdzę.

Zabrałyśmy się niemalże od razu do pieczenia ciast i robienia świątecznego pasztetu. Ciocia przyglądała się z zainteresowaniem, ale niczego nie komentowała. Dawała nam zupełną swobodę. Kiedy znudziło się jej patrzeć na nas, chwyciła gazetę i zapewne przeglądała nekrologi.

Rozdział 14

Święta minęły bardzo szybko. Artur spędził z nami dwa dni do południa. Resztę przepracował. Ciocia ganiała do kościoła i na spotkania z przyjaciółkami. Za oknem robiło się coraz pogodniej. Słońce od czasu do czasu przygrzewało, a na drzewach pojawiało się coraz więcej liści i kwiatów. Pogoda napawała optymizmem.

Włożyłam do wazonu pęk tulipanów i ustawiłam je na biurku. Wydawało się, że spokoju dzisiejszego dnia nic nie zburzy. Luscia była już w szkole. Ciocia pobiegła na spotkanie z Jadźką, a Nutuś leniwie wylegiwał się na łóżku.

Kiedy jednak usłyszałam dźwięk przychodzącej wiadomości, zadrżałam. Z niczym dobrym mi się od jakiegoś czasu nie kojarzył. Wyświetliłam wiadomość. Tak czułam. „Boisz się?”, odczytałam. Tego było za wiele. Miarka się przebrała. Idę na policję, by pokazać komu trzeba te dziwne teksty. Telefon trzymałam w dłoni, kiedy znów zawibrował. Tym razem jednak dzwonił Piotr.

– Cześć, Asiu. Mam dla ciebie dobrą wiadomość – powiedział podekscytowanym głosem.

– Jaką?

– Dwunastego kwietnia jest aukcja i impreza dla Szpilki. Wszystko dograne. Są sponsorzy. Nawet koncert się odbędzie.

– Świetnie! – ucieszyłam się. – To dobra wiadomość. A z książką zdążymy?

– Tak. Siódmego odbieram z drukarni. Pojedziesz ze mną?

– Pewnie. Już się nie mogę doczekać.

– Dobrze, to nie będę ci dłużej zawracać głowy. Jeszcze się do tego czasu zdzwonimy. Jaro robi plakaty. Wpadnij może dziś do fundacji. Rzucisz okiem. A może Szpilce pokażesz wstępny wydruk, co?

– Jasne, będę na pewno, choć nie wiem o której.

– Okej. Nie ma sprawy. Zawsze ktoś tu będzie, to ci pokaże.

– Dobrze. Dziękuję za telefon. Pa.

Serce zabiło mi szybciej z nagłego podekscytowania. Nareszcie! Wierzyłam z całych sił w to, że wszystko się uda, że będzie dobrze, że dawcę znajdziemy, choćbyśmy mieli go wytrzasnąć spod ziemi. Nie dopuszczałam do siebie żadnej czarnej, a nawet choćby lekko przybrudzonej myśli. Będzie dobrze! Musi. Jednym słowem, to się da.

Chciałam wrzucić telefon do torebki, kiedy znów zadrżał mi w dłoni. Spojrzałam na wyświetlacz, bo w pierwszej chwili pomyślałam, że może to Piotr o czymś zapomniał. Jednak wyświetlił mi się napis „Szkoła”. Dzwonili z pracy.

– Tak? Słucham?

– Dzień dobry, z tej strony Aneta Kowalska.

– Dzień dobry, pani Anetko. Coś się stało?

– Tak – odparła. – A w zasadzie nie, ale dyrektor prosił, by była pani na radzie pedagogicznej. To bardzo ważna sprawa.

– Ale ja...

– Tak, wiem, że pani jest na urlopie, ale to ważna sprawa. Dyrektor powiedział, że musi pani być.

– No dobrze. A kiedy ta rada?

– Dwunastego kwietnia o godzinie trzynastej.

– Dwunastego? – niedowierzałam.

– Tak.

– A mogę w takim razie rozmawiać z dyrektorem, bo ja tu mam ważną sprawę tego dnia.

– Oczywiście. Już łączę. – Sekretarka przełączyła mnie. Chwilę poczekałam, zanim usłyszałam znajomy męski głos.

– Dzień dobry, panie dyrektorze – powiedziałam i szybko się przedstawiłam. – Mam pytanie w związku z moją obecnością na kwietniowej radzie...

– Mam nadzieję, że pani będzie – wszedł mi w słowo.

– Ale właśnie o to chodzi, że... – próbowałam tłumaczyć, lecz on znów zdecydowanym głosem przerwał i oznajmił, że jeżeli nie pojawię się na radzie pedagogicznej, będzie zmuszony odwołać mnie z urlopu. Nie chciał też wyjaśnić, co się stało, ani czego będzie dotyczyło posiedzenie i dlaczego moja obecność jest konieczna. Po czym stanowczym głosem zaznaczył, że nie ma możliwości negocjowania terminu i zakończył rozmowę.

Jeszcze przez chwilę trzymałam telefon przy uchu, słysząc już tylko głuchy sygnał. Analizowałam to, co się przed chwilą stało. Kompletnie nic z tego nie rozumiałam. Pierwszy raz słyszałam, by dyrektor wzywał kogoś z urlopu na radę. Nawet nie wiem, czy jest to zgodne z prawem. Jednak wiedziałam, że w nagłym przypadku może odwołać mnie z wolnego. Nie potrafiłam sobie wyobrazić, co to za nagły wypadek i co tak zdenerwowało dyrektora. Mówił do mnie takim tonem, jakbym usiłowała mu podpalić szkołę.

Wrzuciłam w końcu telefon do torebki. Trudno. Siła wyższa i nic na to nie poradzę. Zapukałam do pokoju cici. Leniwie bujała się w swoim fotelu. Poinformowałam ją, że wychodzę i zamówiłam taksówkę. Nie chciałam dziś się tłuc autem, tym bardziej że trzeba by było pojechać do myjni i zrobić w nim trochę porządków.

Wysłałam przed dom w momencie, kiedy właśnie taksówka wjeżdżała w naszą uliczkę. Machnęłam kierowcy, by wiedział, gdzie się zatrzymać. Usiadłam z przodu i zaczęłam poszukiwać pasa. Potem, kiedy ruszył, ukradkiem przyjrzałam mu się podejrzliwie, czy to aby nie facet od chińszczyzny. Na szczęście był to ktoś zupełnie mi nieznany, więc odetchnęłam z ulgą, bo akurat dzisiaj nie miałam ochoty na słuchanie o wyższości polskich towarów nad chińskimi.

Wskazałam mu miejsce kilka metrów od wejścia do budynku. Spojrzałam na taksometr i położyłam dziesięć złotych.

– Dziękuję.

Z impetem pchnęłam przed siebie drzwi do fundacji. Niestety nie spodziewałam się, że trafią z drugiej strony na jakiś opór i odbiją w moją stronę tak szybko. Uderzyły mnie w głowę.

– Kurza twarz! – wyrwało mi się. Czoło zabolalo. Od razu przyłożyłam w to miejsce dłoń. Potarłam, rozmasowując skórę.

– Jezu! – Usłyszałam z drugiej strony, a po chwili ujrzałam przed sobą Jaromira. – Kobieto, co ty? Chcesz mnie zabić?

– To ty za drzwiami stoisz i czekasz, aż ktoś cię walnie!

– Szukałem czegoś, to się zatrzymałem. Nie spodziewałem się, że przejdzie tędy tornado.

– To znaczy, że mało przewidujący jesteś. Zginiesz marnie bez instynktu samozachowawczego.

Wyminęłam go i od razu skierowałam się do biura Piotra. Weszłam do środka. Niestety, za biurkiem nie było nikogo. Omiotłam wzrokiem pomieszczenie i zatrzymałam się dopiero przy szafie. W otwartych drzwiach stała pani Ada i przekładała jakieś papiery. Zwróciłam uwagę na jej elegancką spódnicę z ciekawym wykończeniem u dołu. Do tego miała buty na obcasie i bardzo oryginalny łososiowy sweterek. Wydała mi się w tym momencie uosobieniem kobiecości.

– O, dzień dobry. Nie spodziewałam się pani tutaj.

– Dopinamy z Piotrem akcję, szukam jednego dokumentu i nie mogę znaleźć.

Weszłam śmiało do środka. Za chwilę za mną otworzyły się drzwi i w progu stanął

Jaromir.

– Skoro już jesteś, to pokażę ci plakat. Chodź.

Usiadł od razu przed komputerem i poklepał krzesło obok. Jakby przywoływał pieska. Miałam w pierwszej chwili się odszczeknąć, ale ugryzłam się w język. To nie był najlepszy czas na słowne przepychanki.

Usiadłam potulnie obok niego i czekałam przez chwilę, aż włączy komputer. Obserwowałam czarny monitor, a potem pojawiające się na nim litery.

– Piotr zaraz będzie – powiedziała pani Ada. – Ja zmykam. W razie czego, to pani wie, gdzie mnie szukać.

– Dziękuję – odparłam.

Pani Ada wyszła, delikatnie zamykając za sobą drzwi i pozostawiając w pomieszczeniu lekki zapach perfum. Była bardzo subtelną, ale zdecydowaną kobietą. Kiedy trzeba było, potrafiła wszystkich postawić do pionu, ale miała też przyczajone niesamowite pokłady ciepła i wrażliwości.

Po chwili na ekranie zaczęły się pojawiać obrazki. Jaromir coś bełkotał pod nosem, ale nie miałam ochoty rozszyfrowywać tych nieartykułowanych dźwięków, a jedynie upewniałam się w przekonaniu, że z tym facetem jest coś nie tak.

– Zobacz. – Otworzył w końcu odpowiedni plik z plakatem. – Tak to będzie wyglądało.

Spojrzałam na to, co mi pokazywał.

– Nieźle – pochwaliłam.

– Nieźle? – Zdziwił się. – To jest genialne! A co ty taka jak śnięta ryba? Najpierw skaczesz mi do oczu, a potem ledwo coś tam mruyczysz pod nosem.

– Ja mruczę? To ty coś cały czas bełkoczesz. Ja tylko się dostosowałam do sytuacji.

– Zawsze się tak dostosowujesz?

– Nie, dla ciebie robię wyjątek. Twoja subtelność mi zaimponowała – ironizowałam.

– Jezu, ale z ciebie wredne babsko.

– O, widzę, że stopniowanie masz opanowane. Z baby stałam się babskiem.

– Ty lecisz na mnie, czy mi się wydaje? – Zaśmiał się tak obleśnie, że ledwo zapanowałam nad odruchem przywalenia mu w facjatę.

– Nie schlebiaj sobie.

Odgarnął kosmyk z mojego czoła, a ja podskoczyłam jak oparzona. Jego dotyk jakby poraził mnie prądem. Poderwałam się z krzesła. I wtedy drzwi z impetem się otworzyły. Do środka wszedł Piotr. Kiedy na nas spojrzał, na chwilę zamarł. Sytuacja zrobiła się niezręczna. Nic się nie stało, ale w powietrzu było wyczuwalne takie napięcie, że można by zasilić niejedną fabrykę.

– Cześć – powiedział wreszcie bardzo powoli. – W czymś przeszkodziłem?

– O, fajnie, że jesteś – rzuciłam z ulgą, bo to pozwoliło odciągnąć myśli od tego genialnego dupka, który siedział dalej na krześle i wpatrywał się we mnie swoim idiotycznym spojrzeniem.

– Coś się stało?

– Tak, muszę z tobą pogadać. – Wysłałam zza biurka i podeszłam do Piotra, dając mu znak, że wolałabym na osobności, bez tego fagasa, który teraz znalazł się za moimi plecami.

– Dobra, to ja idę. Plakat ci pokazałem. Jesteś zachwycona, więc nic tu po mnie.

Co prawda nie przypominałam sobie, żebym wyraziła zachwyt, ale z tego względu, że pan figolas wstał i skierował się do wyjścia, nawet słowem nie pisnęłam.

– Piotr, jest problem – powiedziałam od razu, kiedy Jaro zamknął za sobą drzwi.

– Mów – odparł i wskazał krzesło. Usiedliśmy przy stoliku.

– Nie będzie mnie dwunastego.
– Nie będzie cię? Dlaczego?
– Dyrektor do mnie dziś zadzwonił. Mam być tego dnia w szkole na radzie.
– Coś się stało?
– Nie mam pojęcia, ale miał taki głos, że nie ma możliwości dyskusji. Może uda się jeszcze zmienić termin tego festynu?

Piotr podrapał się po głowie. Minę zrobił niezadowoloną i oczywiście kategorycznie stwierdził, że zmiana terminu nie wchodzi w grę. Za dużo osób i instytucji zostało zaangażowanych. Jutro plakaty trafiają na ulicę. Poszły też informacje do prasy i telewizji lokalnej.

– Słuchaj, nie ma co się zamartwiać – stwierdził. – Przecież damy radę bez ciebie, nie? Jak mus to mus. Czasami tak się dzieje i nic na to nie poradzisz.

– Naprawdę? – Otarłam łzy, które napłynęły mi do oczu. Nie byłam w stanie się opanować. Jakaś totalna bezsilność mnie dopadła, a Piotr działał na mnie jak wyzwalacz emocji. Jakbym wkładała papier fotograficzny do wywoływacza, a po chwili na białej karcie zaczynały się wyłaniać ciemne kształty. Tak było z moimi uczuciami. Powoli wypływały na wierzch i nabierały wyraźniejszych konturów. Chcąc nie chcąc, rozplakałam się na całego.

– Prze... prze... przepraszam – wydukałam.

– Asiu, przecież to nie koniec świata. Co się dzieje?

– Nie... nie... wiem, nerwy mi puściły. Od jakiegoś czasu dostaję esemesy z jakimiś głupimi tekstami. Lusia mówi, że ją zaniedbuję. Zakopałam się ostatnio autem w błocie. Ten cały Jaro to cham nad chamy. Nie możemy z Lusią znaleźć tego Henryka, a moja matka kupuje mi erotyczną bieliznę. W dodatku przywalałam ci paralizatorem na muchy! – Fala płaczu popłynęła ze zdwojoną siłą.

– Aśka, proszę cię, nie płacz, przecież to jakieś drobiazgi. – Głaskał mnie po ramieniu. Po chwili podał chusteczki higieniczne, bo lawina poszła i nie mogłam tego ryku opanować. – Wszystko przecież idzie dobrze. Pomagasz dzieciakom, robisz wiele dobrego.

– I... i... – smarkałam w chusteczkę – nawet nie mogę być na aukcji i całej tej imprezie.

– Słuchaj, ale przecież ta akcja nie trwa jeden dzień, przecież będziemy szukać dawcy, sprzedawać jeszcze książki w necie. Pojedziesz, załatwisz, co trzeba i wrócisz.

– Myślisz?

– Jasne.

Wysmarkałam nos w kolejną chusteczkę. Wytarłam łzy razem z resztką tuszu.

– A teraz chodź. Pojedziemy do drukarni po plakaty i zobaczysz swoje książki. Może już je drukują, bo ich odbiór jest zaplanowany na siódmego.

– Taka zasmarkana?

– Zaraz nie będzie widać.

– Poczekaj, tylko się ogarnę. – Znalazłam w torebce lusterko i puder. W odbiciu zobaczyłam przekrwione oczy i czerwony nos. Nałożyłam więc odpowiednią warstwę pudru. Potem pogrzebałam jeszcze w moim torbiszcu w poszukiwaniu tuszu. Nie byłam pewna, czy mam jakiś awaryjny, ale na szczęście był. Uzupełniłam braki na rzęsach. W tym czasie Piotr postawił mi na stoliku szklanekę wody. Napiłam się, a on powyłączał komputery. Od razu pojechaliśmy do drukarni. Czuję się dużo lepiej. Wypłkanie się przed Blublusiem dobrze mi zrobiło. Zeszło ze mnie napięcie, które chyba dzisiaj sięgnęło zenitu.

W samochodzie Piotra milczeliśmy. Grało radio, więc nie brzmiała nam w uszach niezręczna cisza. Do drukarni nie było daleko. Nie chciałam już kontynuować tematu, by znów się nie rozkleić. Piotr też chyba nie wiedział, co mówić, więc milczeliśmy oboje.

Po kilku minutach jazdy wjechał na teren drukarni. Zaparkował na pustym placu przeznaczonym dla klientów. Spojrzałam na imponujący budynek. Widać, że drukarnia prosperowała bardzo dobrze. Przynajmniej na zewnątrz sprawiała takie wrażenie. Weszliśmy do środka. Piotr poprowadził mnie do biurka kobiety zajmującej się naszymi projektami. Miała już dla nas przygotowane plakaty. I na prośbę Piotra zabrała nas do hali, gdzie właśnie drukowały się moje bajki.

– Zobacz. – Blubluś wskazał mi stosy z wydrukowanymi środkami mojej książki. Jeszcze nie zostały oprawione, ale już było widać, że będą się pięknie prezentowały. Wybrano ładny papier, kredowy, ale niezbyt gruby. Nasycenie kolorów zastosowali odpowiednio. Rysunki Jaromira wyglądały cudownie.

– Świetne – powiedziałam, dotykając płacht papieru.

– Będą gotowe na termin? Zdązycie? – Piotr zwrócił się do kobiety, która nas tu przyprowadziła. Obciągnęła marynarkę i lekko się wyprostowała.

– Myślę, że tak, ale gdyby było jakieś opóźnienie, zadzwonię do pana.

– Dobrze, będę wdzięczny – odparł.

Po chwili wyszliśmy z hali i wróciliśmy do biura. Kobieta podała Piotrowi fakturę. Zawołała pana Krzysia, by zaniósł nam do samochodu plakaty. Piotr próbował protestować i zapewniać, że sam to zrobi, bo przecież nie jest to aż tak ciężki pakunek, ale pan Krzyś, nie zważając na jego protesty, chwycił paczki i ruszył w stronę parkingu klientów. Pożegnaliśmy się i pognaliśmy od razu za nim.

– Podoba ci się? – spytał Piotr, kiedy znaleźliśmy się w samochodzie.

– Co? Plakat czy książki?

– Jedno i drugie.

– Jasne. Ten Jaro ma naprawdę talent. Szkoda tylko, że jest taki wredny.

– Wiesz, on nie jest taki zły. Jego dziwne poczucie humoru, to taka przykrywka. W gruncie rzeczy to wrażliwy facet.

– To dlaczego zachowuje się jak idiota?

– Myślę, że to taka warstwa ochronna.

– Przed czym?

– Nie miał łatwego życia. Wiesz, ja go pamiętam jeszcze ze szkoły. Nie miał lekko, więc wyrobił w sobie taki dziwny sposób radzenia ze stresem.

– Dziwne.

– Ale to naprawdę zdolny facet.

– Że zdolny, to nie ulega wątpliwości. – Wypowiadając te słowa, poczułam ścierające się podziw i niechęć w stosunku do Jaromira. A może niechęć pomieszana ze współczuciem? Nie miałam pojęcia. Facet na pewno budził we mnie sporo emocji, głównie sprzecznych.

Rozdział 15

– Mamo, a kiedy wrócisz? – Luscia wkładała właśnie buty. Pochylała się nad sznurówkami. Sięgnęłam po kurtkę. Sprawdziłam jeszcze w torebce, czy mam wszystkie dokumenty.

– Jutro. Auto zostawię na parkingu w Tczewie, więc dotrę bez problemu.

– Dlaczego chcesz się tłuc pociągiem? Przecież samochodem byłoby chyba szybciej.

– Trochę dla mnie za daleko. Nie jeździłam sama w takie trasy, a pociągiem będzie taniej.

– Jak chcesz. Tylko uważaj na siebie. – Luśka machnęła ręką. Potrąciła szafkę i stojącą na niej miseczkę wypełnioną papierami wyciągniętymi jakiś czas temu z moich kieszeni. Miałam to przejrzeć, ale ciągle zapomniałam.

– No pięknie – jęknęłam. – Dobrze, leć już, bo nie zdążysz do szkoły. Ja to pozbięram. Potem przejrzyj, proszę, te papierzyska. Paragony powyrzucaj, a gdyby pomiędzy nimi były jakieś zapiski, to połóż mi na biurko.

– Dobrze, mamuś. Ale jeśli wyrzucę coś potrzebnego, to nie miej mi tego za złe.

– Gdyby tam było coś ważnego, to pewnie już bym tego szukała. Tyle dni to już tu leżakuje, że można śmiało wyrzucić do śmieci. – Zebrałam szybko papiery i wrzuciłam je z powrotem do szklanej miseczki. – Buźka.

Luśka cmoknęła mnie w policzek i wyszła z domu. Spojrzałam na zegarek. Zaraz też muszę się zbierać, bo nie zdążę na pociąg. Wróciłam jeszcze na chwilę do kuchni i dopiłam stojącą tam kawę. Ciocia siedziała przy stole i dokładnie mnie obserwowała.

– Tylko wracaj szybko – powiedziała. – I uważaj tam, nie daj sobie w kaszę dmuchać. W końcu przecież dyrektor dał ci ten urlop.

– No tak, ale wiesz, ciociu, on ma prawo mnie z niego odwołać. Coś się stało, bo to jest spokojny człowiek, a przez telefon był naprawdę zdenerwowany.

Wrzuciłam do torebki książkę i dwie kanapki. W podręcznym bagażu miałam już spakowane najbardziej potrzebne przedmioty i ubranie na zmianę. Wrzuciłam też dziesięć egzemplarzy moich bajek. Chciałam się nimi pochwalić przed koleżankami, a przy okazji wciągnąć je w aukcję dla Szpilki. Może uda mi się w pociągu lekko odświeżyć, więc na wierzchu ułożyłam środki higieniczne. Po radzie zatrzymam się u Olgi, przenocuję, a jutro rano wsiałam w pociąg i od razu wracam. W swoim mieszkaniu nie mam czego szukać, bo przecież wynajęłam je na rok, nie ma więc co straszyć niezapowiedzianą wizytą lokatorów, których oczywiście wynalazła moja wszystkowiedząca mamuśka. To był przecież element jej genialnego planu, by mnie ściągnąć na Kociewie i tutaj wyswatać.

Jechałam do Tczewa przepisową prędkością. Kontrolowałam czas. Nie należało się spieszyć. Myślami byłam dziś na aukcji poświęconej Szpilce. Zastanawiałam się, jak to wszystko będzie wyglądało, ile uda się zebrać pieniędzy i czy sobie beze mnie poradzą. Upiekłam dwie blachy ciasta i wczoraj zawiozłam je do Piotra. Niestety, nie pomogę w sprzedaży.

Razem z myślami o aukcji wracało do mnie wspomnienie wczorajszego wieczoru. Spędziłam go z Arturem. Chyba bał się, że gdy pojedę do swojego miasta, to odżyje we mnie chęć powrotu w rodzinne strony, ale przecież ja nie planowałam na Kociewiu pozostać na zawsze. Na razie rozważałam taką opcję, ale mój strach przed niewiadomą był tak duży, że raczej sama takiej decyzji nie podejmę. Znając siebie, mogłam być pewna, że będę czekać, aż los zdecyduje za mnie. Los albo mama, która z pewnością coś jeszcze wykombinuje.

Spytałam wczoraj Artura, czy nie lepiej by było, gdyby on się przeniósł. Przecież lekarz w przeciwieństwie do nauczyciela wszędzie znajdzie pracę. W szkołach był akurat niż demograficzny, ciągle likwidowano klasy. Ubywało szkół i etatów. A on, chirurg z praktyką, wszędzie będzie mile widziany. Jednak Artur się tylko uśmiechał i zapowiedział mi, że gdy

wrócę, to coś mi pokaże. I tyle tematu. Gdyby tak chociaż okazało się, że jest z nim coś nie tak, że klóci się bezpodstawnie, że ma napady złości, że jest bałaganiarzem, kłamczuchem, spóźnialskim... A ten facet nie miał wad! Albo może tak dobrze je ukrywał i najlepsze zostawił na później.

Wybrałam odpowiednie miejsce na parking. Ustawiłam samochód. Zabrałam bagaż i szybkim krokiem poszłam w stronę dworca. Minęłam biało-czarną lokomotywę i od razu Republika odezwała się we mnie znajomą nutą:

kombinat pracujeoddycha budujekombinat to tkankaja jestem komórkanie wyrwę sięnie wyrwę się Natrętne słowa przykleiły się do mnie na dość długo. Jeszcze siedząc w pociągu, powtarzałam je z uporem maniaka. Dopiero wyciągnięta z torebki książka odwróciła moją uwagę od Republiki. Przeniosłam się w inny świat. I nawet mężczyzna jedzący naprzeciwko mnie kanapkę i wydłubujący sobie z zębów jakieś resztki, nie był w stanie oderwać mnie od lektury. Co godzinę robiłam przerwy i wychodziłam na korytarz. Pasażerowie w moim przedziale raczej się nie zmieniali. Za to na jednej ze stacji dosiadły dwie zakonnice.

Spojrzałam na nie z ciekawością. Uśmiechnęły się jak na zawołanie. Kontakt wzrokowy został nawiązany.

– Chwalmy Pana! – krzyknęła nagle jedna z nich. Klepnęła się w kolana i zaczęła śpiewać. W pierwszej chwili chciałam się uszczypnąć. To musiał być sen. Wszyscy pasażerowie spoglądali na nią z lekką konsternacją. A ta zadowolona śpiewała, wymachując radośnie rękoma. Kurza twarz! Jadą na jakiś festiwal piosenki religijnej, czy jak?

– Ooo, jeee – wtórowała jej druga i po chwili również ta zaczęła klaskać. – Wszyscy razem na chwałę Pana!

O, matko! Czas ewakuacji. Pasażer od resztek w zębie uśmiechnął się szeroko i po chwili już klaskał w wyznaczonym przez zakonnice rytmie. Ktoś z korytarza obserwował nasz rozbawiony przedział. Naprzeciwko mnie dwie zakonnice i gruby facet klaszczą i śpiewają, bujając się przy tym na boki. A po mojej stronie całkowity bezruch. Kobieta po lewej nerwowo zaczęła się kręcić. Zapowiadało się na niezły cyrk.

– No dobrze, żartowałam – powiedziała nagle jedna z zakonnice i zamilkła. Druga natychmiast zrobiła to samo. Tylko mężczyzna klasnął jeszcze kilka razy i zdziwiony spojrzał na nie, jakby rozczarowany, że zabawa się skończyła. Przyglądałam się temu i miałam wrażenie, że biorę udział w *Ukrytej kamerze*, że gdzieś zaraz z boku wypadnie operator, wszyscy zaczną bić brawo i krzyczeć, że udało się mnie wkręcić. Nic takiego jednak się nie stało. Zakonnice umilkły. Wyciągnęły wielkie buły i zaczęły zajadać z apetytem. Mężczyzna przyglądał im się z niedowierzaniem.

– Może się pan poczęstuje? – spytała jedna z nich, widząc, że facet jest rozczarowany zakończeniem imprezki.

– Chętnie. – Wyciągnął dłoń po kanapkę i w milczeniu zaczął ją pochłaniać. Potem kilkanaście sekund spędził na wydłubywaniu resztek z zębów.

Pociąg wjechał na stację mojego rodzinnego miasta. Nie byłam tutaj, odkąd wyjechałam opiekować się ciocią. Po wyjściu z dworca uderzył mnie widok znajomych budynków, drzew, ulic i sztyldów. Jakoś inaczej to wszystko wyglądało, ale jakże sentymentalnie. Tutaj się urodziłam i wychowałam. Spędziłam czterdzieści lat życia. Od razu w głowie zarysował mi się plan miasta. Odtworzyłam w pamięci znajome zaułki. Odetchnęłam głęboko. Spojrzałam na zegarek. Niestety nie miałam czasu na spacer pobliskimi uliczkami. Zostało mi zaledwie pół godziny, by dotrzeć do szkoły. Ruszyłam więc w dobrze znanym kierunku. Weszłam w mało interesującą dzielnicę miasta i zmierzałam od razu do szkoły.

– Cześć – odezwałam się do słuchawki, kiedy po drugiej stronie usłyszałam mamę. –

Dojechałam już.

– Dobrze, dziecko, a może przyjedziesz do nas i tu przenocujesz?

– Nie, potem rano bym nie miała jak z tej waszej wsi dotrzeć na dworzec. Przenocuję u Olgi i będzie dobrze.

– Jak chcesz. Tata by cię przecież odwiózł – odparła. Nie chciałam jednak spędzać u nich tej nocy. Wolałam spotkać się z Olgą i pogadać. Musiałam komuś opowiedzieć o tym, co się działo. Może Beatę uda się ściągnąć, to we trzy posiedzimy i pogadamy jak za dawnych czasów.

– A teraz gdzie jesteś?

– Idę do szkoły.

– Tylko uważaj na siebie i daj znać, czego oni tam od ciebie chcieli. My z ojcem jesteśmy w razie czego w domu, więc jak będziesz potrzebowała pomocy, to się odezwij.

– Dobrze, mam. Tylko nie dzwoń do mnie co chwilę!

– Postaram się. Pa.

Wyłączyłam dźwięk w telefonie. Napisałam wiadomości do Lusi i Artura, że dojechałam cała i zdrowa, a potem wrzuciłam aparat do torebki. Nie chciałam, żeby zadzwonił podczas rady.

W oddali widziałam już znajomy budynek. W oczy rzucała się pistacjowa elewacja i wymalowana na niej wielkimi drukowanymi literami skrócona nazwa szkoły. Serce zatrzepotało mi w dziwnym rytmie. Miałam tremę pomieszaną z lękiem. Rozważałam już różne opcje tego, co się mogło stać, ale ciągle nic sensownego nie wymyśliłam.

– Dzień dobry, pani profesor. – Usłyszałam od razu po przekroczeniu progu. Po chwili okrążyła mnie grupa dziewcząt z klasy maturalnej. – Dlaczego nas pani zostawiła? Wraca pani? – zasypywały mnie na zmianę pytaniami.

– A wy nie na lekcji? – Udało mi się w końcu też zadać jedno pytanie.

– Skrócone były, bo rada jest. Wraca pani już? – nalegała piegowata Kaśka.

– Jeszcze mi się urlop nie skończył – odparłam. – Przepraszam was, ale rada się zaraz zacznie, a nie chcę się spóźnić. W głębi korytarza zauważyłam dyrektora wchodzącego do pokoju, w którym z reguły odbywają się rady pedagogiczne. Za nim weszło dwóch nauczycieli. Pewnie już prawie wszyscy siedzą przy swoich stolikach. Nauczyciele jak uczniowie, przywiązani do miejsc i nie ma siły, by ktoś kogoś podsiadł. Pamiętam co było, gdy przyszłam do tej szkoły na pierwszą radę. Przy stolikach zauważyłam sporo wolnych krzeseł, ale gdzie chciałam posadzić swoje drżące ze strachu cztery litery, słyszałam „zajęte”. Na szczęście Olga się wtedy zlitowała i zaprosiła mnie do swojego stolika. I tak to się zaczęło. Połączył nas w przyjaźni wspólny stół.

Przeprosiłam jeszcze raz uczennice i czym prędzej skierowałam się do pokoju numer piętnaście. Na korytarzu było już pusto. Uczniowie pewnie popędzili do domów.

Brak konkretnych wiadomości o tym, co się działo, powodował, że niepokój we mnie narastał. Podskórnie czułam, że będą kłopoty. Jeszcze nie wiedziałam, jakie. Zrobiłam kilka głębszych wdechów i wydechów. Położyłam rękę na klamce.

– Aśka? – Usłyszałam za sobą.

– Beata! – zawołałam radośnie i wpadłam w jej ramiona. Jakaś przyjazna dusza! – Jezu, Beata, jakiego ja mam pietra!

– Olga mówiła, że będziesz, ale nikt poza nią w ogóle na ten temat kompletnie nic nie mówił.

– Stary mnie wezwał. Zagroził odwołaniem z urlopu – szeptałam.

– Dobra, wchodź, zaraz pewnie się dowiemy, o co chodzi.

Nacisnęłam na klamkę i nieśmiało weszłam do środka. Prawie wszystkie miejsca były już

zajęte. Powiedziałam głośne „dzień dobry” i „cześć”. Prawie dygnęłam jak na audiencji u jakiego monarchy. Dyrektor miał nieprzeniknioną twarz. Odkiwnął tylko głową. Poszukałam wzrokiem Olgi. Machnęła do mnie. Przeszliśmy z Beatą przez salę pomiędzy stolikami, by dostać się do niej. Uściskałam Olę. Pomachałam do kilku koleżanek, ale zauważyłam, że parę osób udawało, że mnie nie widzi. Jakby celowo omijały mnie wzrokiem, a pod nosem dziwnie się uśmiechały. Albo mi się wydawało, albo faktycznie coś się szykowało. Miałam nadzieję tylko, że to jednak nie ja mam być główną bohaterką dzisiejszej rady, że to po prostu jakieś kłopoty kadrowe czy coś w tym stylu. Usiadłam. Olga z Beatą od razu się do mnie nachyliły i zaczęłyśmy szeptać. Do rozpoczęcia zostały jeszcze dwie minuty. Dyrektor czekał, aż wszyscy się zejda.

– Idziemy potem na kawę, co? – spytała Beata. – Tak dawno nigdzie z Aśką nie byliśmy, że aż wstyd.

– Jasne, mam nadzieję, że nie będziemy siedzieć w domu, tylko ruszymy w miasto poplotkować. Muszę wam sporo opowiedzieć.

– Ja tobie też – powiedziała Beata i spojrzała porozumiewawczo na Olę. – Nie chciałam ci wcześniej mówić, ale mam kogoś fajnego na oku. – Mrugnęła do mnie.

– Ho, ho, nasza gwiazda wróciła. – Usłyszałam nagle nad sobą znajomy głos. – No proszę.

Spojrzałam w kierunku źródła złośliwości. Nie mogłam mieć żadnych wątpliwości, do kogo należy ten głos.

– Cześć, Kingo. Ja też się cieszę, że cię widzę – wycedziłam przez zęby.

– Dobrze, proszę państwa, zaczynamy! – Dyrektor oznajmił początek zebrania. Tradycyjnie najpierw odczytał porządek obrad, potem omówił sprawy bieżące, o których nie miałam zielonego pojęcia, bo przecież od dobrych kilku miesięcy nie było mnie w pracy. Następnie nastąpiła część dotycząca klasyfikacji maturzystów. Padały znajome nazwiska. Ucieszyłam się, że będą wyróżnienia na świadectwach. I już zaczynałam myśleć, że zapraszanie mnie tutaj, to jakiś wolny żart, gdy dyrektor położył przed sobą kartkę i kilkakrotnie wygładził ją dłonią. Lekko mu zadrżały kąciki ust. Dotknął nerwowo wąsów i dopiero wtedy zabrał głos.

– Proszę państwa, od jakiegoś czasu jestem bardzo popularny w naszej szkole i dostaję listy. Niestety, nie wyznania miłosne. Listy te mają związek z panią Joanną, dlatego wezwałem ją z urlopu i poprosiłem, by pojawiła się na tej radzie. Bo takie sprawy najlepiej załatwiać prosto w oczy. Szkoda, że nie wszyscy to potrafią i bawią się w dziecinne podchody.

Pięknie mnie poprosił, parsknęłam w myślach. Bo niewiele miało to wspólnego z życzliwym zaproszeniem. To był najzwyczajniejszy w świecie szantaż. Jednak nie powiedziałam głośno tego, co myślę, tylko nadstawiłam uszy i uważnie słuchałam, co moja skromna osoba ma z tym wspólnego.

– A mianowicie od jakiegoś czasu jestem zasypywany anonimami. Z reguły wyrzucałem je do kosza, ale kiedy zaczęto mi w nich grozić, postanowiłem państwu nie szczędzić tego, co czytałem kilka razy w tygodniu, bo autor z pewnością jest wśród nas i byłoby mu bardzo przykro, że ciągle jest ignorowany. Przeczytam tylko jeden z listów, aby wiedzieli państwo, czego dotyczą. – Wszyscy spojrzeli na mnie. Zacerwieniłam się od tych wpijających się we mnie znaków zapytania. Kompletnie nie miałam pojęcia, o co chodzi, a wszyscy chyba podejrzewali, że to ja mam coś z tym wspólnego. Olga trąciła mnie kolanem. Beata szturchnęła łokciem i czekały, aż coś im szepnę, ale mnie totalnie zamurowało. Wpatrywałam się w dyrektora w oczekiwaniu na to, co za chwilę zamierzał przeczytać. W tym momencie zawibrował telefon w mojej torebce. Dyskretnie odszukałam go i odczytałam wiadomość. Początkowo myślałam, że może to Lusja, ale brak zapisanego numeru w kontaktach szybko rozwiał moje wątpliwości.

„Czas zacząć przedstawienie”, przeczytałam. Czyli to tak... To nie żadna zazdrośna

kobieta, jak przez chwilę podejrzewałam, ale najzwyczajniej w świecie koleżanka lub kolega z pracy. Rozejrzałam się po sali, ale nikt nie spoglądał w moim kierunku. Nie miałam jednak złudzeń. To był ktoś stąd. Tylko o co mu chodziło? Zaczęłam uważniej spoglądać na stoliki. Ktoś musiał mieć przy sobie telefon. Przecież przed chwilą pisał do mnie esemesa.

W tym czasie dyrektor poprosił jeszcze raz o uwagę. Odchrząknął i zaczął czytać:

Piszę do Pana kolejny list i jeżeli w końcu nie weźmie się Pan za porządki w swojej szkole, zgłoszę sprawę do starostwa i kuratorium. Chyba nie ma Pan jaj i boi się Pan swoich nauczycieli, którzy robią, co chcą w tej szkole. Jak to możliwe, że nie wie Pan, co robi jedna z nauczycielek na urlopie. Zgodnie z prawem nauczyciel podczas urlopu dla poratowania zdrowia nie może podejmować pracy zarobkowej. Kontroluje to Pan w ogóle? Czy nauczyciele grają Panu na nosie? Może biorą urlopy, by jeździć na saksy? A może łączy Pana coś z nauczycielką, która na urlopie dla poratowania zdrowia zarabia w pewnej fundacji, wydaje książki, a w dodatku rozbija się nowym autem? Radzę się tym zainteresować, bo jeżeli Pan tego w końcu nie zrobi, to kuratorium na pewno zainteresuje się machlojami, jakie dzieją się w szkole. Całe miasto o tym plotkuje. A niektóre zaplecza widziały już niejedną popijawę czy bzykanko. Ciekawe, z kim w rolach głównych... Dyrektor spojrział na nas i zmiął kartkę.

– Oszczędzę państwu dalszej części. Wszystkie listy oczywiście były w podobnym klimacie. Zawsze podpisane „Życzliwa”, więc jeżeli owa Życzliwa przebywa w tej sali, wyjaśniam, że nie jest moim obowiązkiem śledzić, co nauczyciele robią na urloпах. Wszyscy państwo znacie prawo, więc wierzę, że się do niego stosujecie. Zaprosiłem panią Joannę, by wiedziała, co się dzieje za jej plecami, bo rozumiem, że ten Życzliwy to ktoś z naszego grona. Jest mi wstyd, że coś takiego dzieje się w mojej szkole i proszę mi wierzyć, zajmę się tym i z pewnością wyjaśnię, kto za tym stoi. Zgłosiłem sprawę anonimów na policję.

– Na policję? – wyrwało się Kindze, a wszyscy od razu spojrzeli w jej kierunku. Wieśka siedziała obok purpurowa niczym piwonia. Coś podejrzanie te moje koleżanki wyglądały i idealnie pasowały do roli Życzliwej, choć raczej Wiesi bym o takie rzeczy nie podejrzewała. Jednak jej wcześniejsze esemesy z pytaniem, co u mnie, teraz wiele wyjaśniały. Skąd inaczej ktoś wiedziałby, że pracuję w hospicjum? A o resztę pewnie wypytała Olgę. Toż to żadna tajemnica, co robię na Kociewiu.

– Tak, na policję. Zawsze mi się wydawało, że dorośli ludzie potrafią pewne sprawy załatwiać wprost, a nie zajmują się pisaniem obrzydliwych donosów. Nie wiem, co się dzieje u państwa na zapleczach. Nie mam zamiaru montować monitoringu w tych miejscach i nie wierzę w żadne oszczerstwo napisane w tych anonimach. Człowiek inteligentny, a za takich państwa mam, potrafi sobie radzić z frustracjami.

– Panie dyrektorze, czy mogę? – Podniosłam dłoń. Czułam się wywołana do tablicy. Musiałam wyjaśnić pewne sprawy i w tym momencie byłam wdzięczna dyrektorowi, że pozwolił mi to zrobić na forum. Szeptanie i wyjaśnianie za plecami nie miałyby sensu.

– Bardzo proszę, pani Joanno.

– Drodzy państwo, czuję, że list ten, przynajmniej w części, dotyczy właśnie mnie. Przebywam na urlopie, pracuję w hospicjum i wydałam kilka bajek dla dzieci. To wszystko prawda. – Nauczyciele spoglądali na mnie, nikt jednak niczego nie komentował. – To nie jest praca zarobkowa. Jestem wolontariuszką, a definicji wolontariatu nie trzeba nikomu przedstawiać. – Spojrzałam dobitnie w stronę Wieśki i Kingi, bo te kręciły się nerwowo i co rusz coś szeptały. – Bajki wydałam, ale zrezygnowałam z honorarium na rzecz pewnej dziewczynki chorej na białaczkę. Szukamy dla niej szpiku, organizujemy zbiórkę pieniędzy. Właśnie w tej chwili trwa aukcja dobroczynna, w której nie mogłam wziąć udziału ze względu na zawiść i zazdrość kogoś bardzo życzliwego. Jest mi przykro, że tak się dzieje w miejscu, w którym

pracuję i z którym od lat się identyfikuję.

– Aśka, przestań, to jakaś sfrustrowana psychopatka napisała. Nie ma co się tłumaczyć – wtrącił jeden z wuefistów.

– Jasne, że nie. Dawaj namiar na to chore dziecko. Pomożemy!

– I bajki daj. Ja chętnie kupię! – dorzucił ktoś.

– A tę Życzliwą niech zeżre zazdrość – zawtórował kolejny głos.

– Oczywiście to, czy zarabiam, czy nie, można sprawdzić. Ja ze swojej strony nie mam niczego do ukrycia. Jedyne dodatkowe dochód, jaki uzyskuję, pochodzi z wynajmu mieszkania, ale to przecież nie ma w tej sprawie znaczenia.

– Tylko winny się tłumaczy! – rzuciła Kinga. Była wściekła. Aż wstała z krzesła, by to wykrzyzczyć. Dopiero Wieśka pociągnęła ją znów na krzesło.

– Tłumaczę się, bo mnie tutaj wezwano.

– Proszę państwa, mam nadzieję, że to ostatnia sprawa tego typu, a policja szybko znajdzie autora listów. Ja na pewno nie odpuszczę inwektyw pod moim adresem i chętnie pozbędę się z naszego grona kogoś, kogo nie stać na szczerą rozmowę i posuwa się do pisania anonimów.

– Aśka, pokaż książki!

– Mogę, panie dyrektorze?

– Bardzo proszę, niech nie idzie na darmo pani przyjazd. A szkoła chętnie przyłączy się do akcji. Tylko proszę wszystko dokładnie opowiedzieć.

Jeszcze raz ze szczegółami przedstawiłam plan działań podjętych dla Szpilki. Pokazałam książki. Miałam ich ze sobą niewiele, więc bardzo szybko się rozeszły. Na ostatniej stronie okładki znajdował się numer konta fundacji. Każdy mógł wpłacić taką sumę, jaką uważał za stosowną. Ponadto Iza zamówiła sto egzemplarzy na szkolny festyn. Obiecano mi sprzedaż bajek i pomoc w szukaniu dawcy szpiku. Uczniowie z pewnością chętnie się przyłączą. Są dorośli, mieli już niejedną pogadankę na ten temat. Na ich wrażliwość i dobre serca na pewno można liczyć.

– Widziałaś minę Wieśki? – spytała Olga, kiedy wychodziłyśmy z sali. – Bezcenna. Założę się, że to ona z Kingą stoją za tymi anonimami. Ale co tym durnym babom strzeliło do łba? I jak one cię tam namierzyły?

– Nie mam pojęcia.

– Pewnie dlatego tak wypytywały, gdy od ciebie wróciłyśmy. Potem też kilka razy zagadały, że niby takie życzliwe.

– No, że życzliwe to akurat się potwierdziło – spuentowała Beata.

Dyrektor poprosił mnie jeszcze do swojego gabinetu. Podziękował, że przyjechałam. Rozmawiał ze mną już zupełnie inaczej niż przez telefon. Wyjaśnił, że chciał konfrontacji. Z policją oczywiście blefował, ale stwierdził, że dałby sobie rękę uciąć, że za wszystkim stoją moje dwie podejrzane. Kindze kończyła się umowa w tym roku i postanowił, że jej nie przedłuży, a może to na Wieśkę podziela jak zimny prysznic i znajdzie sobie inne koleżanki. Mniej destrukcyjne. Przecież nie była taka zła. Trochę w życiu jej nie wyszło, więc odgrywała się na kim mogła, ale kiedyś była z niej świetna nauczycielka i koleżanka.

Kiedy wychodziłam z gabinetu dyrektora, zauważyłam Kingę. Zrobiła pogardliwą minę na mój widok, lecz nie odezwała się ani słowem. Mnie też nie chciało się wdawać w jakieś słowne przepychanki. Zignorowałam ją i poszłam do pokoju nauczycielskiego, gdzie czekały na mnie Olga i Beata.

– Idziemy?

– Chodź, teraz porządnie się zresetujemy – powiedziała Beata. – A niekórzy niech dalej

bawią się w przedszkole i listy piszą... – Parsknęła śmiechem. Na ostatnim krześle pod oknem siedziała Wieśka. Trzymała się za głowę i nie wyglądała na najszczęśliwszą. Nikt się do niej nie przysiadł. Może to będzie dobra nauczka.

– *Ludzie listy piszą zwykle, polecone, piszą, że kochają, nie śpią, klną, całują się. Ludzie listy piszą nawet w małej wiosce, listy szare, białe, kolorowe...* – zanuciła Olga.

– Okej, idziemy.

– Cześć – rzuciłam. Spojrzałam jeszcze na Wieśkę siedzącą do mnie bokiem. Nawet szkoda mi się jej zrobiło. Jak małym człowiekiem trzeba być, by się posunąć do pisania anonimów.

Wyszliśmy przed szkołę. Powoli parking opuszczały samochody. Auto Beaty stało przy samym płocie. Szliśmy do niego powoli, a pod nogami trzeszczał nam żużel.

– Jeszcze zapalę, co? – poprosiła Beata, wyciągając z torebki pudełko papierosów. Nie czekała, aż odpowiemy.

– A ja wezmę tabletkę, bo tak mnie z tego stresu boli łeb, że nie wytrzymam. – Odszukałam w moim wielkim torbiszczu białą pigułkę. Zastanowiłam się przez chwilę i na wszelki wypadek połknęłam dwie pastylki. Powinny szybko uśmierzyć ból. Beata paliła, Olga też sięgnęła po papierosa, choć ponoć rzuciła. Oparła się plecami o samochód Beaty. Widziałam w szybie fragment odbijającej się szkoły. Miałam ją teraz za plecami, tylko jej niewielki skrawek zniekształcał się w szybie samochodowej. Przez chwilę miałam wrażenie, że w ogóle mi tego miejsca nie brakuje w teraźniejszym życiu, jakbym wykasowała swoją dotychczasową pracę. Myślałam, że będę tęsknić za swoim biurkiem, że zapach szkoły ożywi we mnie sentymentalne wspomnienia i belferski instynkt. Nic takiego jednak nie miało miejsca. Być może to przez intrygi Kingi i Wiesi, a może po prostu moje miejsce było już zupełnie gdzie indziej. Przez chwilę myślałam, że los celowo zainscenizował to zdarzenie, by uświadomić mi, co kładę na szali i na ile jest to dla mnie ważne. Może jednak wcale nie szkoła? Może powinnam najpierw znaleźć swoje miejsce na ziemi, a potem reszta sama się ułoży? Przez chwilę poczułam się, jakbym stała w rozkroku na dwóch brzegach rzeki. Ta niewygodna pozycja powodowała ból. Wystarczyło przelożyć stopę na jedną ze stron, by doznać ulgi. Wahałam się tylko, na którą. Po jednej była w miarę stała praca, nudne życie sprowadzające się tylko do obowiązków zawodowych i przewidywalny każdy dzień życia, z drugiej uniesienie serca, namiętne porywy, nowości, ale i cierpienie dzieci, i potencjalne rozczarowania. Dlaczego tak trudno podjąć decyzję? Nie da się przecież zbyt długo tkwić w rozkroku.

Z zamyślenia wyrwał mnie łańcuch białych śmieci, które wiatr przegnał obok samochodu. Przystąpiłam z nogi na nogę. Potarłam palcami miękkie płatek ucha, jakby ten gest miał mnie przywrócić do rzeczywistości i odgoniłam rozterki.

– Gdzie jedziemy? – spytałam.

– Najpierw do domu. Zjemy coś lekkiego, przebiorę się, a potem razem z Beatą zabieramy cię do nowej knajpki. Zobaczysz, co się stało z naszą ulubioną francuską.

– Zlikwidowali?!

– Przerobili. I to tak, że nie poznasz tego miejsca.

– Nie ma tam już naszego ulubionego winka?

– Jest. Akurat to się nie zmieniło.

Nałogowa palaczka dopaliła papierosa. Zapakowałyśmy się więc do samochodu. Beata najpierw odwiozła mnie i Olę, a potem pojechała do siebie. Umówiliśmy się za dwie godziny w mieście.

Znów poczułam się, jakbym wróciła do starego życia. Tej jego lepszej wersji, w aureoli spokoju i niezależności. Może lekko doprawionej samotnością i żalem, ale już bez przepychanek

i słownych utarczek. Do tego idealnie pasował wieczór pachnący sosem czosnkowym i subtelnie zakropiony wytrawnym winem.

Kiedy dojadaliśmy sałatkę, zawibrował telefon. Zanim go wygrzebałam z torby, przyszedł sygnał esemesa, potem drugi. Odczytałam. Pierwsza wiadomość była od Lusi. Dziecko napisało krótko i na temat: „Zadzwoń!”. Druga wiadomość z tajemniczego numeru: „Przepraszam. Wieśka”.

– Nie uwierzysz – powiedziałam do Olgi, wybałuszając na nią oczy. – Dostałam esemesa z tego numeru, z którego przychodziły pogrożki. Zobacz. – Podałam jej aparat. Olga przeczytała głośno wiadomość.

– Ja, pitole. Wiedziałam, że to ta suka – zaklęła na potwierdzenie swoich słów. – Ale że stać ją było na przeprosiny, to jestem w szoku.

– Pewnie dała się wmanipulować Kindze – odparłam.

– Obie są siebie warte. Kinga pewnie myślała, że cię wygryzie i od września przejmie twoje godziny. Przecież ma umowę tylko do końca tego roku szkolnego.

– Trochę przechytrzyła, nie? A ponadto to nielogiczne – westchnęłam. – Przecież jakby mnie ściągnęła z urlopu, to straciłaby moje godziny.

– Może kombinowała, że jak będziesz miała przerwać urlop, to się sama zwolnisz?

– Nie wiem. Powiem wam, że ja tego nie ogarniam.

– A co? Stary jej nie zatrudni?

– Powiedział, że nie. Zresztą kto by chciał mieć takiego donosiciela w pracy.

– Oj, to niech się spodziewa, że jakieś anonimy na niego wpłyną do kuratorium.

– Stary da sobie z nią radę. Ale nie wierzę, że Wieśkę stać było na „przepraszam” i podpis.

– Też nie chce mi się wierzyć. Może w takim razie nie jest całkiem stracona?

– Może nie. Dzwonię do dziecka, bo się dopomina. – Nacisnęłam odpowiednie miejsca na ekranie telefonu i rozpoczęłam połączenie. Luscia zgłosiła się po kilku sygnałach.

– No, nareszcie! – krzyknęła, a mnie od razu odruchowo coś ścisnęło w żołądku, bo pewnie faktycznie coś się stało.

– Co jest?

– Mamo, ale ty jesteś fujara!

– Luscia, o co chodzi?

– O kartkę! Pamiętasz? Kazałaś mi przejrzeć te papiery z miski. Więc siedzę sobie i przeglądam, paragony wyrzucam i co w końcu znajduję?

– Nie mam pojęcia. Stówkę?

– Nie, lepiej.

– Dwie stówki? – Uśmiechnęłam się do słuchawki.

– Nie żartuj. Kartkę wydartą z jakiegoś notesu. A tam co? Oczywiście nabazgrane imiona i nazwiska.

– Luscia, litości, o co chodzi?

– Mamo, na jednej kartce miałaś jakieś dwa nazwiska i taksówkę z numerami telefonów.

– I?

– I jest tam jak byk: Paweł Sumiński!

– Ja cię nie mogę! Serio?!

– Serio! A o mały włos tego nie wyrzuciłaś. Skąd to masz?

– Nie mam pojęcia... Ale czekaj... Kiedy jechałam z Tczewa, wiesz, wtedy z tymi butami, to pewna kobieta wyrwała ze swojego notesu kartkę z numerem taksówki i mi ją dała... Może to ta karteczka?

– Może być, bo taksówka też tu jest.
– Dobrze, Lusia. Schowaj to przed ciocią. Jutro wracam, wtedy pomyślimy, co dalej.
Dobrze? A teraz życz mi świetnej zabawy. – Zaśmiałam się.
– Dobrze, mamó. Tylko uważaj na siebie!
– Tak jest.
– I nie pij za dużo – zagrzmiała żartobliwie w moje ucho.
– Tak jest. Ale wydaje mi się, że w naszym układzie to ja jestem mamą i to ja powinnam ci takie rzeczy mówić, a nie odwrotnie.
– Taka nieoczekiwana zamiana miejsc. Trzymaj się i wracaj szybko, bo musimy załatwić sprawę z Henrykiem, a ja idę teraz jeszcze na festyn, bo chcę zobaczyć co i jak.
– Dobrze. Powiedz wszystkim, że jestem z nimi duchem i jutro się melduję.
– Okej. Pa.
Lusia rozłączyła się, a ja nie mogłam uwierzyć w taki zbieg okoliczności. Nosłam ten numer razem z innymi śmieciami? Muszę jednak trzymać w kieszeniach większy porządek.

Rozdział 16

Lubiłam czasami zamilknąć, pobyć sam na sam ze swoimi myślami. Lubiłam też od czasu do czasu gwar, chaos i rozbawionych ludzi. Dzisiaj był czas na tę drugą opcję.

Siedziałyśmy z Olgą i Beatą we francuskiej restauracji, popijając wyborne wino. Usta się nam nie zamykały. Każda musiała opowiedzieć to, co wydarzyło się u niej w ostatnim czasie. Taki raport z kilku miesięcy. Z każdą chwilą języki rozwiązywały się coraz bardziej, w głowie szumiało, a świat zewnętrzny przestawał istnieć. Chwila resetu. Potrzebna jak rybie woda.

Rozdział 17

– Kurwa, co ty myślisz, że księżniczką jesteś?! – Doszło do mnie. – Jak ci zaraz przypierdole...

Przerażona otworzyłam oczy. I nawet w pierwszym odruchu chciałam się zasłonić przed ciosem, jednak do mojej świadomości dotarło, że jestem w pociągu. W dodatku niezupełnie sama. Próbowала spojrzeć w kierunku źródła głosu, ale kark mi tak zdrętwiał, że przez chwilę nie mogłam wyprostować głowy. Widziałam z boku męskie buty. Obraz mi się kończył na wysokości kolan agresywnego osobnika. Przez kilka sekund próbowałam rozprostować szyję. Ból przeszywał mnie nie tylko w okolicach karku, lecz także pulsował w skroniach. W końcu spojrzałam przed siebie. Naprzeciwko siedział młody mężczyzna i krzyczał do telefonu. Obok mnie miejsce zajmowała jakaś para, a przy oknie siedziała starsza kobieta, która demonstracyjnie fukała na agresora krzyczącego do telefonu. Wreszcie wstał i wyszedł na korytarz, ciągle odgrazając się, że zaraz komuś „przypierdoli, bo już nie wytrzyma”.

O, rany! Rozmasowałam skronie. Na ramieniu poczułam coś mokrego. Plama. Ja, pierniczę. Ośliniłam się podczas snu. Pewnie spałam z otwartą gębą, a ślina wsiąkała w koszulkę na ramieniu. Próbowала się zorientować w sytuacji. No dobrze. Jestem w pociągu. Jadę do domu. To znaczy do domu ciotki. Za oknem obce pejzaże. Nic znajomego. Z boku moje torbiszczki. Mam telefon i portfel. Nie okradziono mnie. Tylko ból łba. Potworny. Pewnie wina wczoraj było jednak za dużo, choć pamiętałam wszystko jak należy. Reset więc był połowiczny. Polegał tylko na oczyszczeniu emocji, a nie pamięci. Nie jest źle.

– Przepraszam, jaka teraz będzie stacja? – spytałam w kierunku kobiety siedzącej przy oknie.

– Malbork.

– Dzie... Jak to Malbork? – Dokonywałam szybkiej analizy. – Jaki Malbork?!

– Tak! z zamkiem krzyżackim – odparła ze słodkim uśmiechem na twarzy niczym do osobnika specjalnej troski. – Średniowiecznym – dodała, widząc moją oniemiałą minę.

– Zaraz, zaraz. – Wstałam. – Kurczę. To znaczy, że Tczew już był?

– Tak, przed chwilą.

– O, rany. – Usiadłam znowu. – O, rany.

– Zapomniała pani wysiąść? Tak mocno pani spała.

– O, rany. – Niestety, nic więcej nie przechodziło mi przez gardło.

– To proszę uważać, bo zaraz będzie Malbork. Na pewno pani znajdzie jakiś pociąg do Tczewa.

– Dziękuję.

Chwyciłam swój bagaż pod pachę. Zabrałam kurtkę z wieszaka i wyszłam na korytarz. Faktycznie, pociąg zbliżał się do stacji. Przez chwilę nawet próbowałam zaklinać rzeczywistość, żeby na tablicy pojawiła się nazwa „Tczew”, ale niestety, zaklęcie na nic się zdało. Malbork jak byk.

Wysiadłam i od razu rzuciłam się do tablicy z rozkładem jazdy. Coś musi być! Przebiegłam wzrokiem po rozpisce. Pociąg będzie za pół godziny. Dobra nasza. Nie jest najgorzej. Luśka pewnie nawet nie zdąży się zdenerwować, że matka się spóźnia. Takie opóźnienia na kolei to drobiażdżek niewzbudzający żadnych podejrzeń. A tym, że się zaspalo, nie ma co się chwalić.

Kupiłam bilet do Tczewa. Usiadłam na ławeczce i popijałam kawę z automatu. Ciemna jak smoła, gorzka i wstrętna jak mało co. Otrząsnęłam się, biorąc kolejny łyk. Nie ma to jak kawa z mojego ekspresu! Po powrocie do domu wypiję ze dwa kubki. Z mlekiem. I z pianką. I z syropem orzechowym. Na bogato. Uśmiechnęłam się do tej myśli i przełknęłam ostatni łyk

wstrętnego smolistego płynu.

Kiedy przyjechał mój pociąg, na wszelki wypadek nie szukałam już wolnego miejsca. Siedzenie mogło się skończyć ponowną drzemką i tak jeździłabym w tę i w tę w nieskończoność. A tu trzeba było wracać, zorientować się, jak poszła aukcja, zobaczyć się z Arturem, uściskać Lusię i ciocię.

Za oknem migały wiosenne pejzaże wywołujące znajome emocje. Ciepły dzień. Coraz więcej zieleni na drzewach. Dla odmiany w pociągu było duszno. Co chwilę ktoś przechodził. Przeciskał się obok mnie mężczyzna w niebieskiej koszulce polo. Ukradkiem jakby się uśmiechał. Może do swoich myśli, może do mnie. Na wszelki wypadek nie spoglądałam za nim. Nie chciałam wiedzieć, czy się obejrzał, czy ponownie próbował złapać moje spojrzenie. Zawsze lepiej żyć w przekonaniu, że zaparło mu dech na mój widok, ale był tak nieśmiały, że nie zdecydował się zagadać.

Wysiadłam na dworcu około piętnastej. Odnalazłam auto na parkingu. Nawet nie zdążyło się zakurzyć, tak krótko mnie nie było. Odpaliłam silnik. Zamruczał przyjaźnie, wyrażając swoją tęsknotę. Pognałam prosto do Starogardu.

Podczas jazdy rozmyślałam o wizycie w szkole i o rozmowie z przyjaciółkami. Potem przeniosłam się na Kociewie, zastanawiałam się, jak poszła akcja charytatywna, ile udało się zebrać pieniędzy, aż wreszcie moje myśli zajął erotyczny czar Artura. Kiedy głośno westchnęłam na wspomnienie rozkoszy, wjechałam w granicę miasta.

– Nareszcie jesteś! – krzyknęła Lusia na moje powitanie i od razu utopiła mnie w swoich objęciach.

– Córciu, bo mnie udusisz – odparłam, z trudem wyzwalając się z tego niedźwiedziego uścisku. Ucałowałam ją w czoło. – Przypominam ci, że wczoraj wyjechałam z domu, a nie tydzień temu.

– O, Joasia! – Ciocia pojawiła się w przedpokoju i przez chwilę się nam przyglądała z uśmiechem na twarzy. – Pewnie głodna jesteś, co?

– Trochę. Ale za kubek kawy z mojego ekspresu oddam królestwo.

– Zrobię ci, bo muszę ci wszystko opowiedzieć. A ty siadaj. – Lusia przejęła władzę i dyrygowała mną niczym orkiestrą wojskową. Grzecznie usiadłam na krześle. Ciocia zajęła miejsce naprzeciwko mnie. – Z czym chcesz kanapkę?

– Wszystko jedno. Z czym zrobisz, z tym zjem.

– Dobrze, tu masz kawkę i mleko. – Postawiła przede mną mój ulubiony kubek w margerytki.

– No, opowiadaj. – Zamoczyłam usta w napoju bogów. Od razu zrobiło mi się tak dobrze, że mogłam cała zamienić się w słuch.

– Poczekaj, tylko posmaruję ci ten chleb. Ale aukcja się udała. Możesz być spokojna. Festyn się udał!

– Mnie też udało się coś załatwić. Moja szkoła weźmie książki na swój festyn i zorganizują akcję ze szpikiem.

– Dobra, to wy pogadajcie, a ja idę do siebie, bo czas na radyjko. – Ciocia pewnie zawiedziona brakiem sensacyjnych wiadomości poczłapała do swojego pokoju. Luśka automatycznie ożywiła się jeszcze bardziej. Postawiła przede mną talerzyk z dwiema kanapkami i usiadła na miejscu jeszcze przed chwilą zajęтым przez ciocię.

– No, nie mogłam się doczekać, kiedy zostaniemy same – szepnęła. – Mamo, zadzwoniłam pod ten numer telefonu, który znalazłam na twojej kartce. I wiesz...

– No... – mruknęłam z pełnymi ustami.

– To jest syn tego Henryka. Jakimś cudem, sama nie wiem jak, ale udało się nam go

namierzyć! – Lusia podekscytowana wciąż szeptała, ale widziałam, że gdyby mogła, krzyczałaby na całe gardło.

– Poważnie?

– No, nie mówiłam mu jeszcze, o co chodzi. Nakłamałam coś w sprawie ankiety. Henryk żyje.

– Dobrze, a czy wiemy, gdzie on teraz mieszka?

– Nie, tego nie wiemy. To zostawiłam tobie. On po głosie poznał, że jeszcze dzieciak jestem, więc powiedziałam, że to takie szkolne zadanie na wiedzę o społeczeństwie o lokalnych przedsiębiorcach i takie tam...

– O przedsiębiorcach? Pytałaś go o rodzinę, a on uwierzył, że to na WOS?

– Najpierw go oczywiście wypytałam o sklep. No, nieważne. Ale mogłabyś zadzwonić do niego i powiedzieć mu, co i jak. On ma starszego brata. Nie chciałam być wścibska, ale to mogłoby znaczyć, że ten Henryk drugi raz się ożenił. I ten Paweł jest z tego drugiego związku. Jezu, mamó, ale jestem ciekawa.

– Racja, mógł się ożenić, przecież był bardzo młodym wdowcem... – zamyśliłam się, bo to trochę smutne, że cioci ta miłość rzuciła cień na całe życie, a on jednak potrafił je sobie ułożyć z inną kobietą.

– To co? Zadzwoń zaraz?

– Dziecko, jeszcze nie zjadłam, nie zadzwoniłam ani do Artura, ani do Piotra, by dowiedzieć się, co i jak, a ty mi każesz dzwonić do obcego faceta?

– Jezu, mamó, na co czekać? Ciocia ma niedługo urodziny, a my nie mamy dla niej niespodzianki.

– Ale czy ty pomyślałaś, że ta niespodzianka może przyprawić ją o zawał? A jeśli ona go nie chce znaleźć? Przecież nie szukała go przez te lata. Jeżeli my potrafiłyśmy go namierzyć po takim czasie, to ona, gdyby chciała, mogła zrobić to już wcześniej.

– Eee. Może tak cierpiała, że nie myślała o tym.

– Może. Lusia, ja już nie wiem, czy to jest dobry pomysł. Może to będzie tylko ból i odgrzebywanie starych ran? O ile ten facet jeszcze cokolwiek kontaktuje.

– Mamó, to znajdziemy go. Pogadajmy, a potem zdecydujemy, co?

– Dobrze, już dobrze. Ale najpierw dzwonię do Artura, potem do Piotra, a na końcu do tego gostka.

– A innej opcji nie ma? Takiej ze zmianą kolejności?

– Nie. Koniec kropka. A jeszcze na początek zjem tę drugą kanapkę i dopiję kawę, bo jak mi zaszkodzi, to będziesz mnie miała na sumieniu.

– Dobrze, dobrze. Jedz. Już się nie odzywam.

– No – mruknęłam zadowolona i wgryzłam się w kromkę chleba.

Z jednej strony to dobrze, że Lusia tak bardzo chciała poznać historię Henryka. Zachowywała się tak, jakby składała porzucane przez lata puzzle, jakby dopasowywała postaci do fotografii sprzed lat. Nie zakładała tylko, że one po latach może już nie będą chciały wracać na swoje stare miejsce. Może trzeba będzie zapłacić za to słoną cenę. Na samą myśl o tym poczułam bolesny skurcz w gardle. Spojrzałam na tę moją córkę, na jej błyszczące oczy i jasne włosy. Na czole zarysowała się jej krótka zmarszczka, jakby wyznaczająca granicę między prawą a lewą brwią. Zastanawiała się nad czymś i pewnie nie mogła się doczekać, kiedy mi wciśnie telefon do ręki.

Kiedy zjadłam, chciałam odstawić naczynia, ale Lusia mnie wyręczyła. Ofuknęła, że czas leci, a ja głupotami się zajmuję. Chwyciłam więc aparat. Zadzwoiłam najpierw do Artura. Umówiliśmy się na dwudziestą. Zapewnił, że tęskni i umiera z miłości. Trzeba będzie go

reanimować i zrobić usta-usta. Potem telefon do Piotra i dokładne sprawozdanie z aukcji i festynu. Umówiliśmy się na jutro rano. Podobno zdjęcia z imprezy są w necie, więc jeszcze przed wyjściem, o ile Lusia mnie wypuści i nie zamęczy do tego czasu Henrykiem, obejrzę je.

Kiedy skończyłam rozmawiać, dopadła mnie z kartką w dłoni.

– Dzwon. Tu masz numer.

– Jesteś pewna?

– Jak niczego w świecie. Dzwon, mam.

– Dobrze. Chodź z tym do mojego pokoju, bo może ciocia się tu pojawi, a głupio przed nią będzie rozmawiać.

– Racja, chodź – odpowiedziała konspiracyjnie i poszłyśmy do pokoju. Dobrze, że Lusia nie wpadła na pomysł, żeby się na wszelki wypadek przeczołgać po podłodze. Przecież jak konspiracja, to na całego.

Wzięłam od niej kartkę z numerem. Usiadłam wygodnie na łóżku. Lusia usadowiła się obok mnie. Nutuś zainteresowany tym, co się dzieje, włożył jej od razu na kolana i mruknął porozumiewawczo, dopraszając się głaskania.

Wybrałam numer i odruchowo w myślach odliczałam sygnały. W podświadomości zakodowałam, że po pięciu należy się wyłączyć, bo w przeciwnym razie włączy się poczta głosowa, a ja nigdy nie zostawiałam nagranych wiadomości. Kto by chciał rozmawiać z automatem? Kiedy byłam przy czterech, usłyszałam męski głos. Przedstawiłam się od razu i zapewniłam mężczyznę, że z pewnością nic mu moje nazwisko nie mówi, ale wszystko wyjaśnię, niech nie bierze mnie tylko za wariata i spokojnie wysłucha. Pokrótce opowiedziałam o cioci.

– Wie pani, to wszystko brzmi bardzo dziwnie. Z tego, co wiem, to ojciec faktycznie był wdowcem. Potem ożenił się z moją mamą. Z pierwszego małżeństwa ma syna Wojtka. Mój przyrodni brat jest obecnie bardzo schorowany. W sumie ostatnio rzadko go widuję, bo wyprowadził się do Gdyni. Ojciec nie opowiadał o przeszłości. Bogiem a prawdą, chyba też nie bardzo mnie to interesowało, jak zmarła jego żona. Moi rodzice też się rozwiedli. Miałem wtedy dziesięć lat. Ojciec, jak by to powiedzieć, nie za bardzo nadawał się do monogamii, więc pewnie miał niejednego romans z jakąś Zosią. Ale po co pani chce go widzieć? On prawdopodobnie nie pamięta tej paninej cioci. Po co wracać do zdarzeń sprzed kilkudziesięciu lat? Zresztą, gdyby go pani zobaczyła... To stary, niedołączony człowiek. Z pamięcią u niego już kiepsko.

– Też mam wątpliwości w tej sprawie, ale mam nastoletnią córkę, która wierzy w miłość do grobowej deski. – Uśmiechnęłam się do słuchawki. – I dobrze by było nie pozbawiać jej złudzeń.

– To lepiej niech nie odwiedza mojego ojca, bo może się bardzo rozczarować. – Usłyszałam, że głośno westchnął. W jego głosie zabrzmiała nutka goryczy.

– Chodzi tylko o to, żebyśmy mogły spotkać się z pana ojcem i porozmawiać. Potem zdecydujemy, czy mówić o tym Zofii. Może to głupia ciekawość, ale same byśmy chciały poznać człowieka, który tak bardzo zawładnął sercem naszej cioci.

– Dobrze. Niech będzie. Uprzedzę go, że panie będą.

– A gdzie on teraz mieszka? W Gniewie?

– Nie. Jest w domu seniora niedaleko Starogardu. To dosłownie kilka kilometrów od was. Nazwisko jego pani zna, goście mogą odwiedzać pensjonariuszy, więc nie będzie kłopotu. A ja dzisiaj uprzedzę ojca o tej wizycie.

– Serdecznie panu dziękuję.

– Tylko od razu panią uprzedzam, że jeżeli ojciec powie, że sobie nie życzy spotkania, powiadomię panią i wtedy proszę uszanować jego wolę i go nie nachodzić. To stary człowiek. Schorowany.

– Obiecuję. Może być pan pewien, że nie zrobię niczego wbrew jego i pana woli.
– Napiszę wieczorem esemesa na ten numer, żeby pani miała pewność co do spotkania i podeślę od razu dokładny adres.

– Dziękuję. Jestem panu bardzo wdzięczna. To dla nas ważne. Mam nadzieję, że dla pana taty nasza ciocia też kiedyś była kimś ważnym, a nie tylko przelotnym romansem.

– Na to bym nie liczył. Ale to już pani sprawa. Do widzenia.

– Do widzenia. – Rozłączyłam się. Spojrzałam na Lusię. Spoglądała na mnie swoimi wielkimi szarymi oczyma, a w ich kącikach kręciły się łezki. Wzruszyła się i odruchowo miętosila Nutusia. Ten wygodnie rozłożył się na jej kolanach i całkowicie poddał mechanicznym pieszczotom.

– I co? Opowiadaj.

– Słyszałaś przecież. Henryk jest w domu starców. Można go odwiedzić, ale – spojrzałam na Lusię – na pewno nie dziś. Jego syn zorientuje się, czy jego ojciec zechce z nami rozmawiać. Da znać jutro.

– Rany, mamo – szepnęła Luśka. – Ale jazda, co? Ciekawe, co to za facet. Czy myślał przez te lata o cioci, czy się ucieszy, że go znalazłyśmy i czy będzie chciał się zobaczyć z ciocią?

– Córciu! Może przystopuj. On jest staruszkiem. Nie wiadomo, czy w ogóle kontaktuje i czy coś pamięta.

– Jezu, ale to romantyczne – zapiszczała, tuląc jeszcze mocniej do siebie kota, który pod wpływem tej czułości mruknął niezadowolony, jakby chciał powiedzieć „nie”. – Mamo, przecież nie może być z nim tak źle. Był niewiele starszy od cioci, a ona śmiga, jakby miała trzydzieści lat.

– Ale ona chyba jest wyjątkowa. Nie liczyłabym na to, że każdy w jej wieku jest w takim stanie.

– Nie, no wiem. Ale zobaczysz, że będzie dobrze.

– Idę teraz porozmawiać z ciocią, bo zamknęłyśmy się przed nią na trzy spusty w pokoju. To nieładnie.

Lusia odłożyła kota, pocałowała go jeszcze w łebek, a potem pobiegła do siebie. Ja w tym czasie na chwilę zaszyłam się w łazience. Zdjęłam nieświeże ubrania i wskoczyłam pod prysznic. Poczułam, że mnie trochę boli kręgosłup od tej kilkugodzinnej podróży pociągiem. Czasami tak miałam. Jeśli za długo siedziałam, to potem odzywały się nieprzyjemne klucia.

Przez chwilę rozmyślałam o Henryku i Zosi. Sytuacja robiła się coraz wyraźniejsza, nabierała konturów. Była szansa, by ciocia zamknęła epizod z przeszłości. Jednak nie miałam pewności, czy ona tego chciała. Po rozstaniu z kochankiem zapalała niechęcią do mężczyzn. W sumie można to zrozumieć. Miała poczucie, że Henryk wyrzekł się jej, mówiąc, iż żałuje, że się z nią spotykał. Ona, mimo nieszczęścia, w duchu wcale nie żałowała, choć miała świadomość, że nie buduje się własnego szczęścia na krzywdzie innych. Przez lata była zgorzkniałą i złośliwą osobą, z wiekiem złagodniała, być może stała się bardziej sentymalna, dlatego powyciągała te szklane cudeńka. Co myślała naprawdę, trudno stwierdzić. To poprzednie życie w czasie wojny i zaraz po, to jakby różne wcielenia. Przechodziła z jednego w następne, a każde zostawiało po sobie bolesne blizny. Wątpiłam, że uda się niektóre z nich zlikwidować, doprowadzając do spotkania dawnych kochanków. Lusia jednak tak naciskała, że całkowicie się jej poddałam. Pewnie wyobrażała sobie, że dawni kochankowie wpadną sobie w ramiona i wyznają miłość. A ja za dużo przeżyłam, by wierzyć w szczęśliwe zakończenie.

Narzuciłam na siebie bawełnianą sukienkę, naciągnęłam rajstopy, bo było zimno, i poszłam do cioci. Siedziała w swoim bujanym fotelu. Miała przymknięte oczy. Obok niej na stoliku leżały stare fotografie. Musiała wyciągnąć je z albumu. Nie chciałam być wścibska i nie

zajrzałam, komu się tak przygląda.

Usiadłam na łóżku. Ciocia drgnęła. Nie słyszała, jak weszłam, więc się przestraszyła. Chwilę porozmawialiśmy. Opowiedziałam jej, jak przebiegła moja wizyta w pracy, po co dyrektor mnie wezwał i kim była autorka dziwnych esemesów. Ciocka kiwała z niedowierzaniem głową.

– Ludzie to jednak wredne są, nie? Żeby tak bruździć innemu? Pamiętam, jak o mnie plotkowano. Trudno w to uwierzyć, ale mój brat potrafił ludziom zamykać gęby. Skutecznie tłumiał plotki. Szkoda, że nie żyje, bo na pewno znalazłby sposób na te baby.

– Ciociu, nie ma co się denerwować. Wszystko dobrze się skończyło. Ludzie po prostu tacy są.

– A teraz do Artura pewnie polecisz – stwierdziła, przyglądając mi się uważnie. – Tak się wystroiłaś.

– E, przebrałam się tylko w świeże ubrania. Polecę do niego niedługo, bo się stęskniłam, a jutro pójdę do Piotra do fundacji. Podobno wszystko poszło bardzo dobrze. Jutro im pomogę w dalszych działaniach.

– A macie dawcę dla tej dziewczuszki?

– Jeszcze nie, ale cały czas podobno zgłaszają się chętni, by pomóc. Mam nadzieję, że się uda, choć to trochę przypomina szukanie igły w stogu siana.

– I igłę w sianie można znaleźć. – Ciocka westchnęła. – Tylko trzeba działać metodycznie, bez pośpiechu.

– Wiem, ale chodzi o to, że tu czas jest potrzebny.

– Czas ciągnie się jak gumka od kalesonów, więc to się da.

– Obyś miała rację. A teraz leć. – Wstałam. Ucałowałam ciocię w policzek i poszłam jeszcze na chwilę do swojego pokoju, by sprawdzić w necie zdjęcia z festynu.

Bez trudu znalazłam dwa portale, na których pisano o aukcji. Zdjęć wrzucono sporo. Krótkie sprawozdania. Pod spodem komentarze. Zerknęłam na nie. Wszyscy chwalili imprezę. Zaraz, zaraz...

„Ta pseudopisarka zainicjowała niby-aukcję, a sama nie przyszła. Ciekawe, co miała lepszego do roboty? A niby taka wrażliwa i że się niby udziela”.

„Robi kasę na chorych dzieciakach. Kurwa pospolita i tyle”.

„Jak to co robiła? Gździła się pewnie z tym doktorem. Toż przecież wiadomo, że z tym chirurgiem, co mu żona zmarła się spotyka. Może razem ją nawet ukatrupili”.

„A te jej bajki? Grafomania zwykła”.

„Jak możecie tak oczerniać kogoś, kto chce pomóc?”

„Obca tu jest. Ledwo przyjechała, a miesza”.

„Czas Sądu coraz bliżej. Zaufajcie Panu”.

„Jaka obca? Dzieciakom pomaga, to nasza”.

„Ukrainka pieprzona”.

„To ona z Ukrainy?”

„Świetna impreza. Mam nadzieję, że uda się znaleźć dawcę”.

„Na zachodzie Polski to same Ukraińce”.

„Geje rządzą w naszym mieście!”

Resztę komentarzy pominęłam. Zamknęłam laptopa z hukiem. Ja piernicę! Pozbyłam się wrednych esemesów, to mam złośliwe komentarze pod swoim adresem. Spojrzałam na zegarek. Do spotkania z Arturem zostało jeszcze sporo czasu, a jednak naciągnęłam na siebie kurtkę, wsunęłam buty i wyszłam z domu. Wiatr od razu lekko ochłodził rozpalone policzki. Niemrawo ciągnęłam nogę za nogą. Po kilkunastu metrach zatrzymałam się na kilka sekund, by przywrócić

świadomość samej siebie, bo przez chwilę miałam wrażenie, że moje ciało odłączyło się od myśli. Przymknęłam oczy. Nie chciałam ich otwierać. Bałam się, że wleje się do nich światło, a wypłyną słone krople wody. Głębokie wdechy i wydechy. Odliczanie do dziesięciu. I znów można spojrzeć na świat. Wolnym krokiem ruszyłam przed siebie. Przemierzałam znajomą już drogę. Tak bardzo chciałam teraz skryć się w ramionach Artura!

– Cześć, skarbie – powiedział na mój widok i na chwilę zamilkł, dokładnie mi się przyglądając. Pewnie nie spodziewał się, że przyjdę trochę wcześniej. – Czy coś się stało?

– Szkoda słów. Jeżeli masz jeszcze jakieś dobre wino, to poproszę. Bez wina ani rusz. – Klapnęłam na kanapę, zamiast wtopić się w jego objęcia. A przecież na pewno nie wina potrzebowałam, a jego. Artur zniknął na chwilę w kuchni, by zaraz pojawić się z dwiema lampkami i butelką krwistego napoju. Sprawnym ruchem odkorkował ją i napełnił kieliszki. Usiadł obok mnie. Spojrzał głęboko w moje oczy i wtedy dopiero rzuciłam się na niego. Mocno przytuliłam i wylałam z siebie całą rozpacz. I kiedy tak smarkałam w jego koszulkę, zadzwonił telefon. Nie chciałam jednak odbierać. Wibrował niecierpliwie w mojej kieszeni, a ja wypłakiwałam ostatnie łzy.

– Asiu, co się dzieje? – Artur głaskał mnie po głowie. – Nie odbierzesz?

Odkleiałam się na chwilę od niego i wygrzebałam aparat z kieszeni. Zdążył już zamilknąć. Spojrzałam na wyświetlacz. Olga. Pociągnęłam nosem.

– Poczekaj, tylko oddzwonię, bo z tego wszystkiego zapomniałam powiedzieć Oldze, że dojechałam cała i zdrowa. Pewnie się denerwuje.

Wybrałam szybko numer. Wierzchem drugiej dłoni otarłam łzy. Olga odebrała niemal natychmiast.

– Aśka, czyś ty zdurniała do reszty?! Ja tu od zmysłów odchodzę, czy ciebie gdzieś w tym pociągu nie zaciukali!

– Nie zaciukali. Przepraszam, miałam małe przygody, opowiem ci przy okazji.

– Co ty, ryczysz?

– Potem ci opowiem, dobra?

– Dobra, ale żebym nie musiała czekać tydzień – pogroziła mi, a ja mimowolnie się uśmiechnęłam. Kochana Olga. Na nią zawsze można liczyć. Pożegnałyśmy się i odłożyłam telefon na stolik. Artur ciągle się we mnie wpatrywał i pytał całym sobą, o co chodzi. Nie musiał nic mówić.

– Sorki, złapałam doła – powiedziałam, powracając w jego objęcia. – Trzymaj mnie i nie puszczaj, dobrze?

– Nie puszczę. Możesz być spokojna. A to duży dół?

– Wielki Kanion.

– W takim razie trzymam mocno.

Pokrótkie opowiedziałam mu o pobycie w pracy, o Kindze i Wieście, o komentarzach pod zdjęciami z festynu dla Szpilki. Artur nic nie mówił. Uważnie słuchał. Od czasu do czasu braliśmy po łyku wina.

– Dlaczego nigdy stąd nie wyjechałeś? – spytałam na koniec. – Małe miasta są straszne. Wszyscy o wszystkich wszystko wiedzą, plotkują, komentują. W dużych jest anonimowość. A z twoim fachem pracę znalazłbyś wszędzie.

– Asiu, ta anonimowość dużych miast jest pozorna. Zawsze się mieszka na jakimś osiedlu, na którym wszyscy wszystko o tobie będą wiedzieć. A Kociewie to moje miejsce. – Spojrzał na mnie uważnie. – I mam nadzieję, że twoje również – dodał. – Zresztą świat to globalna wioska. Jesteś tutaj, a w twoim starym miejscu zamieszkania koleżanki wszystko wiedzą.

– Maruda ze mnie, co?

– Jaka tam maruda? Po prostu rzucasz się jak ryba wyrzucona na brzeg. Doskonale to rozumiem. Dopóki nie nauczysz się oddychać na tym brzegu, dopóty będziesz się miotać. Takie decyzje o zmianie miejsca zamieszkania nie są łatwe do podjęcia. Tam zostały twoje korzenie, tu musisz zapuścić je od nowa.

– Artur, ja nie mogę dopuścić, żeby być na twoim utrzymaniu. Sam wiesz, ja mam Lusię, a ty nie masz żadnego obowiązku wobec niej. Teraz jest dobrze, a za trzy lata powiesz mi, że ci to nie odpowiada...

– Asiu, skąd ty wiesz, co będzie za trzy lata, a tym bardziej, co ja powiem? – Pocałował mnie. – Nie mówmy o tym. W najbliższym czasie zabiorę cię na wycieczkę. Zobaczysz, jaka tu jest ziemia i czy warto zapuszczać korzenie. A ludźmi się nie martw. Pogadają, pogadają i przestaną. Za chwilę będą mieć inny obiekt zainteresowań.

– Łatwo powiedzieć.

– No, łatwo. Nie wiesz nawet, co o mnie gadano i wypisywano, kiedy zmarła moja żona. Byłem już nawet posądzany o zabójstwo.

– Nie...

– Tak. A zapytaj Piotra i Sebastiana, co o nich się gada. Gdybyśmy wszyscy się tym przejmowali, to musielibyśmy wykopać sobie ziemianki w lesie i nie wyściubiać z nich nosów. A trzeba robić swoje. Najlepiej, jak się umie. – Spadł na mnie ciepły pocałunek. Jego usta przywarły do mojego czoła. Bardzo delikatnie. Poczułam lekkie muśnięcie. Później następne i następne. Od najdelikatniejszych, najczulszych, aż po namiętne, pełne uczuć i pasji do kochania.

Rozdział 18

Zgarnęłam okruchy chleba ze stołu i wrzuciłam je do zlewu. Odkręciłam wodę, by je splukać. Zagapiłam się. Kilka sekund stałam, wpatrując się w strumień gorącej wody. Potem jednym ruchem zamknęłam kurek. Włożyłam kurtkę i poszłam do samochodu, który stał bezpiecznie zacumowany przed domem. Wystarczy odepchnąć się od brzegu codzienności i podryfować przed siebie, zostawiając w tyle złośliwych i zawistnych ludzi. Gdyby tylko było to takie łatwe...

Pojechałam wprost do fundacji. Chciałam jak najszybciej spotkać się z Piotrem. Może powinnam od nowa wytłumaczyć, dlaczego musiałam pojechać do pracy? Pokonałam kilka stopni prowadzących do budynku. Słyszałam swoje ciężkie kroki, jakby należały do kogoś innego i nie mogły się stopić z moją osobą. One były gdzieś na zewnątrz, daleko, a ja tutaj w środku, w dodatku lekko zdenerwowana.

– O, cześć. – Usłyszałam przed sobą głos Jaromira. Jeszcze tylko tego palanta mi trzeba było dzisiejszego poranka.

– Cześć – odpowiedziałam, próbując go wyminąć, ale zastąpił mi drogę.

– I jak tam w pracy?

– Dobrze.

– Co? Kiepski nastrój?

– Ano kiepski.

– Szkoda, bo chciałem cię trochę podrażnić, ale w takim razie sobie odpuszczę, bo nie lubię kopać leżącego.

– Dzięki, łaskawco.

– Z leżącymi to ja wiesz, bara-bara i te sprawy, a nie kopanie.

– O, to nudny jesteś, jak tylko z leżącymi. Brakuje ci fantazji? – Zaśmiałam się sztucznie. Zdecydowanym krokiem wyminęłam go i szybko zniknęłam za zakrętem. Nawet się nie obejrzałam, a jemu na chwilę odjęło mowę, bo nie poleciał za mną żaden złośliwy tekst. Jest! Punkt dla mnie. Tym razem uśmiech był szczery. Do samej siebie.

Weszłam do pokoju Piotra. Siedział pochylony nad biurkiem. Uniósł lekko głowę, a twarz rozpogodziła mu się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Wstał. Podeszedł do mnie i pocałował w policzek.

– Kawka? Herbatka?

– Melisa – odparłam, rozsiadając się na krześle.

– Ups. Nie mam. – Spojrzał na mnie uważnie. – Co się dzieje?

– Nic. Kawę poproszę.

– Się robi.

Po chwili wrócił z parującym napojem w kubku. Postawił na stoliku karton mleka i cukiernicę. Usiadł naprzeciwko i od razu nakazał mówienie. Opowiedziałam więc o tym, jak było w pracy. Kiwał głową ze zrozumieniem. Potem powiedziałam o przeczytanych komentarzach. Piotr uśmiechnął się tylko, ale nie przerywał mi.

– Aśka, ty dorosła jesteś, tak? Rozsądna, tak? I takimi pierdołami się przejmujesz?

– W sumie niby nie, ale mam wyrzuty sumienia, że mnie z wami nie było. Po radzie poszłam sobie z Olgą i Beatą na wino, a wy tutaj odwaliliście całą robotę.

– Nie całą. Jest jeszcze sporo do zrobienia.

– To póki pamiętam, dasz mi sto egzemplarzy do wysłania do mojej szkoły? Robią festyn i będą też szukać dawcy.

– A widzisz, czyli nie próżnowałaś. – Wstał i po chwili postawił na podłodze karton. – Tu masz część książek. Potem przywiozę ci resztę do domu.

– Dziękuję. A jak sprawa z dawcą?
– Nie jest źle. Zarejestrowało się sporo osób. Szczerze mówiąc, nie myślałem, że będzie aż tylu chętnych. Lusia dzielnie cię zastępowała. Mama Szpilki płakała wczoraj jak bóbr. Wzruszyła się bardzo.

– Ta kobieta swoje przeszła.

– Dokładnie, ale widzę, że ma w sobie chęć walki, a to najważniejsze, bo udzieli się Szpilce. Strasznie krucha ta dziewczynka.

– Bardzo krucha i wrażliwa. Martwię się o nią bardzo.

– Będzie dobrze, zobaczysz. A durnymi ludźmi się nie przejmuj. Gdybyśmy z Sebą tak przeżywali, co o nas piszą i mówią, to pewnie dawno nie bylibyśmy razem, a dla uciechy gawiedzi musielibyśmy brać śluby z jakimiś przypadkowymi kobietami, by sprostać naciskowi społecznemu.

– Smutne to, nie?

– Co jest smutne? – przerwał nam głos dochodzący od progu. Stał tam zadowolony z siebie Jaromir. Przyłazł za mną, a miałam wrażenie, że wychodził z budynku.

– Życie – odparł Piotr. – A ty, co? Zapomniałeś czegoś?

– Tak. Masz tu zaproszenie na moją wystawę. – Podał mi zieloną kopertę. – Fajnie, gdybyś przyszła. I już znikam.

Odwrócił się i bez słowa złośliwego komentarza wyparował jak kamfora. Otworzyłam kopertę. Wystawa ma się odbyć czwartego maja o godzinie osiemnastej. Muszę sprawdzić, jaki to dzień. Dobrze, że to będzie po urodzinach cioci, więc zamieszanie z Henrykiem będzie już za nami.

– Dobrze, lecę jeszcze do dziewczynek. Chcę zobaczyć, jak nastroje po festynie. Dzięki, Piotr, za wszystko. – Ucałowałam go w policzek i wyszłam. Postanowiłam zostawić samochód na parkingu fundacji, a ten niewielki kawałek przejść pieszo. Szybciej będzie niż objeżdżać budynek wkoło.

Dziewczynki ucieszyły się na mój widok. Bałam się, bo mogłyby mieć pretensje, że nie było mnie w tak ważnym dla Szpilki dniu. Spotkanie jednak przebiegło tradycyjnie. Trochę posmuciliśmy, trochę pośmiałyśmy się, a potem Szpilka przeczytała nam swój nowy wiersz. Oczywiście znów powstał jakiś utwór poświęcony Krzysiovi, ale ten został przemilczany. Prawo do jego przeczytania miał tylko adresat wyznania.

– Myślisz, że znajdą dla mnie dawcę? – spytała cicho, kiedy wybrzmiały ostatnie wersy wiersza, jakby czytając, była myślami zupełnie gdzie indziej.

– Wierzę, że tak będzie. Sporo ludzi pomaga go szukać.

– Boję się – szepnęła. Jej oczy zaszklily się niebezpiecznie. Złapałam ją za dłoń i ścisnęłam. Czas jakby na chwilę się zatrzymał. Rozpacz zapała się piętami i nie puszczała. Szukałam jakiegoś słowa, które sprawiłoby, że nagle pokój wypełniłby się optymizmem i radością. Jednak kiedy omiotłam wzrokiem salę, a mój wzrok zawisł na budyniowej ścianie niczym kroplówka na stojaku, poczułam wzbierającą falę paniki. Z trudem panowałam nad tym, by się nie rozplakać. Gdzieś wewnątrz zaczął się sączyć przerażający smutek.

– Szpilka, przestań, wszyscy się boimy, ale damy radę, tak? – wtrąciła Pati, rzucając nam koło ratunkowe do morza rozpacz. Chwyciłam się więc go kurczowo i zaczęłam oddychać.

– Będzie dobrze – szepnęłam banalne słowa. – Zobaczysz. W mojej pracy szukają dla ciebie dawcy. U Lusi w szkole też. Nawet blogerzy się przyłączyli. Jest mnóstwo wolontariuszy. Musi się udać – przekonywałam bardziej siebie niż Szpilkę.

– Naprawdę?

– Naprawdę. Poruszyliśmy ziemię i niebo. To się da. – Uśmiechnęłam się, bo od razu

przypomniała mi się misja do Lichenia. – Przecież wiesz, że moja ciocia zajęła się poruszeniem góry, a my tu też nieźle działamy na dole.

– Przytulisz mnie? – spytała. A ja całą sobą zagarnęłam to kruche ciało. Trwałyśmy tak w uścisku dobre kilkanaście sekund, gdy w końcu zaprotestowały głosy z sąsiednich łóżek.

– A mnie?

– A mnie?

Wypuściłam Szpilkę z objęć. Delikatnie opadła na poduszkę, a ja podeszłam do każdej z dziewczynek i po kolei je uściskałam. Dopiero wtedy poczułam, że zapierająca się rozpacz lekko odpuściła.

– Idziesz dzisiaj do Arka? – spytała Mrówka, kiedy zakończyłyśmy rundę tulenia.

– Zjrzę do niego na chwilę.

– Jak wczoraj szłam z łazienki, to weszłam do niego i nawet się do mnie uśmiechnął!

– A ja jeszcze go nie widziałam – szepnęła Szpilka. – Fajny?

– Chyba fajny – odparłam. – Na razie jednak niewiele mówi.

– Musi się przyzwyczaić.

– Pewnie tak – potwierdziłam, choć nie wiedziałam, jak można przyzwyczaić się do choroby.

Po wyjściu od dziewczynek poszłam więc zobaczyć się z Arkiem. Przed drzwiami sali na chwilę się zatrzymałam. Czułam tremę jak przed występem, znów trzeba było ubrać twarz w pogodny uśmiech i wiarę, że wszystko będzie dobrze. Nie zawsze niestety pokrywało się to z tym, co czułam. Jednak kiedy weszłam do jego pokoju, okazało się, że spał. Obok przy łóżku siedział brat chłopca. Z drugiej strony głową o barierkę łóżka opierała się kobieta. Prawdopodobnie matka. Wycofałam się więc cicho, by nie zakłócać ich spokoju.

Kiedy wracałam autem do domu, dostałam esemesa. Stojąc na skrzyżowaniu i czekając na zmianę świateł, przeczytałam. Syn pana Henryka pisał, że możemy bez żadnych przeszkód odwiedzić jego ojca. Coś mnie ścisnęło w żołądku, bo ciągle nie miałam pewności, czy dobrze robimy. Teraz tylko należało wrócić do domu, poczekać na Lusię, która właśnie przebywała w szkole i załatwić tę sprawę raz na zawsze.

Nie zdążyłam zaparkować dobrze auta przed domem, a telefon znów zawibrował. Tym razem ktoś dzwonił. Mama. Nie teraz, kobieto, nie teraz! Zignorowałam natrętne wibrowanie. Jednak mama się nie zniechęciła. Wybrała numer jeszcze raz i jeszcze raz. Za trzecim razem dałam za wygraną.

– Tak, mammo?

– Córciu, jak tam u ciebie?

– Dobrze, a coś się stało?

– Nic, tylko sprawdzam, jak się sprawy posu...

– Mammo, prosiłam cię, tak?

– Ale ty mi nic nie mówisz! Nie wiem, co się dzieje. Może oświecisz matkę, czy ty już ten... no... tego... z Doktorkiem... czy te moje prezenty...

– Mammo! To moja intymna sprawa! Nic ci do tego.

– Niby nic, ale zięć to moja sprawa, tak?

– Do widzenia, mammo. – Wyłączyłam telefon. Normalnie rozszarpać tę kobietę to mało!

Rozdział 19

Wjechałyśmy z Lusią do malowniczej wioski. Okazało się, że wszystkie drogi prowadzą do domu seniora. Nie spodziewałam się, że będzie to tak ładny budynek. Wyglądał raczej na pensjonat niż na przechowalnię dla starych ludzi. Takie miejsca źle mi się kojarzyły, bo nacechowane były plotkami i jakimiś koszmarnymi obrazami z horrorów. A tu kwiaty, równo przycięta trawa, ławki pomalowane na biało pomiędzy starymi drzewami.

Przy stoliku pod rozłożystym dębem siedziało dwóch staruszków. Grali w szachy i krzyczeli do siebie, informując przeciwnika o każdym kolejnym ruchu. Od razu powiedzenie „refleks szachisty” nabrało pełnego wyrazu. Kiedy wysiadłyśmy z samochodu, spojrzeli w naszym kierunku i wymienili uwagi na nasz temat.

– Paczaj, białki gładkie takie tu zajechały do nas – powiedział ten, który opierał się jedną ręką o łaskę, a drugą przestawiał pionki na planszy.

– A wy do kogo?! – krzyknął w naszą stronę drugi. Po chwili na schodach pojawiła się kobieta, która raczej nie wyglądała na pensjonariuszkę. Zdecydowanie była za młoda na mieszkanie w takim miejscu. No, chyba że przyjmują od czterdziestki, to i ja będę mogła się załapać.

– Dzień dobry – przywitała nas pogodnym uśmiechem. Pasował do dzisiejszego dnia, bo było bardzo słonecznie.

– Dzień dobry. – Podeszłyśmy do niej. Wyciągnęłam dłoń na powitanie i od razu przedstawiłam siebie i Lusię. Wyjaśniłam, z kim chciałybyśmy się spotkać i że mamy pozwolenie od syna pana Henryka. Ostatnie zdanie wypowiedziałam na wszelki wypadek, uprzedzając jej wątpliwości dotyczące tego czy nas wpuścić, czy nie. Jednak ta się uśmiechnęła i kazała nam iść za sobą. Staruszkowie siedzący pod dębem przysłuchiwali się rozmowie, ale nie komentowali.

– Nie muszą się panie tłumaczyć. Nasz dom to nie szpital ani nie więzienie. Nasi pensjonariusze mogą przyjmować gości. Kogo tylko chcą.

Szłyśmy za nią korytarzem. W powietrzu „wisiał” specyficzny zapach. Nie taki jak w szpitalu, choć może trochę go przypominający. Wokół czuło się starość. Moja babcia pewnie powiedziałaby, że tak „śmierdzi starota”. W budynku panowała niezwykła cisza. Słysząc było nasze kroki. odbijały się echem od ścian. Próbowałam sobie wyobrazić, jak rozbrzmiewałoby tu stukanie lasek i balkoników, jeżeli wszyscy pensjonariusze nagle wybraliby się na spacer korytarzami domu.

– To jest nasza sala dla gości. – Kobieta wskazała nam duże pomieszczenie. Ustawione tu były dwa fotele, kanapa i stolik. Jak w salonie w domu, choć może trochę bezosobowo. – Ale można też przyjmować rodzinę we własnych pokojach. Pan Henryk leży, więc zaprowadzę panie do niego. I proszę pamiętać, że on ma kłopoty z pamięcią. Od czasu do czasu miesza mu się przeszłość z teraźniejszością.

Po drodze wyprzedziłyśmy staruszkę, która dreptała w tym samym kierunku, co my. Zakładając, że cały czas będzie szła w swoim tempie, pewnie jej trochę zejdzie. Od czasu do czasu przytrzymała się ściany. Była mocno przygarbiona. Jednak przyznać trzeba, że miała nienagannie ułożoną fryzurę z lekko już przerzedzonych włosów i piękny różowy sweterek, który doskonale kontrastował ze srebrnymi lokami.

Zatrzymałyśmy się przed pokojem numer jedenaście.

– To tutaj. – Pracownica ośrodka nacisnęła klamkę i otworzyła drzwi na oścież, zapraszając nas do pokoju. Na łóżku pod oknem leżał mężczyzna. Ginął w pościeli. – Panie Henryku! Panie Henryku! Ma pan gości! – nawoływała, gładząc go po dłoni. Kiedy tylko

spojrzał na nas przytomnym wzrokiem, zostawiła nas samych.

Rozejrzałam się za krzesłami. Pokój był bardzo funkcjonalny, umeblowany tak, by staruszek miał wszystko, co potrzebne. Pod ścianą z drugiej strony pokoju stały ustawione w rzędzie dwa drewniane taborety.

– A kim ty jesteś? – spytał drżącym głosem. Był niewiele starszy od cioci Zosi, ale kiedy na niego patrzyłam, miałam wrażenie, że dzielą go całe lata świetlne od mojej cioteczki. Zupełnie dwa różne światy. Ona pełna życia, energiczna, w bardzo dobrej formie, a on ginący w białej pościeli, trzęsący się staruszek. Ponadto ten zapach! Dziwny. Zapach śmierci w powietrzu. A może leków, czort wie, ale kłuł w nos złowrogo, jakby niosąc za sobą zapowiedź tego, co nieuniknione.

– Mam na imię Joanna, a to jest Lusia. – Dałam znak córce, by przysunęła taborety. Głupio tak stać nad staruszką i krzyżeć. Lepiej usiąść i mieć go na wysokości twarzy. On też lekko się dźwignął, by wyraźniej nas widzieć.

– Nie znam żadnej Joanny. A Lusia? Co to za durne imię?

– Ludwika – odparłam. – Lusia to zdrobnienie od Ludwiki.

– To cię matka nazwała durnowato. Znałem jednego Ludwika. To sukinsyn był taki! Ubek! Tfu jego mać. A może ty jego córka, co? I na przeszpiegi tu przylazłaś? Ja już nic nie powiem, nic nie wiem i nic nie podpiszę!

– Panie Henryku, niech się pan nie denerwuje, przyszliśmy z panem porozmawiać o pewnej kobiecie...

– Nie będę gadał przy tym szpiclu Ludwiku. Po moim trupie! – Zrobił zaciętą minę, założył rękę na rękę i wyglądało na to, że nic więcej nie powie.

– Mamo, to ja poczekam na dworze, na ławce, żeby go nie denerwować – szepnęła Lusia i wyszła.

– Już jej nie ma. Może się pan nie denerwować.

– Tfu, wszędzie mnie znajdą, wszędzie! Podśłuchy pozakładali, szpiegują mnie! Musisz sprawdzić, czy dobrze zawarte – mówił, jakby ciągle żył nieprzyjemną przeszłością. Wstałam i dla świętego spokoju staruszka sprawdziłam drzwi. Potem kazał mi zamknąć okno i sprawdzić, czy nie ma pluskwy pod stolikiem. Wszystko zrobiłam zgodnie z poleceniem.

– Panie Henryku, przyszłam z panem porozmawiać o pewnej kobiecie...

– Jakiej kobiecie?

– Kiedyś, bardzo dawno temu spotykał się pan z Zosią, pamięta pan? To było w czasach, kiedy pracował pan w hucie.

– Z Zosią? Z jaką Zosią? Nie pamiętam żadnej Zosi.

– Przychodziła do pana do huty, potem się zaczęliście spotykać.

– Nie pamiętam – odpowiedział zdecydowanie.

– A pamięta pan to? – podsunęłam mu pod nos kserokopię zdjęcia, na którym stoi z moją ciocią. Wziął kartkę do ręki i długo się przyglądał. Nie widziałam w jego twarzy żadnego poruszenia, żadnych emocji.

– A kto to?

– Zosia i pan na Rynku w Starogardzie w tysiąc dziewięćset czterdziestym siódmym roku, zaraz po wojnie.

– Wojna skończyła się w czterdziestym piątym. W maju. Pamiętam, że kwitły kasztany. Popalone i zburzone domy i kwitnące drzewa. Miało być dobrze po wojnie, a nie było. Nigdy nie było. Za to kobiety były... Zawsze takie łatwe. Moja żona zginęła, potem druga się rozwiodła ze mną. Zostawiła jak psa, więc tułałam się od jednej do drugiej, ale żadna nie chciała mnie na stałe. I widzisz, gdzie jestem? Sam. Synowie mają mnie w dupie. Wnuki to samo.

– Naprawdę nie pamięta pan Zośki?
– Nie no, Zośkę to pamiętam, trzeba było mówić od razu. Latała za mną, do huty przyłaziła i stękała „a zrób mi to, wydmuchaj mi tamto”. No to wydmuchałem, nie? – Zaśmiał się i już nie wyglądał na miłego schorowanego staruszka. Pojawiło się w nim coś, czego za żadne skarby świata nie chciałabym sprezentować cioci na urodziny.

– A kochał pan chociaż te wszystkie kobiety? – spytałam, zabierając mu fotografię.

– Kochać? A kto by tam zajmował się takimi bzdurami jak kochanie. W czasie wojny nie było czasu na miłość. – Spojrzał na mnie przytomniej. – Uważaj, bo zaraz tu wejdą i będą znów chcieli, bym podpisał papiery.

– Mogę panu zrobić zdjęcie? – spytałam, choć wydawało mi się to strasznie głupie.

– Miałem kiedyś aparat, wiesz?

– Wiem. – Wyciągnęłam z kieszeni telefon.

– Tym głównym chcesz robić? Nie masz zorki?

– Niestety nie. – Cyknęłam dwie fotki. Czułam się strasznie, jakbym stała nad truchłem przeszłości cioci. – Dziękuję, że pan ze mną porozmawiał. Życzę panu zdrowia.

– Uważaj na ZOMO – szepnął. – Na ormowców też uważaj, bo to podstępne świnie. Miałem takiego sąsiada, to wiem.

– Będę uważać.

– I nie zadawaj się z tym Ludwikiem.

– Do widzenia panu.

Przystanęłam na chwilę w korytarzu. Drzwi od pokoju Henryka zamknięte zostały przeze mnie już na zawsze. Czułam, że to był głupi pomysł. Na co komu odgrzebywanie przeszłości? Luśka będzie rozczarowana. Nie ma wielkiej romantycznej miłości po grób. Miłość, o ile była, umarła dawno temu. Nie przyniosła niczego dobrego. Przypadkowa śmierć kobiety. Rozstanie, łyż, osierocone dziecko. Ciocia, która znienawidziła mężczyzn, stała się zgorzkniała i złośliwa na długie lata, bo tak było wygodniej, bo tak było łatwiej walczyć z plotkami. I jedna wielka samotność i pustka, której nie udało się wypełnić. Znów jakieś trybiki przeskoczyły w mojej głowie i przyrównałam tę sytuację do mojej. Stałam twarzą w twarz ze swoim eks, zobaczyłam mocno zakodowaną we wspomnieniu wykrzywioną nienawiścią twarz, a potem rzucanie słów, a każde nasączone kłamstwem. Jedyne, co mogłam wtedy zrobić, to łapać te słowa, precedzać, szukać prawdy, sensu, czegokolwiek, na czym można znów budować. Kiedy wszystko runęło niczym domek z kart, tak jak ciocia, chciałam nienawidzić i boleśnie kąsać każdą wyciągniętą dłoń. Tak było łatwiej niż znów zaufać i uwierzyć. Mijały jednak lata, a moja garda chyba zbyt mocno opadła.

Ruszyłam korytarzem przed siebie. Po niedawnej ciszy nie było tu śladu. Słysząc było donośne rozmowy, gdzieś tam pohukiwał telewizor lub radio. Mieszały się głosy. Dom żył.

Wyszłam z budynku. Od razu dostrzegłam Lusię. Siedziała na ławce obok jakiejś staruszki i rozmawiała z nią. Pomachałam jej ze schodów, ale nie zerwała się, nie podbiegła. Podeszłam więc. Przywitałam się ze starszą panią.

– Mądrą ma pani dziewczuchę – powiedziała z uznaniem, a ja z dumą spojrzałam na swoją latorośl. Ba! Wiadoma sprawa.

– Dziękuję.

– Miło mi się z panią rozmawiało. Do widzenia. – Luscia wstała z ławki.

– Szkoda, że nie mam takiej wnuczki. Odwiedzisz mnie jeszcze kiedyś? – Padło w końcu kłopotliwe pytanie.

– Nie wiem, ale postaram się. – Luscia nachyliła się i uściskała staruszkę. Potem wolnym krokiem poszłyśmy do samochodu.

– Dobrze, to opowiadaj.
– Oj, Luśka... Happy endu to raczej nie będzie – westchnęłam.
– Tak pomyślałam, jak wyskoczył z tym Ludwikiem. Pamiętał chociaż ciocię?
– Pamiętał, ale pewnie ciocia nie tak chciałaby być zapamiętana. Nie ma co jej o tym wspominać.

– A może powinna wiedzieć, że żyje, co?
– Po co? Luśka, dajmy już spokój tej historii. Od początku nic z niej dobrego nie wynikało, więc koniec nie może być inny.

– Myślałam, że to taka miłość jak u Szekspira, że były przeszkody, owszem, ale że to uczucie takie po grób.

– W cioci obudziły się jakieś sentymentalne wspomnienia, bo to nieszczęśliwe uczucie, a pewnie wyobraźnia nieraz jej podpowiadała różne scenariusze. Nie ma co do tego wracać. Koniec, kropka.

– Kurde, tyle wysiłku na nic.

– Tak to w życiu bywa. A teraz zmykamy do domu.

Odpaliłam silnik i wyjechałam z terenu domu seniora na drogę do Starogardu. Przeszłość cioci Zosi została za nami. Trzeba budować przyszłość, nie oglądając się za siebie.

To budowanie rozpoczęłam od zagniecenia kruchego ciasta na szarlotkę. Taką spod samiuśkich Tater. W domu miało pachnieć cynamonem, smażonymi jabłkami i świeżo upieczonym ciachem. Dopiero wtedy jest to prawdziwy dom. Nawet jeżeli tylko na chwilę pożyczony od cioci Zosi.

Rozdział 20

Zgarnęłam pod pachę sweter i torebkę. Wskoczyłam do samochodu Artura. Dzisiaj miał dla mnie niespodziankę i zamierzałam się jej poddać całkowicie.

– Dokąd jedziemy?

– To tajemnica.

O nic więcej nie pytałam. Opowiedziałam Arturowi o spotkaniu z Henrykiem, o rozczarowaniu Lusi, o zaproszeniu na wystawę Jaromira i o książkach, które wysłałam koleżankom na szkolną aukcję. Buzia mi się nie zamykała. Czułam się przepełniona nadzwyczajną energią, której upust musiałam dać tu i teraz. Uśmiechał się, od czasu do czasu potakiwał, ale nie zadawał pytań. Wiózł mnie po jakichś wertepach. Samochód nerwowo podskakiwał, a ja nie rozpoznawałam już pejzażu za oknem.

Zatrzymał się dopiero na leśnym parkingu.

– Przesiadamy się teraz na rowery – odparł i od razu przystąpił do ściągania naszych pojazdów z bagażnika umieszczonego na dachu. – Zobaczymy, jaką masz kondycję.

– Świetną. Co jakiś czas biegam z Piotrem. Możemy więc się pościgać.

– Jesteś pewna? A ten, kto przegra, będzie musiał spełnić życzenie zwycięzcy, co? Przyjmujesz wyzwanie?

– Już sobie wyobrażam twoje życzenie. – Zaśmiałam się. – Pewnie nieprzyzwoite będzie.

– I to bardzo nieprzyzwoite. – Cmoknął mnie w policzek zaraz po tym, jak postawił przede mną rower. Wyglądał na używany, ale z pewnością był damski. Lekkie mrowienie połaskotało po plecach. Przez myśl przeszło mi, że to pojazd jego zmarłej żony. Poczułam się, jakbym zajmowała jej miejsce.

Po chwili drugi rower stał już obok mnie. Artur zamknął auto. Podał mi bidon z wodą i jeszcze raz cmoknął w usta.

– Gotowa?

– Jasne. Teraz się bój.

Wsiadliśmy na rowery. Wygodnie usadowiłam się na siodełku. Artur zadbał nawet o nakładkę żelową. To chyba on, nie jego żona. Wołałam nie pytać. Nie miałam pewności, czy dobrze robię, przejmując jej życie. Jeszcze ciągle częściowo, tymczasowo, ale gdybym tak zechciała na zawsze? Czy byłabym godną następczynią? Czy Artur widziałby we mnie ciągle Joannę, a nie pierwszą żonę? Odgoniłam jednak te myśli, bo przecież ja i tak jestem tutaj na chwilę. Pracy ciągle nie znalazłam, choć co jakiś czas wysyłam CV. Nikt się nie odzywał, nawet nie zaprosił mnie na rozmowę kwalifikacyjną. Pozostała jeszcze nadzieja w dyrektorze ze szkoły w Tczewie. Jeśli się do dziesiątego czerwca nie odezwie, zadzwonię do niej, bo przecież nie można tak żyć w niepewności.

– Jedziemy do końca lasu – krzyknął Artur. – Kto pierwszy, ten wygrywa. Dobra?

– Dobraaa! – zawołałam, wyprzedzając go i pędząc, ile sił w nogach. Kochałam wyzwania. Wszystkie. Jakaś uspiona ambicja budziła się wtedy we mnie i gnałam przed siebie niczym błyskawica. Początkowo nawet prowadziłam, choć i tak nie było to łatwe, bo na leśnej ścieżce gdzieśgdzie znajdował się piasek i grzęzły koła. Trzeba było uważać, żeby się nie przewrócić.

– Mam cię! – usłyszałam niemalże na plecach głos Artura. Po sekundzie już się ze mną zrównał, by za chwilę lekko mnie wyprzedzić. Docisnęłam mocniej pedałów. Po moim trupie! Łydki i uda bolały, ale dawałam z siebie wszystko. I znów mi się udało go wyprzedzić.

– Ha, ha, cieniaku! – Odwróciłam się do niego, by spojrzeć na jego głupią minę.

– Uważaj! – Usłyszałam.

Nagle poczułam ból. Świat się zatrzymał. Nade mną niebo. Błękitne. Potem zamknęłam oczy.

– Asia! Asia! – Usłyszałam nad sobą głosy anielskie wydobywające się ze znajomej postaci. – Żyjesz?

– Żyję – stęknęłam.

– Pokaż, czy cała jesteś.

Poczułam, jak zdejmuje ze mnie rower i dotyka moich nóg.

– O, au! – jęknęłam pod wpływem ucisku.

– Pokaż ręce. Wyglądasz na całą – powiedział przerażony. – Możesz wstać?

– Jasne, że mogę. Nic mi nie jest. – Próbowałam się dźwignąć z ziemi. Na szczęście miejsce, gdzie upadłam, pełne było miękkiego piachu. Koła ugrzęzły i straciłam równowagę. Nic złego jednak się nie stało.

– Poczekaaj, pomogę ci.

Stałęm. Próbowałam zrobić krok naprzód, jednak poczułam lekki ból w kostce. Zachwiałam się, a czujne ramię Artura mnie przytrzymało.

– Chyba zwichnęłam kostkę.

– Kurde, po co my się ścigaliśmy?

– Ale wygrałam, nie?

– Aśka! – skarcił mnie i od razu przystąpił do całowania moich powiek, policzków, czoła.

– Dobrze, że się nic nie stało.

– Muszę tylko rozruszać stopę.

– Pokaż ją. W końcu masz ze sobą fachową pomoc.

– Wiedziałam, jak się urządzić. Z moim szczęściem do upadania chirurg u boku to jak wygrana w totolotka.

– A ręka po złamaniu? Wszystko dobrze? Pokaż.

– Dobrze, zobacz tylko tę kostkę.

Usiadłam na trawie, a Artur, nie czekając na moje pozwolenie, już rozwiązywał mi sznurówki w bucie. Miał wprawę facet w rozbieraniu kobiet, trzeba mu to przyznać. Uśmiechnęłam się do swojej myśli, bo miłe wrażenia zafurkotały we wspomnieniu, a potem nagle przeniosły się do żołądka.

Oglądał moją stopę niczym jakiś bezcenny zabytek, delikatnie, z ostrożnością. Naciskał, przekręcał, ale nic nie bolało.

– Chyba masz ją tylko stłuczoną. Wygląda na to, że wszystko dobrze. Jezu, Aśka, ale mi strachu napędziłaś.

Usiadł obok mnie. Otarł czoło.

– A kto mi z powrotem nałoży bucik? – zażartowałam.

– Mogę ci nałożyć, ale co innego – szepnął i spojrzał mi w oczy, aż zrobiło mi się gorąco od tego jego wpatrywania.

– A co ty byś mi chciał włożyć?

Parsknął śmiechem. I pogroził palcem.

– Oj, Aśka, Aśka.

Nie powiem, trochę mnie rozczarował tą „Aśką”, bo jednak przedrostek w tym czasowniku dodawał sporo pikanterii do znaczenia tego wyrazu. Artur zaczął nerwowo się kręcić i szukać czegoś po kieszeniach.

– To bym chciał ci włożyć. – Otworzył przede mną aksamitne pudełko. W środku znajdował się pierścionek! – Asiu, czy mogę? – Wpatrywał się we mnie wyczekująco, a ja nie mogłam oderwać wzroku od zawartości pudełka.

– To żart?
– Asiu, jestem całkowicie poważny. Wyjdiesz za mnie?
– Rany... – wymamrotałam. – Nie za wcześnie? Spotykamy się przecież dopiero od kilku miesięcy. Może to tylko zauroczenie...

– Asiu – zatkał mi usta pocałunkiem. – Kocham cię. Chcę, żebyś tu została i zamieszkała ze mną. Przyjmiesz ten pierścionek?

– Artur... – szepnęłam. – To nie jest takie proste.

– Bo sama to komplikujesz. To jest prostsze, niż ci się wydaje. Mogę? – spytał, wyciągając pierścionek z pudełka i chwytając moją dłoń. – Co prawda wyobrażałem sobie, że dam ci to w innym miejscu, ale sama mnie sprowokowałaś. – Uśmiechnął się, a ja bezwolnie trzymałam dłoń, więc wsunął mi na palec pierścionek. Potem cmoknął w usta. Siedziałam jak kukła, nie wiedząc, co zrobić. Wszystko działo się jakby poza mną. Potem przystąpił do zakładania buta na moją obolałą stopę. Czułam się jak Kopciuszek.

– Artur...

– Kochasz mnie?

– Kocham.

– Więc się nie martw. Wszystko będzie dobrze. Nawet jeśli wyjedziesz, to ja na ciebie poczekam tyle, ile trzeba, a cały czas będziemy szukać dla ciebie pracy, jeżeli to takie ważne. Będę w wolnej chwili do ciebie przyjeżdżał. A ty do mnie. To nie jest koniec świata. A teraz podnosimy dupska i jedziemy dalej. Dasz radę?

– Nie wiem. Z wrażenia brak mi sił.

Wstałam jednak i przez chwilę dałam się prowadzić Arturowi pod rękę. Trochę utykałam, ale dało się iść. Nie wiedziałam tylko, czy teraz to jeszcze efekt upadku, czy szoku wywołanego pierścionkiem.

Wsiedliśmy na rowery. Tym razem jechaliśmy powoli, nie spieszyliśmy się. Przez jakiś czas nie odezwałam się ani słowem. W głowie kotłowały mi się różne myśli. Nie miałam pewności, czy dobrze zrobiłam, przyjmując pierścionek. A co będzie, gdy wyjadę? Bo przecież wyjadę na pewno... Albo chyba... Czy on naprawdę poczeka? Czy warto czekać? Od razu, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, w głowie pojawiła się twarz byłego męża. Tłumaczył, że wszyscy faceci zdradzają, że kobiety powinny się z tym pogodzić, bo to zwykła fizjologia. A dla mnie zdrada to zdrada, nie da się po niej zaufać jeszcze raz. Nie wiedziałam tylko, że tak trudno to wymazać z pamięci.

– Ale zakład wygrałam, co? Trochę przed metą, ale byłam pierwsza! – zawołałam do niego, by zająć myśli czymś innym.

– Niech ci będzie. Czekam na życzenie.

– Pomyślę, bo nie chcę zmarnować takiej okazji. W swoim czasie poproszę cię o coś.

– Mam nadzieję, że to będzie coś bardzo nieprzyzwoitego.

– Może.

– A jak noga?

– Dobrze. Jak pedałuje, to nie boli, ale musimy w końcu wyjechać na jakąś lepszą drogę.

Po dwóch kilometrach zatrzymaliśmy się nad jeziorem. Rozciągało się przed nami, odbijając w tafli chmury i słońce. Pośrodku pływał łabędź. Jak żywcem wzięte z kiczowatych obrazków sprzedawanych podczas jarmarku odpustowego.

– Pięknie – powiedziała z zachwytem. Ustawiliśmy rowery na nóżkach i przykucnęliśmy nad brzegiem. Dotknęłam dłonią wody.

– Tu w okolicy jest kilka takich jezior. Pokażę ci po kolei wszystkie.

– Dzisiaj? – jęknęłam, mając przed sobą perspektywę kilkugodzinnego pedałowania.

– Nie dzisiaj. Kiedyś. Ale chcę, żebyś zobaczyła, dlaczego nigdy stąd nie wyjechałem. Czujesz, jak tu pachnie powietrze?

– Masz rację. – Zrobiłam kilka głębokich wdechów i wydechów. Świadomie wprowadzałam w siebie powietrze i rozszyfrowywałam, co tak słodko pachnie. Jakby kwiaty i trawy pomieszane z zapachem wody. – Pięknie.

– A zobaczysz, jak tu będzie, kiedy na łąkach zakwitną chabry i maki. Dech ci zaprze – westchnął. – Zmęczyłaś się?

– Nie. Jest mi dobrze. – I faktycznie było mi dobrze. Czułam wewnętrzny spokój. Myśli się uspokoiły. Każda zaległa w odpowiednich zwojach mózgowych i nie zakłócały mojego błogostanu, jakby powietrze też na chwilę się zatrzymało i dało się nam upajać swoją wonią.

Zamilkliśmy. Artur zagarnął mnie do siebie. Przytulił. Kilka razy pocałował w głowę. Opiekuńcze gesty, w tym momencie bez cienia namiętności. I cholernie dobrze mi z tym było. Czułam się bezpiecznie, jak kiedyś, dawno, dawno temu.

Kiedy wracaliśmy do domu, Artur upierał się, że odprowadzi mnie do samego pokoju. No, ja rozumiem, że ostatnio chodzący kataklizm to ja, ale bez przesady, od progu mieszkania do pokoju dojdę bezpiecznie. Niestety, nie dało mu się tego przetłumaczyć. Postanowił mnie dopieścić. Zaprosiłam go więc na herbatę.

– Jest Lusia? – spytał ku mojemu zaskoczeniu. Siedzieliśmy w kuchni. Cioci akurat nie było, bo powędrowała do Jadzi od różańców pośmiać się z ich wspólnej koleżanki, która wpadła na genialny pomysł i zafarbowała sobie włosy. A kto to widział, żeby w wieku osiemdziesięciu dwóch lat malować się na jakąś rudą wiewiórkę? Według cioci siwe włosy dodają dostojności i należało je nosić z dumą.

– Chyba jest – odparłam, bo godzina była taka, że raczej Lusia nigdzie by już nie poszła. – A dlaczego pytasz?

– No, może by wypadło jej powiedzieć... A lepiej chyba to zrobić wspólnie.

– Nie wiem, ale zawołam ją. W razie czego, jak będzie przeciwko i zaczniesz we mnie czymś rzucać, schowam się za twoimi plecami. – Pocałowałam go w policzek i poszłam zawołać Lusię. Akurat grała w jakąś gierkę komputerową, więc nie była zadowolona, że ją odciągają.

– Dzień dobry – przywitała się. – Coś się stało?

– Nie, nic. – Artur wstał, obciągnął bluzę dresową, jakby poprawiał najbardziej elegancki garnitur. – Ludwiko – zaczął oficjalnie. Lusia spojrzała na mnie zdziwiona. Wzruszyłam jednak ramionami, bo przemowa zaczynała się zbyt sztywno. – Ludwiko – powtórzył. – Chciałbym cię prosić o zgodę. – Wyciągnął z kieszeni pudełeczko. Dokładnie takie samo, jakie wcześniej w lesie podarował mnie.

– O, w mordę! – zawołała Lusia. – Czy panu się nic nie pomyliło? – zarechotała. – To chyba mamę powinien pan spytać.

– Mamę już pytałem. Wyraziła zgodę, ale chciałbym podarować ci ten pierścionek i zapytać, czy zgodzisz się na nasz ślub, który oczywiście nastąpi kiedyś tam, jeszcze w nieokreślonej przyszłości, bo twoja mama musi poukładać sobie wszystkie sprawy.

Otworzył pudełeczko. Podsunął go Lusi. Ta z zachwytem w oku wyciągnęła pierścionek.

– Ło! – szepnęła. – To nie żart?

– Na pewno nie. Jestem śmiertelnie poważny, w dodatku mam cholerną tremę.

Zaśmialiśmy się. Artur chyba w końcu trochę się rozluźnił. Lusia włożyła pierścionek na palec.

– Oczywiście, że się zgadzam, żebyście się pobrali. Ło! To brylanty?

– Tak. Toż nie mogłem przecież swojej pasierbicy kupić szkiełka.

– No, podoba mi się.

– Proponuję, żebyś mówiła mi po imieniu, bo jakoś nie wypada, żebyś zwracała się do mnie per pan. Mamy przecież być rodziną. I możesz być pewna, że będę kochał cię tak, jak własną córkę. – Przytulił ją do siebie, a ja właśnie zalałam się łzami i już całkiem głośno szlochałam ze wzruszenia. W życiu bym nie pomyślała, że Artur w ten sposób to załatwi, że będzie się liczył ze zdaniem Lusi.

– Ekstra. To ja już was zostawiam. Macie moje błogosławieństwo. Zmykam na górę. – Pobieгла do siebie. A ja nie mogłam się powstrzymać, by nie wpaść w objęcia Artura. Przytuliłam się do niego całą sobą.

– Kocham cię, wiesz?

– Wiem.

Rozdział 21

– Ciii – szepnęłam do Lusi. – Ciocia jeszcze śpi. Musimy przygotować imprezę. – Lusia patrzyła na mnie zaspanymi oczyma.

– Mamo, jest szósta – powiedziała, sprawdzając godzinę w telefonie. – W dodatku sobota!

– Urodziny cioci. Zapomniałaś?

– Nie zapomniałam, ale co my mamy robić o szóstej rano? – jęknęła i nakryła się kołdrą po samą głowę.

– A prezent zapakowałaś?

– Mamo, czy ty nie przeginasz?

– A nie ozdobisz tortu? Robiłam go w nocy, żeby ciocia nie widziała, choć przypuszczam, że i tak wie, co się święci.

– Jezuuu – jęknęła po raz kolejny. – Dobra, już schodzę. Dawaj ten tort. Ozdabiam i wracam do łóżka.

Zeszliśmy do kuchni, starając się przy tym nie robić hałasu. Lusia najpierw poszła się umyć, a ja wystawiłam przełożony biszkopt na stół. Obok ulokowałam miskę z kremem i przybory służące do wyciskania masy. W pudełku miałam trzy cukrowe róże i kolorowy brokat do posypania tortu. Znalazłam jeszcze mielone orzechy i pisaki z kolorowym cukrem. Lusia miała zdolności artystyczne, więc na pewno dopracuje ciasto w najmniejszych szczegółach. Mnie się ręce trzęsły, nie wiadomo z jakiego powodu, a przecież to tylko urodziny.

Spojrzałam na swoją dłoń, którą zdobił pierścionek od Artura. W sumie chyba wiedziałam, dlaczego się denerwowałam. Miała przyjechać mama. Będzie więc cyrk, jak się dowie. Zapieje z zachwytu, a Artur będzie cały wieczór znosił achy i ochy mamuśki, która pewnie gdyby mogła, karmiłaby go łyżeczką i podsuwała ptasie mleczko, oby tylko ożenił się z jej córką. To przecież zięć idealny.

– Dobra – powiedziała Lusia niezbyt zadowolona, że matka ściąga ją do kuchni o szóstej rano. – Dawaj ten tort.

Przystąpiła od razu do pracy. Napelniła woreczek do wyciskania masy.

– Mamo, a co ty tak wpatrujesz się w ten pierścionek? – spytała po chwili.

– A nic, zamyśliłam się.

– Piękny jest. Ale mój piękniejszy.

– No, oba piękne, ale już oczyma wyobraźni widzę twoją babcię. Jeszcze przecież nic nie wie, a dla niej to zwieńczenie wszelkich podstępów i spisków, ponadto nadzieja, że wyda mnie ponownie za mąż. W dodatku za idealnego faceta. – Zaśmiałyśmy się. – Wiesz, czasami myślę, że moja mama powinna prowadzić biuro matrymonialne. Od razu stworzyłaby katalog zięciów do wyboru, do koloru. Sklasyfikowałaby ich bezbłędnie.

– A ciekawe, co tata powie, jak się dowie o twoich zaręczynach.

– Twój tata? – zdziwiłam się. – A co mu do tego? On przecież nową żonę sprawił sobie, zanim stara ostygła.

Lusia parsknęła.

– A co ty chciałabyś ostygnąć?

– Nie no, w sumie mi się nie spieszy, ale wiesz, o co mi chodzi. Mógł chociaż dla przyzwoitości rok poczekać, a nie zaraz nowa żona, nowe dzieci.

– E tam, to przecież nieważne.

– W sumie tak. Masz rację. Reakcja twojej babci przebije wszystkie inne.

– Będzie wesoło. Ale wiesz, ja byłam w szoku, że on mnie poprosił o zgodę. I jeszcze

to... – Wyprostowała dłoń. Na palcu połyskiwał jej drobniutki pierścionek z białego złota z trzema brylancikami.

– Też mnie to zaskoczyło.

– A zauważyłaś, że wiedział, jaki mamy rozmiar palca?

– Wypytałam go o to. Podobno ciocia mu pomogła. Ty zostawiasz swoją biżuterię w łazience w miseczce, więc było łatwo. Mówiła, że gorzej było ze mną, ale raz zostawiłam pierścionek na umywalce i wtedy sprawdziła rozmiar na swoich palcach. Potem Artur zabrał ją do jubilera i przymierzała.

– No to widzę, że naprawdę w naszej rodzinie w genach mocno tkwi kombinowanie.

– Jesteśmy tym skażone. – Parsknęłyśmy śmiechem. Dopiero po chwili zreflektowałyśmy się, że miałyśmy się zachowywać cicho. Na szczęście nie obudziłyśmy cioci.

– A wiesz, co mnie podobało się najbardziej? – Luscia mówiła już zdecydowanie ciszej.

– Nie.

– To, że Artur powiedział, że będzie mnie kochał jak córkę. I mnie przytulił.

– Prawda, to było wzruszające.

Odtwarzając w pamięci tę scenę, zamilkłyśmy na chwilę. Luscia nałożyła kilka warstw kremu. Użyła też barwnika. Gdzieniedzie więc znalazły się różowe kleksy. Na środku ułożyła trzy róże i delikatnie obsypała tort brokatem. Pięknie się mienił w świetle. Oby tylko był równie smaczny, jak wyglądał.

– Dobra, to ja teraz uciekam z nim do piwnicy, a ty sprzątaj to pobjowisko, bo ciocia może się za chwilę obudzić.

– Okej, ale sprzątam i wracam do łóżka. Goście i tak będą o trzynastej.

– Dobrze. Otwórz mi jeszcze drzwi.

Zesłam powoli z tortem do piwnicy. Ustawiłam go na stoliku i nakryłam specjalną osłoną, by, nie daj Boże, jakies robactwo się do niego nie dostało.

Wróciłam na górę. Luscia już zniknęła w swoim pokoju, więc posprzątałam kuchnię, bo córcia najwidoczniej skorzystała z okazji, że matka na chwilę zniknęła z horyzontu i się ulotniła. Nie mogłam sobie znaleźć miejsca. Miotałam się jak zwierzę w klatce. Miałam wrażenie, że przerasta mnie ta sytuacja. Przyjechałam na Kociewie zaopiekować się ciocią. Nie planowałam poznawać żadnych facetów, a tym bardziej zostawać tu na zawsze. Kochałam swoją pracę i chciałam do niej wrócić. Byłam na tyle wypoczęta, że z przyjemnością stanęłabym przy tablicy. Jednak uczucie do Artura wszystko skomplikowało. I nie bardzo wiedziałam, czy mam w nim tkwić, czy postarać się wypłatać. A co wtedy z pracą i z mieszkaniem?

Zaparzyłam sobie aromatyczną kawę. Wyciągnęłam z lodówki mleko i jeszcze raz spojrziałam we wszystkie miseczki, czy mam przygotowane odpowiednie porcje jedzenia. Gości miało być sporo. Przyjadą rodzice, babcia, przyjdą dwie koleżanki cioci, Piotr z mamą i oczywiście Artur. Sporo jak na jeden raz.

Usiadłam przy stole. Postawiłam przed sobą kubek z kawą i talerzyk z dwiema kanapkami. Z nudów zjem śniadanie. Faktycznie za wcześnie dziś wstałam. Do trzynastej sporo czasu, a obiad i tak mamy zamówiony z firmy cateringowej, bo ciocia stwierdziła, że w jej urodziny nie ma co się zaharowywać. Trzeba odpoczywać. Zrobiliśmy więc wyłącznie przystawki i ciasto. Tylko tort będzie niespodzianką, choć pewnie ciocia i tak się domyśliła, bo nie łatwo było ukryć kuchenne działania.

– A ty już nie śpisz? – Nagle przede mną pojawiła się cioteczka. – Tak sama tu siedzisz?

– A siedzę sobie i rozmyślam.

– Nie ma co za dużo myśleć. Zaparz mi arbaty, co? A ja pójdę się umyć.

– Dobrze.

Ciocia zniknęła w łazience. Wstawiłam czajnik z wodą na najwyższą temperaturę. Wrzuciłam do kubeczkówutki herbaty, bo sobie też postanowiłam zrobić. Jedna kawa na obudzenie to za mało, trzeba poprawić to herbatą. Najlepiej czarną z cytryną i miodem.

– O, fajno – powiedziała ciocia, kiedy zajęła już miejsce przy stole, a ja postawiłam przed nią kubek z gorącym napojem. – I mów, co tam ciebie tak gniecie.

– A nic, ciociu. Przygotowuję się psychicznie na przyjazd mamy. – Trochę skłamałam, bo myśl o pierścionku mieszała mi się z rozterkami dotyczącymi Henryka. Nie miałam pewności, czy dobrze robię, ukrywając prawdę przed ciocią. Z drugiej strony, co dałoby, gdybym jej powiedziała o tym, że jej były ukochany, to teraz schorowany, stetryczały i mało sympatyczny dziad? W dodatku to jego stwierdzenie, że Zośka chciała, by ją „wydmuchał”! Brrr. Aż ciarki mi przeszły po plecach na wspomnienie obleśnego Henia.

– No, będzie wesoło. Ale pierścionek na twoim palcu ją ucieszy.

– Myślisz, że dobrze zrobiłam, przyjmując jego oświadczenia? – spytałam, jakby potrzebne mi było czyjeś zapewnienie, że postępuję słusznie. Ciągle stałam w rozkroku na dwóch brzegach rzeki.

– Jak to, czy dobrze? Kochasz go?

– Niby tak.

– Nie ma niby. Kochasz czy nie kochasz? Bo na niby to wiesz, rak niby-rak.

– Kocham. Tak myślę. Dobrze się z nim czuję, bezpiecznie. Mam wrażenie, że on nie ma wad, jest doskonały.

– Jak kochasz, to dobrze. Widzę jednak, że ta jego doskonałość cię męczy.

– No.

– Nie ma doskonałych chłopów. Po prostu nie ma. Ten też ma wady, na pewno.

– Tylko jakie? – westchnęłam.

– Nie wiem, przypatrz się dobrze. Może nosi dziurawe skarpety, nie splukuje wody w toalecie, sika na stojąco, mlaszcze podczas jedzenia. Możliwości jest sporo.

Parsknęłam śmiechem, bo od razu próbowałam sobie wyobrazić te wszystkie wady w wykonaniu Artura. Najbardziej podobało mi się to młaskanie podczas jedzenia. Oczywiście wyobraźni widziałam, jak zapluwa wokół siebie wszystko i wszystkich, a w szczególności moją mamusię, która z pewnością podczas obiadu zajmie miejsce obok ukochanego przyszłego zięciunia.

– Od razu lepiej – powiedziałam do cioci.

– No widzisz. Grunt to bujna wyobraźnia. A wady ma na pewno. Mnie to się on wydaje taki, jak to u nas mówią, galameja trochę.

– Galameja?

– W sensie taki trochę ślamazara. Grzeczny, owszem, ale jakby mu jaj brakowało czasami.

– Artur ślamazara? Nie, na pewno nie, ciociu. A jaja to on ma – zachichotałam. Ciocia też parsknęła śmiechem.

– Wiesz, ja go tam dobrze nie znam, to już ty wiesz najlepiej. Podobało mi się jednak to, jak zakombinował z tymi pierścionkami, że pomyślał też o Lusi.

– To już chyba ja jestem jakaś ostatnia łamaga. W sumie dziwne, nie? Że on chce być z kimś takim, jak ja?

– Aśka, zaraz normalnie skórę ci przetrzępię za takie gadanie.

– Ech, ciociu, bo to wszystko takie nierealne się wydaje. A ty mocno nie cierpiałś facetów po tym incydencie z Henrykiem? – spytałam nagle, choć wcześniej planowałam, że nie będę do tego tematu wracać.

– Oj, przeklełam ich na czym świat stoi. Pies im mordę zajął, tfu.
– Ale chyba z czasem ci trochę przeszło?
– Odrobinę tak, ale było już za późno i w sumie nikogo sympatycznego nie poznałam. Trochę się też zbyt mocno pograżyłam w tym cierpieniu. Bałam się ponownie zaufać. – Zamyśliła się, a mnie od razu zapaliła się ostrzegawcza lampka ze znakiem zapytania, czy nie jestem na tej samej drodze, którą kiedyś kroczyła ciocia. Mój strach przed ponownym zranieniem utrudniał podjęcie decyzji. – Tak jakoś lata zleciały, a teraz dobrze jest jak jest. Zaraz trzeba będzie się pakować.
– A dokąd ty się wybierasz? – przestraszyła mnie, bo impreza urodzinowa w toku przygotowań, obiad zamówiony, a ta chce się nagle pakować.
– Jak to gdzie? Na tamten świat. Może ten cały Henryk już tam jest...
– Nie – wyrwało mi się zbyt zdecydowanie. Ciocia spojrzała na mnie uważniej.
– Asiu... – zaczęła, a ja szybko wstałam i odłożyłam do zlewu naczynia. – Ty coś wiesz, nie?
– Oj tam, ciociu, aż taka głupia to ja nie jestem, coś tam wiem. Uczyłam się przecież tyle lat.
– Nie mydl mi tu oczu. Siadaj – nakazała, a ja zrobiłam to, czego zażądała. Nie umiałam jednak spojrzeć jej w oczy. Czułam, że mi się podejrzliwie przyglądała. – Mów, co ty ukrywasz, bo lampę wezmę i w oczy zaświecę. – Uśmiechnęła się.
– Ej... no...
– Aśka! Ja od razu coś podejrzewałam, bo Luśka też nagle ostatnio tak jakoś wypytywała, że niby wypracowanie pisze o przodkach. Mów mi tu jak na spowiedzi!
– No dobrze – poddałam się. – Chciałyśmy z Lusią odnaleźć tego Henryka.
– A na psu buda?
– Lusia tak sobie wbiła do głowy wielką romantyczną miłość po grób i chciała, żebyśmy taki prezent urodzinowy ci zrobiły.
– Że niby co?
– Że znajdziemy go i zaprosimy na twoje urodziny – odpowiedziałam i z przerażeniem spojrzałam na ciocię. Odruchowo przeżegnała się.
– O, mortadelo! A ten tu by po co? Znalazłyście go?
– Tak, ciociu, znalazłyśmy. Wstyd mi, że my tak za twoimi plecami...
– I słusznie, bo ja tego czorta widzieć nie chcę!
– Te twoje szklane figurki, to jak o nim mówiłaś. Myślałam, że jednak tęsknisz za nim.
– Tfu, a po cholere mi stary dziadyga? Ja owszem tęsknię, ale do tego, co było między nami, do tych dobrych momentów. Wspominam sobie je, bo dzięki nim wiem, że byłam kobietą, że kochałam, pożałowałam i takie tam dyrdymały. I chcę, żeby to poza moje wspomnienia nie wylazło.
– Przepraszam, że my tak za twoimi plecami, ale to ciekawość nas pchała.
– Ty sobie zapamiętaj, że ciekawość to pierwszy stopień do piekła.
– Dobrze, ciociu, nie ma co się denerwować. Znalazłyśmy go, ale na pewno on tu nie przyjdzie.
– No jeszcze tego by mi brakowało dzisiaj. Toż wystarczający cyrk twoja matka robi. Kolejnego pajaca nam nie trzeba – zdenerwowała się. – A gdzie wy go w ogóle znalazłyście?
– Długa historia. W zasadzie odnalazłyśmy go przez przypadek. Jest w domu starców, nawet niedaleko stąd.
– A jak wygląda? – spytała już łagodniejszym tonem.
– Staro – uśmiechnęłam się. – Zupełnie niepodobny do tego ze zdjęcia.

Ciocia westchnęła.

– W sumie to nawet chciałabym zobaczyć, jak się zmienił – powiedziała. – Ale tak z ukrycia, żeby nie wiedział, bo w cztery oczy to nie. Nie chciał wtedy, więc pies mu mordę zajmował, ja mam swój honor.

– O! – wyrwało mi się i zaczęłam szukać telefonu. Gdzieś go tutaj miałam położonego na szafce. – Mogę ci pokazać, bo zrobiłam mu na wszelki wypadek zdjęcie.

– To pokaż tego zakłamanego franca. – Ciocia nagle się jeszcze bardziej ożywiła. Nawet policzki jej się lekko zaróżowiły. Widać było, że ciągle w niej są jakieś emocje. Co prawda byłam pewna, że wspomina go z sentymentu, ponadto stworzyła sobie dwa obrazy: pierwszy z ukochanym Henrykiem sprzed wypadku jego żony, drugi z wiarołomcą już po jej śmierci. Tego drugiego nie chciała znać, pierwszego pragnęła zaś zachować w pamięci.

Odnalazłam zdjęcie. Trochę kiepsko było widać mężczyznę leżącego w łóżku, bo mój telefon nie ma dobrego aparatu.

– Zobacz. Trochę mu się przeszłość z terażniejszością miesza. Raczej jest w kiepskiej formie.

– To on? To jakiś zgrzybiały starzec!

– Starszy przecież od ciebie.

– Wygląda, jakby jego dni były policzone...

Tego akurat nie byłam pewna, bo samo lekkie pomieszanie zmysłów nie gwarantowało od razu przejścia na drugą stronę, ale może tak ciocia łatwiej było znieść te informacje.

– Jezusieńku Nazareński, toż grzyb stary. Prawda, jak to u nas mówią, że śmierć nieużyta, bierze, nie pyta, ale żeby aż tak zgrzybiał... Nie, musiałaś się pomylić. Gdzie Henryk taki stetryczały dziad? On wysoki był, przystojny. Włosy tak zaczesywał do góry. I miał tu na brodzie takie małe znamię. Aśka, ja tu nie widzę tego znamienia!

– Bo to słabe zdjęcie jest, a ten opatulony kołdrą, więc dokładnie nie widać. Potem pokażę ci to w powiększeniu, jeśli chcesz.

– Jakoś mi się to nie wydaje... – Ciocia skanowała wzrokiem zdjęcie w telefonie. Obracała, oglądała pod różnym kątem i z różnej odległości. To przybliżała do twarzy, to oddalała, kręciła przy tym głową z niezadowoleniem.

– Ciociu, to on. Na pewno. Rozmawiałam z jego synem.

– Wojtkiem?

– Nie, miał jeszcze drugiego. Z drugiego małżeństwa.

– Czyli plotki o tym, że się ożenił, to prawda – westchnęła. – Wiesz, ja o nim wiele rzeczy słyszałam, bo życzliwi donosili. Nie chciałam wierzyć. Miałam nadzieję, że jednak mnie kochał, a on zmieniał kobiety jak rękawiczki. Najpierw jedna, potem druga, trzecia... Skurczybyk. Widzisz, faceci to właśnie tacy są. A tfu, z tym tałatajstwem!

Odsunęła moją dłoń z aparatem i ruszyła do chlebaka. Wyjęła dwie kromki i zaczęła zamazywać je masłem. Potem położyła na nie po kawałku szynki. Siadła znów na krześle i zajadała. Może trochę zbyt nerwowo to robiła, może zbyt łapczywie, ale nie odzywałam się, by dać jej chwilę na znalezienie spokoju.

– Na którą my w końcu zamówiliśmy ten obiad? – spytała, kiedy jedna kanapka zniknęła już z talerza. Zebrała dokładnie okruszki chleba i dopiero wtedy chwyciła za następną kromkę.

– Na trzynastą trzydzieści, ale goście będą pół godziny wcześniej.

– I dobrze. Posłucham sobie jeszcze radyjka i przejrzę gazetę.

– A ja chyba, ciociu, skoczę na chwilę do hospicjum, do dziewczynek.

– Mówiłaś, że ten cały, no jak mu tam było... Ten, co ma dupę jako ziarno kawy...

– Jaromir Poniatowski – odpowiedziałam.

– Ma wystawę, tak? Kiedy?
– Niedługo jakoś, zaraz poszukam zaproszenie. Pójdiesz z nami?
– No pewnie! Chciałabym zobaczyć. A w tym hospicjum to się nie zasiedź za bardzo, bo czasu mało do przyjazdu gości, a matka twoja może być wcześniej.
– Dobrze, to lecę. Chcę zobaczyć, co ze Szpilką. Wpadnę też na chwilę do pani Ady, bo może już coś wiadomo o dawcy.

Ciocia jeszcze raz poprosiła, by jej pokazać zdjęcie w telefonie. Pokręciła z niedowierzaniem głową, znów wspomniała o stetryczalym dziadzie, któremu nic do Henryka. Na koniec zaklęła po kociewsku: „Ażeby to rokijasz wzion”. Oddała mi aparat, nakazując w wolnej chwili wykasowanie starego ramola.

Do hospicjum pojechałam autem, bo chciałam wrócić jak najszybciej, nakryć stół i przygotować wszystko na przyjazd gości. Miałyśmy jeszcze z ciocią przygotować miejsce do spania dla rodziców i babci.

Wysiadłam z samochodu wprost w kałużę. W nocy popadało, więc oczka wody gdzieś jeszcze stały. I jedno z nich akurat w miejscu mojego parkowania. Otrzeptałam buty, jednak poczułam, że woda przesiąkła do środka i teraz mam mokrą jedną skarpetkę. Trudno, taki chyba mój urok, że ciągle sobie muszę coś zmoczyć.

Nacisnęłam klamkę, kiedy nagle ktoś z drugiej strony zrobił to samo. Przestraszyłam się. Podskoczyłam w miejscu.

– Pani Joanna! – Usłyszałam okrzyk radości i nagle ktoś zawisnął na mojej szyi. – Jak się cieszę, że panią widzę!

Oswobodziłam się z uścisku. Przede mną stała pani Grażyna, mama Szpilki. Pierwszy raz widziałam ją tak rozpogodzoną.

– O, dzień dobry. Pani już wychodzi?

– Tak, na chwilę tylko wpadłam do Sylwuni. Biegnę teraz do pana Piotra Prażmowskiego. Ostatnio ma dla mnie same dobre wiadomości. Jestem pani dozągoną dłużniczką. Jak to dobrze, że nie pozwoliła mi pani się poddać. Pierwszy raz, odkąd Sylwia trafiła do tego miejsca, widzę światelko w tunelu. Ta aukcja, szukanie dawców. Czy pani wie, że jest szansa?

– Wiem, choć szansa była zawsze, teraz tylko ją przyspieszyliśmy i daliśmy jej większe pole manewru. – Uśmiechnęłam się. Widocznie nie czytała komentarzy pod artykułem na temat festynu.

– Lecę, muszę panią następnym razem zabrać na kawę.

– Z wielką przyjemnością.

Minęła mnie i szybkimi susami pokonała kilka schodów. Skierowała się od razu na parking. Spoglądałam na jej energiczny krok. Jeszcze jej takiej nie widziałam.

Weszłam do środka. Najpierw skręciłam do pokoju pani Ady, by dowiedzieć się dokładnie, jak wyglądają poszukiwania. Siedziała pochylona nad biurkiem i wypełniała jakieś dokumenty. Na mój widok lekko się podniosła, odpowiedziała na powitanie i zaprosiła, bym usiadła.

– Co tam słyhać, pani Joasiu?

– Wpadłam dziś tylko na chwilę. Ciocia ma urodziny i spodziewamy się gości.

– Proszę złożyć jej najserdeczniejsze życzenia.

– Złożę. Proszę mi powiedzieć, jak wyglądają szanse Szpilki. Piotr mówił, że zarejestrowano sporo dawców.

– Tak, ale ciągle szukamy. Wiadomo, że to nie takie łatwe, ale wszyscy jesteśmy dobrej myśli. Innej opcji nie zakładamy.

– Jeśli tylko będzie coś wiadomo, da mi pani znać?

- Oczywiście, o to proszę się nie martwić.
- Dziękuję. Idę teraz w takim razie do dziewczynek.

Wyszedłam z pokoju pani Ady lekko rozczarowana. Może podświadomie liczyłam na to, że dawca się znalazł, że już niedługo przeszczep i że wszystko skończy się szczęśliwie. Nie dostałam jednak żadnej gwarancji. Ten dzień więc nie różnił się za bardzo od poprzednich. Nadzieja ciągle wisiała w powietrzu, nabrzmiała od słów zaklinających rzeczywistość.

– Cześć! – zawołałam radośnie po przekroczeniu progu sali dziewczynek. Jakoś tu inaczej dzisiaj było. Kolorowo. Przez chwilę nie mogłam dociec, co się zmieniło. Wyręczyła mnie Pati.

- Widzisz, mamy nową pościel. Świetna, nie?

To pewnie te kolorowe powłoczki ożywiły wnętrza. Budyniowe ściany nie wyglądały już tak monotennie, a na ich tle pościel wyróżniała się barwami.

– Super. Piękna – powiedziałam z podziwem. – I każda ma inną. Co wy tu macie? – Podeszłam do łóżka Pati. Zaczęłam się przyglądać wzorzystej kołdrze.

- Jednorożce.

– A Mrówka co ma? – Zbliżyłam się do kolejnego łóżka. – Co to za stworki?

– To są sowy i słonie, ale to chyba nie jest z konkretnej bajki. Śmieszne, nie? O, a tutaj jeszcze pomiędzy nimi motylki.

- A ja mam Myszkę Minnie! – zawołała Szpilka. – Ogromniastą. – Zaśmiała się.

Faktycznie, miała na poszwie kołdry wielką myszkę z popularnej kreskówki. Czerwona sukienka w białe groszki, charakterystyczna kokarda na głowie i zabawna poza. Myszka stała bokiem, trzymając dłoń na biodrze i uśmiechała się zalotnie. Pościel idealnie pasowała do Szpilki.

- A skąd macie takie cuda?

– To po tym festynie. Podobno ktoś ufundował taką pościel dla wszystkich dzieci. Od razu nam zmieniono. Super, nie?

- Pewnie, cały pokój wygląda inaczej. Jakoś tak weselej.

– Ale się cieszę, że to dla mnie zrobiłaś! Może znajdą tego dawcę, co? – Szpilka westchnęła przy pytaniu.

- Trzeba być dobrej myśli.

– A pamiętasz, jak kiedyś rozmawialiśmy o złodziejce marzeń? Napisałaś taką bajkę, prawda? – spytała Mrówka.

- Jasne.

– No to może uda się tę złodziejkę pogonić.

- Myślę, że wspólnymi siłami powinno się udać.

– Kiedy choroba kradnie nasze plany, to taki dawca jest prawie jak Robin Hood, nie?

- Sprytnie kombinujesz.

Mrówka całkowicie zaskoczyła mnie logiką tej wypowiedzi.

– Bo zobacz, dawca ma dużo tego szpiku. Aż tyle mu nie potrzeba, tak? Może się podzielić.

- No tak, słusznie. Tylko że on kradł, a potem rozdawał.

– To wtedy lekarze są jak ten Robin Hood, bo zabierają bogatemu, a dają biednemu. Szpilka jest biedna, bo potrzebuje szpiku.

– Racja – potwierdziłam. Nie mogłam się powstrzymać, więc podeszłam do Mrówki i ucałowałam ją w czoło. Pozostałe dziewczynki spojrzały na mnie ze zdziwieniem. – A co mi tam, ucałuję was wszystkie! – Kiedy zbliżyłam się do Szpilki, wskazała palcem na moją dłoń. Początkowo nie zrozumiałam, o co chodzi.

- O, rany! – pisnęła dziewczynka.

– Zaręczyłaś się? – Patrzyła na mnie swoimi podkrążonymi oczami. W jej bladej chudziutkiej twarzy wyglądały na wielkie.

– Ale ciii – położyłam palec na usta. – Niech zaraz wszyscy nie wiedzą.

– Zaręczyłaś się? – wyszeptwała jeszcze raz Szpilka. Dziewczynki patrzyły na mnie wyczekująco, a ja kiwnęłam głową.

– O rany, ale super!

– Czyli zostajesz tutaj na zawsze! – zapiszczała Pati.

– Tego nie wiem. Myślę, że będę musiała wrócić do siebie, a potem się zobaczy. Wiecie, ja tam mam pracę.

– No ale tu masz przecież nas, tak?

– Wiem, ale to nie jest takie proste.

– Jak nie proste? Ożenisz się i będziesz z nami!

– Kobiety się nie żenią, tylko wychodzą za mąż – poprawiłam Pati. – Nie wiem jeszcze, co będzie, ale musicie wiedzieć, że jesteście dla mnie bardzo, bardzo ważne.

– O! I będziesz pisać dla nas bajki!

Zamyśliłam się na chwilę. Napisałam już kilka historii dla dziewczynek. Początkowo miałam za książki dostawać niewielką część honorarium, jednak w końcu zrezygnowałam z niego całkowicie. Dzięki dzieciom z hospicjum moje teksty zostały wydane, ożyły stworzone przeze mnie postaci, a ja zrealizowałam swoje marzenie o pisaniu. Już zupełnie zapomniałam, jak ważne kiedyś to było dla mnie. Zrozumiałam, że najlepiej pisze się, myśląc o konkretnym czytelniku. Zawsze, kiedy wystukiwałam tekst na klawiaturze, miałam przed oczami Szpilkę, Pati i Mrówkę. Powoli też dojrzewała we mnie myśl, by napisać poważniejszą historię dla Arka. Każde z tych dzieciaków mogło brać z moich książek to, co było dla nich najważniejsze. Wiedziałam, że czuły się dobrze w tych opowieściach, akceptowały wszelkie fantastyczne postaci i cuda. Wszystko to, czego nie mogłam im wytłumaczyć, znajdowały w bajkach.

– A ta twoja córka też jest fajna. Przyjdzie do nas jeszcze?

– Przyjdzie na pewno. Dzisiaj wpadłam tylko na chwilę, bo są urodziny cioci, więc mamy gości. Jutro przyjdę na dłużej, to się pouczymy i przyniosę wam po kawałku tortu. Chcecie?

– Pewnie. Lubię torty – szepnęła Mrówka. – A jaki to będzie? Bo ja najbardziej lubię czekoladowy. – A ja, a ja... cytrynowy – wtrąciła Szpilka.

– Ten niestety nie jest ani czekoladowy, ani cytrynowy. Za to ma w środku brzoskwinie i dużo, dużo śmietany. Luśka jeszcze go ozdobiła różowymi kleksami. Na pewno wam posmakuje.

– Może być brzoskwinowy – powiedziała pojednawczo Pati. – Taki też jest pyszny.

– To teraz was zostawiam. Zdrowiejcie mi tu, a jutro będę z trzema wielkimi kawałkami tortu, dobrze? Czterema, bo Arkowi też zaniosę.

– Dobrze – odpowiedziały chórem.

– Jeszcze was na odchodne ucałuję, bo jakoś mnie na sentymenty i czułości wzięło.

– Zakochani tak mają – szepnęła Szpilka, a dziewczynki głośno się zaśmiały.

– Myślicie?

– Pewnie, w książkach zawsze się tak zachowują, więc w życiu chyba też.

– Lecę. Pa! – Uściskałam każdą dziewczynkę po kolei. Pocałowałam w czoła, pogładziłam po głowach. I to zetknięcie z ich główkami przypomniało mi o ich chorobach. Szpilka nie miała w ogóle włosów, co powodowało, że wydawała się taka malutka i krucha. W dodatku te jej oczy... Niby się uśmiechała, rozmawiała radośnie, a rozszerzone źrenice skrywały w sobie tyle bólu, że można w nich było utopić każde szczęście. Lekki dreszcz targnął mym ciałem. Jednak byłam już blisko drzwi, więc dziewczynki nie mogły zauważyć mojego wzruszenia.

Rozdział 22

Punktualnie w południe próg domu cioci z impetem przekroczyła mama, dopiero po chwili pojawił się tata prowadzący pod rękę swoją teściową. Odruchowo oceniłam rozmiary ich bagażu i odetchnęłam z ulgą. Nie zanosilo się na długą wizytę ani na kolejny podstęp mojej sprytniej matki.

– No, nareszcie! – Ciocia krzyknęła na ich widok i od razu przystąpiła do ściskania. Najdłużej w objęciach trzymała swoją siostrę. Dawno się nie widziały. Babcia z trudem oswobodziła się z tego uścisku i wtedy dopiero mogła się przywitać ze mną i z Lusią.

– A gdzie Artur? – spytała przytomnie mama. Cały czas trzymała rękę na pulsie, najwidoczniej chcąc sprawę doprowadzić do szczęśliwego finału i zobaczyć dokument podpisany moim nowym nazwiskiem. – Nie będzie go?

– Będzie – odpowiedziałam. – Nie masz co się denerwować, zaraz przyjdzie.

– No to dobrze – odparła, a po chwili zwróciła się do cioci. – Gdzie mamy się rozlokować?

– Będziecie spać w pokoju obok Joasi, tam gdzie poprzednio, a Marysia ze mną. Co ty na to, siostrzo?

– A ja na to, jak na lato – odpowiedziała babcia i pomaszerowała od razu do odpowiedniego pokoju. Chciała tam zostawić swoje rzeczy. Rodzice też poszli się rozgościć w tymczasowym lokum. Miałam ochotę od razu zapytać, jak długo planują tu zostać, ale nie chciałam drażnić matki i zachęcać do dyskusji.

Zabrałam się do pracy, by nie myśleć o tym, co będzie. Lusia rozłożyła talerze na pięknie nakrytym stole. Ustawiła dwa świeczniki wykonane z mosiądzu. Wbiła na nie czerwone świece. Potem wyciągnęła sztućce z szuflady kredensu. Zaczęła je dokładnie wycierać ściereczką i rozkładać w odpowiednich miejscach.

Wyjęłam z lodówki część przystawek, resztę wyłoży się dopiero po obiedzie, żeby na stole stała zawsze jakaś przegryzka. Otworzyłam też dwie butelki wina, by oddychało. Kiedy stawiałam butelkę, zadzwonił dzwonek do drzwi. Nie zdążyłam się nawet odwrócić, gdy moja mama wystartowała z pokoju, by otworzyć. O mało nie pogubiła kapci, które były na nią trochę za duże. Ciocia przecież nie pozwalała gościom, którzy przyjeżdżali na dłużej, chodzić boso i każdemu prawie od progu przydzielała obuwie zastępcze.

– O, jak się cieszę! – zapiszczała niczym dzierlatka. – Właśnie o pana pytałam.

– Dzień dobry. – Artur przywitał się elegancko, pocałował jej dłoń, czym wprawił moją mamę w ekstazę. Musiałam ruszyć mu z odsieczą, bo inaczej trzymałaby go w przedpokoju do wieczora, mając na niego wyłączność.

– Mamo. – Odsunęłam ją delikatnie i chwyciłam Artura pod rękę. Ta, zadowolona z powitania, obciągnęła swój popielaty sweterek, dumnie prężąc pierś. – Przepraszam cię, ale Artur musi mi pomóc.

Mama oczywiście nie była zadowolona, lecz przepuściła swojego idealnego kandydata na zięcia. Prychnęła na mnie, jednak niczego nie skomentowała. Potem zakręciła się w kuchni, pozaglądała w garnki, do lodówki i przyszła za nami do pokoju. Artur rozkładał serwetki, Lusia kończyła zabawę ze sztućcami, a ja ustawiłam na środku jeszcze wazon z kwiatami. I wtedy mamusce błysnęło coś w oku. Nie zdążyłam się uchylić, kiedy do mnie doskoczyła i złapała moją dłoń. Poczulałam się tak, jakbym wsadziła palce w imadło. Nie było takiej siły, która pomogłaby mi wyrwać rękę z tego uścisku.

– Jasiu! Jasiu! – zaczęła drzeć się wniebogłosy. W pierwszej chwili oczywiście nikt nie wiedział, co się dzieje. Przybiegła ciocia z babcią, za nimi pojawił się wystraszony tata. Wszyscy

wpatrywali się w mamę i czekali na wyjaśnienia. – Zobacz! Nic nam nie powiedziała! Nic! Mówiłam ci, tak? Jak nie pojedziemy, nie sprawdzimy, to nic nie będziemy wiedzieć!

– Ale o co chodzi? – Tata nie bardzo rozumiał, co mama ma na myśli, więc ta potrząsnęła swoją dłonią, pokazując swój serdeczny palec. – Jak to o co? Patrz! Pierścionek! Z brylantem w dodatku!

– No i co? Pierścionek jak pierścionek. A skąd ty wiesz, że z brylantem?

– Z brylantem! To się wie! – krzyknęła. Miałam wrażenie, że matka ma w oku szkło jubilerskie i za chwilę ogłosi, ile to oczko ma karatów. Jednak ograniczyła się do wymownego spojrzenia w kierunku Artura. – A dlaczego to nic mi nie powiedzieliście? Zaręczyny, tak? – I ryknęła takim szlochem, że każda zawodowa płaczka mogłaby jej pozazdrościć umiejętności.

– Mamo, co ty odstawiasz? – Próbowałam wyszarpnąć dłoń. – Przypominam ci, że twoja córka niedługo skończy czterdzieści jeden lat, więc jest na tyle dorosła, że nie musi cię pytać o zgodę.

– A ja się tak starałam. – I znów szloch. – Tak traktować starą matkę. Wszyscy pewnie wiedzą, tylko nie ja. Luśka! Ty wiedziałaś?

Moja córka lekko przestraszona reakcją babci tylko kiwnęła głową.

– I babci nic nie powiedziałaś?

– Babciu... ja... – Lusia odruchowo spojrzała na swoją dłoń i wtedy mojej mamie zapaliły się nowe lampki ostrzegawcze.

– A co ty tam masz? – Podeszła do wnuczki i chwyciła ją dokładnie tak samo jak mnie wcześniej. Wszyscy z zainteresowaniem przyglądali się widowisku, a mama zachowywała się niczym rozwścieczone zwierzę. – Też pierścionek?

– Babciu...

– Nie babciu mi tutaj, tylko opowiadaj jak na spowiedzi.

– Bo Artur mnie poprosił o zgodę na ślub mamy.

– No to pięknie. No to pięknie. – Mama puściła w końcu dłoń Lusi i klapnęła na krzesło.

– A matka to co? Matki o zgodę pytać jednak nie trzeba? Tylko smarkatą?

– Babciu! Nie jestem smarkata! A Artur ma być moim ojczymem, więc dobrze, że spytał, czy sobie tego życzę! – Lusia w końcu się postawiła. – Ojca się nie wybiera, ale ojczyma już można.

– Brawo, córciu – pochwaliłam w nadziei, że mama nie usłyszy. Jednak napotkałam jej mordercze spojrzenie. Nic więcej już nie powiedziałam. Kątem oka widziałam tylko bezradnego i całkowicie spłoszonego Artura, który jeszcze nie miał okazji widzieć mojej mamuśki w akcji. Co prawda ostrzegałam go, że właśnie tak może to wyglądać, ale pewnie myślał, że przesadzam, bo nikt o zdrowych zmysłach nie odstawia takiego cyrku.

– Pięknie... – powiedziała i zaniósła się szlochem.

– Mamo, nie histeryzuj. – Mama jednak nie reagowała na żadne pocieszenia. Nawet kiedy babcia próbowała jej coś tłumaczyć, ta bez krępacji zalewała się łzami. Artur podszedł do niej, zaczął przeproszać, choć przecież nie miał za co, to jednak matka przedstawieniem, które nam urządziła, wzbudziła we wszystkich poczucie winy, że w tak ważnej chwili została pominięta.

Nagle się uspokoiła, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, otarła łzy i bardzo przytomnie zapytała:

– Kiedy ślub?

– No, my... – Artur zaczął dukać nieporadnie. Pewnie nie wiedział, co się dzieje. Nie przywykł do takich nagłych zwrotów akcji.

– Nie ustaliliśmy – wtrąciłam się. – Ale jak to zrobimy, to obiecuję, że dowiesz się pierwsza.

- Chcemy jeszcze poczekać...
- A na co czekać? Toż nie macie po dwadzieścia lat!
- Właśnie o to chodzi. Możemy więc to zrobić zupełnie na spokojnie.
- Tak myślałam, że będzie cyrk – podsumowała ciocia. – I się nie myliłam.

W tym momencie w domu rozległ się dzwonek do drzwi. Na szczęście to zakończyło dyskusję na temat magicznej daty i naszego wieku. Skorzystałam więc z okazji i pobiegłam otworzyć. W tym czasie mama całkowicie się uspokoiła. Wstała, poprawiła kreację, uklepała włosy, a na jej twarzy zagościł piękny uśmiech. Jak mechaniczna lalka. Pyk: płacz i histeria. Znowu pyk: piękny uśmiech. Jakby ktoś pociągał za sznurki lub naciskał odpowiednie guziki.

Otworzyłam drzwi. W progu stał Piotr ze swoją mamą, a za nimi zbliżały się już koleżanki cioci. Domyśliłam się, że siwa staruszka w czerwonym sweterku to była słynna Jadzia, z którą ciocia chodziła na kółko różańcowe. Tyle razy o niej opowiadała, że łatwo mi ją było zidentyfikować, szczególnie kiedy zbliżała się do progu ciocinego mieszkania. Drugą koleżankę, podkolorowaną na rudo (ku rozpaczyci cioci), też kojarzyłam z jej opowieści. Wspominała o jej włosach, bo „kto durny w tym wieku je farbuję?”.

Zaprosiłam wszystkich do wewnątrz. Ciocia przyjęła życzenia i kwiaty. Dopiero wtedy można było zasiąść do stołu. Do obiadu zostało jeszcze parę minut, o ile catering przyjedzie na czas.

Goście nieśmiało nalewali sobie napoje i próbowali przystawek. Wiedzieli, że za chwilę będzie główny posiłek, więc nie warto było się najadać. W duchu modliłam się, by mamuśka z niczym nie wyskoczyła. Spojrzałam na nią, ale ta siedziała zadowolona, uśmiechnięta od ucha do ucha i wpatrywała się w Artura niczym w święty obrazek. Można by pomyśleć, że na jej twarzy malowała się błogość, a nawet radosny stan otępienia. Być może robiła w głowie jakieś plany, ale trudno było stwierdzić na pewno, czy była w stanie racjonalnie myśleć.

Obiad pojawił się z pięciominutowym opóźnieniem. Obsługa rozłożyła wszystko w kuchni na stole i zabrała się do podawania nam pachnących dań na ładnych półmiskach. Przyznam, że genialnie to ciocia wymyśliła. Żadna z nas nie musiała się uwijać w kuchni ani obsługiwać gości. Wszystko podano do pokoju, przy tym elegancko udekorowane.

Jedliśmy powoli, toczyliśmy jakieś mało zobowiązujące rozmowy. Mama w końcu przestała się wpatrywać w Artura, ale nie omieszkała pożalić się, jak to wyrodna córka i idealny zięć, który przez tajemnicę dorobił się małej skazy, mogli tak długo milczeć i nic jej nie powiedzieć. Pani Beata próbowała jej wytłumaczyć, że dorosłe dzieci raczej żyją swoim życiem i najczęściej nie pytają w takich sprawach o zgodę, ale mama raczej takiej opcji do siebie nie dopuszczała. Musiała być na bieżąco.

W końcu Lusi udało się babcię zagadać i sprowadzić rozmowę na temat szkoły. Na jakiś czas więc nam odpuściła.

Piotr dyskutował o czymś z Arturem. Nie słyszałam o czym, bo mówili szeptem. Nawet chciałam ich upomnieć, że nie wypada, ale starsze panie tak do siebie krzyczały przez stół, że pewnie nikt tej cichej pogawędki dwóch facetów nie zauważył.

– Ja tam zawsze daję na msze za swojego starego! – wołała pani Jadzia. – Ochłapus ostatni był z niego, ale co tam, niech mu ziemia lekką będzie. I wimniątki za niego odmawiam, jak się należy.

- Ja za swojego też – wtrąciła się babcia. – Ale mój to dobry chłop był... – westchnęła.
- A widziałyście Lucynę? Tę od Januszków?
- A co z nią?
- Dawno jej nie widziałam.
- A która to?

– Taka babora, co z każdym tylko pierze drze. O byle co! – krzyczała pani Jadzia. Pewnie niezbyt dobrze słyszała, bo jak mówiła, to tak głośno, że chyba na końcu ulicy ją słyszano.

– A co z nią? – powtórzyła babcia. – Pamiętam ją, ale dawno nie widziałam.

– Przyszła ostatnio na cmentarz, durna baba, zagrabiła wokół grobu i mówi, że będzie teraz po śladach patrzeć, czy syn do ojca w odwiedzinie przyłądzi. Bo mówi, że ją dzieciśka oszukują, że niby na grób przychodzą, a ona im nie wierzy. I zagrabiła elegancko, by potem sprawdzić, czy ślady zrobili.

– Co ona? Oszalała?

– Chyba jakiegoś pomieszania dostała czy jak?!

– I jeszcze mi opowiadała, jakie to ślady ich buty robią, bo ona niby im szafkę przejrzała, by wiedzieć, że to oni.

Wszyscy parsknęliśmy śmiechem. Staruszki coraz bardziej rozochoczone wypitym winem przekrzykiwały się opowieściami z kościoła lub cmentarza.

– A wiecie, że Asia z Lusią odnalazły tego starego pryka? – powiedziała ciocia, kiedy w końcu dopchała się do głosu, bo przez okrzyki rześkich staruszek wcale nie było łatwo się przebić. W dodatku towarzystwo było prawie całkowicie sfeminizowane. Kobiety trajkotały jedna przez drugą, tylko Artur z Piotrem po cichu o czymś dyskutowali. Tata zabrał się do konsumpcji, choć kilka razy powtórzył, że musi sobie zostawić miejsce na tort.

– Bo tort chyba będzie, co? – spytał i już widziałam, że na samą myśl ślinka mu leci. Przytaknęłam, ale tak, by ciocia nie widziała. Z uwagą przysłuchiwałam się rozmowie starszych pań. Na słodkości przyjdzie jeszcze pora.

– Jakiego starego pryka?

– No, tego całego Henryka. Pamiętacie przecież.

– Henryka? Tego twojego Henryka sprzed kilkadziesiątu lat?

– Nie mojego, ale tego.

– A po co one go odgrzebywały?

Lusia zaczęła chichotać, bo zabrzmiało to, jakbyśmy z łopatami po cmentarzu biegali.

– To on żyje?

– I co?

– Gdzie on teraz? – przekrzykiwały się, zadając pytanie za pytaniem, a żadna nie czekała na odpowiedź, tylko od razu rzucała następne. Ciocia po lampce wina najwyraźniej była rozochociona i skora do zwierzeń. Nie myślałam, że dwie butelki na stole tak łatwo rozwiążą języki.

– Spryciara ta moja córcia. Po mnie to ma. – Mama aż lekko uniosła się z krzesła, by z dumą klepnąć się w pierś. Potem poprawiła sweterek i oklapła na siedzenie.

– To opowiadaj w końcu! – zawołała pani Prazmowska wyraźnie już zniecierpliwiona.

– Znalazły go w jakimś domu starców – powiedziała ciocia z satysfakcją w głosie.

– A i dobrze mu tak, niech jeszcze pożyje.

– To prawda, że on tak za babami latał, kiedy stąd wyjechał? Różnie o nim potem opowiadali. Jedni, że niby jak pustelnik żyje, a inni, że rozpustnik.

– Czort go wie, ale miał drugą żonę, z którą się rozwiódł.

– A widzisz, od razu ci mówiłam, że on nie dla ciebie. I mamusia ci tłumaczyła, że kłopoty z tego będę, a ty za nim latałaś jak głupia.

– To nie ja latałam, tylko on.

– Dobrze, nieważne. Ale dlaczego on w domu starców jest?

– Bo stary – wtrąciła pani Jadzia inteligentnie.

– Jo! Ale dzieci ma? Nie mogły się zająć?

– Czort wie. Asia ma jego zdjęcie w komórce!
– Pokaż! – Wzrok wszystkich starsuszek nagle spoczął na mnie. Poczułam taką presję, że bez wahania wyjęłam swój aparat i odnalazłam w nim Henryka, którego na szczęście nie miałam jeszcze czasu wykasować. Podałam telefon cioci, a ta przekazywała go dalej. Każda z kobiet uważnie się przyglądała.

– Aśka, a po co ty go szukałaś? – spytała mama.
– Nie mam pojęcia – odparłam zgodnie z prawdą. – Może chciałam, by ciocia się z nim spotkała...

– Na miłość boską, a po co?!
– Nie wiem... – zawahałam się. – W końcu może genialne plany mi się od ciebie udzieliły.

– Ja to bym pewnie inaczej to pomyślała.
– Z pewnością. Gdybyś ty się tym zajęła, to pan Henryk siedziałby z nami przy stole – zakpiłam.

– A tfu! – zawołała ciocia. – Tylko tego by mi było trzeba.
– Ty – zaczęła pani Jadzia – ale to stetryczyła dziad!
– Toż mówię.

Ciocia nagle zerwała się z krzesła. Trochę się zachwiała, ale po odzyskaniu równowagi wyskoczyła zza stołu i pognała, szurając kapciami, do swojego pokoju. Po chwili wróciła, dzierżąc w dłoni fotografię. Nie musiałam na nią patrzeć. Wiedziałam, co przyniosła. To przecież jej jedyne zdjęcie z Henrykiem. Od razu podała je przyjaciółkom i zaczęły porównywać Henryka w wersji „ciacho” z wersją „stetryczyła dziad”. Chichotały przy tym niczym dzierlatki. Kiedy im się przyglądałam, pycho samo mi się uśmiechało, bo w zasadzie nie ma różnicy, czy człowiek ma osiemnaście czy osiemdziesiąt lat. Jeśli mu humor i zdrowie pozwalają, zachowuje się dokładnie tak samo.

Skorzystałam z zamieszania ze zdjęciem i poszłam do piwnicy po tort. Postawiłam go w kuchni na stole. Na szczęście firma cateringowa zabrała już stąd swoje naczynia, a po resztę półmisków mają wrócić jutro. Odszukałam w szufladzie dwie świeczki: ósemkę i piątkę. Wetknęłam je w odpowiednie miejsca i zapaliłam. Kiedy weszłam do pokoju, wszyscy zamilkli i jak na komendę wstali, śpiewając cioci „Sto lat”. Dzięki temu udało się zakończyć temat Henryka. Ciocia się wzruszyła, popłakała, poprzytulała jeszcze kogo sięgnęła i dopiero wtedy można było przystąpić do krojenia tortu.

– Nie pieść się tak, możesz mnie duży kawałek ukroić – upomniała mnie pani Jadzia, która po chwili dodała, że ma cukrzycę, ale urodzinowego tortu to sobie nie odmówi i wcale nie ma zamiaru się oszczędzać.

– Pamiętaj, że potem jakieś biedne chłopaki będą twoją trumnę dźwigać – zaśmiała się ciocia.

– E tam, to ich problem, nie? Niech się wtedy żywi martwią. A co ja mam sobie na stare lata żałować.

– Pewnie, nie ma co.

– Ja to mam zamiar żyć do dziewięćdziesięciu pięciu, a potem to się zobaczy – podsumowała ciocia.

Do końca wieczoru panowała już bardzo ożywiona atmosfera. Nawet mężczyźni przyłączyli się do rozmowy. Tata opowiedział kilka kawałów, ale kiedy zaczął mówić o teściowej jako stojaku na rower, a Artur parsknął niekontrolowanym śmiechem, mama tak na niego spojrzała, że już nie silił się na żaden dowcip. Mnie coś zarechotało w duszy, bo okazało się, że ten kryształowy kandydat na zięcia ma jednak według mamusi jakieś wady.

Rozdział 23

Przekroczyliśmy próg galerii, w której miał się dziś odbyć wernisaż Jaromira. Szłam z niechęcią pomieszaną z ciekawością. Z jednej strony chciałam zobaczyć jego prace, bo niewątpliwie był bardzo zdolnym artystą, a z drugiej, nie miałam ochoty oglądać jego wrednej mordy. Znów pewnie będzie robił mi złośliwości, więc postanowiłam cały wieczór umiejętnie go unikać. Zresztą miałam obok siebie silne ramię Artura, więc zawsze mogłam się schować za nim i uniknąć werbalnej potyczki.

Ciocia dziarskim krokiem szła obok nas. Nie pozwoliła się prowadzić pod rękę. Uważała, że sama sobie świetnie poradzi. Na wszelki wypadek zabrała z domu laskę, by mieć „w razie obrony, gdyby jakiś zboczeniec na nią wyskoczył”.

Na wystawę przyszło sporo ludzi. Pomieszczenia nie były zbyt duże, więc panował całkiem niezły ścisk. W jednej sali wisiały prace Jaromira, w drugiej poustawiano krzesła dla gości. Z tyłu urządzono szwedzki stół z napojami i przekąskami.

Zajęliśmy odpowiednie miejsce w przedostatnim rzędzie, żeby za bardzo nie rzucać się w oczy. Zgodnie z programem na początku miał wystąpić lokalny zespół mający w repertuarze poezję śpiewaną. Teksty napisała miejscowa poetka, a muzykę skomponował jej mąż. To miała być oprawa do obrazów ukazujących przedwojenny Starogard. Nie mogłam się doczekać, kiedy zobaczę dzieła Jaromira. Ukradkiem więc spoglądałam na zegarek i sprawdzałam, ile mogą potrwać występy wokalne.

Po zakończeniu koncertu przedstawiono dorobek artysty. Potem on zabrał głos i opowiedział o inspiracji do stworzenia tej wystawy. Trochę mówił o historii miasta, o elementach architektonicznych, które na stałe zniknęły już z kociewskiego pejzażu. I musiałam przyznać, że kiedy opowiadał, słuchało się go z przyjemnością. Co prawda kilka razy próbował błysnąć dowcipem i nawet sala ryknęła śmiechem, ale według mnie mógł to sobie darować. W końcu jednak śpiewom i przemówieniom dano spokój i zaproszono nas do oglądania obrazów.

Powoli, trzymając się Artura, przesuwałam się w rzędzie ludzi.

– Weź ciocię pod rękę, bo zobacz, ona może się w tym tłoku nie czuć dobrze – szepnęłam, a on niezbyt chętnie, ale zamienił mnie na moją ciocię. Posuwali się przede mną, kiedy w końcu tłum nas rozdzielił. Ja jednak całkowicie zajęta byłam oglądaniem obrazów. Chłonełam każdy centymetr kwadratowy. Jaromir miał niezwykłą kreskę. Potrafił ująć jakąś tajemnicę, coś magicznego w atmosferze miasta. Nie mogłam oderwać wzroku.

Stałam naprzeciwko płótna przedstawiającego Rynek od rogu ulicy Chojnickiej. Podobno tak wyglądał w tysiąc dziewięćset piątym roku. Niezwykłe! Kolorowe kamieniczki, a przed nimi dwie dorożki. W jednej z nich elegancko ubrane mieszczki. Na koźle dumny woźnica. Kobiety nachylały się do siebie, jakby były pogrążone w rozmowie. Jaromirowi udało się złapać je na gorącym uczynku wymieniania ploteczek, a przecież kopiował ze starych pocztówek. Patrzyłam na to i niemalże słyszałam głosy ulicy. Stukot kół po bruku, rozmowy przechodniów. Miasto na obrazie żyło. Próbowałam odtworzyć z pamięci, jak wygląda to miejsce dzisiaj. Nie bardzo pamiętałam jeszcze nazwy ulic i nijak nie umiałam się w myślach odpowiednio ustawić na Rynku. Nie rozpoznawałam kamienic.

Potem przeniosłam wzrok na obraz obok. Przeczytałam opis: „Zejdźcie do parku pod mostem Chojnickim”.

– Który to most? – Nieświadomie spytałam dość głośno, bo widok z tysiąc dziewięćset siedemnastego roku kompletnie nie kojarzył mi się ze współczesnym Starogardem.

– Ten, jak się idzie do parku. – Usłyszałam za sobą. Odwróciłam się. Za mną stał Jaromir. Uśmiechał się. Ale w jego spojrzeniu było coś, co powodowało mój niepokój. Odszukałam

wzrokiem Artura z ciocią, byli po drugiej stronie sali.

– Podoba ci się? – spytał.

Wróciłam wzrokiem do obrazu. Niezwykle ujęcie. Widok z perspektywy jakiegoś przejścia czy tunelu. Jakby to było zdjęcie. Na pierwszym planie dziecko spoglądające w oko artysty. Tuż obok kobieta w białym fartuchu przewiązany w pasie, a za nimi pośrodku dziewczyna, również spoglądająca jakby na widza. Po bokach stare zabudowania. Po lewej wałaca się drewniana chałupa, po prawej murowane budynki, jeden z nich z napisem *Möbel Magazin* przypominającym o wszechobecności Niemców na tych terenach.

– Piękne, gratuluję – powiedziałam, nie patrząc na niego. Niezręcznie się czułam, kiedy tak stał za moimi plecami.

– Słyszałem, że się zaręczyłaś – szepnął. – Też gratuluję.

– Dziękuję.

Chciałam zrobić krok naprzód, ale jakiś gruby jegomość właśnie wcisnął się przede mną i utrudnił mi przejście. Chcąc nie chcąc, musiałam chwilkę poczekać, aż się zrobi miejsce.

– Myślę, że się będziesz nudzić.

– Co?

– Zanudzisz się przy Doktorku – mówił bardzo cicho, nachylając się nade mną.

– Odczep się, co? – syknęłam. – Nic o mnie nie wiesz.

– Oj, wiem, wiem. Widzę z jakiej jesteś gliny – zaśmiał się. – Umrzesz z nudów. Już ziewasz.

– Spadaj. – Wyminęłam go. Podarowałam sobie też obejrzenie kilku obrazów. Podeszłam od razu do Artura i cioci, bo szczęśliwie obok nich było więcej wolnej przestrzeni. Obejrzałam się jeszcze w stronę Jaromira. Kiwnął mi tylko głową i wyszczerzył głupio zęby. Zaklęłam siarczyście w myślach. Diabli go normalnie nadali. Co on wie o moim życiu? Miesza mi w głowie. Artur to najcudowniejszy człowiek na świecie. Ma wszystko to, czego potrzebowałam.

– Coś się stało? – spytała ciocia.

– Nie, nic. Bałam się, że was zgubię.

– Przecież to mała sala. – Spojrzała na mnie przenikliwie. Potem obejrzała się w stronę Jaromira, ale na szczęście już gdzieś zniknął. – To pilnuj się, dziecko. Bo zgubić się jest bardzo łatwo, potem z odnalezieniem gorzej. – Złapała mnie za dłoń. – Wiem coś o tym.

Artur skupiał uwagę na obrazach, więc nie słyszał naszej rozmowy. Kiwnęłam cioci głową. Ja to wszystko doskonale wiedziałam... Chyba.

– Zobacz. – Ciocia nagle zmieniła temat i palcem wskazała na jeden z obrazów. – Ten widok doskonale pamiętam. Przed ratuszem była taka fontanna. Chlapaliśmy się tam z dziećmi wodą, kiedy było ciepło. A z tej strony, tutaj po lewej, jak tak patrzysz, był posadzony „Dąb Wolności”. Już go nie ma. Sama go nie pamiętam, nie wiem, czy to podczas wojny został zniszczony, czy potem go ścięto. Całkiem o nim zapomniałam. Mama mi opowiadała. W ogóle to były czasy... W dwudziestym roku wkroczyły wojska generała Hallera, wtedy miasto odzyskało niepodległość – westchnęła. – Nie na długo, ale to było coś. Mama prawie całe swoje życie wspominała, jak wtedy płakała z radości.

– Nie spodziewałem się, że ten facet tak dobrze maluje – wtrącił Artur. Co prawda, już ilustracje do twoich bajek robiły wrażenie, ale tutaj udało mu się uchwycić coś ulotnego, trudno to nazwać...

– To prawda.

– Kupimy sobie jeden obraz? – spytał po chwili. – Do naszego wspólnego domu. – Pocałował mnie w policzek.

– Jeszcze może się nie spieszymy. Nie ma co zapeszać.

– Dobrze, dobrze. Jak będziesz gotowa.

Obejrzeliśmy resztę wystawy. Przy każdym obrazie cioci się coś przypominało i dopowiadała historię miejsca. Wernisaż był dla mnie niezłą wędrówką po starym Starogardzie. Arturowi udzielił się entuzjazm cioci i też zaczął opowiadać o urokach Kociewia. Zauważyłam, że wokół nas toczyły się podobne rozmowy. Jaromirowi udało się pootwierać w ludziach szkatułki ze wspomnieniami. Albo własnymi, albo zasłyszanymi od rodziców i dziadków.

Rozdział 24

– Jesteś piękna – szepnął i pochylił się nade mną. Jedną ręką podpierał głowę, w drugiej dłoni trzymał źdźbło zboża i muskał mnie nim po nagim ramieniu. Mrużyłam oczy, bo słońce świeciło dość mocno. Był czerwiec, czas nieubłaganie zbliżał mnie do wyjazdu. Wciąż nie miałam pewności, czy jechać, czy zostać. Serce mówiło jedno, rozum drugie, a Luśka jeszcze swoje. Nie wiadomo było, kogo słuchać.

Zboże szumiało. Ciężkie kłosa od czasu do czasu się nam kłaniały pod wpływem wiatru. W pośladki lekko kłuło to, na czym rozłożyliśmy koc. Pewnie właściciel pola nie będzie zadowolony, gdy zobaczy wydeptany kwadrat pośrodku.

– Dobrze mi tak.

– Mnie też. Mógłbym patrzeć na ciebie godzinami. – Musnął moją nagą pierś. Od razu pojawiła się gęsia skórka na całym ciele. Po chwili położył na moim brzuchu kwiat maku. Kontrastował z białą skórą. Czerwień przyciągnęła moje spojrzenie.

– Muszę ci przyznać, że piękne te twoje kociewskie łąki i pola. – Przewróciłam się na bok. Kwiat wpadł pomiędzy nasze ciała. Pogłodziłam go po ramieniu. – Naprawdę piękne. Będą teraz mi się kojarzyć z zapachem twojej skóry.

– A czujesz w ogóle, jakie tu jest powietrze? U siebie takiego nie masz. – Uśmiechnął się. Jego dłoń leniwie błędziła po moim udzie.

– No nie mam. I takich zapachów, i kolorów. – Przymknęłam oczy. Odtworzyłam w pamięci niczym na zwolnionym filmie obrazy miejsc, w które ostatnio zabrał mnie Artur. Niebieskie chabry, czerwone maki na tle zielonych łąk. To zapamiętam. I Wierzycę, w której dwa dni temu moczyłam nogi. I wierzby płaczące pochylające się nad wodą. I stare drzewa przy polnych drogach, którymi jechaliśmy rowerami. A to wszystko przepojone nie tylko słodkimi zapachami kwiatów i powietrza, lecz przede wszystkim wonią skóry Artura. Wiedziałam, że jak tylko wrócę do siebie, zatęsknię za nim. Jednak cały czas uparcie powtarzałam, że muszę wrócić, że bez pracy nie mogę tu zostać. Dyrektorka z Tczewa nie dała odpowiedzi. Wczoraj do niej zadzwoniłam. Powiedziała, że raczej nic nie wyjdzie z mojego zatrudnienia, bo prawdopodobnie nauczycielka, którą miałam zastąpić, nie wybierze się jeszcze na emeryturę. Złożyłam podania we wszystkich okolicznych szkołach i nic. Napisałam do stowarzyszeń i domów kultury – bez odzewu. Najwyraźniej nikt mnie tutaj zawodowo nie chciał.

– Artur, za dwa tygodnie wyjadę – zaczęłam. – Muszę odebrać mieszkanie od moich lokatorów.

– Pojadę z tobą – rzucił i delikatnie pocałował mnie w ramię, co trochę mnie rozkojarzyło. – Bo inaczej może nie wrócisz.

– Jeszcze wrócę, bo Lusia się uparła, że jednak tutaj będzie chodzić do szkoły. Załatwiła już internat od przyszłego roku. Do połowy sierpnia posiedzę. Mówi, że jest zmęczona dojeżdżaniem, ale zostaje.

– A mama nie może odebrać kluczy od lokatorów?

– Mama jest ciągle obrażona. Przecież zaręczyliśmy się bez jej zgody, a to niedopuszczalne.

– Zadzwoń, pogadaj z nią.

– Wiesz, wydaje mi się, że nawet wolę stan, kiedy jest obrażona, bo od kilku tygodni mam święty spokój. Nikt niczego nie knuje za moimi plecami, nie urządza mi życia, nie szuka męża.

– Spójrz na to z innej strony. – Zaśmiał się, a jego dłoń powędrowała na moje podbrzusze.

– Twoja mama ma genialny gust.

– Ha, ha, ha. I ty, Brutusie?

– Bieliznę wybrała ci seksowną, więc zna się na rzeczy. Szczególnie ta czarna mi się podoba. Na samą myśl... – Nachylił się i ustami zaczął pieścić moją pierś. Zamknęłam oczy. Jego dłoń zdecydowanie powędrowała na pośladek i delikatnie na nim zacisnęły się jego palce. Aż zadrżało wszystko w moim żołądku.

– Artur... – Pogoniłam motyle z brzucha, próbując zapanować nad podnieceniem. – Wiesz, ja bym chciała, żebyś jednak... – Usiadłam, uniemożliwiając mu pieszczotę. – Pamiętasz, że wygrałam kiedyś nasz zakład i mogę mieć jedno życzenie?

– Już się boję, bo coś mi się wydaje, że to zapowiada kłopoty.

– Chciałabym, żebyś ten pierścionek przechował u siebie. Dasz mi go jeszcze raz jak wrócę, co? – Ściągnęłam z szyi złoty łańcuszek, potem pierścionek. Artur przestraszony patrzył na mnie pytająco. – Nie bój się, nie zrywam naszych zaręczyn.

– To po co to robisz?

– Tak się będę czuła lepiej. Będę wiedzieć, że na mnie czekasz. Wrócę najszybciej, jak się da, to znaczy, jak znajdę pracę.

– Asia, to chore. A jeśli nie znajdziesz, to co?

– To muszę dojrzeć do myśli, że będę kurą domową. – Starłam się uśmiechnąć, ale wyszedł mi chyba grymas na twarzy. – Chcesz mieć kurę?

– Kury są bardzo smaczne. – Cmoknął mnie w policzek. A ja zapięłam mu na szyi łańcuszek z pierścionkiem.

– Tylko chowaj go pod koszulkę, bo jakaś kobieta jeszcze go od ciebie wyłudzi.

– Tak jest.

Teraz ja pocałowałam jego, a on w odwecie mocno mnie do siebie przytulił. Poczułam jego dłoń na plecach. Potem jego dotyk powędrował wzdłuż kręgosłupa, palce delikatnie zaciskały się na pośladkach. Sprawnymi ruchami powtarzał pieszczoty, którymi tak chętnie mnie obdarzył pół godziny temu. Miałam wrażenie, że robi to bardziej zapamiętale, jeszcze namiętniej niż poprzednio. Już nie przerywałam, tylko odwzajemniałam wszystko to, co od niego dostałam. Spełnienie przyszło szybciej niż przypuszczałam. Moje ciało starało się zapamiętać każde najdelikatniejsze muśnięcie. Musiało przecież zabrać to wspomnienie ze sobą.

– Pora wracać. Już mnie tyłek boli, coś mi się nawbijają od tej twardej ziemi. Za cienki koc.

– Jesteś jak księżniczka na ziarnku grochu.

– A nie wiedziałaś, że zakochałeś się w księżniczce?

– Myślałem, że w kurze.

– No, niech będzie kurza księżniczka.

Ubraliśmy się szybko. Wytrzepaliśmy koc i z trudem przedarliśmy się przez zboże do utwardzonej ścieżki. Do domu mieliśmy około siedmiu kilometrów. Jechaliśmy powoli, bo nie mogłam oderwać wzroku od kolorów. Artur oczywiście od czasu do czasu opowiadał, co widzimy, gdzie jesteśmy i jak pięknie jest kilka kilometrów dalej. Robił biedak wszystko, by rozkochać mnie w miejscu, w którym żył. I muszę przyznać, że całkiem nieźle sobie radził. A jego spokój, opanowanie i radość życia działały na mnie jak najlepsze specyfiki.

Rowery zostawiliśmy w garażu Artura, a potem spacerkiem odprowadził mnie do domu. To było wyjątkowe popołudnie w jego towarzystwie.

– Wejdiesz do domu? – spytałam przed furtką.

– Nie, wieczorem jeszcze przecież idę na dyżur. Muszę się trochę zdrzemnąć.

– To do zobaczenia jutro. I nie myśl za bardzo o mnie, bo przez pomyłkę wytniesz nie to, co trzeba.

Artur zaśmiał się, przyciągnął mocno do siebie i pocałował w nos.

– Ty moja mała mądralińska kuro.

– Dobra, leć, bo nigdy się nie rozstaniemy, a jutro też jest dzień.

– Pa. – Kolejny całus wpadł mi w prezencie, tym razem prosto w usta.

Chwilę patrzyłam, jak Artur odchodzi uliczką. Po kilku metrach skręcił w prawo i zniknął mi z horyzontu. Wtedy mój wzrok zwabił ruch za oknem kuchni cioci. A! Ktoś mnie podglądał. Ciekawe, czy to Lusia, czy Zosia jest tak wścibska.

Szybko pokonałam kilka schodów. Otworzyłam drzwi i wbiegłam do kuchni.

– A kto taki ciekawski?! – krzyknęłam. Koło zlewu, przed oknem z zupełnie niewinnymi minami stały ciocia z Lusią. Uśmiechały się od ucha do ucha i udawały, że to nie one przed chwilą wyglądały przez okno, by zorientować się w sytuacji.

– A fuj, takie miziu-miziu, normalnie jak dzieci – fuknęła Lusia. – Chcesz, mam, herbatę?

– A, poproszę.

– Nie takie fuj. Dobrze popatrzeć na kochających się ludzi. Bo kochasz go, prawda?

Usiadłam przy stole i czekałam na obiecaną herbatę. Ciocia od razu znalazła się naprzeciwko mnie. Zajęła odpowiednie krzesło i zaczęła mi się przyglądać.

– Co ja mam, ciociu, zrobić? – spytałam i podparłam głowę rękoma.

– Co ty nie wiesz? – wtrąciła się Lusia. – Zostać tu ze mną, nie? A nie tak porzucać jedyną córkę na końcu świata, gdzie koty się marczą.

– Córciu, obiecałaś kiedyś, że po urlopie matki wrócimy grzecznie do domu.

– Oj tam, oj tam. Niczego takiego nie obiecywałam.

– Asiu – przerwała nam te żartobliwe przepychanki ciocia. – Jeśli go kochasz, to zostań. Praca wcześniej czy później się znajdzie. Szybciej tutaj to nastąpi, niż jak będziesz tam. Poznasz więcej ludzi i a nuż coś się zdarzy.

– Ale ja się boję... Mam Lusię. A jak coś nie wyjdzie?

– Jezu, mam, jaka ty panikara jesteś. Toż ten Artur jest porządny facet. Może nawet aż za bardzo! A ty ciągle się boisz.

– Raz już się przejechałam na porządnym.

– Ale to było dawno temu.

– Dawno, ale bolało przez wiele lat.

– Artur to nie tata. Jest okej. Ja ci to mówię.

– Może czasami warto posłuchać córki? – spytała ciocia. – Ona mądrze gada.

– Kurde! Jakie to trudne!

– Nikt nie mówił, że będzie łatwo. – Lusia postawiła przede mną kubek z herbatą. Sobie też postawiła garnuszek z gorącym napojem. Ciocia odmówiła, bo stwierdziła, że zrobi sobie o siemnastej. Wtedy zje kolację. – Ale ja myślę, że to jest świetna okazja.

– Na co? – Spojrzałam na nią ze zdziwieniem.

– Jak to na co? Mam! W końcu wszystko układa się w całość. Patrz. Marzyłaś o pisaniu? Kiwnęłam głową i ciągle nie wiedziałam, do czego zmierza ta moja pierworodna.

– Marzyłaś o kawiarni?

Znów niemo potwierdziłam.

– No, to sprzedajesz mieszkanie, kupujesz lokal, zakładasz kawiarnię, pieczesz te swoje ciasta i masz pracę. W dodatku wymarzoną. – Patrzyła na mnie z satysfakcją.

– A mieszkać będziemy pod mostem? – spytałam ironicznie.

– Jakim mostem? A ja? – Ciocia oburzyła się na moje pytanie. – Aśka, czy ja ciebie wyganiam? Dzieciak dobrze mówi, rozsądny. Ma to pewnie po mnie – odparła z dumą i

poklepała Lusię po dłoni.

– Dlaczego według was to wszystko jest takie łatwe?

– Bo jest! Tylko ty to sama komplikujesz!

– Łatwo powiedzieć – mruknęłam, ale moje myśli zaczęły krążyć wokół pomysłu Lusi.

Dlaczego sama o tym nie pomyślałam? Pewnie tak bardzo zatopiłam się w pozornym bezpieczeństwie państwowej posady, że nie dopuszczałam do siebie innej opcji. Trzeba przyznać, że moja córka umiejętnie zasiała we mnie ziarenko z moim odwiecznym marzeniem. Bałam się tylko, by nie okazało się szklane i kruche jak figurki cioci.

– Nie dzwoni ci przypadkiem telefon? – Lusiu wstała i nasłuchiwała, skąd dobiega dźwięk. I faktycznie gdzieś pyrkął jakiś wyciszony aparat.

Namierzyłam go i odebrałam połączenie.

– Cześć – rzuciłam w słuchawkę, kiedy usłyszałam Piotra. – Coś się stało? – Zdziwił mnie, bo miał podekscytowany głos. Trochę nietypowo jak na niego.

– Mamy to! – krzyknął tak, że oddaliłam lekko telefon od ucha, bo popękałyby mi bębenki.

– Co mamy?

– Dla Szpilki! Bank się odezwał! Mamy!

– Piotr, mów jakoś logiczniej, bo ja nie bardzo cię rozumiem. Jaki bank? Co mamy? I co ze Szpilką?

– Szpik mamy!

– Jezu! – Podskoczyłam w miejscu. – Żartujesz?!

Ciocia z Lusią patrzyły na mnie jak na wariata, a ja zaczęłam podskakiwać z telefonem przy uchu i darłam się wniebogłose.

– Mamy! Znalazł się dawca! Niedługo rozpoczną się wszystkie procedury związane z przeszczepem. Ale rozumiesz to? Udało się!

– Jezu, jak się cieszę. Piotr, dzięki za wiadomość. Normalnie jesteś kochany!

Podskakiwałam dalej. Aż Nutuś przybiegł do kuchni zainteresowany okrzykami i spoglądał na mnie przestraszony. Może zaczął się martwić, czy jego pani nie doznała pomieszania zmysłów. Piotr pożegnał się ze mną, bo tłumaczył, że musi wykonać kilka telefonów i dokładnie się zorientować w sytuacji. A ja miałam od razu ochotę biec do hospicjum, by sprawdzić, czy Szpilka już wie, czy jej mama została powiadomiona i co na to pani Ada. Sama nie wiedziałam, co mam zrobić teraz z nadmiarem energii, która mnie rozsadzała od wewnątrz. Dopiero po chwili zauważyłam, że Lusiu i ciocia ciągle się we mnie wpatrują.

– Trochę kochliwa jesteś – zażartowała moja spostrzegawcza córka. – Przed chwilą mówiłaś, że kochasz Artura, a teraz wyznajesz komuś prawie miłość przez telefon, w dodatku w takiej euforii, że aż boję się pomyśleć, co ci zrobił.

– Luśka! – Dostoczyłam do niej i zaczęłam ją ścisnąć. – Znalazł się dawca dla Szpilki. Rozumiesz?

– Rozumiem, ale zaraz mnie udusisz.

– Sorki, ale tak się cieszę!

– To dobra wiadomość. Oby się wszystko udało, bo to dziecko przecież, żyć powinno.

– Ciociu, trzeba być dobrej myśli. Wszystko pójdzie dobrze, zobaczysz.

– Oby, oby – szepnęła. – Zresztą mówiłam, że to obiecane z góry – dodała już innym tonem.

Trochę mnie zaniepokoił sceptycyzm cioci, ale szybko odgoniłam od siebie czarne myśli, które próbowały wcisnąć się obok entuzjazmu, który tam zagościł.

– Super, mamo. A co teraz, kiedy już dawcę znaleźli?

– Nie mam pojęcia. No, przeszczepią, dadzą chyba leki... – zawahałam się, bo faktycznie nie miałam pojęcia, jak to wygląda dalej. Postanowiłam więc biec jutro rano do hospicjum, by wypytać o wszystko panią Adę. Niech mi wyjaśni, jak wyglądają dalsze procedury.

– Idę sprawdzić w necie – stwierdziła Lusja i po chwili zniknęła w swoim pokoju. Pacnęłam się w łeb. Oczywiście! Szybko włączyłam laptopa, by poczytać na ten temat. Nawet nie słyszałam, co ciocia do mnie powiedziała, tylko zajęłam od razu myśli przeszczepem szpiku.

Wpisałam odpowiednie hasło w Google. Przejrzałam kilka stron. W zasadzie wszędzie to samo. Warunki, jakie musi spełnić dawca, kto może nim zostać, czym jest szpik, czym jest bank dawców i tym podobne. Szukałam dalej. W końcu trafiłam na portal, na którym dokładnie było wyjaśnione, jak wygląda przeszczep. Zamarłam. Najpierw należało zniszczyć szpik chorego pacjenta. Trwało to około dwóch tygodni. Dopiero wtedy mógł nastąpić przeszczep szpiku od dawcy. Informacja na dole strony, zapisana wytłuszczonym drukiem, spowodowała, że wstrzymałam oddech.

Co się stanie, gdy w ostatniej chwili dawca zrezygnuje? A ma przecież do tego prawo. Co się stanie? Pacjent umrze. A dalej ostrzeżenie, że jak już się zdecydujesz, to nie rezygnuj w ostatniej chwili. Bycie dawcą to nie chwilowa moda. Albo chce się oddać część siebie, albo nie.

Po ciele przeszedł mi dreszcz. A jeśli? Odgoniłam od siebie czarne myśli. Nie! Na pewno nie!

Pobiegłam po telefon. Cioci nie było już w kuchni. Zniknęła w łazience. Pewnie brała kąpiel, bo słychać było przez drzwi lejącą wodę. Wybrałam odpowiedni numer.

– Cześć, mamó – powiedziałam, kiedy usłyszałam jej głos.

– O, czyli jednak pamiętasz o matce, tak? Teraz to mamó, a jak trzeba...

– Mamó, proszę cię, odłóżmy tę zimną wojnę na kiedy indziej. Jest problem. Poważny problem.

– Mów. – Mama na szczęście automatycznie przełączała się na tryb działania. Pokrótce opowiedziałam jej o dawcy dla Szpilki, o tym, jak wyglądają procedury.

– No, dobrze, ale co ja mam zrobić? – spytała konkretnie.

– Mam do ciebie prośbę. Miałam jechać za dwa tygodnie do domu, by spotkać się z lokatorami mojego mieszkania. Trzeba odebrać klucz i sprawdzić mieszkanie.

– I?

– I, czy mogłabyś to zrobić?

– Miałam jechać, ale w tej sytuacji wolałabym tutaj jednak zostać. Być przy Szpilce. Co prawda, pewnie mnie do niej nie wpuszczą, ale wiesz, jak będę na miejscu, to inaczej. Boję się, żeby ten dawca się nie rozmyślił w ostatniej chwili, przecież takie rzeczy się zdarzają.

– Może na początek nie panikuj.

– Nie panikuję, ale...

– Aśka, a jak on zrezygnuje, to co zrobisz?

– Jak to co? Nie pozwolę. Znajdę go, przekonam. No, nie wiem.

– A jak ty go znajdziesz? Co ty pleciesz?

– Mam w końcu twoje geny? Spod ziemi go wytrzasnę.

– Uspokój się, przecież nie zrezygnował, tak? Dopiero co się znalazł.

– No tak, ale trochę wpadłam w panikę. Chciałabym pomóc...

– To nie siej paniki. A z lokatorami załatwię. W końcu to ja ich ci znalazłam. A jak tam sprawy z Doktorciem? Macie datę?

– Nie, mamó, nie mamy.

– Przypominam ci więc, że masz prawie czterdzieści jeden lat!

– Mamó, proszę cię.

– Przecież ja nic nie mówię, tylko przypominam. To samo zresztą przeczytasz w metryce.
– Jezu!
– Ja odbieram klucz od lokatorów, a ty mi obiecujesz, że o dacie dowiem się pierwsza.
Taka rekompensata za przemilczenie pierścionka.

– Dobrze, zgadzam się. Teraz kończę. To ja już nie myślę o lokatorach, zostawiam to tobie.

– No, jak zwykle wszystko...
– Cześć, mamó, dzięki. – Rozłączyłam się, zanim mamuśka zaczęłaby się rozwodzić nad tym, jak to o wszystkim musi sama myśleć. Trochę się uspokoiłam. Niepotrzebnie wpadłam w panikę. Przecież nie wiem niczego konkretnego. I tak nikt mi dokładnie nie powie, co się dzieje. Przecież nie jestem rodziną. Muszę się skontaktować z panią Grażyną, matką Szpilki. Tak! Pani Ada na pewno ma namiary. A teraz spokój. Do jutra trzeba jakoś przetrwać. Dowiem się wszystkiego i wtedy będę działać.

Teraz jednak należało zająć myśli czymś innym. Wróciłam do laptopa. Otworzyłam nowy dokument w Wordzie i zaczęłam pisać bajkę. Ta będzie dla Szpilki. Przeczyta ją po wyjściu ze szpitala, kiedy już odzyska swoje życie, marzenia i cele. Zabrzmiało to trochę teatralnie, ale to jedyna rzecz, którą mogłam zrobić w tej chwili.

Po kilku godzinach wystukiwania tekstu na klawiaturze spojrzałam na zegarek. Nie było jeszcze zbyt późno. Zadzwoniłam do Piotra, by zapytać go, czy wyda moją kolejną bajkę. Co prawda, nie została jeszcze skończona, ale trzeba było zapytać. Wszystkie poprzednie ładnie się rozeszły. Podejrzewam, że przede wszystkim dzięki pięknym ilustracjom Jaromira.

– Słuchaj, ale będzie problem – powiedział Piotr, kiedy przedstawiłam mu swój projekt.
– Z dawcą?
– Dlaczego z dawcą? O bajce mówimy, tak?
– No tak, sorki, bo ciągle o tym myślę. Jaki więc problem? Chociaż nie lubię problemów, więc nie wiem, czy chcę wiedzieć.

– Z Jaromirem. Wyjechał.
– No ale wróci, nie?
– Niby tak, ale nie wiadomo kiedy. Teraz wrócił, ale do Warszawy.
– O! – Poczulałam niezidentyfikowane ukłucie.
– Może online to z nim załatwimy, może to się da... – zawahał się. – Wszystko zależy od tego, ile tam ma pracy. Zobaczę, co się da zrobić. Jutro do niego zadzwonię. A teraz kończę, bo Seba już się lekko irytuje, że ja cały dzień wiszę na telefonie.

– To nie przeszkadzam wam, gołąbki. – Zaśmiałam się. I od razu w wyobraźni zobaczyłam stojącego nad Piotrem Sebastiana wymachującego patykowatymi rękoma, by kończyć. Oczywiście obowiązkowo na chudych nogach miał kraciaste spodnie, bo jakżeby inaczej. Seba chodził tylko w kratkach.

Rozdział 25

W nocy nie mogłam spać. Wierciłam się, zmieniałam pozycję, wstawałam, znów się kładłam. Wszystko, by zasnąć. Po jakimś czasie, zupełnie wyczerpana, zasnęłam. Śniło mi się, że dawca w ostatniej chwili zrezygnował, a Szpilce podano już taką ilość chemii, że nie było dla niej ratunku. We śnie widziałam, jak dawca – młody mężczyzna – wychodzi z sali i ucieka korytarzem, krzycząc, że nie odda ani grama szpiku i ani kropli krwi. Wszyscy zaczęli go gonić. Ruszyłam więc z tłumem, ale – jak to ja – potknęłam się w progu i wtedy dopiero się ocknęłam. Byłam mokra od potu. Usiadłam na łóżku i starałam się uspokoić oddech. Co się ze mną dzieje? Dlaczego panikuję? Chcieliśmy znaleźć dawcę, znaleźliśmy. Trzeba się cieszyć, a nie siać panikę. Przecież chyba nikt nie rezygnuje. Muszę sprawdzić, jak to wygląda w statystykach, jakie jest prawdopodobieństwo, że ktoś w ostatniej chwili się wycofa. To byłoby nieludzkie!

Spojrzałam na zegarek. Dochodziła szósta. Za wcześniej, by pędzić do hospicjum. Położyłam się. Zamknęłam oczy i próbowałam spokojnie oddychać. Tylko spokój, tylko spokój. Na pewno wszystko będzie dobrze.

Usłyszałam rumor w przedpokoju. Wstałam. W pierwszej chwili myślałam, że Nutuś tam szaleje, ale zauważyłam Lusię.

– A ty co tak rozrabiasz?

– Do szkoły jadę. Zapomniałaś? Jeszcze kilka dni.

– Nie zapomniałam, ale myślałam, że o siódmej jedziesz.

– Mamo? – spojrzała na mnie, ale po chwili opuściła wzrok.

– No?

– Mamo? Mogę dziś przyjechać do domu ze swoim chłopakiem?

– Chłopakiem? – Zatkano mnie. Bo jakże to? Skąd nagle chłopak. – Jakim chłopakiem?

– Moim. Mam chłopaka.

– I nic nie mówisz?

– Od niedawna i chcę ci go właśnie przedstawić. Mogę?

– Jeny, córciu! Jasne. Chętnie go poznam. Cieszę się. A o której będziecie?

– Około szesnastej. Wyślę ci jeszcze esemesa.

– Nie mogę się doczekać! Zrobię coś pysznego. – Ucałowałam ją w czoło i mocno do siebie przytuliłam.

– Mamo, tylko mi obiecaj, żadnych gadek w rodzicielskim stylu, co?

– No, gdzież bym mogła. – Zaśmiałam się. – Przecież wszystko wiesz, nie?

Bezpieczeństwo to podstawa, tak?

– Tak, a teraz biegnę, bo nie zdążę. Pa.

– Pa. Leć. Ja przekręcę zamek. – Kiedy zniknęła za progiem, zamknęłam drzwi na klucz.

Moja mała dziewczynka ma chłopaka. No proszę... Teraz tylko trzeba uważać, bym nie zamieniła się w moją mamę i nie traktowała każdego kolegi Lusi jak potencjalnego zięcia.

Zaparzyłam sobie kawę. Wzięłam kubek i usiadłam w fotelu na tarasie. Było jeszcze chłodno, ale dobrze mi to robi. Wyostriły myślenie, a może nawet mocno je skoryguje. Miałam wrażenie, że droga do zdrowia Szpilki naładowana była minami zagrożeń. Trzeba było uważnie stąpać, by na którąś nie nadepnąć i nie dać się porwać fali wybuchu rozpacz. Trudno było zachować ciągły optymizm i spokój, a to przecież one były w tej sytuacji najbardziej potrzebne.

Nie zdążyłam wziąć nawet łyka kawy, gdy na kolana wskoczył mi Nutuś. Od razu zrobiło mi się ciepłej. Dotyk jego miękkiego futerka złagodził również napięcie. Nie mogłam jednak siedzieć tak w nieskończoność. Zsunęłam z kolan kota i poczłapałam pod prysznic. Odkręciłam gorącą wodę, by się ogrzać. Przez chwilę analizowałam plan dzisiejszego poranka. Popołudnie

miałam zarezerwowane na przygotowanie pysznego obiadu i ciasta na powitanie chłopaka Lusi. Cieszyłam się, że mi o tym powiedziała właśnie teraz. To odciągnie moje myśli od przeszczepu i nie będę panikować.

Namydliłam ciało olejkiem do kąpieli. To z pewnością uspokajało zmysły. Otumanione zapachem nie wariowały, a szare komórki zaczynały pracować w normalnym tempie.

Z domu wyszłam po ósmej. Nie zdecydowałam się jechać autem. Spacer był dziś jak najbardziej wskazany. Z lekkim drżeniem w sercu przekroczyłam próg hospicjum. Od razu skierowałam kroki do pokoju dziewczynek.

– Cześć – zawołałam od progu. Moją uwagę przykuło puste łóżko Szpilki. Dziewczynki jednak zareagowały na powitanie z dużym entuzjazmem i zaczęły jedna przez drugą opowiadać o Szpilce. Nic z tego nie rozumiałam. Jedno, co było pewne, w pokoju panowało wielkie poruszenie.

– Nieźle, co?

– Super!

– Tak mocno trzymałyśmy kciuki!

– I znalazł się.

– Teraz to już Szpilkę wyleczą?

– Może nas też wtedy, nie?

– A co teraz będzie?

– Kiedy to ma się stać?

Zasypywały mnie pytaniami. Wieści bardzo szybko się rozeszły. Ktoś dziewczynkom powiedział o znalezieniu dawcy. Bardzo to przeżywały. Widziały w tym pewnie szansę i dla siebie.

– Dziewczyny, spokojnie, ja nic nie wiem – odparłam, kiedy zapanowała cisza, a dwie pary oczu wpatrywały się we mnie wyczekująco. – Podejrzewam też, że lekarzy obowiązuje tajemnica, więc nie dowiemy się wszystkiego.

– A gdzie w ogóle jest Szpilka?

– W toalecie – odpowiedziały chórem. Poczulałam ulgę, bo kiedy zobaczyłam puste łóżko, byłam pewna, że zabrano dziewczynkę do Warszawy i że teraz przez kilka tygodni nie będę mogła jej zobaczyć. – O, idzie. – Pati pokazała na drzwi. – Szczęściara.

Szpilka przytrzymywana przez pielęgniarkę drobiła kroczyki w kierunku łóżka. Piżamy wisiały na niej jak na kijku od szczotki. Tylko oczy ciągle wydawały się wielkie. I kiedy spotkałyśmy się spojrzeniami, aż mnie zakuło w żołądka.

Podeszłam do niej i wyręczając pielęgniarkę, pomogłam dziewczynie dojść do łóżka. Usiadła i mocno się do mnie przytuliła. Objmowałam jej kostki. W objęciach czułam, jak kruche jest to życie, jak roślina hodowana bez słońca, wyciągająca się w kierunku światła, wątła, delikatna. Pocałowałam ją w łysą główkę.

– Cieszę się – szepnęłam do niej. – Zobaczysz, wszystko teraz będzie dobrze.

– Uda się...

Nie wiem, czy było to stwierdzenie, czy pytanie. Jednak nie umiałabym na nie odpowiedzieć. Przytuliłam ją mocniej, choć bałam się, że to kruche ciało rozsypie się pod wpływem mojego uścisku.

– Bałam się, że już cię zabrano do szpitala.

– Czekam na mamę – odparła.

– Będziesz dzielna?

– Jasne – pisnęła.

– Kiedy wyjdiesz ze szpitala, będę miała dla ciebie niespodziankę.

– Jaką? Zostaniesz tu na zawsze? – spytała, a mnie znów w żołądku ścisnęło, a ciało oblała fala gorąca.

– Zostaniesz? – podchwyciły dziewczynki.

– Nie, pewnie nie, ale będę was odwiedzać.

– To co to za niespodzianka?

– Niespodzianka musi być niespodzianką, nie?

– No, dobra.

– To teraz Szpilka będzie mogła być poetką – stwierdziła poważnie Mrówka.

– No! – Ta od razu się wyprostowała. – Odzyskam swoje marzenia.

– Ale masz fajnie – szepnęła Pati.

– Wy też wyzdrowiejecie, zobaczycie – odparła i położyła się do łóżka. Przykryłam ją, opatuliłam koldrą, choć było ciepło. Matczyny odruch mi się włączył.

– Ja będę wierzyć!

– Ja też! – podchwyciła Mrówka.

Porozmawialiśmy jeszcze chwilę i kiedy do sali weszła mama Szpilki, wpadłyśmy sobie w objęcia. Pani Grażyna śmiała się i płakała jednocześnie. Nawet nie wiem, co mówiła, bo twarz miała wtuloną w moje ramię. Domyślałam się, co czuła. Nagle nadzieja przybierała odcień szansy. Jak echo obijało się we mnie kociewskie powiedzonko: „To się da”. Dało się! Znaleźliśmy igłę w stogu siana!

Po kilku minutach pożegnałam się i poszłam do pani Ady. W korytarzu wytarłam łzy z twarzy. Nabrałam powietrza i zdecydowanym krokiem ruszyłam przed siebie. Musiałam wyjaśnić to, co mnie niepokoiło i nie pozwalało zasnąć.

Jak zawsze siedziała przy swoim biurku i pracowała. Na mój widok zareagowała bardzo żywo.

– Cieszę się, że pani przyszła. Pewnie już pani wie o radosnej nowinie?

– Tak, dlatego jestem. Trochę wpadłam w panikę, jak poczytałam o procedurach przeszczepu.

– Dlaczego?

– A, jakoś sobie wbiłam w głowę, że dawca może zrezygnować.

– Nie ma co uprawiać czarnowidztwa – odparła i postawiła przede mną szklankę z sokiem pomarańczowym. – To nie pomaga.

– Ale przecież takie rzeczy się zdarzają.

– Oczywiście, że tak, ale naprawdę rzadko. I panika tutaj na pewno nie pomoże.

– Wiem, ale jak sobie to wbiłam w głowę, to nie mogłam przestać o tym myśleć. Szpilka wygląda tak krucho, jakby miała zaraz się rozsypać.

– To silna dziewczynka. Wiele już przeszła, ale da radę. Jedno jest pewne, udało się pani zaszczepić w dziewczynkach wiarę, że wyzdrowieją. A taka wiara czasami może zdziałać cuda.

– Myśli pani?

– Jestem tego pewna. I proszę sobie głowy nie nabijać głupotami. Niedawno zrobiła pani całkiem niezłe pranie mózgu mamie Sylwii, a teraz pani pęka? – Zaśmiała się.

– Pranie mózgu? Ja?

– Tak, pani Grażyna opowiadała, jak została postawiona do pionu, jak jej pani nagadała.

– Nie miałam świadomości, że piorę jej mózg. – Teraz ja się uśmiechnęłam. – Spotkałam ją kilka razy i jakoś tak samo wyszło. Ona była zupełnie załamana, pozbawiona chęci walki, co zresztą doskonale rozumiem. Podtrzymałam ją tylko na duchu.

– I bardzo dobrze. Teraz pani niech się weźmie w garść i trzyma kciuki.

– A wiadomo, kim jest dawca?

– Oczywiście, ale to trzymane jest w tajemnicy. Nie ujawnia się danych, chyba że sam będzie chciał.

– Aha – bąknęłam. – I myśli pani, że on nie zrezygnuje.

– Pani Asiu, proszę być dobrej myśli, wszystko będzie dobrze. Tego się musimy trzymać, bo nic więcej nie możemy zrobić. Pewnie już za kilka tygodni zobaczy się pani ze Szpilką.

– Kilka tygodni...

– No, ale my tu wszystko będziemy wiedzieć na bieżąco, więc na pewno będziemy panią informować.

Dopiłam sok. Pożegnałam się z panią Adą. Co prawda nie czułam, żeby wszystko było pod kontrolą, ale trochę się uspokoiłam. Nie miałam teraz wpływu na to, co się wydarzy.

Spojrzałam na zegarek. Pięknie. Ja tu o cudzych dzieciach rozmyślam, a moje własne przyjedzie i będzie rozczarowane, że matka nic pysznego nie przygotowała.

Prosto z hospicjum poszłam do sklepu. Kupiłam potrzebne produkty. Nie marudząc nigdzie po drodze, wróciłam do domu i od razu zabrałam się do pichcenia. Będą połędwiczki z jabłkiem i cebulką, tak jak lubi Lusia. Do tego młode ziemniaki i mizeria z jogurtem naturalnym. Przy jogurcie się zawahałam. Nie przypuszczałam, żeby nastoletni chłopak był na diecie, więc może powinienam dodać śmietany, ale co tam, jak chce się przyjaźnić z Lusią, niech je tak jak my.

Upiekłam też ciasto jogurtowe z truskawkami. W czerwcu te owoce są najsmaczniejsze, więc trzeba korzystać, póki są. Miałam tylko nadzieję, że chłopak nie jest na nie uczulony.

Ciocia co chwilę przybiegała do kuchni, ściągnięta zapachami. Zaglądała w garnki i oblizywała się z apetytem. Powiedziałam jej, kogo będziemy mieć na obiedzie, ale nie wyglądała na zdziwioną. Nawet podejrzewałam, że Lusia coś wspomniała jej o tym, że ma chłopaka. Odgoniłam jednak od siebie to stwierdzenie, bo automatycznie zrobiłoby mi się przykro. Ciocia nie może być przed mamą! O, nie. To ja powinienam pierwsza wiedzieć, co się dzieje w życiu mojej córki. Tylko trzeba uczciwie przyznać, że nie zawsze mi się to udawało. Ostatnio mocno zaangażowałam się w pomoc dziewczynkom z hospicjum, a do tego trochę mojego czasu zabierał Artur. Trudno to wszystko pogodzić. A co będzie, gdy wyjadę?

Spoglądałam nerwowo na zegarek. W brzuchu mi burczało niemiłosiernie, bo czekałyśmy z obiadem na Lusię. Ani ja, ani ciocia nie wyłamałyśmy się, by zjeść coś wcześniej.

Na stole ciocia ustawiła wazon z kwiatami. Przyniosła od sąsiadki piękne piwonie. Przycięła je lekko i ładnie ułożyła. Od razu słodki zapach uzupełnił aromaty kulinarne. W domu pachniało prawdziwym domem. Westchnęłam do tego stwierdzenia. Pogłodziłam polityrę stołu i już miałam popaść w zadumę, gdy nagle rozległ się dzwonek.

– Są! – zawołała podekscytowana ciocia. – Są!

Pobiegłam do drzwi. W ostatniej chwili przyglądałam dłonią włosy, by nie wystraszyć chłopaka swoją rozczochraną fryzurą. Nawet Nutuś stanął za mną i przyglądał się z zainteresowaniem.

Otworzyłam i... zamarłam. Przedemną stała Lusia. Za nią tkwił wyrostek całkowicie ubrany na czarno, z ufarbowaną na czarno czupryną, która zasłaniała mu pół twarzy. W odsłoniętej połowce uwagę zwracały kolczyki w uchu. Od góry do dołu ucha połyskiwały srebrne kółka. Usta miał pomalowane również na czarno, na oczach ciemny makijaż! Wyglądał, jakby zdążył się lekko rozłożyć pod ziemią i nagle ktoś go wykopał i wyciągnął na światło dzienne.

– Cześć – przywitała się Lusia. A za sobą usłyszałam, jak ciocia szepcze „O, Matko Boska, Chrystusie Nazareński”. Miałam ochotę powtórzyć to samo i potraktować młodzieńca krucyfiksem.

– Eee – zająknęłam się. Odsunęłam się od drzwi i wpuściłam młodzieź do środka. Lusia uśmiechała się od ucha do ucha, natomiast chłopak miał poważny wyraz twarzy, jakby wybierał

się na jakąś czarną mszę, a nie w gości do domu swojej dziewczyny.

– To jest Skrzek, a to moja mama. – Dokonała prezentacji. – To ciocia Zosia, a to domowy sierściuch.

Nutuś na wszelki wypadek prysnął spod nóg i uciekł do mojego pokoju. Mądry kotek, zna się na ludziach. Nie chciał, by ktoś pożarł go na obiad lub złożył w ofierze.

– Skrzek? – wyszeptalam niemo, kiedy chłopak podawał cioci dłoń na powitanie. Jednak Lusia zignorowała moje pytanie.

– Jest obiad? – spytała. A ja w końcu odzyskałam trzeźwość myślenia. No, trudno, jak się jej podobają takie typy spod ciemnej gwiazdy, to trzeba to przelknąć. Musiałam gdzieś popełnić błąd wychowawczy, bo innego racjonalnego wytłumaczenia nie ma.

– Chodźcie – zaprosiłam ich do kuchni. Ciocia odruchowo przeżegnała się jeszcze ze trzy razy. W końcu jednak wszyscy zajęli miejsca przy stole. Podałam posiłek. Skrzek przystąpił do pałaszowania bez specjalnego zaproszenia. Praktycznie niewiele mówił. Lusia za to uśmiechała się od ucha do ucha. Próbowałam chłopaka zagadywać, by dowiedzieć się czegoś więcej, ale niestety odpowiadał tylko „yyy” lub „yhy”.

– Chodźcie razem do klasy? – spytałam.

– Yhy.

– Pyszne, mamó.

Rozmowa się nie kleiła. Ciocia na wszelki wypadek nic nie mówiła. Na zadowoloną wyglądała jedynie Lusia.

Po obiedzie podałam ciasto. Skrzek spałaszował je znów bez słowa. I kiedy zmiotł ostatni okruszek z talerza, wstał nagle i stwierdził, że musi iść.

– Lecę, mała – poinformował Lusię, która odprowadziła go do drzwi. Ja już się nie fatygowałam, bo nie miało to najmniejszego sensu. Usłyszałam zgrzyt zamka i po chwili Lusia znów siedziała przy stole.

– Jezu, co to było?

– Mój chłopak – odparła z dumą.

– O, mortadelo – szepnęła ciocia. Normalnie nic dodać, nic ująć.

– Naprawdę?

– Fajny, nie?

– Gdzieś musiałam popełnić błędy wychowawcze.

– Z pewnością – utwierdziła mnie w przekonaniu ciocia.

Lusia nagle parsknęła śmiechem.

– Szkoda, że nie widziałyście swoich min! – Rechotała jak szalona, a my z ciocią nie wiedziałyśmy kompletnie, o co chodzi. Może dał jej jakieś świństwo. „Skrzek” – to przecież brzmiało podejrzenie.

– Luśka!

– Rany, mamó!

– Lusia, źle się czujesz?

– Jezu, mamó, żartuję. – Znów dał się słyszeć rechot. – To nie był mój chłopak! Chciałam cię nastraszyć, że jak wyjedziesz, to możesz coś przegapić, ale chyba przesadziłam.

– Co?

– Żart taki!

– Luśka! Chciałaś, żebym zeszła na zawał?

– Dobrze. Trochę przesadziłam, ale Skrzek tak tylko groźnie wygląda. Normalnie taki nie jest.

– Czyli jaki jest?

- Normalny. Koszulka, džinsy, zero makijażu.
- I ty chciałaś takim sposobem mnie tutaj zatrzymać?
- No! Ale okej. Przyznaję, że przesadziłam. Chcesz, to jedź, układaj tam wszystko i wracaj.
- A Skrzek?
- Skrzekiem się nie przejmuj. – Wstała i uściskała mnie mocno. – Tylko pamiętaj, że jak cię nie będzie, to sporo spraw może cię ominąć – dodała ciszej.
- Uf, jaka ulga – szepnęła ciocia. – Dom wariatów.
- Na pewno?
- Daję słowo. I nie przejmuj się, nie popełniłaś zbyt wielu błędów wychowawczych. Całkiem nieźle ci to wychowanie wyszło.
- Jesteś pewna?
- Chyba tak.
- A ja potwierdzam – skwitowała ciocia i nałożyła sobie na talerz porcję ciasta. – Bierzcie jeszcze po jednym. Trzeba to zagryźć.

Rozdział 26

Ustawiłam klimatyzację tak, by nie było mi ani za zimno, ani za gorąco. Do celu miałam jeszcze jakieś sto kilometrów. Przez pierwszą setkę chciało mi się płakać. Wracając do domu i nie czułam radości ani podekscytowania. Miałam wrażenie, że zostawiłam w Starogardzie połowę swojego serca. Lusia, Artur... Nawet Nutuś! Bo przecież gdzie mu mogło być lepiej, jeśli nie w domu z ogrodem. Przyzwyczyił się, codziennie wychodził robić obchód okolicy i nie miałam sumienia zabierać go z powrotem do bloku, gdzie ewentualnie mógłby pospacerować po balkonie.

Dawca szpiku dla Szpilki na szczęście się nie rozmyślił. Leczenie dziewczynki przebiegało podobno bez większych komplikacji, więc przynajmniej o nią nie musiałam się martwić. Wszystko inne natomiast zaległo w mojej czaszce niczym potworny balast. Przywiązałam się do Arka – kolejnego dziecka w hospicjum – i zrozumiałam, że wolontariat to niekończąca się historia, tylko nie bardzo umiałam wytłumaczyć, dlaczego teraz wracam do swojego starego miejsca, w którym kompletnie nikt na mnie nie czekał.

Auto miałam wyładowane pod sam dach. Zabrałam wszystkie swoje rzeczy. Obok na siedzeniu stało pudło z ekspresem do kawy. Smok wracał ze mną do domu. Bez niego się przecież nie ruszam. Pocięczałam się, że przyjadę do domu, zaparzę kawę, w mieszkaniu czuć będzie cudowny aromat, usiądę w moim ukochanym fotelu, przyniosę książki z piwnicy i będzie jak dawniej... Tyle tylko, że bez Lusi i Nutusia. I bez Artura, ale przecież bez niego przeżyłam czterdzieści lat, więc szybko się przyzwyczaję. A może jednak znajdę pracę i znów wyjadę na Kociewie? Kto wie?

Wjechałam na parking przed blokiem. Cudem znalazłam wolne miejsce. Witaj, rzeczywistości! Na moim osiedlu parkowanie zawsze graniczyło z cudem, między innymi dlatego nie skusiłam się nigdy wcześniej na samochód. Były też inne powody, ale przecież pieniądze zawsze dawały się jakoś zorganizować.

Wysiadłam. Rzuciłam okiem wokół. Nic się w sumie nie zmieniło. Nic. To samo przechylone na chodnik drzewo, sklepik miał ciągle odrapaną i brudną elewację, a na trawniku sterczały żółte słupki, których nastawiano, by się jedna wspólnota mogła oddzielić od drugiej. Takie zaznaczenie swojego terenu. Po okresie przełomu to ważne dla rodaków, by mieć poczucie, że to moje, a to twoje. Bezsensowna tendencja do wyznaczania granic. Jak ich nie ma w Unii Europejskiej, to niech będą na betonowych osiedlach.

Z samochodu zabrałam tylko torebkę i ekspres. Resztę i tak muszę przynosić na raty. A jedno jest pewne, bez kawy się nie obejdzie.

Weszłam na trzecie piętro i zasapałam się jak smok. Ekspres trochę ważył. Postawiłam go na stopniu i otworzyłam drzwi. Od razu uderzył mnie obcy zapach. Inni ludzie go zostawili. Lokatorzy. Przekroczyłam próg, ale nie czułam, że jestem u siebie. Postawiłam ekspres na blacie w kuchni. Od razu go rozpakowałam. Nalałam wody. Kawa jeszcze była w środku. Podłączyłam urządzenie do prądu. Sięgnęłam mechanicznie do szafki po kubeczek, ale niestety go tutaj nie było. Za to piętrzyły się talerze. Kierując się logiką, otworzyłam więc tę, w której powinny być pozostałe naczynia. Bingo! Znalazłam kubki. Odszukałam swój ulubiony. Od razu zauważyłam, że jest uszczerbiony na brzegu. Lokatorzy pili z mojego kubka! Wzięłam inny i postawiłam go w odpowiednim miejscu ekspresu. Po chwili zaczął się łać z niego ciemny płyn, a po domu rozszedł się cudowny aromat. Niestety, kiedy kawa wypełniła naczynie do połowy, nagle usłyszałam trzask, potem charczenie i koniec. Ekspres padł. Postukałam go dłonią. Potem czule głąskałam i prosiłam, żeby jednak mi tego nie robił.

– Proszę, proszę, proszę.

Wyłączyłam go i włączyłam jeszcze raz. Nic z tego. Padł na amen. Usiadłam na taborecie i zaczęłam płakać. Łzy lały się, jakby puściły wszelkie tamy. Walnęłam z całej siły zepsuty ekspres. Zero reakcji. Tylko ból ręki. Przeszłam do pokoju. Puste półki. Smutne ściany.

Odszukałam telefon i wybrałam odpowiedni numer.

– Płaczesz? – Usłyszałam, kiedy w końcu udało mi się wydusić kilka słów. – Coś się stało? Miałaś wypadek?!

– No – wychlipałam w słuchawkę.

– Jezu, Asia, gdzie ty jesteś? Mów, co się stało!

– Masz jeszcze ten pierścionek? – rzuciłam w końcu. Po drugiej stronie zapanowała cisza, ale tylko na chwilę.

– Asiu...

– Masz?

– Po co pytasz? Przecież wiesz.

– A chcesz mnie jeszcze? Taką bezrobotną kurę?

– Księżniczkę kurę – poprawił mnie. – Zawsze i wszędzie. Gdzie jesteś?

– Wracam.

Zostawiłam zepsuty ekspres. Chwyciłam swoje torbiszczki i zamknęłam za sobą drzwi na cztery spusty. Z niezwykłą lekkością zbiegłam po schodach, a w głowie kołatała tylko jedna myśl: To się da!

Od autorki

Kociewie to region, który poznaję od blisko czterech lat. Jego stolicą jest Starogard Gdański, a największym miastem Tczew. To rejon położony na Pomorzu, w dorzeczu Wdy i Wierzycy, przylegający do lewego brzegu Wisły. Ze Stargardu Szczecińskiego do Starogardu Gdańskiego (chichot losu, bo od zawsze te dwie miejscowości były mylone) przyjechałam za moim mężem, który zaraził mnie miłością do tutejszych niemalże bajkowych łąk i pól. Wciąż nie mogę nacieszyć zmysłów kolorami i dźwiękami nie tylko przyrody, lecz także kociewskich strojów, haftów, piosenek i języka.

Zafascynowała mnie tutejsza gwara, która niestety nie jest już powszechna w codziennym języku mieszkańców. Udało mi się jednak wychwycić ulubione powiedzonko Kociewiaków: „To się da”. Początkowo myślałam, że mówi tak tylko mój mąż, ale z czasem okazało się, że wielu ludzi, z którymi rozmawiałam, powtarzało, że to się da. A podczas jednego ze spotkań autorskich w Pelplinie Czytelniczka mojej pierwszej książki zaproponowała wykorzystanie tego powiedzonka w tytule kolejnej powieści. Wszyscy obecni przyklasnęli. A ja chętnie potwierdziłam, że to się da.

Podczas pisania niniejszej książki korzystałam z trzypięciotomowego opracowania Bernarda Sychty *Słownictwo kociewskie na tle kultury ludowej**. To tam znalazłam między innymi określenie, że ktoś „ma dupę jak ziarnko kawy” – podobno dawniej chętnie używane na Kociewiu. Wybierałam ze słownika słowa, które miały ciekawe brzmienie i pasowały do moich bohaterów, tak więc w książce znalazły się między innymi takie określenia, jak:

Blubluś – mężczyzna ubierający się przesadnie, strojniś

Babora – kobieta despotyczna, skłonna do kłótni

Bagabuńda – łazik, włóczęga

Figolas – człowiek lubiący żartować

Galameja – fujara, ślamazara

Pupa – lalka

Rokijas – zły duch, diabeł (Ażebi to rokijas wziół)

Samodajka – kobieta lekkich obyczajów

Wimniąnki – pacierze za zmarłych (przed sumą lub w zaduszki)

Przypis

* B. Sychta, *Słownictwo kociewskie na tle kultury ludowej*, Wrocław: Zakład Narodowy im. Ossolińskich 1980, t. 1–2; tamże, 1985, t. 3.

Podziękowania

Serdecznie dziękuję pierwszym czytelnikom książki: mojemu mężowi Sławkowi i koleżankom – Kasi Grzyb, Goście Stępień i Kasi Wieczorkiewicz (z domu Bogaleckiej).

Dziękuję również pani Elżbiecie Stańczak, że zechciała opowiedzieć mi o pracy w hucie szkła, a także Iwonie Zys – wolontariuszce DKMS-u – za informacje na temat dawstwa szpiku.

Na koniec chciałabym też podziękować Wydawnictwu Szara Godzina oraz redaktorce, pani Justynie Nosal-Bartniczuk, za cenne wskazówki i wsparcie.